

Senait G. Mehari

Žar serca

Teraz, kiedy to wszystko napisałam, jestem wolna.
Ta książka napełni moje życie spokojem.
Historia, którą miałam do opowiedzenia, jest okrutna.
Nie chcę jednak, żeby ludzie, którzy będą czytali tę książkę,
zobaczyli tylko to, co straszne.
Chciałabym, żeby jej lektura uchyliła jakieś drzwi.
Zawsze jest jakieś światło, jakaś nadzieja.

Senait

Dziecko z walizki

Kiedy po raz pierwszy wyszłam z domu moich dziadków na zakurzoną uliczkę wśród krzywych, jednopiętrowych domków, zbiegły się wszystkie dzieci z sąsiedztwa i wrzeszczały, zdzierając sobie gardła: „Senait, dziecko z walizki! - Dziecko z walizki!”.

Dzieci dały się co siłą w płucach, ja byłam zdeprymowana, ale ani ja, ani one nie wiedziały, co by to mogło oznaczać - „dziecko z walizki”. Powtarzały tylko jak małpki to, co udało im się usłyszeć od dorosłych. Dopiero dużo później dowiedziałam się, dlaczego tak mnie nazywały.

Tuż po moim urodzeniu moja matka znalazła się w rozpaczliwej sytuacji. Adhanet nie znała Asmary, mój ojciec nie chciał słyszeć ani o niej, ani o mnie. Brakowało jej pieniędzy, miała już troje dzieci: dwoje z nieszczęśliwie rozwiązanego poprzedniego małżeństwa, a jedno z moim ojcem, ze związku, który zaczął się rozpadać jeszcze przed moim urodzeniem.

Na domiar wszystkiego rodzina mojego ojca pochodzi z małego miasteczka w górach Erytrei, Adi Kejh. Rodzina mojej matki przybyła natomiast z Etiopii, z Addis Abeby. To był wtedy najgorszy z możliwych układów: obydwaj narody - Erytrea była jeszcze wówczas prowincją Etiopii - znajdowały się od piętnastu lat w stanie wojny, a „mieszane” dziecko oznaczało hańbę dla matki, ojca i dla samego dziecka.

Moje przyjście na świat to było już dla matki z różnych względów zbyt wiele. Przez kilka tygodni po moim urodzeniu dojrzewały w niej postanowienie, żeby się mnie pozbyć. Nie miała odwagi zrobić tego własnymi rękoma, więc wybrała coś pośred-

niego między próbą zabójstwa a porzuceniem, pozostawiając mnie własnemu losowi.

Ubrała mnie jak każdego dnia, włożyła do walizki i zamknęła wieko, a potem poszła do miasta. Sąsiadka usłyszała moje kwilenie i zdziwiła się, dlaczego matka nie reaguje. Weszła do naszego domu i usłyszała mój płacz, ale mnie nie znalazła.

Pomyślała, że stało się coś strasznego. Krzycząc w niebogłosey, wybiegła z domu i pędziła ulicą na najbliższy posterunek policji. Policjanci z początku nie chcieli jej słuchać, nie wierząc w ani jedno słowo wrzeszczącej histerycznie kobiety. Ona jednak nie ustępowała, aż wreszcie poszło z nią dwóch posterunkowych. W końcu znaleźli mnie w zamkniętej walizce, którą moja matka wsunęła pod łóżko.

Zaczynałam już się dusić, kiedy mnie wyjęli. Policjanci umieścili mnie w państwowym domu sierot, „Orfan”, a matka została aresztowana zaraz po powrocie do domu. Za próbę zabicia dziecka Adhanet powędrowała na sześć lat do więzienia. Wezwany przez sąsiadów fotoreporter zrobił mi zdjęcie, które następnego dnia można było zobaczyć na tytułowej stronie jednego z asmarskich dzienników. W ten sposób narodziła się legenda o „dziecku z walizki”.

Orfan

1 ierwsze wspomnienie mojego życia: siedzę z siostrą zakonną z sierocińca na zacienionych schodach drewnianej werandy przed barakiem, który był naszym domem. Gorące od upału powietrze migoce nad wyschniętym ogrodem i rozciągającą się dalej kamienistą równiną. Na horyzoncie majaczy pasmo gór. Z drewnianej balustrady płatami odpada lakier, który lubiliśmy odrywać i ugniatać między palcami, dopóki nie staną się kolorowe.

Inne dzieci odbywały wewnątrz poobiednią ciszę.

- Dlaczego są lwy i małpy? - zapytałam.

Siostra spojrzała na mnie zaskoczona.

- Stworzył je dla nas nasz Pan - odparła po chwili zastanowienia. Zdziwiłam się. - Nasz Pan stworzył dla nas lwy i inne rzeczy także - mówiła dalej siostra - wszystkie zwierzęta, wszystkie rośliny. Wszystkie domy. Nasz Pan nad nami czuwa.

Nie mówiła o Bogu, ani o bogu chrześcijan, ani o Allachu, ale o Mengystu Hajle Marjam, komunistycznym przywódcy Etiopii.

Byłam w Orfanie, sierocińcu w Asmarze. To był zakład państwowy, a państwo nazywało się wtedy Etiopią, gdyż o niezależnej Erytrei długo jeszcze nie było mowy. Erytrea istnieje dopiero od 1991 roku, a epizod na schodach rozgrywał się mniej więcej w roku 1977. Miałam wtedy trzy lata, a siostry mówiły nam: „Wasz Bóg nazywa się Mengystu”.

- Stworzył lwy, żeby pokarać złoczyńców - dodała siostra groźnym tonem. - Żeby się bali.

Przestraszyłam się tego, co powiedziała, a ponieważ bałam się tak

bardzo, pomyślałam, że muszę być zła, i okropnie się tego zawstydziałam, natychmiast i bezgranicznie. Siostra nie wiedziała, że obudziła we mnie dwa dominujące uczucia mojego dzieciństwa i młodości: strach i wstyd.

Mimo to bardzo lubiłam siadywać na stopniach tej werandy, gdyż stąd było widać dal. Wpatrywałam się zafascynowana w zdającą się nie mieć granic płaszczyznę pełną kamieni, piasku i zarośli. Docierał tutaj często wiatr z gór, wiejący nad równiną Asmary. Czuło się zapach kurzu, wielbłądziego nawozu i ognisk rozpalanych przez obozujące za miastem karawany. Tutaj wszystko miało smak przestrzeni i przygody. Tarasu nie zasłaniały już inne domy, za naszymi plecami było miasto Asmara, a przed nami pustynia. Wieczorami widzieliśmy wychodzące z miasta na piaszczyste trasy długie karawany wielbłądów posuwających się wolnym, kołyszącym krokiem. Wielbłądy ciągnęły jeden za drugim, wszystkie objuczone towarem i ozdobione barwnymi wstążkami. Obok nich bieгли poganiacze i wznosząc nad głowami grube kije, gardłowymi okrzykami popędzali zwierzęta.

Nocą słyhać było wycie hien. Głosy zwierząt, które widzieliśmy rzadko i to z bardzo daleka. Tym lepiej było je za to słyhać: ich wycie, ujadanie, śmiech, skowyt, warczenie, szczekanie, gwizdy. Wychudzone zwierzęta z najeżoną sierścią czekały na odpady z naszej kuchni. Również lwy wyczuwały węchem resztki jedzenia i wysypisko śmieci za domem. Podchodziły głównie o zmroku albo po zapadnięciu ciemności. Wtedy mogliśmy się domyślać tylko ich obecności. O tym, że były, świadczyło zachowanie naszych kotów. Koty, normalnie wylegające się przed domem, nagle znikwały i chowając ogony pod siebie, czmychały pod werandę albo w gęste zarośla obok niej. O lwach zawsze mówiono nam jako o zagrożeniu.

- Nie wychodźcie z ogrodu - ostrzegały siostry - bo chwycą was lwy.

Właściwie nie musiały nam tego mówić, bo odczuwaliśmy respekt nawet przed małymi małpkami, które kicały po drzewach w ogrodzie.

Wcale nie mieliśmy ochoty opuszczać środkowej partii ogrodu, kręcąc się ciągle między drewnianym barakiem, w którym były nasze sypialnie, i wielkim budynkiem obok niego. Mieścił się w nim szpital zbudowany w okresie włoskiej kolonizacji, z niezwykle wysokimi

oknami i długimi zewnętrznymi schodami. Między tymi dwoma obiektami był ogród, żywopłot z oleandrów, grządki warzywne, gęste zarośla, boisko do gry w piłkę nożną i nasze sprzęty do zabawy, huśtawka i zjeżdżalnia z pomalowanych na różne kolory żelaznych prętów. Do zabawy służyły nam zbierane z ziemi kamyki, przytargane z zarośli gałęzie, a także naczynia, które sporządzaliśmy ze starych puszek albo z innych zużytych pojemników należących do świata dorosłych. Czasami tłukliśmy się między sobą, a czasami obejmowaliśmy się. Potrafiliśmy także całymi godzinami leżeć w jakiejś kryjówce, stłoczeni jak sardynki w puszcze, albo mocno spleceni ramionami biec przez ogród lub tańczyć do muzyki, która rozbrzmiewała tylko w naszych głowach.

Najchętniej bawiliśmy się na werandzie. Na słupach zawieszaliśmy na uplecionych przez siebie sznurach szmaciane piłki własnej roboty, i waliliśmy w nie pięściami albo kopali. Puszczaliśmy je w ruch całymi godzinami, nigdy się nie męcząc. Piłki odskakiwały, sznurki przyciągały je z powrotem, znów w nie waliliśmy, znów odlatywały, wracały, jeszcze jedno uderzenie; potrafiliśmy bawić się tak przez pół dnia.

Złodziejka jajek

Prawie cały czas spędzaliśmy na dworze, z wyjątkiem spania i jedzenia. Posiłki jadaliśmy w pomieszczeniu koło kuchni. Tutaj my, dzieci, siedziałyśmy zawsze pod portretem prześlicznej białej pani o złotych włosach. Nigdy w życiu jeszcze nie widziałam takiej kobiety. Pani zawsze patrzyła na nas z obrazu. Siostra przełożona powiedziała, że pani patrzy na nas i widzi wszystko, co robimy. Czasami nawet odwracała głowę i wodziła za mną oczami, kiedy pełna wyrzutów sumienia próbowałam się przed nią ukryć, bo coś zbroiłam. Wtedy znów przychodził strach. I wstyd.

Na przykład z powodu jajek: czasami dawano nam na kolację po jajku na twardo. To była dla nas zawsze uczta.

- Kto się spóźni, temu Pani zje jajko - mówiła siostra przełożona.

Bardzo spieszyłam się, żeby nie stracić jajka, ale kilka razy jednak się spóźniłam i jajka już nie było. Wybuchałam płaczem i zerkałam

na Panią, w nadziei, że coś zauważę. Ale ona wtedy akurat się nie ruszała, lecz patrzyła martwym wzrokiem w dal, udając, że nie zwraca na mnie uwagi. W takich momentach jej nie lubiłam. Wręcz nie cierpiałam, chociaż siostry ciągle nam kładły do głowy, że powinniśmy tę panią szczerze kochać. Dlaczego miałabym ją kochać, skoro kradła moje jajka?

Pewnego dnia postanowiłam obserwować ją tak długo i skrupulatnie, aż wreszcie poznam się na jej sztuczkach. Chciałam wiedzieć, jak ona to robi - jak udaje jej się kraść jajka, choć obraz zawieszony jest wysoko, w rogu izby. Niepostrzeżenie zabrałam kolacyjne jajko i przechodząc, położyłam je na stole. Potem wślizgnęłam się z powrotem do izby, schowałam się za jednym ze stołów i czekałam, czekałam, ale się nie działo. Obca biała pani nie poruszyła się. Nagle do izby weszła jedna z sióstr, Afrykanka, nielubiana przez większość z nas. Zobaczyła moje jajko i po prostu je wzięła. Moje jajko, które tego dnia poświęciłam, wystawiłam je jako przynętę dla białej pani! Byłam straszliwie rozczarowana.

Natychmiast wybiegłam z jadalni, żeby opowiedzieć innym dzieciom o swoim sensacyjnym odkryciu. Nikt mi jednak nie uwierzył. Byłam głęboko zraniona, obrażona i wytracona z równowagi - ostatecznie, widziałam tę podłość na własne oczy! Ukryłam całą sprawę głęboko w sercu i postanowiłam nigdy więcej nie spóźniać się na posiłki.

Śmierć z butelki

Do mojego pierwszego spotkania ze śmiercią doszło w Orf anie. Helen chodziła już do szkoły, i chociaż była ode mnie zdecydowanie starsza, spędzałyśmy razem dużo czasu. Leżała w wielkim gmachu szpitala, tuż obok naszych baraków mieszkalnych. Mogliśmy w każdej chwili wchodzić do szpitala, bo tam mieściła się nasza jadalnia - w barakach się tylko spało. Helen leżała w wielkim łóżku, obok którego stał długi pręt. Na pręcie wisiała butelka, a z niej gumowym węzłem skapywała woda prosto w dziewczynkę. W każdym razie wyglądało to jak woda. Intrygowało mnie to urządzenie, i ciekawie przyglądałam się, jak kropla po kropli ścieka do gumowego węża.

Pewnego dnia znów siedziałam na brzegu łóżka Helen, kiedy krople się skończyły. Helen poprosiła, żebym zawołała siostrę, bo butelka nie powinna być pusta.

- Jeżeli krople przestaną kapać, moja krew wypłynie na wierzch i umrę.

Nie miałam pojęcia, co to znaczy „umrzeć”, czułam tylko, że to chyba jest coś poważnego. Pobiegłam więc, żeby sprowadzić siostrę, ale żadna nie przyszła. Jedna nie miała czasu, inna nie chciała, trzecia powiedziała, że przyjdzie później. Musiałam dołączyć do innych dzieci z mojej grupy, moich rówieśników.

Następnego dnia przyszłam już wczesnym rankiem, żeby zobaczyć się z Helen. Jeszcze nim dotarłam do jej pokoju, zobaczyłam, że kogoś stamtąd wynoszą. Zdziwiłam się, widząc duże dziecko, które spokojnie śpi w środku dnia. Nieruchome dziecko, po którym została na łóżku wielka plama krwi. Plama krwi wyglądała bardzo groźnie. Zaczęłam płakać, bo niczego nie rozumiałam. Nie docierało do mnie, że to była Helen, odczuwałam tylko grozę sytuacji. Potem ktoś powiedział, że Helen nie żyje.

Od tej chwili zniechęciłam siostry szpitalne, wszystkie te pielęgniarki, które bez pośpiechu pętają się po korytarzach i bez najmniejszego zapału wypełniają swoje obowiązki. Nie wiedziałam, komu mogę zaufać, komu powiedzieć, że siostry nie zareagowały, kiedy je alarmowałam. Później opowiedziałam o tym naszym opiekunkom, ale nie sądzę, żeby wyciągnięto z tego jakieś wnioski. Wszystkie pielęgniarki pracowały w dalszym ciągu, jak gdyby nic się nie stało.

My, dzieci z sierocińca, śpiewaliśmy przez cały dzień pieśń za umarłych, którą same ułożyłyśmy. Zainscenizowaliśmy pogrzeb Helen, pochowaliśmy lalkę i bez przerwy śpiewaliśmy tę pieśń, przed, w czasie i po pochówku. Wszyscy płakali, tylko ja nie mogłam płakać. Jakaś dziewczynka zbiła mnie za to. A ja nie chciałam nikogo drażnić, po prostu nie byłam w stanie płakać, i tyle. Czułam się tak, jak gdyby utknęły we mnie łyży i powietrze, i w ogóle wszystko. Tamta dziewczynka wpadła w złość i ciągle mnie biła, aż z bólu i upokorzenia zaczęłam wreszcie płakać. Później, kiedy bawiłam się w ogrodzie z tą samą dziewczynką, ona zakrztusiła się centem. Znów, w panice, pobiegłam po pielęgniarkę. Tym razem przyszła, ale za późno - dziewczynka się udławiła. To było moje drugie doświadczenie śmierci.

Śmierć Helen gnębiła mnie dłużej niż śmierć mojej towarzyszki zabaw. Postanowiłam zemścić się za śmierć dziewczynki, która umarła tak głupio. W tym celu z dzbankiem pełnym wody wślizgnęłam się na oddział noworodków - tam także pracowały pielęgniarki, które wtedy próbowałam sprowadzić do Helen, a które nie przyszły. Przeszłam wzdłuż łóżeczek, polewając dzieci wodą; pieluszki, ubranka, łóżeczka. Przez wiele godzin siostry musiały zmieniać potem pieluszki i pościel na łóżkach.

Kiedy przyszłam z wodą po raz drugi, złapała mnie jedna z pielęgniarek. Za karę zarobiłam potężne lanie. Odtąd nie odważyłam się już wejść na oddział noworodków.

Jednak nie bity były dla mnie największą karą w sierocińcu, ale to, co wyczyniał ze mną ogrodnik. Za sierocińcem znajdowała się plantacja trzciny cukrowej. Tam zaciągał mnie ogrodnik, stary, gruby facet, którego nikt nie lubił. Kiedy znaleźliśmy się już na miejscu, żądał:

- Podnieś sukienkę.

Podniosłam sukieneczkę i czekałam na razy, ale nic się nie stało, ogrodnik tylko dotykał siebie, a także i mnie.

Czasami kazał mi kłaść się obok siebie na ziemi albo siadać mu na kolanach, kiedy leżał. Nie byłam jedyną, którą tam zaciągał. Czasami zabierał kilka dziewczynek jednocześnie. Wszystko miało pozostać w tajemnicy. Za każdym razem surowo nam nakazywał, żebyśmy nic nikomu nie mówiły. Do dziś nie wiem, jak daleko się posunął. Kiedy o tym myślę, wszystko rozpływa się w gęstej mgłę.

Rodzice i sieroty

Raz po raz rozmaici dorośli zabierali ze sobą jakieś dzieci. Ci dorośli nigdy nie tulili do siebie innych dzieci, tylko to jedno, po które przyszli. Nie łązili, jak siostry, po pełnych łóżek salach, równomiernie obdzielając uwagę tych czy innych, lecz świadomie kierowali się do jednego, wybranego dziecka i zabierali je ze sobą w tajemniczy świat za płotem. Tam, na zewnątrz, było nieskończenie dużo przestrzeni, pustynia, na którą w żadnym wypadku nie należało wychodzić samemu, bez towarzysztwa starszych. Tam można było pójść tylko z dorosłymi, którzy przychodzili tylko po określone dziecko.

Stopniowo zauważyłam, że wielu dzieci nikt nie zabierał z sierocińca, bo nikogo nie miały. Wszystkie te, które sypiały w barakach, nigdy nie wychodziły na zewnątrz, za to te, które przebywały w szpitalu, pozostały tam tylko przez kilka tygodni lub miesięcy. Myślałam sobie, że musi być jakaś różnica między nami a innymi dziećmi, między tymi, które zostawały, a tymi, które odchodziły. Kiedy w końcu zdobyłam się na odwagę, żeby o to zapytać, jedna z sióstr wyjaśniła mi.

- To proste - powiedziała. - Dzieci w szpitalu mają rodziców, a wy nie. Wy jesteście sierotami.

Sieroty i rodzice. Te dwa słowa decydują więc o tym, czy się odchodzi, czy zostaje, o szczęściu lub nieszczęściu. Jak to jest możliwe, żeby niektóre dzieci były sierotami, a inne nie? Czy sieroty nigdy nie miały rodziców? Czy zrobiły coś złego? Na te pytania nie znajdowałam odpowiedzi, miałam tylko nieprzyjemne poczucie jakiegoś braku. Za każdym razem, kiedy inne dzieci wypuszczano z sierocińca do ich rodzicielskich domów, a ja musiałam zostać, czułam się, jak gdyby ktoś dał mi w twarz.

Dlaczego tak jest, tego, mając trzy lata, nie byłam w stanie zrozumieć. To znaczy, zakładałam, że pod koniec pobytu w Orfanie miałam trzy lata, ale może miałam cztery. Do dzisiaj nikt nie wie dokładnie, kiedy się urodziłam. Nie jest to w Afryce niczym szczególnym. Tutaj prawie nikt nie zna swojej daty urodzenia - a już na pewno nie zna jej ktoś, kto, tak jak ja, urodził się w biednej rodzinie albo na wsi. Tam nie istnieją zazwyczaj żadne dokumenty, w których odnotowywano by, że ktoś się urodził. Metryka urodzenia, akt chrztu, paszport zagraniczny, dowód osobisty - przeciętny Erytrejczyk nie ma niczego takiego. Bo i po co? Za papiery trzeba tylko płacić, a urzędowe potwierdzenie faktu, że człowiek się urodził, nie daje żadnych korzyści: nie istnieje coś takiego, jak zasiłek porodowy, dodatek rodzinny, zapomoga na dzieci, jakiegokolwiek świadczenia socjalne czy też bezpłatna pomoc medyczna.

Dopiero z czasem, dzięki wspomnieniom mojej matki i innych krewnych, udało się wprawdzie ustalić dzień mojego urodzenia - 3 grudnia - ale nie rok. Matka znała dzień, bo datę dzienną łatwiej zapamiętać niż rok, a na dodatek kalendarz etiopski jeszcze bardziej komplikuje sprawę. Do 1991, do uzyskania niepodległości przez Erytreę, kalendarz etiopski obowiązywał także na terenie Erytrei.

Ten kalendarz liczy lata inaczej niż nasz: rok 2004 jest na przykład w Etiopii rokiem 1997. Wobec wielokrotnych zmian tych kalendarzy mógł jakiś jeden rok gdzieś się zagubić. Zgodnie z tym, co wiem dzisiaj, urodziłam się 3 grudnia 1976, 1975, 1974 albo nawet 3 grudnia 1973 roku. Najbardziej prawdopodobny wydaje mi się rok 1974. Równie dobrze mogłam jednak przyjść na świat w roku 1973.

Nie jestem nawet pewna, jak się nazywałam po urodzeniu - mgła, w jakiej tonie moje wczesne dzieciństwo, jest co najmniej tak nieprzenikniona jak mgła, która w zimowe noce spowija erytrejskie wzgórza. Może nazywałam się wtedy Saba, jak słynna królowa. Obecne imię, Senait, nadali mi dopiero o wiele później moi dziadkowie.

Mehari to imię mojego dziadka. W Erytrei dziecko jako pierwsze nazwisko otrzymuje imię, a jako drugie nazwisko imię ojca. Jego imię jest także pierwszym nazwiskiem jego ojca, a imię ojca jego drugim nazwiskiem. W ten sposób nie ma u nas rozróżnienia między imieniem a nazwiskiem, jest jedynie nieskończenie długi szereg rozmaitych imion.

Combom

I\ównież i dla mnie nastąpił dzień opuszczenia sierocińca - z tym, że nie zabierali mnie rodzice, lecz dwóch mężczyzn w mundurach. Bardzo im się spieszyło i nie zostawili mi czasu na pożegnanie.

Nagle zapragnęłam gorąco znaleźć się u swoich rodziców. Instynktownie rozumiałam, że żaden z tych dwóch mężczyzn nie był moim ojcem, gdyż nie poświęcili mi nawet jednego spojrzenia. Już siedząc w małym transporterze, miałam nadzieję, że ci dwaj zaprowadzą mnie do rodziców. Miałam nadzieję, że będziemy jechać długo, bo chciałam zobaczyć pustynię i góry, i przestrzeń, które znałam tylko z perspektywy werandy.

Ale samochód wcale nie wyjechał na równinę, lecz wjechał do miasta. Nawet na tej trasie oczy wychodziły mi z orbit: nigdy przedtem nie opuszczałam terenu sierocińca, a teraz widziałam ludzi, domy, ulice, skrzyżowania, palmy, furmanki. Nie patrzyłam na nie przez szpary w parkanie, lecz widziałam je z bliska, na wyciągnięcie dłoni, a ja byłam w samym środku tego wszystkiego. Przylepiłam twarz do szyby i chłonełam świat, który widziałam po raz pierwszy.

Radość nie trwała jednak długo. Zaledwie kilka minut później samochód wjechał przez bramę i zobaczyłam coś, co już dobrze znałam: mur, ogródek, wielki dom, dużo dzieci, zakonnice i bramę, za którą pozostawał świat. Ten dom był większy, ładniejszy i starszy niż ten, w którym mieszkałam dotychczas. Zbudowano go z cegieł, miał szczyt, blanki - których też nigdy dotychczas nie widziałam. Była nawet wieża z dzwonem, który czasami rozbrzmiewał. To mnie jednak teraz nie interesowało. Widziałam tylko otaczający wszystko

mur, strasznie wysoki i nie do pokonania, nawet dla dorosłego. Był o wiele wyższy niż płot w Orfanie, a na dodatek z kamienia. Mur, przez który nic nie dało się zobaczyć i który ze wszystkich stron ograniczał mój wzrok przyzwyczajony do dalekich przestrzeni pustyni. Otwarty pozostawał tylko widok do góry, na niebo.

Kiedy zrozumiałam, że nie wydostałam się na wolność, ogarnął mnie głęboki smutek. Nie zabrano mnie w wielki, szeroki świat, do rodziców, lecz tylko do innego sierocińca. Tutaj siostry nosiły dziwny strój składający się z długiego aż do ziemi szarego fartucha z wysoko pod szyją zapiętym kołnierzem i ogromnej białej czapy, która sprawiała wrażenie ciężkiej i twardej jak kamień. Na dodatek byłam w tym domu niemal jedyną czarną. Prawie cała reszta, siostry i dzieci, były białe.

Siostra, która mnie przyjmowała, przedstawiła się jako Florina. Nigdy przedtem nie słyszałam takiego imienia. Miała białą twarz i ubranie, długą do ziemi, oślepiająco białą suknię. Florina miała szczupłe, silne dłonie, które położyła mi na ramionach. Cofnęłam się przestraszona, bo i te dłonie były białe i tak jasne, że można było zobaczyć żyłki pod skórą. Przyglądałam się jej z niedowierzaniem. Była bardzo wysoka i smukła, i miała na nosie okulary. Wiedziałam już, że istnieją takie szkła na oczy, ale widziałam je zaledwie kilka razy.

Z mieszaniną strachu i podziwu zauważyłam, że włosy Floriny, których kilka wymknęło się spod sztywnego nakrycia głowy, też są jasne. Tak samo złote jak włosy pani na obrazie w jadalni sierocińca. Siostra Florina była w ogóle bardzo podobna do tej pani z obrazu, miała tylko większe, bardziej białe i twardsze nakrycie głowy. Dokładnie tak samo składała dłonie, jak ta pani na obrazie. Nie wyglądała jednak tak łagodnie jak ona, ale o wiele bardziej surowo. Wiedziałam od razu, że będę się bała siostry Floriny i że należy odnosić się do niej z szacunkiem. Siostra Florina dziwnie twardo wymawiała znane mi słowa. W jej ustach brzmiały zupełnie inaczej niż u ludzi, których dotychczas słyszałam.

Z niedowierzaniem rozejrzałam się wokół siebie. Poza kobietą na obrazie w naszej jadalni, nigdy jeszcze dotąd nie widziałam białego człowieka, a teraz nagle znalazłam się wśród samych białych. Dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, że naprawdę istnieją ludzie, którzy mają jasne włosy i jasną skórę. Do smutku spowodowanego

zmianą otoczenia doszło poczucie chłodu i obcości, jakiego tak wyraźnie i z taką siłą nigdy jeszcze nie zaznałam. Było mi smutno, a nawet nie potrafiłam zapłakać.

Wśród obcych

Wrażenie obcości pogłębiło się, kiedy stwierdziłam, że ci biali rozmawiają między sobą językiem, którego nie rozumiem. Nie rozpoznawałam ani jednego słowa. Wydawali z siebie jakieś zupełnie obce dźwięki i tylko z rzadka rozróżniałam dobrze mi znane skrzypienie, stukanie, mlaskanie i gruchanie języka tigrinia, którym mówili moi ziomkowie. Ich mowa była egzotycznie brzmiącym monotonnym zaśpiewem, który czasem brzmiał pięknie i melodyjnie, lecz czasem wyrzucali z siebie słowa bardzo szybko i twardo. Zakonnice mówiły po włosku. Mówiły po włosku między sobą i z powierzonymi ich opiece dziećmi. Zarówno z białymi dziećmi, jak i z tymi niewieloma dziećmi afrykańskimi, jakie do nich trafiły.

Tutaj obowiązywały inne reguły niż w sierocińcu, w którym mieszkałam do tej pory. Przedmiotem marzeń nie był Mengystu Hajle Marjam, lecz Daniel Comboni, biały mężczyzna z długą brodą, który miał kamienną głowę i był przymocowany nad drugą, wewnętrzną bramą. Ten człowiek, mówiły siostry, przybył tutaj z Włoch, ich ojczyzny, żeby pomagać dzieciom. Dlatego zbudował ten dom.

Pomyślałam sobie, że ten mężczyzna o dziwnie brzmiącym nazwisku bardziej pragnął pomagać białym dzieciom niż czarnym, gdyż pierwsza reguła tego domu mówiła, że ludziom o jasnej skórze wolno więcej niż tym o ciemnej. Nikt mi tego nie powiedział, przekonałam się o tym w codziennej praktyce. Na przykład na dziedzińcu urządzono wielki plac zabaw, na którym stały wspaniałe, kolorowe sprzęty: karuzela z konikami, kilka huśtawek, zjeżdżalnia. To był raj, tak wspaniałych sprzętów do zabawy nigdy jeszcze nie widziałam. Ale my, czarni, nie mogliśmy korzystać z tych kolorowych cudów, były przeznaczone tylko dla białych.

My, czarni, jedliśmy przy małym, osobnym stole, ustawionym w niewielkim przedpokoju przed sypialnią, gdy tymczasem biali jadali w wielkiej sali, tak wysokiej, że prawie nie było widać sufitu.

To pomieszczenie, do którego nam wolno było wchodzić tylko przy szczególnych okazjach, było całe pomalowane. Na ścianach namalowano widoki, ukazujące coś, czego nigdy nie widziałam: zielone lasy, góry, jeziora, rzeki i chodzące wśród nich wielkie brązowe zwierzęta. Były tam też małe białe ludziki z brodami i w spiczastych kapeluszach, dziewczynka w długiej sukni i hiena z głową obwiązaną czerwoną chustką. Siostry opowiadały nam czasami historie pokazane na tych obrazkach, ale ja prawie nic z tego nie rozumiałam. Nie wiedziałam, czy te wszystkie rzeczy naprawdę istnieją, czy też znajdują się w miejscu, które siostry nazywały „niebem”.

Na początku białe dzieci bez przerwy wytrzeszczały na nas oczy, ale szybko same się zorientowały, że są czymś lepszym niż my. Potrafiły być w stosunku do nas naprawdę obrzydliwe! Pewnego razu zmusiły mnie, żebym zjadła moje własne wszy. Chrupały między zębami, łaskotały, łechtaly, były gorzkie i obrzydliwe.

Tylko kilka rzeczy było tutaj przyjemnych, a w Comboni zetknęłam się z nimi po raz pierwszy w życiu. Na przykład „formaggio”, to włoskie słowo oznaczające ser ciągle jeszcze dźwięczy mi w uszach, miało dla mnie cudowne brzmienie. Były poza tym łóżka z często zmienianymi prześcieradłami, a nie tylko koce, materace albo worki, na których lub pod którymi trzeba się było dobrze zwinąć w kłębek, żeby zasnąć, bo w Asmarze zimowe noce potrafiły być dotkliwie zimne; temperatura spadała do pięciu, a najwyżej do dziesięciu stopni. Dobry był także błyszczący czerwony napój, którym nas pojono, rozcieńczony syrop malinowy. To były nieznane mi dotychczas rozkosze. Najpiękniejsza jednak była świadomość, że można się codziennie najeść do syta. W Orfanie musieliśmy często kłaść się do łóżek głodni, a w każdym razie nienajedzeni, bo wieczorny posiłek był raczej skromny. Uważaliśmy to za tak naturalne, że wieczorne burczenie w żołądku traktowałam jako coś normalnego. Chociaż w klasztorze nie wszystko mi się podobało - te rozkoszne wieczory z pełnym żołądkiem to było coś cudownego!

Lubiłam także wycieczki. Co kilka dni wsadzano nas do autobusu i wieziono do śródmieścia, do o wiele większego domu, który miał jeszcze wyższą wieżę niż dom, w którym mieszkaliśmy. To była katedra w Asmarze. Tam razem z białymi dziećmi mieliśmy uczyć się języka tigrinia. Ja mojego własnego języka musiałam uczyć się jako

języka obcego, bo ponieważ z innymi dziećmi i z siostrami mogłam się porozumieć tylko po włosku, w ciągu tego roku język ojczysty stał się dla mnie obcy. Nawet z niektórymi czarnymi dziećmi rozmawiałam po włosku, jeżeli pochodzili z dzielnic kraju, w których nikt nie zna języka tigrinia, lecz mówi się jakimiś innymi afrykańskimi językami, których ja z kolei zupełnie nie rozumiałam...

Ta językowa wieża Babel sprawiła, że w klasztorze z nikim się nie zaprzyjaźniłam. Prowadziłam rozmowy głównie z jednym przyjacielem, którego mogłam zobaczyć tylko ja sama i nikt poza mną. Istniał jedynie w mojej wyobraźni, ale tam był tym bardziej rzeczywisty. Rozmawiałam z nim często całymi godzinami, kłóciliśmy się, prosiłam go o wyjaśnienie rozmaitych rzeczy, pocieszałam go i pozwalałam jemu się pocieszać. Takiego praktycznego, cierpliwego i sympatycznego przyjaciela nie miałam już później przez długie lata.

Białe panie opowiadały wprawdzie o innych jeszcze przyjaciółach, których jakoby miałam. Jeden z nich pojawiał się wielokrotnie w moim nowym domu. Był przybity ogromnymi gwoździami do drewnianego krzyża, więc krew spływała mu strużkami z dłoni i stóp. Nawet na głowie miał krew, bo włożono mu koronę z cierniowych gałęzi. Nie rozumiałam tego białego mężczyzny, który zawsze spoglądał przed siebie naznaczonym bólem spojrzeniem i nie traktowałam poważnie tego, co mówiły na jego temat siostry. Jezus z włoskiego sierocińca był dla mnie tylko dalekim, białym, godnym wielkiego współczucia obcym człowiekiem.

Ratunek

Zupełnie inaczej miała się sprawa z białą panią w przepięknej, długiej do ziemi sukni, której figury stały tutaj wszędzie. Jedna w korytarzu prowadzącym do budynku, w którym mieszkały siostry, druga nad wejściem do budynku, w którym mieszkały dzieci, i jeszcze kilka w pobliskim kościele. Ta kobieta o świetlistej jasnej skórze, jasnych włosach i jasnobłękitnych oczach wydawała mi się bardzo obca, ale ją lubiłam. Nigdy jeszcze nie widziałam nawet w przybliżeniu tak pięknej kobiety. Prawie wszystkie zakonnice były Włoszkami. Także większość dzieci pochodziła z Włoch, albo miała przynajmniej jednego włoskiego

rodzica. Z wyjątkiem Floriny wszystkie więc były śniade i miały ciemne włosy, chociaż ciągle jeszcze były bardzo jasne w porównaniu z takimi Afrykankami jak ja. Ale nie biła z nich taka jasność jak od tej kobiety w błękitnym płaszczu, ze złotym kółkiem nad głową.

Pociągał mnie w niej nie tylko wygląd zewnętrzny, lecz także uwagi siostr, jakoby była moją matką. Nie zachowywała się jednak tak, jak powinna zachować się matka: nie zabierała mnie z sierocińca. Nie karała tych, którzy robili mi krzywdę. Nie dbała o to, żeby sprawiedliwie traktowano białe i czarne dzieci. Nie pomogła mi w mojej samotności. W ogóle nic nie robiła, tylko stała i patrzyła na nas przyjaźnie i z sympatią. Mimo to nadstawiałam ucha: może to była podobizna mojej matki? Ale dlaczego moja matka miałaby mieć jasną skórę? Normalnie, o tym już wiedziałam, czarne kobiety zawsze rodziły czarne dzieci, a białe - białe. Czyżbym była wyjątkiem? Co miały na myśli siostry, mówiąc, że ta pani jest matką wszystkich ludzi? To stawiało sprawę pod znakiem zapytania, gdyż w żaden sposób nie mogło być prawdą, bo rozmaite dzieci miały rozmaite matki, widziałam to na własne oczy. Czy wszystko, co mówiły zakonnice, było kłamstwem?

Chociaż nie byłam pewna, jak to jest z tą panią, często próbowałam się od niej czegoś dowiedzieć, skoro była moją matką. Kręciłam się koło niej, kiedy nikt nie widział. Muskałam ją, coś jej naszeptywałam, dotykałam, żeby się przekonać czy jest ciepła i żywa. Nie otrzymałam jednak żadnej odpowiedzi, nic się nie stało, matka ciągle milczała.

Wtem pojawiła się jakaś inna matka. Mama z krwi i kości. Czarna matka. Moja mama. A przynajmniej kobieta, która twierdziła, że jest moją matką, co wtedy całkowicie mi wystarczało. Czyżby i dla mnie miał nadejść ratunek?

Mbrat pojawiła się pewnego razu w biurze siostry przełożonej i powiedziała srogiej pani, że jest moją matką. Siostra dała się przekonać i pozwoliła, żeby Mbrat mnie zabrała. Żegnając się ze mną, siostry nie sprawiały wrażenia zmartwionych, tak samo zresztą jak ja. Jeszcze kilka tygodni trwało załatwianie formalności w klasztorze, a ja nie mogłam się doczekać, żeby wreszcie otworzyła się stale zamknięta, pilnowana przez mężczyznę w mundurze brama, wypuszczając Mbrat i mnie na wolność - tym razem nie do nowego sierocińca, ale wreszcie w wielki, szeroki świat, w którym nie będzie żadnych murów.

Mbrat wzięła mnie po prostu za rękę, a ja z radością poszłam z nią. Nigdy jej wcześniej nie widziałam, ale od tego dnia zaczęłam mówić do niej „mamo”. Nie chciałam zastanawiać się nad tym, czy jest rzeczywiście moją matką. Była dla mnie dobra, zabrała mnie ze strasznej sierocińca, chciała się mną zająć, uśmiechała się do mnie - byłam taka szczęśliwa, jak jeszcze nigdy dotąd.

U dziadków

J\iedy Mbrat wyprowadziła mnie przez bramę klasztoru Comboni, nareszcie znalazłam się nie tylko poza murami, lecz także w samym środku zupełnie nowego świata, który wydał mi się jeszcze bardziej obcy niż wszystko, co mogłam zobaczyć na ulicach Asmary: znalazłam się w świecie rodziny. Wreszcie rzeczywiście mieszałam w jednym z tych małych domków, które dotychczas oglądałam tylko z zewnątrz. Byłam częścią grupy ludzi, których łączyło przede wszystkim jedno: wspólne pochodzenie. Nagle stałam się członkiem rodziny, i to prawdziwej afrykańskiej rodziny, składającej się co najmniej z dwudziestu osób.

Jako najmłodsze z jedenaściorga dzieci byłam jej beniaminkiem. Poza mną razem z nami mieszały także dzieci moich dziadków, a więc moje ciotki i wujkowie, i kilkoro ich wnuków. Dzieci miały od dziesięciu do dwudziestu lat, a ja dopiero cztery lub pięć. Dla mnie to była pełna rodzina - nie wiedziałam, że mój ojciec, dezterter i cudzołożnik, czmychnął z inną kobietą. Nie pytałam o niego, bo dla mnie liczyło się tylko jedno: Mbrat, moja dawno zaginiona matka, sprowadziła mnie z powrotem na łono rodziny.

Żyliśmy jak w raju. Dom moich dziadków znajdował się w Maitemenai, jednej z lepszych dzielnic Asmary. Nie była to jedna z pięknych, zbudowanych jeszcze za czasów włoskiej kolonizacji dzielnic willowych, lecz osiedle mieszkaniowe nieco poza miastem, na łagodnie wznoszącym się stoku, pierwotnie zbudowane wokół wielkiego szpitala. Domek stał koło domku, każdy miał mały ogródek albo podwórko, nie było między nimi slumsów, baraków, przemysłu.

Dom moich dziadków był ostatnim na ulicy, po której tylko z trudem dawało się przejechać, dlatego że była taka wąska, a także dlatego, że kamienie sterczały wysoko z piasku i każdy bał się o swój samochód. Większość mieszkańców nie miała jednak samochodów, najwyżej rower, osiołka albo konia, którego zaprzęgano do drewnianego wózka. W naszym domu była jedna izba, w której się gotowało, jadło, mieszkało i spało. Druga służyła za magazyn i także za sypialnię. W trzecim, bardzo małym i pozbawionym okien pokoiku, leżało kilka derek, stał kocher, piec do grzania wody, drewno i kadzie do prania bielizny. Przed domem znajdowało się otoczone murem podwórze, nie większe niż zwyczajny pokój. Ten mur nie stanowił żadnego zagrożenia, bo w każdej chwili można było wyjść bramą na zewnątrz. Chronił przed światem zewnętrznym, bo w razie potrzeby bramę można było zamknąć. Lubiłam ten mur, tak jak nigdy przedtem żadnego innego.

Na drugim końcu podwórka znajdowały się zagrody dla zwierząt, w których trzymało się dwie krowy i dwie kozy oraz kilka kur. To były małe stajenki, tak niskie, że ja jeszcze mogłam się w nich wyprostować, ale dorosłym już się to nie udawało. Izby mieszkalne były natomiast bardzo wysokie, bo chodziło o to, żeby nie gromadziło się w nich gorące powietrze. Stały tam łóżka, stół, kilka krzeseł i mała szafa. Okna nie miały szklanych szyb, były tylko otwory okienne, które ze względu na upał zawsze zasłaniano kawałkami blachy. Podłoga była z gołego, przyjemnie chłodnego betonu, z sufitu zwisała żarówka. W ciągu dnia łóżka służyły do siedzenia. Krzesła były tylko dwa, do tego niski stół, przy którym można było jeść, siedząc na podłodze.

Zanim zasiedliśmy do jedzenia, zawsze wynosiliśmy ze składziku kilka mis, garnków, patelni i kocher spirytusowy. Z tym wszystkim przenosiliśmy się do środkowego pokoju, w którym toczyło się całe życie - tutaj przygotowywało się potrawy, jadło, rozmawiało, spało. My, dziewczynki i kobiety, przykucnięte na podłodze albo na małych stołeczkach, drobno siekałyśmy warzywa i przygotowywałyśmy zupy i sosy. Po jedzeniu zmywałyśmy wszystko na podwórku i odstawiałyśmy z powrotem do składziku, tak że po jedzeniu i gotowaniu nie pozostawał nawet ślad. Wszędzie było zawsze pusto i posprzątane, bo nigdy nic nie zostawało na wierzchu. Mieliśmy bardzo mało rzeczy, a każda miała swoje miejsce w szafie i w kilku skrzyniach na ubrania i drobiazgi.

Dla mnie to był raj. Tutaj po raz pierwszy w życiu miałam własne imperium! Wielka żelazna brama chroniła mnie przed kręcącymi się nieustannie po ulicy dziećmi sąsiadów, osiołkami, wielbłędami i psami. Moje imperium miało też wiele kolonii poza obronnym murem, ale w najbliższej okolicy: tuż za domem kończyło się miasto. Pastarze wyprowadzali tam na łąki swoje zwierzęta, kobiety uprawiały warzywniki i małe pólka. Tam bawiłyśmy się my, dzieci. Tam również przychodzili wszyscy mieszkańcy dzielnicy, żeby załatwić swoje potrzeby w małym lasku, bo w domach nie było bieżącej wody ani toalet. Kiedy człowieka przydusiła potrzeba, wystarczyło wejść kawałek do lasu, kucnąć w długiej, sięgającej ziemi szacie, i pogawędzić z kilkoma znajomymi, wytrzeć się drobnymi kamyczkami, po czym można było wrócić do domu z uczuciem miłego zadowolenia. Potrzebowałam trochę czasu, żeby się do tego przyzwyczaić, bo w klasztorze były toalety z białej, nieskazitelnej porcelany, które splukiwało się wodą po załatwieniu swojej potrzeby.

Nas, dzieci, interesowały przede wszystkim skaliste zbocza, wznoszące się tuż za łąką, porośnięte rzadkim lasem. Stamtąd, z góry, widać było prawie całe miasto. Można się było znakomicie ukryć w ziemnych rozpadlinach, bawić się w chowanego wśród pni drzew, albo zadekować gdzieś w buszu, kiedy człowiek chciał mieć spokój. Ja urządziłam sobie tajemną kryjówkę w małej pieczarze w zboczu urwiska. Tego miejsca nie zdradziłam nikomu, zawsze szłam tam sama. Uwielbiałam zaszyć się w tej dziurze, trochę pomarzyć, pobujać w obłokach, albo po prostu, siedząc w cieniu, obserwować panujący tutaj w południe nieznośny żar.

Moi dziadkowie mieli krowy, kozy i kury, które czasami wyganiałam na łąki. W mikroskopijnej zagrodzie koło domu stały tylko nocą, na dzień zawsze je wypędzano na pole. Moja rodzina sama zajmowała się ubojem zwierząt i handlowała mięsem, skórami i tym wszystkim z krowy, co mogło się do czegośkolwiek przydać. W gospodarstwie był nawet pies i kot, do których ja rościłam sobie prawa. Pozwalało mi na to, bo psy i koty nie miały dla nikogo specjalnej wartości. Tak więc z czystym sumieniem mogłam powiedzieć, że to był mój pies i mój kot. Dawało mi to poczucie niezwykłego szczęścia. Po raz pierwszy w życiu mogłam decydować o czymś losie.

Nawet kiedy pokłóciłam się z rodzeństwem - choć w rzeczywi-

stości nie byli to oczywiście moi bracia i siostry, lecz moi wujkowie, ciocie, kuzyni i kuzynki - nawet wtedy nie musiały się martwić, bo na ulicy było pełno dzieciaków, do których w każdej chwili mogłam się przyłączyć, żeby z nimi poszaleć i wymyślać nowe zabawy. To był nie tylko pozór raj, to był prawdziwy raj.

Czas spędzony u dziadków był najpiękniejszym okresem mojego dzieciństwa, a może nawet najpiękniejszym okresem w moim życiu. Od samego początku miałam poczucie bezpieczeństwa, pewności i oparcia, jakiego nie miałam już nigdy potem. Przy tym aklimatyzacja w rodzinie, przynajmniej na początku, przysporzyła mi także sporo problemów. Ale to były problemy, z którymi chętnie się zmierzyłam. Na przykład w szkole, do której mnie już wtedy posłano, miałam duże trudności. Polegało to na tym, że już prawie nie rozumiałam mowy tigrinia i słów mojego ojczystego języka, których zapomniałam w czasie pobytu u włoskich zakonnice, musiały z trudem uczyć się ich na nowo. W klasie uchodziłam dlatego za dziwaczkę i dopiero musiały wywalczyć sobie pozycję w szkole.

Nie byłam także przyzwyczajona do tutejszego jedzenia. Tutaj wszyscy jedli palcami, a nie widelcami i łyżkami, jak nas uczyły włoskie zakonnice. Nie było sera, białego chleba ani jajek, tylko endżera. Endżera na śniadanie, endżera na obiad, endżera na kolację - o ile były trzy posiłki dziennie; często jadało się tylko dwa razy w ciągu dnia. Endżera to podstawowe pożywienie w Erytrei: cienkie, miękkie, o kwaskowatym smaku placki z mąki i wody, polewane sosem. Po sosie można się od razu zorientować, czy rodzina ma pieniądze. U biednych sos to tylko kilka rozgotowanych pomidorów albo trochę warzywnej papki. Jeżeli pieniędzy jest więcej, w sosie pływają kawałki mięsa, cebula, pokrojone warzywa albo wręcz jajka czy kurze udka. U nas zdarzały się wszystkie możliwe sosy, chociaż nie zawsze z mięsem. Ale wszystkie były ostre! Tak ostre, jak się je wszędzie w Afryce - ale ja u sióstr już byłam przyzwyczajona do kuchni europejskiej.

Endżerę jadło się, siedząc wokół okrągłej tacy, i każdy urywał kawałek placka, nabierał nim trochę sosu albo kawałki mięsa i jadł, zawsze posługując się tylko rękami. Ku wielkiemu rozbawieniu innych dzieci, a także dorosłych, moja ręka zawsze wzdrygała się przy ustach, bo wszystko było dla mnie za ostre. Wstydziałam się i możliwie szybko, niepostrzeżenie zmieniałam dłoń, którą jadłam, myśląc, że ostry smak

pochodzi z dłoni, a nie z potrawy. Na początku kilka razy wpadłam w popłoch, bo jedzenie z drugiej ręki też było piekielnie ostre. Potem dokładnie obejrzałam swoje dłonie, czy przypadkiem na nich nie było czegoś ostrego. Nie mogłam po prostu wstać, wyjść i umyć rąk, bo nie wypadało wstawać w czasie jedzenia, a ręce myło się dopiero po skończonym posiłku. Z czasem nauczyłam się nabierać mniej sosu, i przyzwyczaiałam się do ostrych przypraw. Musiałam sprawiać wrażenie Europejki, która po raz pierwszy je prawdziwe afrykańskie potrawy.

Chrzest

U moich dziadków bynajmniej nie żyło się po chłopsku, nawet jeżeli oni sami byli chłopami mieszkającymi w sercu miasta. Było zupełnie inaczej niż w jakiejś wsi, gdzieś w górach, gdzie ludzie znali tylko swoje zwierzęta, gospodarza, księdza i najbliższych sąsiadów. Moi dziadkowie byli ludźmi wykształconymi, koptyjskimi chrześcijanami. Mówili nie tylko językiem tigrinia, znali także hebrajski. Matka mojej babki była wychowana w wierze żydowskiej - zwyczajnie żydowskie, podobnie jak chrześcijaństwo, kilka tysięcy lat temu sprowadzili do Etiopii kupcy przybywający zza Morza Czerwonego. Obchodziliśmy nie tylko święta chrześcijańskie, lecz także hanukę, a ja nauczyłam się od babki kilku hebrajskich słów. Wkrótce po moim przybyciu obydwójce dziadkowie postanowili, że trzeba mnie ochrzcić - o tym jakoś nikt dotychczas nie pomyślał, nawet katolickie zakonnice. Może sądziły, że jestem już ochrzczona.

Ponieważ dziadkowie bardzo dbali o opinię, nie chcieli ochrzcić mnie byle gdzie, lecz w centrum chrześcijaństwa, w Jerozolimie. Koptowie w Etiopii i Erytrei od dawna mieli w zwyczaju branie tam chrztu, ale wiele osób nie mogło sobie pozwolić na podróż do Ziemi Świętej. Kto jednak został ochrzczony w Jerozolimie, przez całe życie jest z tego dumny - tak samo jak ja.

W Etiopii chrześcijanie pojawili się o wiele dawniej niż, na przykład, w Europie Środkowej. Chrześcijaństwo przynieśli tutaj syryjscy kupcy wkrótce po śmierci Jezusa. Było ono w Etiopii religią państwową już w trzecim lub w czwartym wieku - w okresie, kiedy w Niemczech

pogańscy Germanie tańczyli jeszcze wokół ogniska. Dlatego Etiopia jako jedyny kraj Afryki tylko przez kilka lat znajdowała się pod okupacją faszystowskich Włoch, nigdy jednak nie stała się prawdziwą europejską kolonią*. Europejczycy, którzy tutaj dotarli, musieli się nielicho zdziwić, gdy zamiast czarnych dzikusów zastali liczące kilka wieków kościoły, wyświęconych księży i oddanych wierze chrześcijan. Nie mogli uważać Etiopczyków za podludzi, których trzeba szybko zamienić w niewolników i nawrócić, żeby umożliwić im wieczne życie w królestwie niebieskim. O tym wszystkim z dumą opowiedział mi mój dziadek. On sprawił, że poczułam wówczas tę więź z Bogiem, którą odczuwam do dziś.

Moi dziadkowie, którzy już wielokrotnie jeździli do Jerozolimy z własnymi dziećmi, raz jeszcze udali się w daleką podróż ze mną. Była głęboka noc, kiedy wsiedliśmy na statek w wielkim erytrejskim mieście portowym Massaua. Popłynęliśmy kilka tysięcy mil morskich na północ, Morzem Czerwonym, zostawiając za sobą wybrzeża Sudanu i Egiptu. Poprzednią noc spędziliśmy w autobusie z Asmary do Massauy, setkami serpentyn zjeżdżając w dół ku morzu, gdyż różnica wysokości między tymi miastami wynosi prawie dwa i pół tysiąca metrów. Kiedy dobiliśmy do portu przeznaczenia, znów wsiedliśmy do autobusu, który, przecinając półwysep Synaj, zawiózł nas do Jerozolimy. W Jerozolimie dziadkowie wybrali dla mnie imię „Senait”, co w języku tigrinia oznacza „Synaj” - nazwa półwyspu między Egiptem a Izraelem.

Od teraz nazywałam się więc Senait, tak jak góra, na której objawiono Dziesięcioro Przykazań. W Erytrei jest to popularne imię dla dziewczynek. Senait oznacza „miejsce pokoju”, albo „pokój”, a ten był wówczas naszemu krajowi pilnie potrzebny. Wojna wyzwolenicza Erytrejczyków przeciwko Etiopii trwała już ponad dwadzieścia lat, po obydwóch stronach zginęło tysiące ludzi, dużo miast, przede wszystkim w Erytrei, zostało poważnie zniszczonych, szerokie pasy ziemi zaminowano i nie można było na nie wejść, a ciągle jeszcze nie było widać jej końca. Było wiele powodów, żeby dać dziecku na imię „pokój”.

* Penetracja Włoch w tym obszarze daruje się od 1882 roku. W 1935 roku Erytrea stanowiła bazę włoskiej agresji na Etiopię (przyp. red.).

Moi dziadkowie bardzo poważnie traktowali swój apel o pokój. Byli, jak większość członków mojej rodziny, głęboko wierzącymi chrześcijanami. Nauczyłam się wtedy wierzyć w Boga. Czasami czytaliśmy Biblię, a w kościele słuchałam opowieści o Jezusie i Marii.

Z podróży do Jerozolimy wróciłam śmiertelnie zmęczona, ale pojawiałam się w szkole z piersią przepełnioną dumą. Od tego dnia koledzy z klasy wyraźnie zaczęli się odnosić do mnie z większym szacunkiem. To miało dla mnie duże znaczenie, bo teraz, tak jak i przedtem, wcale nie było mi łatwo w szkole. Bardzo powoli poprawiała się moja znajomość języka tigrinia. Ciągłe jeszcze nie rozumiałam wielu rzeczy z tego, co mówiła nauczycielka albo koledzy z klasy. Poza tym jestem leworęczna, a nauczyciele wymagali, żebym nauczyła się wszystkiego od nowa. Kazano mi prawą ręką pisać, rysować i wykonywać wszystkie ręczne robótki, jak szycie i wyszywanie. To było dla mnie najtrudniejsze: igła w prawej, materiał w lewej ręce. Zupełnie mi to nie wychodziło.

Na dodatek nauczyciele w szkole pędzili z programem. Jako pięcioletki mieliśmy lekcje w języku tigrinia i po angielsku, zaczęliśmy już ułamki i geografię, uczyliśmy się różnych rzeczy na pamięć, mieliśmy muzykę. Wszystko to wkładano nam do głów w niewiarygodnym tempie. W Afryce wiedza jest luksusem, którego zawsze brakuje, i dlatego skoro już jest, należy z niej zrobić właściwy użytek.

- Cieszcie się, że możecie się uczyć - powtarzała nam ciągle nauczycielka.

Lenistwo i nieróbstwo było nie do pomyślenia, ani dla nas, ani dla nauczycielki.

Na mnie nauczycielce zależało szczególnie, byłam dla niej wyzwaniem. Z wdzięczności codziennie odprowadzała mnie do domu, bo zawsze przynosiłam jej banany albo inne drobne prezenty, które dawali mi dla niej dziadkowie. Już oni wiedzieli, co zrobić, żeby zapewnić swojej wnuczce najlepszy start. Mimo to nauczycielka niemal codziennie się na mnie skarżyła:

- To jest potwór, a nie dziecko - to zdanie dziś jeszcze brzmi mi w uszach.

Byłam dzikim dzieckiem, które nie potrafiło usiedzieć na miejscu, przeszkadzało innym i bez przerwy zadawało pytania, na które nauczycielka nie potrafiła odpowiedzieć.

Byłam buntowniczką, trąbą powietrzną, najżywszym dzieckiem w klasie i w całej okolicy. Tłukłam nawet chłopców na mojej ulicy. Dziewczynkom nie wolno było bić innych dziewczynek, ale to, że mogłyby bić chłopców, było czymś tak niewiarygodnym, że nawet zabrakło tego na liście zakazów.

Na naszej ulicy mieszkał niejaki Martin. Był bardzo gruby i na niego uwzięłam się szczególnie. Z upodobaniem goniłam za nim po okolicy, bo nie lubiłam grubych dzieci.

- Schudnij, schudnij! - wrzeszczałam, biegnąc za nim.

Chyba doprowadzałam go do rozpacz. Raz go kochałam i pytałam, czy się ze mną ożeni, potem znów go tłukłam. Strasznie mnie drażniło to, że był taki gruby. Jak można tyle żreć, myślałam.

Denerwowało to moją babcię.

- Senait znów ma ten błysk w oczach - mówiła. - Uważajcie na nią! Ale nie skrzywdźcie jej, ona nie jest zła.

To była prawda, byłam tylko spontaniczna i szczerą: kiedy kogoś lubiłam, mówiłam mu to otwarcie. Kiedy nie lubiłam, mówiłam to również bez ogródek.

Moja szczerłość za bardzo zaszła za skórę niektórym dorosłym. Babcia nigdy mnie za to nie karała, dostawałam najwyżej dwa albo trzy klapsy w pupę. To nie była jednak prawdziwa kara, bo nie bolało. Prawdziwą karą były baty, dopóki nie wystąpiły błękitne plamy i nie dało się już siedzieć na pupie z powodu siniaków i krwawych wylewów.

Babcia wprowadzie zawsze mówiła:

- Tak, oczywiście, ukarzę ją - ale nigdy tego nie robiła. Miałam z nią szczęście! Dlatego byłam taka bezczelna, bo wiedziałam, że nie mi się nie stanie.

Mieliśmy pewną niedobłą sąsiadkę. My, dzieci mówiliśmy na nią „Haregu”, co oznacza tyle, co „żuk gnojak”, i tak właśnie wyglądała. Była stara, pokręcona, skąpa i głupia. Haregu nie cierpiała dzieci, a ja nie cierpiałam Haregu. Często wykorzystywałam jej kiepski wzrok. Dzieci lubiły ją straszyć, a potem chowały się tak, żeby nie mogła nas zobaczyć. Haregu często skarżyła się mojej babci.

- Och, to nie dziecko, to potwór! - narzekała.

Babcia obiecywała jej, że mnie ukarze, ale kiedy tylko znalazłyśmy się w domu, zawsze mnie chwaliła.

- Dobra robota, dobra robota! - mówiła, i klepała mnie po plecach.

Mięso

Popełniałam wtedy masę głupstw. Była na przykład historia z wypranym mięsem. Wiedziałam, że babcia gotowała naszą bieliznę, dosypując do niej proszku do prania. Nie było pralki, brudną bieliznę wkładało się po prostu do kotła razem ze środkiem piorącym, kocioł stawiało się na ogniu, potem kilka razy mieszało gotującą się wodę i główny proces był zakończony. Pewnego razu babcia do tego samego garnka, w którym normalnie prała bieliznę, włożyła mięso. Nie mieliśmy zbyt wielu garnków, misek czy innych pojemników, lecz tylko trzy lub cztery, więc musiały służyć do najrozmaitszych celów.

Kiedy wieczorem wałęsałam się po podwórzu, zobaczyłam garnek z mięsem moczącym się w jakiejś cieczy, pewnie w czymś w rodzaju zalewy. Pomyślałam sobie, że dobrze by było trochę to mięso umyć, wsypałam więc do garnka dobrą garść proszku do prania i kilka razy mocno zamieszałam. Jak pięknie zaczęło się od razu pieniść!

Następnego ranka rozpętało się piekło - z okrzykiem wściekłości babcia wpadła do kuchni, która była jednocześnie pokojem mieszkalnym i sypialnią dzieci, i ryknęła na mnie bardzo zagniewana. Musiała się domyślać, że to mogła być tylko moja sprawa.

- O co chodzi? - zapytałam z niewinną minką. - Przecież zawsze wszystko pierzesz. Chciałam ci tylko pomóc i wyprać mięso.

Rzeczywiście tak myślałam. Wprawdzie i mnie sprawa ze środkiem do prania i mięsem wydała się trochę podejrzana, ale nigdy by mi nie przyszło do głowy, że cenne mięso zostało w ten sposób zmarnowane. Mięso ze świeżo ubitej krowy to najcenniejsza rzecz w każdym afrykańskim gospodarstwie. W każdej innej rodzinie zbito by mnie za to na kwaśne jabłko, ale ja nie pamiętam już, jaką mi wymierzono karę. Zdaje się, że nie była taka straszna.

To, że postanowiłam nigdy już nie jeść mięsa nie miało jednak nic wspólnego z tym wydarzeniem. Na moją decyzję wpłynęło to, że pewnego razu musiałam patrzeć, jak zabijano kurę. To była najzwyklejsza sprawa pod słońcem, wszyscy sami zarzynali kury, podobnie

jak kozy, owce lub krowy, jeżeli jakieś mieli. Kto nie miał własnych kur, ten kupował je na targu, zawsze żywe, żeby je zarznąć w razie potrzeby. Nie było lodówek, a tylko żywe zwierzęta można przewozić i przechowywać bez zamrażania.

Moi dziadkowie mieli własne kury. Pewnego razu dziadek zawołał mnie, żebym popatrzyła, jak je zarzyna, bo powinnam wiedzieć, jak to się robi. Nigdy by mi nie pozwolono wykonać tego samej - w Erytrei jest to zajęcie zastrzeżone dla mężczyzn. Kobiety uchodzą za nieczyste, więc nikt nie jadłby zwierzęcia zabitego przez kobietę. Kobiety miały prawo wykonywać wszystkie czynności po zabiciu kury: oskubać ją z pierza, myć, patroszyć, ściągać z niej skórę, dzielić, gotować. Kobiety robiły po prostu wszystko, z wyjątkiem zabijania. Czasami myślałam sobie, że mężczyźni dobrze się urządzili, dzieląc pracę zgodnie z własnymi upodobaniami: oni mieli do czynienia z kurą jakieś trzydzieści sekund, a kobiety trzy godziny. Czy nie to jest prawdziwym powodem takiego podziału pracy?

Dziadek wyciągnął więc mnie na podwórko, żebym się przyjrzała temu, co robi. Pozostałe dzieci już się zebrały, bo lubiły asystować przy zarzynaniu kur. Tylko ja nie chciałam, i dlatego właśnie dziadek kazał mi przyjść. Tym razem nic nie pomogło, musiałam zostać i patrzeć.

Dziadek był profesjonalistą w zarzynaniu kur, miał zapewne na sumieniu kilkaset sztuk drobiu. Rutynowo złapał kurę za nogi, odwrócił łbem do dołu i ułożył na kamieniu. Przycisnął ptaka dłonią, żeby ostrym nożem przeciąć mu szyję. Cięcie wyglądało na lekkie, tak jak gdyby przeciągnął nożem przez pomidor. Trysnęła krew, kadłub kury zaczął się dziko trzepotać, dzieci wrzeszczały zachwycone, a ja schowałam twarz w dłoniach i wybuchłam nieopanowanym szlochem.

W tej właśnie chwili postanowiłam już nigdy w życiu nie jeść mięsa. Do dziś dotrzymałam tej obietnicy.

Dziadek był zagniewany, że zachowałam się tak głupio. Przykrył kurzy kadłub czerwoną plastikową miską, czekając, aż przestanie podrygiwać, a także dla zabezpieczenia przed kurzem i przed naszym psem, który już pożądliwie spoglądał w tę stronę. Ale jeszcze nim nieboszczka kura zniknęła z moich oczu, zrozumiałam, że nie zjem z niej ani kawałka. Ani kęsa!

Tak też się stało, ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, którzy

uznali, że zwariowałam. Nie jeść mięsa, które i tak pojawiało się bardzo rzadko, i które uchodziło za najcenniejszy, najbardziej pożądaný delikates! Ona musiała chyba oszaleć. Minęły miesiące, nim moi krewni przyzwyczaili się do tego, że nie jadam żadnego mięsa. Byłam zapewne jedyną wegetarianką w Erytrei - każdy, komu moi dziadkowie o tym opowiadali, kiwał ze zmieszaniem głową Tylko babka trochę mnie rozumiała, ale i ona, kiedy było mięso, proponowała mi kawałek. Nic to jednak nie pomogło, pozostałam wierna mojemu postanowieniu.

Wkrótce jednak na długi czas nikt już nie miał proponować mi mięsa. Już wkrótce miałam być szczęśliwa, jeżeli w ogóle będę miała coś do jedzenia.

Pytania

Gdyby chodziło o mnie, mogłabym tak mieszkać u dziadków przez całą wieczność. Ani ja, ani oni nie odczuwaliby braku mojego ojca. Po tych wszystkich historiach z opuszczaniem kobiet i dzieci mój ojciec nie był szczególnie mile widziany.

On sam nic o tym wszystkim nie wiedział. Wiedział wprawdzie, że Mbrat wyciągnęła mnie z sierocińca, ale to zdawało się dla niego załatwiać sprawę. Nigdy nie przyjechał, żeby nas odwiedzić. Mimo to widocznie jego znajomi czynili mu wyrzuty, że wypchnął do dziadków jedną ze swoich córek.

Ciągle jeszcze mówiono o mnie w Erytrei „dziewczynka z walizki”. Sąsiedzi moich dziadków znali tę historię, znali ją wszyscy - wszyscy, z wyjątkiem mnie. Ja nie rozumiałam, o co chodzi, kiedy inne dzieci krzyczały za mną „Senait, dziecko z walizki!”. Myślałam zawsze, że to głupi żart albo jakiś wymyślony przez kogoś dowcip. Dziadkowie nic mi nie powiedzieli o mojej przeszłości. Babka zawsze tylko powtarzała, żebym się nie przejmowała wrzaskami dzieci, bo one nie wiedzą, co mówią. Uważała zapewne, że ja bym tego nie zrozumiała, i miała rację, tak było lepiej.

Kiedy mieszkałam u dziadków, zawsze nazywałam „mamą” ciotkę Mbrat, która też mieszkała z nami w ich domu. Oprócz mnie Mbrat miała jeszcze dwie inne córki, z których starsza miała na imię Senait, a młodsza Frehiwet. Obydwie były ode mnie starsze, ale tylko Frehiwet mieszkała jeszcze z nami. Starsza, Senait, już się wyprowadziła, kiedy ja weszłam do rodziny, młodsza została teraz moją siostrą. Pewnego razu powiedziała:

- Wiesz, Senait, że masz jeszcze jedną siostrę, która też ma na imię Senait?

To dało mi do myślenia. Zapytałam więc Mbrat:

- Mamo, dlaczego dwie twoje córki mają na imię Senait? Skąd mamy wiedzieć, o którą chodzi, kiedy nas wołasz?

Nie udzieliła mi poważnej odpowiedzi, wykręciła się tylko żartem:

- Zawsze uważałam, że to bardzo ładne imię.

Przecież na pewno nie dałaby mi też na imię Senait, gdybym była jej dzieckiem.

Jej odpowiedź zabrzmiała wprawdzie dla mnie nielogicznie, ale przyjąłam ją do wiadomości już chociażby dlatego, że chciałam ją przyjąć. Potrzebna mi była jakaś dająca się zaakceptować odpowiedź, żeby nie musiała zadawać dalszych pytań.

Żołnierze

W ciągu tego roku, jaki spędziłam w małym, zdrowym świecie u moich dziadków, świat dorosłych za murem mojego raju nie zmienił się na lepsze: wojna między Erytrejczykami a Etiopią stawała się coraz krwawsza i Erytrejczykom groziła ostateczna przegrana, gdyż obydwa erytrejskie ugrupowania niepodległościowe ELF (Eritrean Liberation Front - Front Wyzwolenia Erytrei) i EPLF (Eritrean People's Liberation Front - Ludowy Front Wyzwolenia Erytrei) odnosiły się do siebie z coraz większą wrogością i otwarcie się zwalczały, zamiast walczyć ze wspólnym wrogiem. Ogromnie zadowolony z powodu braku zgody wśród przeciwników etiopski dyktator Hajle Mengystu zacierał ręce i czuł się już bliski zwycięstwa. Prawie wszystkie większe miasta znajdowały się pod kontrolą rządowych sił etiopskich i powstańcy musieli się wycofać w górskie bezdroża lub w malaryczne okolice na zachodzie kraju, blisko granicy z Sudanem.

Erytrejczyków szykanowano. Do domu moich dziadków ciągle przychodzili etiopscy żołnierze. To nie były zwyczajne odwiedziny czy nawet rewizje, ale grabieże. Żołnierze łomotali do drzwi o każdej porze dnia i nocy. Zabierali, co im się podobało, a raz nawet podpálili dom i moi dziadkowie z trudem tylko zdołali ugasić ogień. Zapew-

niali wprawdzie za każdym razem żołnierzy, że nie mają schowanej broni ani nie udzielają schronienia buntownikom, ale mężczyźni w mundurach im nie wierzyli. Albo dostali rozkaz, że mają im nie wierzyć. Dla nas wychodziło to na jedno: regularnie powtarzające się prześladowania.

Byłam już dosyć duża, żeby rozumieć, że to nie jest zabawa, ale gorzka rzeczywistość. Ci mężczyźni w mundurach byli kimś specjalnym. Mieli większą władzę niż moi dziadkowie, wujek i ciotki, o mnie już nie wspominając.

W Asmarze obowiązywała ścisła godzina policyjna. Co wieczór z koszar wytaczały się czołgi i zajmowały wszystkie ważne skrzyżowania w mieście. Chodziły patrole, ciągle było słychać jakieś strzały karabinowe. Każdy, kogo żołnierze spotkali na ulicy po ósmej wieczorem, musiał się liczyć z natychmiastowym aresztowaniem - o ile żołnierze nie załatwiali sprawy szybciej i „w obronie własnej” na miejscu go nie zastrzelili. Kobiety gwałcono, dzieci maltretowano - to były „uboczne skutki” wojny, prowadzonej na terenach zamieszkałych, w miastach i wsiach. Ciągłe dopytywałam się o to, co się dzieje tam na zewnątrz, ale nie otrzymywałam odpowiedzi.

Pewnego dnia sama spróbowałam się przekonać, jaki jest ten świat po drugiej stronie otaczającego nasz dom ochronnego muru - nieświadoma tego, jak okrutny i nieprzyjazny potrafi on być nawet dla małej dziewczynki. O zmroku, kiedy wszyscy schodzili się do domu, a my, dzieci, od dawna już powinniśmy tam być, wdrapałam się na stertę kamieni i przeskoczyłam przez mur opasujący podwórze. Wymknęłam się z naszego zaułka na główną ulicę, potem poszłam kawałek pod górę, do miejsca, gdzie znajdował się wojskowy posterunek. Wzięłam w prezencie dla żołnierzy coś do jedzenia. Wyobrażałam sobie, że ci mężczyźni mieszkający w barakach, namiotach i nędznych szopach są tak biedni, że nie mają co jeść. Tymczasem było dokładnie odwrotnie: grabieże i konfiskaty artykułów spożywczych i bydła sprawiały, że żołnierzom działało się o wiele lepiej niż ludności cywilnej, całkowicie zdanej na ich samowolę.

Coś mnie do nich ciągnęło. W przeciwieństwie do wszystkich dorosłych i innych dzieci, nie uważałam, żeby byli groźni. Nie dlatego, że byłam odważna, raczej uważam się za tchórzliwą. Zawsze, kiedy wyłaniał się jakiś problem, czmychałam za najbliższy róg tak szybko

jak się tylko dało. Po prostu nie miałam pojęcia o tym, kim byli i co robili żołnierze.

Dorośli wiedzieli i dlatego trzymali się od nich z daleka. Wiedzieli, że w czasie wojny nie istnieje słuszność i nie istnieje prawo. Wiedzieli, że dla tych niedokształconych, agresywnych, wygłodniałych, znarkotyzowanych lub pijanych wojaków zabicie kogoś, kto im wszedł w drogę, nie stanowiło najmniejszego problemu. Ktoś taki ich denerwował. Bali się go. Nie mogli się po nim spodziewać niczego dobrego. Dorośli wiedzieli, że żołnierze myślą w ten sposób, bo dokładnie tak samo rozumują ich wrogowie: najpierw strzelać, zapytać można ewentualnie potem. Ten, który zapyta pierwszy, może już potem nie móc niczego wyjaśnić, bo od dawna nie żyje. Toteż dorośli wielkim łukiem obchodzili każdą z tych smętnych postaci w obszarpanym mundurze i odciągali mnie, kiedy próbowałam się zbliżyć do tych dziwnych istot. To dopiero naprawdę pobudziło moją ciekawość.

Dla mnie żołnierze byli ludźmi interesującymi. Wyglądali wprawdzie tak samo jak my, ale mogli o wiele więcej. Prawie wszyscy byli jeszcze młodzi. Nam, dzieciom, już czternasto- lub piętnastolatek wydawał się dorosły. Dwudziestoletnia kobieta była już kobietą w średnim wieku i miała jedno, dwoje lub troje dzieci. W tym wieku było to zupełnie normalne. Szkolenie wojskowe obejmowało przeważnie już jedenastoletnich chłopców, a kiedy kończyli czternaście lat, ubierano ich w normalne mundury i wysyłano w regularnych oddziałach na front. Ci, którzy okupowali Asmarę, byli nieco starsi, bo tak było i jest do dzisiaj we wszystkich afrykańskich wojnach: młodzi entuzjaści spalają się na froncie, mniej niebezpieczną służbę na już zajętych terenach albo na tyłach przejmują starsi. Prawdziwa wojna to nie jest zabawa dla dzieci, ale to dzieci musiały ponosić jej konsekwencje.

Chciałam zobaczyć, co robią żołnierze na tym placu na górze, chciałam się przekonać, jacy oni są. Kiedy większość ludzi w pośpiechu podążała do domów, żeby zdążyć na czas, ja cichaczem pomknęłam główną ulicą w górę, niosąc żołnierzom trochę endżery, kaczan kuku rydzy i parę *owoców* z sadu. Nie mogłam wziąć dużo, bo ktoś w domu mógłby to zauważyć. Nie byliśmy tacy bogaci, żeby móc rozdawać jedzenie.

Kiedy żołnierze pozwolili mi podejść do swoich umocnień, powstał wielki szum. Wojsko zbudowało prowizoryczne barykady,

z których widać było dokładnie całą główną ulicę, od centrum miasta aż do góry, do Maitemenai. Siedzieliśmy sobie razem za tą barykadą, żołnierze gawędzili ze mną, pokazywali mi swoją broń i pozwalali obserwować okolice przez specjalne otwory. Niespodziewana wizyta małej dziewczynki, która przyszła z nimi porozmawiać, a na dodatek jeszcze przyniosła im trochę smakołyków, to było dla tych ludzi ogromne zaskoczenie.

Zachęcona tak sympatycznym przyjęciem za pierwszym razem, potem jeszcze kilkakrotnie wymykałam się do żołnierzy. Zawsze odnosili się do mnie bardzo przyjaźnie. Pewnego razu, kiedy zagadaliśmy się i zrobiło się już ciemno, dwóch czy trzech wojaków odprowadziło mnie do domu, bo ze względu na godzinę policyjną nie wolno mi było znajdować się o tej porze samej na ulicy. Ze strachu przed czatującymi w zaroślach snajperami nawet żołnierze nigdy nie wychodzili na ulicę w pojedynkę. Patrząc wstecz, myślę, że wykazali sporą lekkomyślność, okazując mi zaufanie i wchodząc ze mną w ciemną, boczną uliczkę. Jakże łatwo mogłabym ich zwabić w zasadzkę!

Babcia szalała z radości, gdy żołnierze przyprowadzili mnie do domu. Była przerażona, kiedy nie wróciłam po zapadnięciu ciemności. Teraz wpadła z kolei w popłoch, bojąc się, że żołnierze przyłapali mnie na jakiejś głupocie, i mnie albo rodzinie zrobią coś złego. Zalała się łzami, złączyła dłonie nad głową, padła przed nimi na kolana i zaczęła błagać:

- Nie róbcie jej nic złego, to przecież jeszcze dziecko! Proszę, nie róbcie jej nic złego!

Żołnierze przywykli do tego, że budzą strach i przerażenie. Wprawdzie znajdowali się w Etiopii, ale jednak we wrogim kraju, gdyż mieszkańcy prowincji Erytrea byli zdecydowanymi zwolennikami jej niepodległości i uważali etiopskich żołnierzy za zniechędzonych okupantów, nawet jeżeli czasami pochodzili z tego samego plemienia co oni.

Ci żołnierze byli jednak bardzo sympatyczni.

- Nie zamierzamy robić jej nic złego - uspokajali babkę - uspokój się, stara. Nie wrzeszcz. Jeżeli ktoś nas tutaj zobaczy, trafimy do więzienia. Powinniśmy pilnować swoich posterunków. Ale ta mała zawsze przynosi nam coś do jedzenia i chcieliśmy za to podziękować. Powiedz jej, że nie powinna więcej przychodzić, bo to nie jest bezpieczne ani dla ciebie, ani dla niej.

Babcia, zalewając się łzami, przysięgła, że nigdy więcej nie wypuści mnie wieczorem z domu. Ta scena z żołnierzami w naszym domu zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Po ich wyjściu babcia powiedziała tylko:

- Jeżeli cię gdzieś złapią, a jeszcze będzie przy tym jakiś niechętny dowódca, zabiją cię. Po prostu cię zastrzelą.

Po tym wydarzeniu nie poszłam już nigdy więcej do żołnierzy i wieczorami siedziałam w domu. Naprawdę się przestraszyłam.

Tej nocy miałam wyrazisty i bardzo osobliwy sen: był Nowy Rok i żołnierze załomotali do drzwi naszego domu. Tym razem jednak nie przyszli po to, żeby szukać mojego ojca, ale żeby zabić babcię. Wrzeszczeli, że chcą ją zabić. Ja krzyczałam na nich w panice:

- Nikt nie będzie zabijać mojej babci! Ukryję ją!

Obudziłam się zlaną potem i pobiegłam z płaczem do sąsiedniego pokoju do babci, żeby opowiedzieć jej o tym śnie. Wzięła mnie do łóżka, ale nie zdołała uspokoić.

Następnego dnia zainscenizowałyśmy ten sen. Nalegałam, żeby schowała się gdzieś w domu, a ja będę jej szukać. Uważając, że nie schowała się dosyć dobrze, powiedziałam:

- Tutaj cię znajdą - i zaczęłam szukać dla niej lepszego ukrycia. Wcisnęłam ją nawet do szafy. Ale wyciągnęłam z powrotem, mówiąc: - Nie, nie tutaj, lepiej w pokoju mieszkalnym! - i zabawa trwała dalej, a potem na podwórku, w spiżarni i we wszystkich innych pomieszczeniach, w końcu przegoniłam nieszczęsną babcię przez cały dom.

Zbyt wielu potencjalnych kryjówek w nim nie było, bo dom był mały, pozbawiony rozmaitych zakamarków i szaf, w których można by się było schować. Włócząc jednak babcię po całym domu, sama pozbyłam się strachu. To było charakterystyczne dla mojej babki, że włączyła się w tę zabawę. Nikt, z kim miałam wcześniej lub później do czynienia jako dziecko, nie umiał tak wspaniale nawiązać kontaktu z dziećmi jak ona.

U ojca

1 ierszą oznaką tego, że kończy się cudowne życie w domu dziadków było stwierdzenie babci:

- Senait, powinnaś poznać swojego ojca.

Zamiast się ucieszyć, przestraszyłam się. Ojciec nic mnie nie obchodził. Miałam przecież dziadka i babcię, mieszkałam razem z Mbrat, moją mamą, za którą jeszcze ciągle ją uważałam. Z ojcem miałam tylko nieprzyjemne skojarzenia: z żołnierzami, którzy, szukając go bez przerwy, przewracali nasz dom do góry nogami. Z przykrymi pytaniami innych dzieci o to, kim jest mój ojciec i gdzie on jest. Od czasu do czasu ogarniało mnie nieprzyjemne uczucie, kiedy myślałam o tym, że Mbrat wyciągnęła mnie z sierocińca, ale mój ojciec najwyraźniej nie kiwnął nawet palcem w tym celu.

W żadnym razie nie chciałam mieszkać z ojcem, tylko z matką i dziadkami, i to na zawsze. Jeszcze tego samego wieczoru powiedziałam więc babci, że nie chcę spotkać się z ojcem. Babcia była szczerze zdumiona:

- Tak? A dlaczego?

- Nie lubię go.

- Przecież go nie znasz.

- Ale i tak go nie lubię!

- Ale dlaczego? Powiedz mi przynajmniej, dlaczego!

- To idzie stąd - odparłam, pokazując na brzuch. Gdzieś z głębi, z samego środka brała się ta niechęć. Nie lubiłam go, wcale nie znając.

Przez kilka najbliższych dni babcia nie poruszała ze mną tego

tematu, ale nagle pojechała gdzieś Mbrat. Jak strzała wybiegłam pędem z domu, przeleciałam przez podwórko. W górę i w dół ulicą, ale Mbrat nigdzie nie było widać. Pytałam wszystkich, czy jej nie widzieli, ale było tak, jak gdyby ziemia ją pochłonęła. Nikt nie umiał mi powiedzieć, dokąd poszła. A przecież w normalnych warunkach nikt nie wyjeżdżał. Nikt nie jeździł na urlop, nikt nie pracował gdzie indziej, nikt nie odwiedzał mieszkających daleko krewnych. Jedyną podróżą, jaką mogłam sobie przypomnieć, był wyjazd do Jerozolimy na mój chrzest. Mbrat dawno była już ochrzczona - a przecież zniknęła.

Następnego dnia miałam wyjechać ja. Miała mnie odwiedzić moja cioteczna babka. Od razu domyśliłam się, dokąd jechałyśmy. Nie znałam wprawdzie celu podróży, ale nie miałam wątpliwości, że jedziemy do mojego ojca. Broniałam się rękami i nogami, płakałam, rozdzielałam naokoło razy, gorzko łkałam. Wszystko na próżno - dorośli podjęli jakąś decyzję, a ja nie miałam szans się przed nią obronić.

Odebrała mnie cioteczna babka, wsiadła ze mną do przepełnionego autobusu i wyruszyłyśmy w drogę najpierw do Keren, miasta w zachodniej Erytrei, a stamtąd dalej, do prowincji Berka. Nie była to wtedy bezpieczna droga, gdyż najbardziej zacięte walki między etiopskimi oddziałami rządowymi a erytrejskimi powstańcami toczyły się właśnie między innymi w prowincji Berka. Tylko główne drogi i kilka większych miast było w rękach wojsk rządowych, we wsiach więcej do powiedzenia mieli Erytrejczycy. Ciągłe okazywało się, że partyzanci zablokowali jakąś drogę, żeby dezorganizować ruch, albo zasadzić się na etiopskie oddziały. Zdarzały się także regularne ataki armii etiopskiej na cywilne urzędnicy, kiedy podejrzewano, że ukrywają się tam partyzanci. W tej wojnie żadna ze stron nie była przesadnie wrażliwa.

Jeżeli podróż mimo to uznałam za piękną, to tylko z jednego powodu: kiedy późnym wieczorem musiałyśmy przesiąść się do innego autobusu, moja towarzyszką podróży przeniosła mnie przez olbrzymi plac - wzięła na ręce i przeniosła. Myślała, że śpię, ale ja tylko udawałam, obserwując, co się dzieje. Wtedy stało się coś najlepszego, co mi się mogło przydarzyć: jakby ktoś przeniósł mnie przez życie. Doszłam wtedy do wniosku, że ta kobieta nie może być zła. Może mam jakąś szansę w domu mojego ojca. Może nie będę musiała zostać tam na zawsze. Może po krótkim pobycie pozwolą mi wrócić do dziadków.

Ojciec

Późnym wieczorem następnego dnia naszej podróży dotarliśmy do miejscowości, w której mieszkał ojciec. W Erytrei odległości przeważnie nie są zbyt wielkie, ale mimo to podróżowanie jest bardzo męczące. Może się okazać, że z powodu częstych przestojów i przesiadek, pęknięcia opony, jazdy przeładowanymi, z trudem wlokącymi się starymi autobusami, dwustukilometrowa podróż trwać będzie cały dzień.

Kiedy wreszcie śmiertelnie zmęczone weszliśmy do domu mojego ojca, zobaczyłam Mbrat, moją matkę. Nagle się odnalazła moja wyrodna matka, która opuściła mnie w biedzie. Miała wyrzuty sumienia i nie powitała mnie szczególnie serdecznie. Ja jednak szczęśliwa padłam jej w ramiona, a zaraz potem przedstawiono mnie kobiecie, która nazywała się Werhid i miała być moją nową matką.

Byłam oszołomiona, a oszołomienie jeszcze się pogłębiło, kiedy Mbrat przedstawiła mi chmarę mojego nowego rodzeństwa. Z trudem udało mi się połapać wśród tych wszystkich nowych krewnych: Werhid, moja macocha, została nową żoną mojego ojca, kiedy opuścił moją rodzoną matkę i swoją drugą żonę, Abrehet. Werhid miała czworo dzieci. Było tam jeszcze jedno dziecko jej siostry oraz Jaldijan i Cegehana, dwie córki mojego ojca i Abrehet. Te dwie przyrodnie siostry na długie lata miały zostać najbliższymi towarzyszkami mojego życia.

W tym momencie wszedł on, mój ojciec. Budził strach samym swoim wyglądem: ponury, wysoki, chudy i nerwowy. Z rysów twarzy był podobny do mnie. Przeżyłam szok, stając nagle oko w oko z człowiekiem, którego się bałam, ale który wywierał na mnie niemal magnetyczny wpływ. Nie tak wyobrażałam sobie ojca. Kiedy wszedł do pokoju, zeszywniałam. Nie chciałam się z nim przywitać i schowałam się w suknię Mbrat, ale ona popchnęła mnie w jego kierunku. Odwróciłam głowę, skuliłam się i nie odezwałam ani słowem. Od razu zapałaliśmy do siebie wzajemną niechęcią, bo od samego początku zademonstrowałam wobec ojca to, czego on najbardziej w swoim otoczeniu nie lubił: opór.

Opór wobec ojca narastał we mnie od pierwszej chwili. Może dlatego, że jestem tak samo nieustępliwa jak on. Może dlatego, że

jestem tak samo uparta i też dążę do kontrolowania sytuacji wokół siebie jak on, traktując nieufnie wszelkie próby ograniczania mojej wolności. Od razu zdałam sobie sprawę, że nie lubię tego człowieka. Czułam, że od tej pory moje życie będzie wyglądało zupełnie inaczej. Miałam takie poczucie, chociaż nie umiałabym określić, skąd się brało. Powiedziałam nawet do Mbrat:

- Mamo, czuję, że cię już nigdy więcej nie zobaczę. Pojedziesz sobie i już cię nigdy nie zobaczę.

Przerażona, zapewniała mnie:

- Dlaczego tak myślisz? Oczywiście, że się zobaczymy, przecież jestem przy tobie!

Dla pewności nie opuszczając jej wtedy ani na chwilę. Wtulałam się w jej spódnice, nie odstępowałam jej ani na krok, nawet kiedy wychodziła tylko do drugiego pokoju, i czepiałam się jej jak rzep, kiedy szła na skraj wioski za potrzebą.

Wkrótce wszyscy ułożyli się do snu na materacach i na podłodze, tylko ja nie spałam. Byłam straszliwie zmęczona, ale absolutnie przytomna, bo czułam, że moja ukochana mama może w każdej chwili zniknąć. Dwa dni temu, ni stąd, ni zowąd, w ciągu jednej nocy zniknęła z domu dziadków i w każdej chwili mogło się to powtórzyć także tutaj. Miałam poczucie wielkiego zagrożenia, dlatego ułożyłam się obok niej i uczepliłam z całej siły, objęłam tak mocno, jak tylko zdołałam, moimi o wiele za krótkimi i o wiele za słabymi rączkami. Rozluźniłam uścisk dopiero, kiedy zmógł mnie sen.

Obudził mnie pierwszy promień słońca. Natychmiast zerwałam się i zobaczyłam, że Mbrat zniknęła. Wiedziałam, że odeszła. Nie marnowałam czasu. Nawet się nie rozejrzałam po pokoju, żeby zobaczyć, czy przypadkiem nie leży gdzie indziej, między śpiącymi, lecz natychmiast wybiegłam przez podwórko na ulicę. Pognałam ulicą w szaleńczej nadziei, że zdołam jeszcze uchwycić jakiś jej ślad.

Wstawał posępny świt, było mgliście, w nocy mocno padało. Nigdzie nie było widać śladu mojej matki. Kilku wieśniaków szło po wodę, jakieś dzieci przeszły ulicą, poganiając kozy, i to było wszystko. Żadnego autobusu, samochodu, ani śladu matki.

Czyżbym się pomyliła? A może jednak jest jeszcze w domu?

Pobiegłam z powrotem do domu mojego ojca, żeby sprawdzić, czy jej tam nie ma - na próżno. Matka zniknęła.

Nie mogłam nawet płakać, w gardle utkwiała mi wielka gula. Tego ranka coś we mnie pękło. Nastąpiło jakieś głębokie przełamanie. Nie pamiętam, jak spędziłam resztę dnia. Nie wiem, co było później.

Nowe siostry

Następnego ranka pierwszym dźwiękiem, jaki do mnie dotarł, był głos mego ojca. Miał wysoki głos.

- Wstawajcie!

To było pierwsze zdanie mojego ojca, jakie zapamiętałam. Przestraszyłam się i jeszcze bardziej zwinęłam się na materacu. Serce waliło mi jak młotem. Wtedy weszła Jaldijan, moja nowa, równo o pięć lat ode mnie starsza siostra i coś do mnie zaszepotała. Początkowo byłam taka zdenerwowana, że nie zrozumiałam, co mówi.

- Chodź, trzeba iść po wodę - powtórzyła trochę głośniej.

Popatrzyłam na innych, na dzieci Werhid, mojej nowej macochy. Pokazałam na nie.

- Oni nie idą z nami?

Jaldijan pokiwała tylko głową i dała mi znak, żebym się wreszcie ruszyła.

- To należy do nas. Ojciec powiedział, że masz iść z nami.

Nie ustępowałam.

- A dlaczego oni nic nie robią? Dlaczego my musimy pracować?

Tymczasem wszedł do pokoju ojciec i niezauważony usłyszał naszą rozmowę. Dopiero kiedy poczułam pieczenie na twarzy i upadłam na podłogę, zdałam sobie sprawę z jego obecności. Wszystko stało się tak szybko, że nawet nie zauważyłam, jak mnie uderzył. To mnie nie zaskoczyło, spodziewałam się, że ojciec będzie mnie bił.

Wszyscy mężczyźni w Erytrei biją swoje dzieci, a od czasu do czasu bijają także swoje żony, które same z kolei od czasu do czasu biją swoje dzieci. To należy do wychowania, a wychowaniem jest wszystko, co służy temu, by dzieci siedziały cicho i były w przyszłości dobrymi pracownikami.

Od tej chwili sytuacja była jasna. Ojciec ujawnił się jako mój wróg i jasno dał mi do zrozumienia, że od teraz mam go słuchać. Nic więcej nie musiałam wiedzieć. Nie czekając już i nie protestując, wstałam i razem z siostrą poszłam po wodę. Zaczęło się moje nowe życie -jako córki mojego ojca - i musiało minąć prawie dwadzieścia lat, żebym z nim skończyła.

Noszenie wody jest ciężką pracą i dlatego wykonują ją wyłącznie kobiety, dziewczęta, w ostateczności mali chłopcy. Na wsiach nie było wodociągów, wodę wydobywano bezpośrednio ze studni - przynajmniej teoretycznie, bo dosyć często studnie wysychały. Wtedy trzeba było iść na poszukiwanie wody. Najłatwiej znaleźć ją w wyschniętych łożyskach potoków, oczkach wodnych albo głębokich, stromych jarach. Przeważnie trzeba było trochę pokopać, aż się natrafiło na brunatną zupę, która dopiero po przegotowaniu nadawała się do użytku.

Tym razem miałyśmy jednak szczęście - padał deszcz, łożysko rzeki było trochę wilgotne. Musiałyśmy tylko znaleźć takie miejsce, w którym zebrała się woda, i czerpać ją starą, rozciętą blaszaną puszką i pojemnikiem po oliwie. Jaldijan wyszukała miejsce dosyć odległe od naszego domu. Na dole, kiedy stanęłyśmy w korycie potoku, szepnęła mi do ucha:

- Udawaj głupią! Rób z siebie niezdarę, to jedyna szansa!

Musiała bardzo bać się naszego ojca, skoro nawet tutaj, daleko od domu, nie mówiła normalnie, a szeptała.

Posłuchałam jej rady i kiedy już było nas widać z domu, upuściłam jeden z kubłów, tak żeby wszyscy widzieli, jak cenna woda wsiąka bezproduktywnie w piasek. Od tej pory ciągle coś upuszczalam, tak że wkrótce zyskałam sobie opinię osoby zbyt niezgrabnej i o nieskoordynowanych ruchach, żeby można mi powierzać większość poważnych prac.

Ojciec był okrutny nie tylko wobec nas, lecz także w stosunku do innych ludzi. Już jako dziecko miał skłonność do brutalnych dowcipów. Raz zrobił pośmiewisko z pewnej wróżki, która cieszyła się znakomitą opinią w okolicy, a której sztuka polegała na odgadywaniu, kto na co choruje. Za to jej płacono.

Ta kobieta wydawała się mojemu ojcu podejrzana, uważał ją za oszustkę. Chcąc wystawić ją na próbę, przekroił na pół cytrynę, przywiązał do nogi, naciągnął na wierzch spodnie i pokuśtykał na ulicę. Przed

domem przewrócił się, podniósł się z trudem, przewrócił się jeszcze raz i udał, że krzyczy z bólu. W krótkim czasie zleciało się pół wsi. Jęczał:

- Ja chcę do wróżki! Zanieście mnie do niej!

Ludzie zanieśli go do wróżki, wszyscy zebrali się przed jej chałupą. Ojciec pokazał jej domniemaną opuchliznę, lamentując jak należy:

- O Boże, to coś jest coraz większe!

Wróżka pomacała przez spodnie cytrynę, bo nie miała odwagi podwinąć nogawki dwunastoletniemu chłopcu, czyli młodemu mężczyźnie. Przybrała ponury wyraz twarzy.

- To jest nieuleczalne - powiedziała z namaszczeniem. - Trzeba ci będzie amputować nogę.

Ojciec zaczął się wtedy szyderczo śmiać i podwinął nogawkę, tak żeby wszyscy mogli zobaczyć cytrynę. Zrobił się straszliwy tumult. Kilka osób chciało od razu zlinczować wróżkę, ale tylko ją wychłostano i wypędzono ze wsi.

Z przyjemnością odpowiadał o takich epizodach i do dziś nie opuściła go pycha młodości. Jednocześnie umiał zdobywać sobie szacunek, a i ja wkrótce miałam wrażenie, że mój ojciec był ważną osobą w naszej odciętej od świata wsi. Miało to swoje dobre strony, bo dzięki temu choć do jego dzieci nie odnoszono się wprawdzie z szacunkiem, to też nie traktowano ich jak ostatnie śmieci. Trochę mi to pomogło w przyzwyczajaniu się do nowego otoczenia.

Chociaż smutna, śmiałam się jednak dużo, co zdawało się drażnić mojego ojca jeszcze bardziej niż mój smutek. Wprawdzie bałam się go tak samo jak siostry, ale byłam bardziej krnąbrna niż one, które zawsze chciały mu we wszystkim dogodzić.

Uciekamy

Monotonia i poczucie bezpieczeństwa, tak charakterystyczne dla codzienności życia u moich dziadków, minęły. W domu ojca panowały zmienne nastroje, wieczne podniecenie i niepewność. Zaledwie pół roku po przybyciu, kiedy zaczęłam się już trochę przyzwyczajając, trzeba się było spakować, bo moja nowa rodzina przenosiła się gdzieś dalej. Nasz dobytek zmieścił się bez trudu do paru plastikowych toreb i jutowych worków: kilka mis i garnków, kocher, dzbanek do kawy,

radio tranzystorowe, teczka z dokumentami i zdjęciami, kilka koców i nasze ubrania, niewiele więcej niż to, co każde z nas miało na sobie, to było wszystko.

Musieliśmy wyjechać, bo do naszej wsi docierało coraz więcej żołnierzy i sytuacja stawała się niebezpieczna. Nocą często słyszało się strzały, do czego byłam przyzwyczajona już w Asmarze, i głucho dudnienie, którego początkowo bardzo się bałam, bo nie wiedziałam, co to jest. Myślałam, że to trzęsie się ziemia albo nadchodzi potężna burza, dopiero siostry wyjaśniły mi, że to są odgłosy wojny i wydają je bardzo duże karabiny, które nazywają armatami.

Stanowiliśmy żałosny widok, wyruszając w tę drogę: ojciec, jego żona, chmara obszarpanych dzieciaków, wszyscy obładowani workami, derkami i rozmaitym drobnym dobytkiem. Nie mieliśmy ani wielbłąda, ani samochodu - wtedy nie było jeszcze niczego takiego jak prywatny samochód, nawet gdyby ktoś mógł sobie na niego pozwolić - musieliśmy więc odbywać podróż jadącymi w naszą stronę zatłoczonymi ciężarówkami, albo takimi, które zastępowały zdeorganizowaną przez wojnę komunikację autobusową.

Zycie w drodze było męczące. Brakowało jedzenia, nie było prawie nic do picia, niepokój nie pozwalał zasnąć, nikt nie wiedział, dokąd powinniśmy iść. Ojca bardzo męczył taki stan rzeczy. Wyładowywał swój niepokój i niezadowolenie, przy każdej okazji bijąc nas, kopiąc albo opluwając.

Nocami zatrzymywaliśmy się przeważnie na skraju dróg. Znowu dobiegało nas głucho dudnienie armat, a z góry warkot samolotów lecących, żeby zrzucić swoje bomby na pobliskie miasta. Samolotów można się było tylko domyślać, bo leciały bez świateł pozycyjnych. Słyszeliśmy jedynie ich pomruk i widzieliśmy, jak dorośli przykucają pełni przerażenia. Bałam się coraz bardziej.

To nie była rodzinna wyprawa, to była ucieczka. Po drodze, jadąc i maszerując na piechotę, po raz pierwszy widziałam skutki wojny: zburzone wsie, wypalone domy, porzucone na skraju drogi, podziurawione kulami, rozbite i zwęglone działa i pojazdy. To jednak, co widzieliśmy tutaj, to był dopiero początek. Zaledwie przedsmak o wiele większej niedoli.

W poszukiwaniu nowego miejsca osiedlenia znaleźliśmy się w końcu w jakiejś zbudowanej z drzewa i odpadów chałupie. Stała

na skraju zagubionej w górach wioski, a właściwie prawie miasteczka, z parterowymi wprawdzie, ale murowanymi domami, stojącymi wzdłuż głównej i kilku bocznych ulic.

Tutaj znowu poszliśmy do szkoły. „Budynek szkolny” to był tylko dach z falistej blachy, oparty na kilku starych słupkach, który ocieniał kawałek kamienistej ziemi. Wszyscy siedzieliśmy bezpośrednio na piasku, nauczycielka naprzeciwko nas. Nie było ani książek, ani zeszytów, ani jakichkolwiek innych pomocy szkolnych, tylko jedna mała łupkowa tabliczka, na której nauczycielka rysowała kredą cyfry i litery. Mimo to wszyscy słuchali jej jak urzeczeni. Nikt nie przeszkadzał, nikt nie gadał, nie zajmował się innymi sprawami, bo chodzenie do szkoły miało w sobie coś z mszy. Byliśmy szczęśliwi, że możemy zajmować się przyjemniejszymi sprawami niż wojna, ucieczka i bieda.

Te wiejskie szkoły były organizowane przez armie wyzwolenicze - w tym wypadku ELF, Front Wyzwolenia Erytrei, którego bojownikiem był mój ojciec. Pod dachem z falistej blachy ustawionym na kamiennej pustyni po raz pierwszy usłyszeliśmy o przyświecających ELF ideach wolnej, socjalistycznej i postępowej Erytrei, wpajano nam tam odpowiednie hasła, pieśni i marzenia. Poza szkołą był tylko morderczy upał, kamienie, ciernie i zarośla wokół, a także uboczne skutki wojny: odgłosy walk, nędza, głód i zdenerwowani, niejednokrotnie pełni agresji dorośli. Najlepiej więc było uważnie słuchać lekcji, uciekając przed wojenną rzeczywistością i zanurzyć się w innym, lepszym świecie. Miałam wtedy sześć lat.

Wojna się zbliża

Przez te dni i noce, zanim do nas doszła, wojna coraz wyraźniej dawała o sobie znać, przysuwała się krok po kroku. W naszej wsi była syrena, która teraz wyła co noc, a czasami także w ciągu dnia. Potem nad naszymi głowami rozlegał się huk samolotów lecących tak nisko, że można było odróżnić litery na ogonach. Czasami samoloty znajdowały się już nad nami, zanim zawyła syrena. To, czy syrena wyła, czy nie, nie miało jednak żadnego znaczenia, bo przed bombami nie było żadnego ratunku. Kiedy tylko samoloty pokazywały się na horyzoncie, wszyscy pędzili na oślep przed siebie, niektórzy biegli za

wieś, w stronę skał, chociaż nie istniał żaden rozsądny powód, żeby tak robić. Powstawał totalny chaos.

My, dzieci, nie wiedzieliśmy, co to są bomby. Mówiono nam tylko, że to coś bardzo niebezpiecznego, co zabija wszystko, na co natrafi. To wystarczyło, żeby wzbudzić okropny strach.

Piloci nie marnowali naturalnie bomb w swoich lukach na to całkowicie pozbawione znaczenia górskie gniazdo, lecz lecieli z nimi nad Keren, Akurdet albo Asmarę. Te miasta były najczęstszym celem ataków partyzantów, którzy chcieli przepędzić etiopskich okupantów.

W dniu, w którym przysłała do nas wojna, lekcje już się skończyły, ale kilkoro z nas miało jeszcze do wykonania jakieś zadania. Robiliśmy pranie i zbieraliśmy drzewo na opał, gdy inne dzieci siedziały beczynnym w cieniu szkolnego dachu albo na coś czekały. Mieliśmy przed sobą wieczność.

Kiedy nadleciały samoloty, syrena nie zawyła. Już z daleka słychać było brzęczenie motorów, jakby nadlatywał rój pszczół. Dźwięk powoli narastał. Samolotów było tylko kilka, dwa czy trzy. Dorośli znów zaczęli miotać się jak szaleni, tylko dzieci zostały tam, gdzie były. Nasz strach przytępiły powtarzające się alarmy, po których nic się nie działo.

Tym razem stało się inaczej. Samoloty zrzuciły swój ładunek dokładnie nad nami, i z nieba poleciało wiele małych przedmiotów. Wyglądały jak małe zwierzątka albo dzieci, jak kamienie spadające na ziemię, zaledwie jakieś sto metrów od szkolnego boiska. Rozbiegliśmy się we wszystkich kierunkach, ale nic się nie stało. Piloci odlecieli, brzęczenie cichło, znów wróciła cisza pustyni.

Ostrożnie unieśliśmy głowy. Wypełzaliśmy ze swoich kryjówek za skałami lub wśród ciernistych krzewów. Także dorośli powoli wracali do wsi. Ponieważ rzeczy zrzucone z samolotów spadły w małe zagłębienie terenu w pobliżu naszej szkoły, tylko dzieci je widziały.

Z ciekawością zaczęliśmy się zbliżać do tych dziwnych przedmiotów. Na ziemi rzeczywiście leżały małe ciątka, niektóre poharatane i okaleczone w czasie upadku na twarde kamienie. Nim zdążyliśmy podejść do nich bliżej, nauczycielka zawołała wszystkie dzieci, które już przedtem miały coś zrobić, żeby to skończyły. Niechętnie powlekliśmy się z powrotem do szkoły.

Nagle z zagłębienia terenu buchnął płomień. Ciszę rozdarły uderzenia piorunów, potem przyszło wycie, okrzyki bólu i trzaskanie

ognia. Dym uniósł się do góry, płomienie lizały wyschnięte krzaki. Z oparów dymu wyłaniały się zalane krwią dzieci. Matki z krzykiem biegły na miejsce nieszczęścia. Płacz i krzyki mieszały się ze sobą. Pobiegliśmy w tamtą stronę i naszym oczom ukazał się straszliwy widok: poparzone dzieci, rozdarte ciała, płonące, nierozpoznawalne przedmioty i... lalki. Wszędzie leżały lalki, niektóre lekko uszkodzone, inne porozrywane na strzępy, jeszcze inne wcale nie zniszczone. Jedno z tych dzieci, które dopiero teraz podeszły, sięgnęło po taką lalkę. Rozległ się jeszcze jeden grzmot, dziecko stanęło w ogniu czerwonej błyskawicy. W ognistej kuli, która zdawała się je pochłaniać. Upadło na ziemię, obróciło się z krzykiem i zamilkło. Byliśmy skamieniali z przerażenia i strachu. Dorośli zaczęli nas odciągać. Lalki były nafaszerowane materiałami wybuchowymi. Wykonano je i zrzucano, żeby zabijać i rozdzierać na strzępy dzieci.

Okrzyki bólu słychać było jeszcze przez cały dzień. Poparzone dzieci umierały w ramionach swoich matek. Nie było pomocy medycznej, materiałów opatrunkowych, środków dezynfekcyjnych. Wyniesiono kilkoro rannych. W sumie zmarło jakieś dwadzieścioro dzieci. We wsi panowało wzburzenie, ale nikt nie wiedział, co robić. Wojna tylko na krótko pokazała nam swoje oblicze. My, siostry, przytuliłyśmy się do siebie, płacząc i drżąc ze strachu. Nic nie rozumiałyśmy, ale przeżyłyśmy wstrząs. Zapomniałyśmy nawet o głodzie.

Kiedy się ściemniło, nikt nie odważył się zasnąć. Wszyscy mieli poczucie bezradności i opuszczenia. Narzekania przetaczały się przez wieś przez całą noc. Po raz pierwszy w życiu naprawdę płakałam. Znosiłam się płaczem przez kilka godzin, jak nigdy przedtem. Nikt nie potrafił mnie uspokoić. Moje siostry też były kompletnie wykończone, a ojciec krążył po wsi jak oszalały tygrys. Macocha musiała pocieszać matki, które straciły dzieci. Po raz pierwszy dotarło do mnie w całej pełni, że jestem zupełnie sama. Że kiedy jest mi koniecznie ktoś potrzebny, mogę liczyć tylko na jedną osobę: na siebie samą.

Na pustyni

Po tej tragedii nic już nie było takie jak przedtem. Wieś nie potrafiła wrócić do normalnego życia. Lekcje wprawdzie jeszcze się odbywały, ale było za dużo pustych miejsc. Nauczycielka często przykucała na ziemi i nic nie mówiąc, grzebała patykami w piasku, jak gdyby chciała coś narysować, ale nikt nie mógł poznać, co by to miało być. Ojciec zrobił się jeszcze bardziej nerwowy niż przedtem, nie potrafił usiedzieć spokojnie pięciu minut, ciągle uciekał z domu, do sąsiadów, w góry, na ulicę, do knajpy, znów na ulicę. Niektóre rodziny spakowały rzeczy i opuściły wieś. Wkrótce i my także zaczęliśmy się pakować. Nikt nie pytał, dlaczego i dokąd idziemy. Wszyscy rozumieli, że tutaj nie można zostać.

Ruszyliśmy w drogę pieszo, bez zwierząt, sami, tylko nasza rodzina: ojciec, macocha i my, razem ośmioro dzieci. W ciągu dnia słońce paliło niemiłosiernie, nocą było tak zimno, że szczękaliśmy zębami. Sypialiśmy pod gołym niebem, na skraju dróg albo nieco dalej, kiedy nie chcieliśmy, żeby wyrwali nas gwałtownie ze snu przechodzący drogą żołnierze.

Pewnej takiej nocy przyszły lwy. Najpierw tylko czuliśmy, że coś było inaczej. Czegoś brakowało. Umilkły ciche poszumy nocy. Tym razem ojciec nie zgasił ogniska, lecz dorzucił jeszcze kilka korzeni.

Musieliśmy oszczędzać drewno na opał, bo jedynym dostępnym materiałem były uschnięte gałązki, jakieś suche krzaki, korzenie. Przeważnie trzeba je było mozolnie odrąbywać, co nie było łatwe tępym tasakiem, jaki mieliśmy do dyspozycji. Poza tym problem zawsze polegał na tym, żeby znaleźć złoty środek między dwoma zagrożeniami: ze strony zwierząt i ludzi. Jeżeli ogień płonął jasno, wprawdzie żadne zwierzę nie ważyło się podejść bliżej, ale przyciągał ludzi - bynajmniej nie zawsze nastawionych przyjaźnie. Gdy ogień tlił się tylko słabutko, podchodziły lwy, hieny i kojoty, zataczając coraz mniejsze koła wokół obozowiska - za to z daleka żaden człowiek nie mógł niczego dostrzec.

Tym razem pojawiły się lwy. Podeszły o wiele za blisko, chociaż z ogniska znów wzbily się jasne, świeże płomienie. Na lwach nie zrobiły jednak większego wrażenia. To były dwie dorosłe lwice, które krążyły w odległości piętnastu, dwudziestu metrów od nas, na granicy między bijącym od ognia światłem a ciemnością. Poruszały się cicho

i bezszelестnie. Tylko ich spojrzenia świadczyły o tym, że się nami interesują.

Kilkoro dzieci już zasnęło. Nie spali jeszcze Werhid i ojciec, a także ja, największy tchórz ze wszystkich. Pomyślałam, że teraz wybiła moja ostatnia godzina. Lwy na pewno nas pożrą, a przynajmniej mnie.

Wiedziałam, że przed lwem nie wolno uciekać, bo wtedy pobiegnie za uciekającym, dogoni go i zje. Wiedziałam, że nie wolno krzyczeć ani gestykulować, bo wtedy lew robi się agresywny. Wiedziałam, że nie mieliśmy ze sobą nic, czym moglibyśmy je powstrzymać, ani karabinu, ani rewolweru, ani żadnej broni. Tylko ten tępy tasak. Nic mi z tej wiedzy nie przyszło. Wstrząsnęły mną silne drgawki, zaczęłam cichutko szlochać.

Leżeliśmy tak w zupełnej ciszy, dzieci spały, dorośli sparaliżowani z przerażenia, ja cała drżąca. Lwy podeszły do nas na dwa, trzy metry. Obwąchały derki, wsadziły nosy w nasze do czysta wyjedzone garnki, odrzuciły kilka plastikowych toreb. Niezdecydowane, powstały trochę, rozejrzały się wokół, spojrzały na nas, znów obejrzały się. To były dla mnie najbardziej przerażające chwile. Teraz cię pożrą, myślałam. Minęło zaledwie kilka sekund, ale dla mnie wydawały się wiecznością.

Nagle obydwie lwice spuściły łby i truchtem pobiegły dalej. Posiadałam się ze strachu, co zdarzało mi się niekiedy. Do tego strasznie zmarzłam, a teraz byłam złana potem. Odczułam ogromną ulgę, kiedy wielkie koty zniknęły w ciemności nocy.

Niebezpieczeństwo zapewne nie było tak wielkie, jak sądziłam. Lwy nie napadają na ludzi, jeżeli nie czują się zagrożone.

- Lew - wyjaśniał nam ojciec - nie żre niczego, czego nie zna, na przykład ludzi. Za ludźmi wlecze się zbyt wiele obcych zapachów. Lew lubi antylopy albo kozy, albo inne dzikie zwierzęta. Człowieka pożera tylko z konieczności.

Razy

Kilka dni później zatrzymaliśmy się na jakiś czas we wsi o wiele mniej-
szej niż poprzednia. Tutaj mogliśmy na szczęście zostać trochę dłużej.
Nieustanna wędrówka za bardzo już nas wszystkich zmęczyła. Kilkoro
dzieci z wyczerpania zaczęło gorączkować.

Zamieszkaliśmy u krewnych. Nie ułatwiło to bynajmniej naszej sytuacji. Ciągłe brakowało jedzenia, było za mało miejsca, zbyt wiele dzieci i za dużo razów. Ojciec tłukł nas natychmiast, jeżeli tylko coś mu się nie spodobało. Zdarzało się to często: ktoś zachowywał się za głośno - już zarobił policzek. Nie poszłam od razu po wodę, bo chciałam skończyć zabawę - już spadał mi na twarz grad uderzeń z prawa i z lewa, aż się zataczałam. Jedzenie nie było gotowe, chociaż ojciec był głodny - walił nas po twarzach, głowach, plecach, albo wymierzał cios w żołądek. Chociaż bicie dzieci jest w Afryce nieodłączną częścią procesu wychowawczego, nie wszyscy ojcowie biją tak mocno, tak często i tak brutalnie jak mój ojciec.

Na domiar wszystkiego byłam jego ulubioną ofiarą. Im dłużej byliśmy razem, tym stawało się bardziej oczywiste, że wziął się przede wszystkim na mnie. Oczywiście, bił pozostałe własne dzieci, bił dzieci Werhid, bił nawet dzieci sąsiadów, jeżeli weszły mu w drogę, albo przyjaciół swoich dzieci, jeżeli mu w czymś przeszkadzały. To działo się mimochodem, i uchodziło za całkiem normalne: każdy dorosły miał prawo uderzyć każde dziecko, jeżeli zrobiło coś, co mu się nie spodobało albo w czymś mu przeszkodziło.

Mnie ojciec tłukł nie tylko mimochodem, ale całkiem świadomie, niezależnie od tego, czy coś zbroiłam, czy nie. Kiedy uznał, że powinien już przynieść drewno na opał, chociaż dopiero wróciłam do domu ze szkoły, wciągał mnie do środka i tak długo walił jak w bęben, aż zdusił wszelki protest.

- Przecież byłam cały czas w szkole! - Bum. - Czego chcesz ode mnie? Przecież mnie nie było?! - Bum. - Dlaczego nie poszedł ktoś inny? - Bum. - Przecież nie mogę zbierać drzewa przed pójściem do szkoły, to za wcześnie! - Bum. - Proszę, nie! - Bum. - Dlaczego mnie bijesz? Nienawidzę cię! - Bum.

Tak to wyglądało, dopóki nie przestałam się odzywać i jęcząc, leżałam na ziemi. Zwijając się z bólu, mogłam już tylko zaciskać zęby. Dopiero wtedy zostawiał mnie w spokoju.

Swoich dwóch pozostałych córek, Jaldijan i Cegehany, nie traktował tak brutalnie. Naturalnie bił moje starsze siostry, ale nie tak bez opamiętania. Jaldijan, najstarsza, dostawała też swoją porcję, ale ponieważ najrzadziej się sprzeciwiała, była z nas trzech najbardziej posłuszna i najspokojniejsza, była jego ukochaną córeczką. Cegehanę bił najmniej, w jakiś sposób ją szanował, potrafiła też lepiej niż

ja odwracać jego uwagę; ja upierałam się przy swoim zdaniu jeszcze wtedy, kiedy zaczynał mnie bić. Protestowałam, nie płaszczyłam się. Cegehana w takich sytuacjach trochę spuszczała z tonu i kończyło się wszystko na kilku uderzeniach. Ja natomiast poddawałam się dopiero wtedy, kiedy już mnie tak bolało, że nie mogłam wytrzymać, albo kiedy ogarniał mnie zbyt wielki strach. Bałam się, że mnie kiedyś zabije, jeżeli będę mu się dalej sprzeciwiać. Obawiałam się, że ojciec zatłucze mnie na śmierć. Za każdym razem, kiedy po ramionach, z nosa, z uszu spływała mi krew, bałam się, że wypłynie ze mnie życie. Wtedy, kiedy z nieba spadły lalki, widziałam, jak z dzieci długo wypływała krew, zanim umarły. Bałam się, że razy mojego ojca także i mnie mogą doprowadzić do takiego wykrwawienia.

Dziewczynki należy bić częściej niż chłopców, to było powszechnie wiadome. Chłopców przeważnie tylko poszturchiwano. Dziewczynki natomiast bito naprawdę, bo są mniej warte. Bo powinny być bardziej posłuszne. Bo nikt nie spodziewa się po nich własnej woli, która zresztą wcale nie była mile widziana.

Kiedy chłopcy naprawdę coś zbroją, na przykład w trakcie zabawy podpalą stajnię rodziców, także i oni dostają w skórę. Dziewczynki jednak karze się równie okrutnie za banalne wykroczenia, na przykład kiedy za późno przyszły albo coś zgubiły. Na dziewczynki zwraca się o wiele więcej uwagi niż na chłopców. Nie odpuszcza się im żadnego błędu.

Czułam, że są różnice między chłopcami a dziewczynkami, odczuwałam te różnice codziennie na własnej skórze. To było normalne. Czułam, że nie mam racji, nawet wtedy, kiedy byłam przekonana, że ją mam. Czułam, że powinnam się za to wstydić. Wiedziałam z doświadczenia, że za to można dostać lanie, którego najlepiej uniknąć, okazując pokorę. Ale pokora nie była akurat moją mocną stroną.

Terror zaprowadzony przez ojca miał na celu uwolnienie go od wszelkich kłopotów. My we trzy wykonywałyśmy ciężkie codzienne prace, bo Werhid zawsze udawało się jakoś oszczędzić jej własnym dzieciom największej męki. Dla mnie była ciepła i serdeczna, ale dla moich sióstr nie była taka miła. Obowiązkiem Jaldijan, najstarszej, było przynoszenie wody i rąbanie drzewa. Cegehana odpowiadała za bieliznę, bo była bardzo sprawną praczką. Moim zadaniem, jako najmłodszej, było rozniecanie ognia i łupanie drew.

Ojciec przydzielał nam rozmaite zadania niczym sztab generalny i mógł dzięki temu sam żyć jak pasza. - Wszystkie pozostałe czynności, jak zakupy, gotowanie i sprzątanie załatwiała Werhid i jej dzieci. Nigdy nie widziałam, żeby on sam coś robił, tylko leżał, siedział, palił, dyskutował z innymi mężczyznami lub pił. Mój ojciec zbyt długo walczył, za dużo czasu spędził na wojnie, za długo był oficerem, żeby teraz mógł sobie wyobrazić jakiegokolwiek normalne życie zawodowe. W Erytrei było już wtedy kilka pokoleń mężczyzn - a częściowo także i kobiet - którzy nie robili nic innego, prócz prowadzenia wojny. Siebie i swoje rodziny utrzymywali ze skapego żołądu, grabieży i dostaw z międzynarodowych organizacji humanitarnych. Tak było też w naszej rodzinie - z wyjątkiem grabieży. Ten czas dla mojego ojca już minął.

Oko w oko ze śmiercią

Pewnego dnia miałam wyraźne uczucie, że mój czas się skończył. Czułam, że moje życie zmierza ku końcowi. Nie potrafię tego wyjaśnić, to było tylko wrażenie. Widziałam, jak ojciec nieustannie krąży po podwórzu, zajęty jakimiś bezsensownymi czynnościami, których jedynym celem było ukrycie niepokoju. Powiedziałam do sióstr:

- Dzisiaj mnie zabije.

Jaldijan i Cegehana spojrzały na mnie, nic nie rozumiejąc.

- Zabije? Jak to sobie wyobrażasz? Tego nie zrobi!

Pokiwałam tylko głową i dalej łupałam drwa. Tego ranka coś musiało sprawić, że ojciec zapałał do mnie większą nienawiścią niż zwykle, ale nie wiedziałam, co. Wiedziałam tylko, że przez cały czas patrzył na mnie błyszczącymi ze złości oczami. To oznaczało najwyższe zagrożenie.

Nagle podszedł do mnie i powiedział:

- Chodź ze mną, Senait! Pójdziemy po drewno.

Nigdy nie chodziliśmy razem po drewno, dzieci zawsze szły same, bez niego. Poza tym w domu było akurat dosyć drzewa, a nigdy nie robiło się zapasów - niczego. Żadna rodzina w Afryce nie robi zapasów. Kiedy jest się głodnym, idzie się coś kupić i przyrządza się jedzenie. Kiedy potrzebne jest drewno, idzie się je zebrać. Zbiera się tyle, żeby starczyło na dziś, a nie na jutro. A teraz ojciec chciał iść ze mną po drewno?

Ociągając się, poszłam za nim. Cóż miałam robić? Gdybym z nim nie poszła, zatłukłby mnie na śmierć.

Po drodze pograżyłam się w ponurych myślach. Moja śmierć zdawała mi się sprawą przesadzoną. „No dobrze, umrę”, myślałam. Próbowałam wyobrazić sobie, jak to będzie. Bałam się i pragnęłam tylko jednego, żeby zrobił to szybko, żeby mieć już to za sobą.

Kiedy doszliśmy do kotliny, w której rosło kilka wyschłych drzew, wyjął ogromną maczetę, jakiej używano do wyrębu lasu. Takimi narzędziami mogli się posługiwać tylko dorośli, bo były wielkie i ciężkie. Ojciec wyczekująco trzymał w dłoni swoją maczetę. Obejrzał się, ale nie odezwał się ani słowem. Zrobiło mi się niedobrze ze strachu. Spojrzał na mnie, a w jego oczach znów pojawiło się to drgnienie. Jeszcze bardziej niebezpieczne wydało mi się to, że w tym momencie nie odezwał się do mnie z nienawiścią, lecz powiedział zupełnie spokojnie:

- Stań przy drzewie. - Gapiłam się na niego ogłupiała i nie ruszyłam się z miejsca, więc powtórzył trochę głośniej: - Stań przy drzewie!

Byłam jak sparaliżowana. Nawet gdybym chciała być mu posłuszna, po prostu nie byłam w stanie. Nie mogłam nawet podnieść ręki. W głowie kłębiły mi się myśli: czy on chce mnie zabić? Czy chce mnie przestraszyć? A może sprawdzić, jak daleko może się posunąć?

W tym momencie nadbiegła Werhid.

- Natychmiast przestań - wrzeszczała, tracąc panowanie nad sobą. - Proszę cię, proszę, przestań. Zawieziemy Senait, Jaldijan i Ceghanę do Dżebhy!

Ojciec zeszywniał. Po kilku niepokojących minutach opuścił maczetę. Westchnął, coś burknął i odwrócił się ode mnie. Załamalam się od razu. Mogło się wydawać, że ojcu prawie ulżyło, kiedy Werhid go powstrzymała.

Usłyszałam, jak Werhid mówi:

- Proszę, nie popełniaj tak strasznego grzechu - i nie wiem, co było dalej. Chyba Werhid zaniósła mnie do domu. Kiedy znów odzyskałam świadomość, myśli kłębiły mi się po głowie, jak jeszcze nigdy dotąd. Czy darowano mi nowe życie? Co miała na myśli Werhid mówiąc „Dżebha”?

Nie mogłam sobie wyobrazić, że w nowym życiu będę jeszcze często tęsknić za obecnym. Nie umiałam sobie wyobrazić, że może być jeszcze gorzej.

My, gwiazdy poranne

Następnego dnia po wydarzeniu z maczetą ojciec wziął Jaldijan, Cegehanę i mnie. Pojechaliśmy autobusem do jakiejś innej wsi. Nic nie powiedział o tym, dokąd to mamy jechać. Nie wspominał o tym, co nas czeka. W ogóle się nie odzywał. Wszystkie trzy biegłyśmy za nim bez słowa. Byłam zadowolona, że siostry są ze mną, bo bałam się, że jeszcze raz zaprowadzi mnie do lasu.

W milczeniu wsiadłyśmy do autobusu. Było dla nas jasne, że nie mamy po co pytać o cel podróży - i tak nam go nie zdradzi. Przyglądałam się pustyni za oknami autobusu. Nie czułam upału, jaki zapanował we wnętrzu autobusu, ani gryzącego smrodu kur, które ze związanymi łapami leżały pod sąsiednią ławką. Nie czułam nic, tylko przemożną tęsknotę za spokojem i głuchy niepokój o to, co będzie ze mną dalej.

Po kilku godzinach jazdy autobus zatrzymał się w miejscowości, w której stało kilka wielkich wojskowych namiotów. Tam zaprowadził nas ojciec prosto do biura rekrutacyjnego ELF. Front Wyzwolenia Erytrei był starszą z dwóch armii wyzwoleniczych, które walczyły o władzę w kraju i o niepodległość Erytrei. W ELF walczył mój ojciec, zanim ciężkie obrażenia nie zmusiły go kilka lat temu do rezygnacji z zawodu żołnierza.

- To jest biuro ELF - powiedział. - Tutaj zostanieiecie. Moi przyjaciele zadbają o was i wszystkiego was nauczą.

„Biuro” to był stół, ustawiony na środku wiejskiej drogi pod stanowiącą ochronę od słońca wiatą, przy którym siedziało kilku znudzonych mężczyzn w postrzępionych mundurach. Na stole leżała książka i kilka kartek papieru. Dobrze byłoby mieć papier, żeby na nim

rysować, ale pomijając krótki pobyt u włoskich zakonnic, nigdy go nie miałam. Papier był towarem absolutnie deficytowym.

Za tym „biurem” znajdowały się schody prowadzące do baru, co oznaczało tylko tyle, że było to pomieszczenie, w którym podawano wino palmowe i piwo. Mężczyźni w mundurach musieli już go trochę spróbować, w każdym razie strasznie cuchnęli i poruszali się trochę chwiejnie. Jeden miał broń, którą jak dziecko balansował na kolanach.

Panowie odebrali nas, tak jak się odbiera transport owiec albo kóz: najpierw krótki uścisk dłoni i wzajemne otarcie się ramionami, jakim zwykle pozdrawiali się między sobą mężczyźni. Potem krótka wymiana zdań, potem znów otarli się ramionami, i to wszystko. Byłyśmy u celu naszej podróży.

Pożegnanie z ojcem odbyło się prawie bez słowa. Było dla nas jasne, że nie jest to pożegnanie na kilka godzin czy dni, że rozstajemy się na dłużej. Nie miałam pojęcia, co się teraz z nami stanie - było mi to zresztą całkowicie obojętne. Wiedziałam, że ojca z nami nie będzie, a to było dla mnie najważniejsze. Także siostry były zadowolone, że się od niego uwolniły, chociaż one nie cierpiały z jego powodu tak bardzo jak ja. „Byle dalej od Ghebrehiweta” - mówiły, a nie „byle dalej od taty” i nie było w tym słychać smutku.

Wszystko wskazywało na to, że miałyśmy teraz należeć do tych mężczyzn. Ale to byli przecież żołnierze, a my byłyśmy dziećmi! Nawet mojemu ojcu musiało przyjść do głowy, że jesteśmy za młode na los, jaki dla nas wybrał. Dla niego jednak liczyło się tylko to, że ma o trzy głodne gęby mniej do wykarmienia. Trzy osoby więcej lub mniej do wykarmienia w rodzinie, to mogła być różnica między przeżyciem a śmiercią z głodu.

Jeden z mężczyzn zaprowadził nas do stojącego kilka metrów dalej samochodu, a ojciec ruszył w inną stronę, nawet się nie oglądając. Odszedł tak, jak byśmy mieli zobaczyć się znów za kilka minut. Spojrzałyśmy za nim, ale żadna z nas nie zrobiła nic, żeby go zatrzymać albo coś za nim zawołać. Nim zniknął nam z oczu, odwróciłyśmy się i poszłyśmy za człowiekiem, który już czekał w samochodzie.

Tego dnia miałyśmy stać się małymi żołnierzkami. Nie kojarzyło mi się to z niczym poza tym, że będę wolna od mojego ojca. Miałam sześć, a może siedem lat, Cegehana jakieś osiem, a Jaldijan jedenaście.

Najmłodsza żołnierka

Po krótkiej jeździe rozklekotaną ciężarówką dotarliśmy do obozowiska żołnierzy. Ze zdumieniem rozglądałam się wokoło. To nie byli tacy żołnierze, jakich pamiętałam z Asmary. Nie było tu mężczyzn ubranych w takie same mundury, za to wszystko wyglądało jak w naprędce skleconej wiosce. Mieszkali w niej mężczyźni, kobiety i dzieci, wprawdzie prawie wszyscy uzbrojeni, ale nie wyglądali jak wojsko. Niektórzy mieli na sobie mundury, ale nie wszyscy. Niektórzy nosili długie, inni krótkie spodnie. Mieli na sobie stroje w barwach ochronnych, koszulki, kurtki, marynarki, albo byli obnażeni po pas, zupełnie jak w normalnej wiosce.

Mimo to było oczywiste, że nie ma tutaj cywili, bo brakowało wielu rzeczy, które powinny znajdować się w normalnych wioskach. Nie pasły się żadne zwierzęta, nie było stałych chałup, brakowało też studni. Nie tylko duża liczba wielbłądów sprawiała, że wszystko wyglądało tak, jak gdyby w każdej chwili spodziewano się wyruszyć w drogę, jak w wielu obozach Beduinów, które widywałam po drodze. To jednak nie byli Beduini, lecz Erytrejczycy. Świadczyły o tym nie tylko parkujące w środku obozu ciężarówki, na które można było załadować o wiele więcej niż na wielbłądy, lecz także twarze i ubrania: nikt tutaj nie miał na sobie tradycyjnego stroju, nie było długich do ziemi szat, a kobiety nie zasłaniały włosów.

Brakowało nastroju erytrejskiej wsi, jaki poznałam w czasie ostatnich miesięcy naszego wędrownego życia. Nikt nie toczył przyjaznych pogawędek, mężczyźni nie spędzali czasu na wspólnym nicnierobieniu, nie bawiły się dzieci. Tutaj wszyscy wyglądali na zmęczonych, obdartych i głodnych. Z czasem nauczyłam się rozróżniać, jak wyglądają głodni ludzie, znałam te niespokojne, rozbiegane oczy, zapadnięte policzki i chwiejny krok.

Zdumiewała mnie liczba zgromadzonej broni, którą miały przy sobie nawet dzieci. Większe dawały już sobie z nią radę, ale dla mniejszych była jeszcze wyraźnie za ciężka. Większe poza bronią miały także przewieszane przez piersi pasy z amunicją. Bojownicy byli przeważnie w wieku od siedmiu do siedemnastu lat, niektórzy, przede wszystkim dowódcy, mogli mieć jakieś osiemnaście do dwudziestu pięciu. Żołnierzy mniejszych ode mnie praktycznie nie

było. Najwyżej dwoje, troje dzieci wśród kilkuset mogło być w moim wieku.

Kilka mundurów, jakie widziałam, bardzo się od siebie różniło, nawet mundury dowódców. Dowódców można było jednak rozpoznać natychmiast, przede wszystkim po tym, jak odnosili się do nich inni. Kiedy przechodził któryś z wodzów, wszyscy się przed nim rozstępowali, pozdrawiali i ustępowali mu z drogi. Za wodzem podążało zwykle dwóch, trzech żołnierzy, którzy chcieli go o coś zapytać albo być pod ręką na wypadek, gdyby czegoś potrzebował. Wódz nie zwracał jednak uwagi na tych, którzy lawirowali, żeby być w jego pobliżu, bo zawsze się spieszył. Patrzył zwykle prosto przed siebie, jak gdyby właśnie zobaczył tam coś ważnego. Kiedy któryś z nich się odezwał, zdawał się mówić głośniej niż zwykli żołnierze.

Ku mojemu zaskoczeniu w dowództwie było niemało kobiet. We wsiach to wyłącznie mężczyźni podniesionymi głosami wydawali rozkazy. Dopiero później uświadomiłam sobie, że kobiety pełniły tylko niektóre funkcje pomocnicze, a z dowódcami wysokiej rangi było dokładnie tak jak we wsiach: to byli - z jednym wyjątkiem - sami mężczyźni.

Tylko dowódcy byli naprawdę umundurowani, wszyscy inni mieli na sobie jakieś przypadkowe zestawy: wojskowe spodnie, panterka, koszulka khaki. Do tego zakładali to, co mieli: szorty, spodnie khaki, koszule, bluzki z barwnymi nadrukami. Wszystko to pochodziło z worków Czerwonego Krzyża z Europy. Także do Asmary docierały często takie worki z ubraniami i każdy mógł sobie wybrać z nich coś dla siebie. Tylko buty były zawsze towarem deficytowym. Przy tym buty były najbardziej potrzebne, bo ziemia była twarda, gorąca, kamienista i pełna boleśnie raniących cierni i kolców. Wielu żołnierzy szło do boju w gumowych kąpielowych klapkach - takie obuwie nosiła większość Erytrejczyków, bo była to najtańsza ochrona przed kamieniami i cierniami. Czasami nie miałam nawet tego. W tropikalnym upale chodzenie na bosaka po rozżarzonych kamieniach i piasku nie należy do przyjemności, nawet jeżeli podeszwy stóp stały się z czasem twarde jak deska.

Odwrót

Nasz oddział znajdował się w ciągłym ruchu, uciekając przed własnymi rodakami, rebeliantami z EPFL. W tym czasie oddziały etiopskie nie miały już czego szukać w prowincji Berka w zachodniej Erytrei. Na wiejskich terenach w pobliżu granicy z Sudanem, na których przebywaliśmy, pełną władzę sprawowali powstańcy, ale nie z ELF, lecz drugiego ugrupowania - w rezultacie nasz oddział znajdował się praktycznie w nieustannej ucieczce. Słowa „ucieczka” nikomu z nas nie było wolno używać. Mówiło się „odwrót” albo „odwrót strategiczny”, aczkolwiek nikt z nas nie wiedział, co to miało znaczyć.

Kiedy znalazłyśmy się w obozie, panował tam nastrój wymarszu. W istic szatańskim tempie wrzucano wszystko na otwarte platformy ciężarówek i gromadzono na placu ładunkowym przy wielbłędach: garnki, patelnie, pręty, plandeki, broń, worki, puszki, pudła, wszystko ładowało na ogromnych stosach. Kilka osób miało za zadanie sortowanie tych stosów i układanie rzeczy na ciężarówkach albo mocowanie powiązanych w węzłki na wielbłędach. Nie funkcjonowało to wszystko najlepiej, bo na stosach ładowały ciągle jakieś nowe przedmioty. Czasami trzeba było pospiesznie odskakiwać na bok, żeby nie dostać w głowę którymś z tych obiektów latających. W całym obozie panował niebotyczny chaos, wszyscy biegali tam i z powrotem, wykrzykując rzeczy, których nie rozumiałyśmy.

Nagle ktoś gwałtownie pchnął Jaldijan, tak że o mało się nie przewróciła.

- Co się gapiacie? Właźcie, dzieci, dalej!

Mężczyzna wskazywał na jakąś ciężarówkę, na której platformę wdrapywała się masa dzieciaków.

Ta ciężarówka miała rusztowanie, na którym można było rozpiąć plandekę. Ponieważ jednak plandeki nie było, na platformie mieściło się więcej ludzi. Wdrapywali się po bokach na skrzynię ciężarówki i stali, uczepieni ze wszystkich stron ładunku, niektórzy nawet na stopniach kabiny kierowcy. Ktoś siedział na dachu szoferki. Z trudem udało nam się zdobyć jakieś miejsce na platformie. Wreszcie pojazd ruszył, a my tkwiłyśmy stłoczone jak śledzie w beczce, i w tym straszliwym ścisisku z trudem udawało nam się zaczerpnąć chociaż trochę świeżego powietrza.

Poganiacze z wielbłędami i kilka dorosłych osób wybrało drogę na skróty i poszło przez góry stromą ścieżką dla zwierząt, a my ciężarówkami pędziliśmy jak szaleni po pokrytych kurzem wyboistych drogach. Stare ciężarówki wytrząsały nas jak worki z mąką albo drewnem na opał, wszystko w nich skrzypiało, trzeszczało i zgrzytało. Staliśmy lub siedzieliśmy w kucki w tak wielkim tłoku, że nikt nie mógł upaść - bo inni natychmiast by go zdeptali. Mimo piekielnego hałasu, jaki robiła ciężarówka, czasami docierał do nas odgłos strzałów i artyleryjskiej kanonady. Wśród tego całego szaleństwa siedziałam w kucki, z głową między rękami, i wszystkimi zmysłami doświadcziałam, co działo się wokół mnie. Modliłam się do Boga, żeby nic nam się nie stało.

Często myślałam o Bogu i prosiłam go o rzeczy, na których mi szczególnie zależało. Albo obwiniłam go o coś, co mi przeszkadzało. Rozmawiania z Bogiem próbowały już mnie nauczyć zakonnice z klasztoru Comboni, ale tam jeszcze mi to nie wychodziło, nie znajdowałam odpowiedniego tonu. Nauczyłam się tego dopiero u babci. Ona rozmawiała z Bogiem tak, jak z innymi ludźmi, i uznałam, że to jest najlepszy sposób, żeby nawiązać kontakt z tym dalekim rozmówcą.

Mimo ciasnoty i ciągłego trzęsienia, smrodu potu i oleju napędowego, byłam tak zmęczona, że w pewnym momencie się zdrzemnąłam. Obudziłam się dopiero wtedy, kiedy zatrzymaliśmy się gdzieś w środku nocy. Ludzie zaczęli natychmiast zesekaliwać z ciężarówek. Nie od razu mogłam się ruszyć, tak bardzo zeszywniały mi nogi. Mało brakowało, a stoczyłabym się jak kamień z platformy. Siostry miały się niewiele lepiej. Było ciemno choć oko wykol, widziało się tylko zarysy krzaków, kamieni i kilku drzew. Ktoś powiedział, że tutaj będzie nasz nowy dom. Tutaj? W środku nocy?! Mamy rozbijać obóz na pustkowiu?

Na pustkowiu

Ukradkiem rozglądałam się za Jaldijan i Cegehana. Nigdy nie byłyśmy sobie szczególnie bliskie, zazwyczaj lepiej dogadywałam się z innymi dziećmi niż z nimi. Chyba dlatego że byłam przybyszem z zewnątrz

i późno weszłam w rodzinę mojego ojca. Teraz jednak byłam zadowolona, że wśród tych wszystkich nieznanym widzę dobrze znane postacie moich sióstr. Bez nich czułabym się okropnie nieszczęśliwa i zagubiona.

Kiedy tylko trochę się rozjaśniło, zabraliśmy się do rozbijania obozu, a nas wysłano, żebyśmy przyniosły drewno na opał. Łączyliśmy na czworakach wśród gęstych zarośli i leśnego poszycia, zbierając luźne gałązki i korzenie, odłamując uschnięte gałęzie - bez piły, noża czy siekiery. Kiedy wróciliśmy dumnie do obozu, każda z wiązka drewna na opał i miałyśmy nadzieję, że ktoś nas pochwali i dostaniemy coś do jedzenia, odebrano od nas drewno i wysłano od razu po następne.

Kiedy wróciliśmy z drugą porcją gałęzi, wszystko powtórzyło się jeszcze raz. Zapytałam chłopaka, który odebrał od nas drewno, kiedy będzie coś do jedzenia, ale zamiast odpowiedzi dostałam tylko piekący policzek. A więc znów poszliśmy po drzewo, z burczącymi żołądkami i wyschniętymi gardłami. Chociaż tutaj nie było tak strasznie sucho, jak na wzgórzach w okolicy Asmary, o wodę było jednak trudno, jeżeli się nie wiedziało, gdzie są wodne oczka, źródła lub ciekły. A przecież kiedyś uprawiano tutaj nawet rolę. Teraz jednak pola zarosły zielskiem i krzakami. Ludność dawno uciekła przed wojną, która w tej okolicy szalała szczególnie gwałtownie.

Musiałymy targać drewno, aż znów zrobiło się prawie zupełnie ciemno i wreszcie mogliśmy usiąść z innymi. Jak wielkie jednak było nasze rozczarowanie! Dostałyśmy tylko wodę i kilka kawałków endżery, suchych mącznych placków. Nie było do tego żadnego specjalnie przyrządzonego sosu, jakie ja znałam, lecz jakaś pasta o całkowicie nieokreślonym składzie, która miała taki obrzydliwy smak, że z trudem dawała się przełknąć. Zmuszałyśmy się do tego, bo z głodu i wyczerpania z trudem utrzymywałyśmy się na nogach.

Później dowiedziałam się, że tę pastę robiono z mączki z suszonych sardynek. Mączkę trzeba było ukręcić z wodą lub olejem, żeby w ogóle dała się jeść. Do tej pory nigdy nie jadłam ryby, coś takiego w Asmarze nie istniało. Ten proszek miał zresztą niewiele wspólnego z rybą, toteż nie musiałam zastanawiać się nad tym, czy nie łamię mojej przysięgi, że nigdy nie wezmę do ust żadnego zwierzęcia. W tym momencie zresztą pochłonęłabym nawet krwisty befsztyk, żeby zaspokoić dręczący głód.

W wojsku miałam poznać nie tylko głód, lecz także pragnienie, bo w naszym oddziale brakowało wszystkiego, z wyjątkiem broni i amunicji. Woda była racjonowana - każdy dostawał jeden pełny kubek i to musiało wystarczyć aż do następnego posiłku. Ten kubek to była często zardzewiała puszka z odciętym wieczkiem. Plastikowych kanistrów, w których przechowywano wodę, pilnował żołnierz. Podawało mu się kubek, on go napełniał, należało natychmiast wypić wodę i podać kubek następnemu z tłoczących się przed życiodajnymi kanistrami. Jak szybko wlewaliśmy w siebie tę wodę! Na smakowanie i siorbanie, na rozkoszowanie się nią, nie było czasu. Ledwo dostałaś kubek do ręki, już inni cię potracali i domagali się, żebyś szybciej piła, wyciągały się ręce, które chciały ci go wyrwać.

Jadło się nie dwa lub trzy razy dziennie, jak byliśmy przyzwyczajone - najwyżej raz dziennie dawano coś do jedzenia, a czasami tylko raz na dwa, trzy dni. Nam, dzieciom, trudniej było pojąć brak jedzenia niż rozmaite inne rzeczy, jakich tutaj doświadczaliśmy. Zasypialiśmy z burczeniem w żołądku, pracowaliśmy przez cały dzień, żeby znów kłaść się spać z burczeniem w żołądku. Byliśmy szczęśliwi, że możemy wypić kilka łyków z kubka. Bardzo żałosne było to życie, jakie pędziliśmy na tym pustkowiu w imieniu wolności Erytrei!

Wrogowie

W szkole pod dachem z falistej blachy mówiono nam dużo o wolności Erytrei i o wielkich ideach rewolucji skierowanej przeciwko etiopskim złoczyńcom. Tutaj, w tym tłumie zagubionych ludzi, nikt już chyba o tym nie pamiętał. Tutaj toczyła się przede wszystkim walka o przeżycie.

Tyle było naokoło rozmaitych zagrożeń, że trudno powiedzieć, co było największym niebezpieczeństwem. Pierwsze obozowisko naszego oddziału znajdowało się niedaleko linii frontu. Nie widzieliśmy wprawdzie walk, ale bez przerwy, w dzień i w nocy, słyszeliśmy huk: salwy karabinowe, wybuchy granatów, artyleria - cała symfonia trzasków i eksplozji. Nocą pojawiała się czasami łuna pożaru albo zostawiona przez pocisk smuga, rozcinająca czerń nieba na dwie nierówne części. Codziennie starsi wyruszali w kierunku tego hałasu,

żeby wziąć udział w walce. Jedni jechali, inni szli na piechotę. Niektórzy wracali dopiero po wielu dniach, inni już po kilku godzinach, nierzadko zalani krwią.

Żadne z nas, dzieci, nie wiedziało dokładnie, co tam się działo. Nikt nam nic nie mówił, nikt nie wyjaśniał położenia. Wiedzieliśmy tylko, że tam jest wróg, że tam jest niebezpiecznie. Nie pozwalano nam tam pójść, jeszcze nie. Zawsze chciałam wszystko zobaczyć, wszystko wypróbować, wszystko poznać - ale tam, skąd dochodziły te huki, wcale mnie nie ciągnęło. Podejrzywałam, że nie dzieje się tam nic ładnego. Nic, o co warto by było zabiegać. Wiedziałam, że są rzeczy, których nie muszę oglądać.

Nikt z nas nie wiedział, kim jest wróg i czego chce od nas albo czego my chcemy od niego. Byliśmy oddani ideałom ELF, podobnie jak druga strona było oddana ideałom EPLF. Tak było, chociaż wiedzieliśmy niewiele ponad to, że my jesteśmy ELF, a oni to EPLF, ale nie mieliśmy nawet pojęcia, co te skróty oznaczają. Jasne było tylko to, że nasza sprawa jest słuszna, a ich nie.

Nie zawracaliśmy sobie specjalnie głowy polityką, dla nas ważne były inne sprawy. Widzieliśmy, że w naszym oddziale coraz więcej osób choruje. Berka to malaryczna prowincja, i wszyscy wiedzieli, że nie jest dobrze, kiedy kogoś pogryzą komary. Wszyscy wiedzieli, że można od tego zachorować i dostać gorączki. I wszyscy wiedzieli, że tutaj, pod gołym niebem, nie można temu w żaden sposób zapobiec. Wieczorem, kiedy kąsały komary, tak samo nie mieliśmy dachu nad głową jak w ciągu dnia. Spaliśmy pod gołym niebem, nie było namiotów, siatek, żadnych środków przeciwko komarom.

Komary to była druga, obok EPLF, nieprzyjacielska armia, której musieliśmy stawić czoło; trzecią były szczury. Szczury towarzyszyły nam wszędzie. Wieczorem, kiedy układaliśmy się do snu, przemykały się ciągle między naszymi głowami. Rano w miejscach, w których przebywały, widzieliśmy pozostawione przez nie odchody. Zawsze dziwiłam się, dlaczego w naszym obozie jest tak dużo szczurów, chociaż nie ma prawie nic do jedzenia.

O ile malaria była „poważną” chorobą, do której należało odnosić się z szacunkiem, *chainicziwaj* była chorobą „niepoważną”. Ja też na nią cierpiałam, podobnie jak Cegehana. Pewnego dnia leżałam wieczorem na szmacie, która nie zasługiwała na to, żeby nazwać ją prześcieradłem,

a pod sobą czułam tylko kamienie i piasek. Byłam głodna, spragniona, brudna, przepełniona, a jednak trzęsłam się, bo zimą często panował chłód. Potem zaczęło się swędzenie, swędziały mnie nogi i stopy. Drapałam się i drapałam, ale swędzenie nie mijało, lecz stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Skóra płonęła ogniem. Zerwałam się, żeby zobaczyć, co mnie tak dręczy, ale w ciemności nic nie widziałam. Wpadłam w panikę - czy to nie były jakieś małe zwierzątka? Oszalała ze strachu, obudziłam siostry, ale one też niczego nie mogły dojrzeć, bo tymczasem zapadła całkowita ciemność. Zaczęłam płakać, aż podeszła starsza koleżanka.

Zapytała Jaldijan, co się stało.

- Jutro będzie lepiej - pocieszyła mnie. - Tylko nie drap, słyszysz? Trzymaj ręce daleko od nóg, bo będzie gorzej!

Wstała i poszła dalej. Leżałam nieruchomo. Co robić? Nie śmiałam się poruszyć, zmienić pozycji. Poczułam się trochę lepiej. Wprawdzie świąd pozostał, ale przestała mnie tak strasznie palić skóra. Był to wyraźnie efekt drapania. Dalej nic nie rozumiałam. Nikt się nigdy nie pofatygował, żeby coś wytłumaczyć czy pokazać dzieciom.

- Masz „szczurze oczy” - powiedziała mi później Jaldijan.

Chainicziwai, tak nazywa się ta choroba w naszym języku, bo ropne krosty na skórze wyglądają tak jak oczy szczurów.

Następnego dnia obejrzałam swoje nogi. Z obrzydzeniem przyglądałam się chorym miejscom. Inne dzieci śmiały się ze mnie, ale każde znało już te „szczurze oczy”. Mówiono, że chorobę powodują ugryzienia szczurów, ale to była bajka. W rzeczywistości była to przenoszona przez szczury infekcja spowodowana tym całym kurzem i brudem. Ugryzienia szczurów, a tych też często doświadczaliśmy, powodowały zwykle inne skutki: malutkich ranek pozostawianych przez ich zęby początkowo nie było prawie wcale widać na skórze. Dopiero z upływem czasu podchodziły ropą i stawały się coraz większe, a w końcu robiły się czerwone i wdawał się stan zapalny. Dzisiaj mam po nich na nogach blizny, które już nigdy nie znikną.

Pierwsza śmierć

Podniecenie ustępowało niespostrzeżenie innym troskom: skąd wziąć coś do jedzenia lub do picia? Jak się wykręcić od najcięższych prac?

Z chorobami nauczyliśmy się żyć. Mieliśmy wprawdzie w oddziale lekarza, ale niewiele mógł zdziałać - przynajmniej nie w takich „prostych” przypadkach. Przeważnie był zajęty opatrywaniem ciężko rannych i nie miał leków, żeby leczyć takie drobne bolączki, jak zropienia po ugryzieniach szczurów, grypy żołądkowe, zapalenia spojówek, efekty ukąszeń komarów, czy też wyciągać ciernie, które wlażyły w skórę. Istniały poważniejsze sprawy. Śmierć była na porządku dziennym.

Największy problem stanowił brak dostaw. Odczuwaliśmy to każdego dnia na własnej skórze: świadczył o tym głód, którego nie było czym nasycić. Pragnienie, którego nie dawało się zaspokoić. Zwłoki, które trzeba było codziennie usuwać. Nigdy przedtem nie widziałam martwego człowieka, z wyjątkiem przyjaciółki z sierocińca, która się wykrwawiła. Teraz wokół mnie było mnóstwo trupów. Widziałyśmy martwych bojowników, mężczyzn i kobiety, czy raczej chłopców i dziewczynki, bo większość walczących stanowili nieletni. Byli o wiele młodszy od mojego ojca, młodszy od Werhid, mojej macochy, i młodszy od Mbrat. Kiedy ktoś stwierdził, że ma dwadzieścia lat, uważałam to za poważny wiek. Nie było w obozie nikogo, kto by był w wieku mojego dziadka czy ojca.

Tutaj umierało się młodo. Pierwsze zwłoki, jakie zobaczyłam w obozie, były zwłokami dziewczyny. Leżała na uboczu, tam gdzie w czasie odwrotu po bitwie zrzucono ją z samochodu, twarzą do ziemi, ale po włosach zorientowałam się, że to dziewczyna. Miała długie, kręcone włosy, sterczące na wszystkie strony. Wszystkie byłyśmy wtedy tak uczesane - z włosami skręconymi na głowie niczym hełm. Włosy umarłych były czasami bardzo gładkie i przylegały do czaszki. To z powodu zaschniętej krwi. Pamiętam jeszcze, jak wtedy stałam i przyglądałam się. Nikt oprócz mnie nie interesował się tą dziewczyną. Trup nie był niczym nadzwyczajnym i nikt nie przychodził, żeby na niego popatrzeć. Codziennie były nowe trupy. Ale ja też byłam jeszcze zupełnie nowa, dla mnie to było coś niezwykłego. Nie wiedziałam, co począć. Nikt nic nie robił. Czasami trochę trwało, nim ktoś znalazł czas,

żeby zakopać trupy. Nie było to łatwe w tej kamienistej ziemi i przy straszliwym upale, jaki panował za dnia.

Dziewczyna po prostu leżała. Wokół niej brzęczały muchy. Pochyliłam się, żeby przyjrzeć się jej twarzy. Nie znałam jej, wtedy zresztą prawie nikogo jeszcze nie znałam. Jedno oko miała na w pół otwarte. Widać było dużo białka. Wydało mi się to nienaturalne, tak dużo białka w oku. Zakryłam twarz dłońmi. Robiłam tak zawsze, kiedy już czegoś nie mogłam wytrzymać. Z krzykiem uciekłam. Biegłam szybko, tak daleko, jak się tylko dało - za daleko nie mogłam odbiec, bo nie wolno nam było wychodzić poza obszar obozu. To było zbyt niebezpieczne, wszędzie mogli kryć się nieprzyjaciele, a teren był zaminowany. Niezależnie jednak od tego, jak daleko bym odbiegła, nie mogłam pozbyć się jednego - zapachu trupa. Odoru zwłok.

To jest najbardziej przenikliwy odór ze wszystkich mi znanych. Nie potrafię go opisać - jest nieco słodka wy, zgniły, cielesny. Pachnie nieszczęściem, zagładą. Kto raz go poczuł, rozpozna go zawsze i wszędzie, jeżeli jeszcze kiedykolwiek w życiu się z nim zetknie. Odór zwłok jest dla mnie czymś, czego nigdy nie zapomnę. Od dnia, kiedy poczułam go po raz pierwszy, rozpoznawałam go zawsze i natychmiast, i nigdy nie miałam wątpliwości, że w pobliżu musi być jakiś trup. Bardzo często jeszcze dane mi było go poczuć.

Potem przyszły hieny. W porównaniu z nimi i z krążącymi ciągle wokół obozu lwami, szczury były nieszkodliwymi zwierzątkami, na które prawie nikt nie zwracał uwagi. Hieny potrafiły znakomicie odróżnić odór trupów wśród wszystkich innych zapachów tego świata. Nie prześladowały ich, one go uwielbiały. Teraz hieny zaczęły swój śpiew. To był zaśpiew śmierci. Tego wieczoru usłyszałam go, po raz pierwszy zdając sobie sprawę z jego znaczenia. Śpiewały nad ciałem tej dziewczyny, na które narzucono prowizorycznie trochę kamieni, by pochować je dopiero następnego dnia, razem z nowymi trupami, które dostarczono do obozu dopiero wieczorem. Przeważnie w jednym dole chowano więcej ciał.

Śpiew hien przechodził zwykle w ochrypły, histeryczny śmiech. Nikogo zdawało się nie obchodzić to, że powodem tego makabrycznego koncertu są zmarli. Leżałam z dłońmi mocno przyciśniętymi do uszu, coś nuciłam i śpiewałam, żeby przekrzyknąć hieny, dopóki ktoś nie szturchnął mnie brutalnie, żebym się zamknęła. Więc próbowałam

hałasować po cichu. Uderzałam palcami o podłogę, szurałam nogami, kopałam w co się dało, żeby dźwiękami życia zagłuszyć koncert śmierci, ale mi się to nie udało. Śpiew, śmiech ścierwojadów był głośniejszy. Nie umilkł jeszcze, kiedy całkowicie wyczerpana zapadłam w niespokojny sen.

statni odwód

e snu wyrwały mnie kopniaki. To było normalne poranne powitanie takich jak ja śpiochów, gdyż najpóźniej o wschodzie słońca wszyscy musieli być już na nogach. Dostyc często trzeba było coś zrobić jeszcze w nocy, na przykład w pośpiechu zwinąć namioty, kiedy musieliśmy poszukać nowego miejsca na obóz. Albo rozładować ciężarówkę, która przyjechała w nocy. Albo w środku nocy przynieść wodę, bo za dnia było to zbyt niebezpieczne. Czasami nieprzyjaciel podchodził tak blisko, że w dzień nie mieliśmy odwagi wychylić nosa poza obóz.

W takie dni pracowaliśmy w obozie, gdzie nigdy nie brakowało roboty. Praliśmy bieliznę, ręcznie, z niewielką ilością mydła i jeszcze mniejszą wody. Miesiliśmy ciasto na endżerę, tłukliśmy ziarna kawy i czyściliśmy po walce mundury przełożonych.

Poza tym odbywało się szkolenie wojskowe. Jaldijan i Cegehana podlegały szkoleniu od samego początku, ja dopiero po kilku tygodniach. Nawet na ówczesne stosunki byłam jeszcze za mała na żołnierkę, gdyż zarówno ELF, jak i EPLF normalnie przyjmowały do wojska dopiero dwunasto-, trzynastolatków. Dzieci w tym wieku były według afrykańskich kryteriów młodymi dorosłymi. Zaczynano je szkolić, kiedy miały 11 lat, najpóźniej jako czternastolatki wszystkie trafiały na front.

W ELF, który wówczas dogorywał, ten system już zupełnie nie funkcjonował, przynajmniej w naszym oddziale, „Dżebha-al-Tahrir”, jak nazywali go nasi dowódcy. Czasami mówili tylko „Dżebha” albo tylko „Tahrir”. *Dżebha* znaczy front, *Tahrir* to jutrzeńka, nazwa odnosiła się do młodocianej części zgrupowania. Taką nazwę nosiły młodzieżowe brygady ELF, kiedy jeszcze było ich więcej. W swoich najlepszych czasach ELF liczył jakieś kilkadziesiąt tysięcy bojowników, ale teraz zostało ich około tysiąca, a może nawet jeszcze mniej. Z powodu czę-

stych przenosin, nerwowych, przypominających ucieczki odwrotów i zmiennego podziału na rozmaite formacje, nigdy nie widzieliśmy wszystkich żołnierzy w jednym miejscu. Pewne było tylko jedno: jesteśmy ostatnim odwodem tej armii.

Czasami nazywaliśmy nasz obóz „Che Guevara”, na cześć kubańskiego rewolucjonisty, bo Kubańczycy wspierali ELF, przede wszystkim dostawami broni. Początkowo nic mi to imię nie mówiło, dla mnie brzmiało to jak „czokubera” albo „czekubara”, zniekształcona wersja „Che Guevara” w języku tigrinia. Mieliśmy być *tegadelties*, odważnymi bojownikami, najmłodszyimi w historii erytrejskich ruchów wyzwolńczych.

Wcześniej obydwie ruchy utrzymywały własne organizacje, które miały dbać o szkolenie najmłodszych: „Czerwone Kwiaty” w EPLF, „Gwiazdy Poranne” w ELF. Przyjmowano do nich dzieci w wieku od sześciu do dziesięciu lat. Nie były to jeszcze dzieci-żołnierze, lecz dopiero kandydaci na bojowników. Nauczyciele z organizacji wyzwolńczych uczyli je czytać, pisać i rachować, a także udzielali im lekcji historii Erytrei, marksizmu i głosili chwałę własnej partii. Do tego dochodziły ćwiczenia paramilitarne: biegi, skoki, czołganie, musztra, topografia. Kiedy dzieci dorastały, dawano im broń i wysyłano na front. Walczono od zawsze, przeważnie przewagę miała armia etiopska, toteż partyzantom potrzebny był każdy żołnierz, nawet tak kiepsko wyszkolony.

Wraz z upadkiem ELF ten system osobnych oddziałów młodzieżowych, „Gwiazd Porannych”, przestał istnieć. Ostatni odwód Dżebhy nie znał już takiego rozróżnienia, teraz wszystko, co miało dwie nogi i chociaż z trudem, ale potrafiło utrzymać broń w ręku, wrzucano do jednego worka. Tak było również w mojej jednostce. Wtedy, kiedy moje siostry i ja przybyłyśmy do „Che Guevary”, „Gwiazdy Poranne” walczyły razem z „dorosłymi”, pierwotny system szkolenia dawno już się załamał. Jedyne, co zostało z „Gwiazd Porannych”, była piosenka, którą bez przerwy kazano nam śpiewać:

*Gwiazda poranna nigdy nie zachodzi,
świeci zawsze
dniami i nocą
Gwiazda poranna świeci wiecznie...*

Lubiłam ten tekst i melodię. Ta piosenka dodawała mi nadziei, kiedy już nie wiedziałam, czy mogę jeszcze mieć jakąkolwiek nadzieję.

W tym okresie, na początku lat osiemdziesiątych XX wieku, nie miało już najmniejszego znaczenia, kim byli bojownicy ELF i jakie mieli wykształcenie. Nie chodziło o wyzwolenie Erytrei, nie chodziło o zbrojną walkę polityczną, chodziło już tylko o zwyczajne przeżycie. Walka Erytrejczyków o niezależnienie od Etiopii trwała już od ponad dwudziestu lat i nie robiła prawie żadnych postępów. Nie tylko z powodu technicznej i liczebnej przewagi wojsk etiopskich oraz wielkiej pomocy ze strony Związku Radzieckiego, przyczyną był także brak jedności wśród samych Erytrejczyków, uwikłanych w wojnę domową. ELF, starsza organizacja partyzancka, i EPLF, która się od niej oddzieliła, zwana Szabią, arabskie słowo oznaczające „lud”, najbardziej zawzięcie zwalczały siebie nawzajem.

Już w 1979 było wyraźnie widać, że EPLF zdobywa przewagę, a w 1981 ELF była wykończona. W 1980 wstąpiłyśmy do armii, która nie miała już przed sobą żadnej przyszłości. Ojciec przyprowadził nas do przegranej strony.

Pod bronią

Dżebha była czymś w rodzaju ruchliwej firmy, która zajmowała się szkoleniem ciągle nowego narybku. W „Che Guevara” najpierw zostały oswojone z bronią moje dwie starsze siostry. Jaldijan od razu na początku naszego tam pobytu wciśnięto do ręki broń, kałasznikowa. To jest duży i ciężki karabin, ale Jaldijan była już go w stanie jakoś utrzymać. Pewien starszy żołnierz pokazał jej, jak się go ładuje i odbezpiecza, a potem kazano jej strzelać w stronę pustyni, w pustkę. Na początku nie było to dla niej łatwe - siła odrzutu sprawiała, że zaraz po strzale padała na ziemię. Dopiero po pewnym czasie uświadomiła sobie, że jeżeli chce utrzymać się na nogach, powinna oprzeć się o kamień lub drzewo. Wtedy było trochę lepiej, ale lufę ciągle podrywało do góry albo w bok. To cud, że przypadkiem nie zastrzeliła swojego instruktora.

Moja najstarsza siostra i broń, to zupełnie do siebie nie pasowało.

Kiedy wkrótce potem także moja średnia siostra, Cegehana, zaczęła ćwiczenia z kałasznikowem, wydało mi się to jeszcze dziwniejsze. Z trudem do mnie docierało, że tu chodzi o życie lub śmierć! Siostry widziały dotychczas tylko w otoczeniu naszych kóz albo kur. Pamiętałam je z narzędziami kuchennymi w ręku, z nożem, którym obierały jarzyny. Z miską, w której robiły pranie. Z małymi kijkami w dłoni, bawiące się z kotami albo z naszym psem. A teraz kazano im z ciężką bronią biec przez pustkowie, zabijać ludzi, strzelać, uciekać przed kulami nieprzyjaciela?

Codziennie widziałam je z bronią, jak nią manipulują, ładują, zakładają na ramię, prezentują. Robiły to, bo tego od nich wymagano. Tu nie było się nad czym zastanawiać. Nie było miejsca na wątpliwości ani protest. W naszym obozie wkrótce stał się to widok najbardziej oczywisty, także dla mnie. O strzelaniu, zabijaniu i strachu się nie mówiło.

Nie było innej możliwości. Był tylko niewypowiedziany strach. Wkrótce miałam się o tym przekonać z własnego doświadczenia, gdyż im dłużej byliśmy w „Che Guevara”, tym gorzej wiodło się naszej jednostce. Często nie przychodziły żadne dostawy, wtedy przez dwa albo trzy dni nie było co jeść. Nic. Zupełnie nic. Żołnierze próbowali coś upolować, ale prawie wszystkie zwierzęta już dawno uciekły z okolicy, wystraszone obecnością wielu ludzi, hałasem bitewnym i codzienną strzelaniną.

Nasz obóz nieustannie się przenościł, bo albo napierał wróg, albo nikt nie wiedział, gdzie właśnie znajduje się nieprzyjaciel. Coraz częściej zdarzało się, że nie mogliśmy znaleźć miejsca, żeby rozbić nasze namioty. Wtedy te trochę rzeczy, jakie jeszcze mieliśmy, pozostawało na ciężarówkach, tak że w każdej chwili byliśmy gotowi do wyruszenia w dalszą podróż. Kiedy upał stawał się zbyt wielki, w ciągu dnia leżeliśmy w cieniu samochodów albo pod jakimś drzewem, a na noc zwijaliśmy się w kłębek na platformie albo pod ciężarówką. Byliśmy bezbronni wobec upału i zimna. Nie mieliśmy nic do jedzenia i prawie nic do picia. Ponieważ często zmienialiśmy miejsce postoju, za każdym razem trzeba było od nowa szukać oczek wodnych albo dokopywać się do świeżych źródełek.

Bihuk

Popołudniowe słońce paliło ogniem piaszczystą łacę, na której rozbił obóz nasz oddział. Znajdowaliśmy się w pobliżu Biszy, zapadłej dziury na skraju równiny Dar na zachodzie Erytrei w prowincji Berka. Był to jeden z najbardziej opuszczonych i najgorętszych zakątków kraju. Powietrze tańczyło migotliwie wśród ciernistych krzaków i zarośli rosnących na kamienistych zboczach, wznoszących się zaraz za równiną. W ostatnich miesiącach wszystko stało się jeszcze bardziej szare i bezbarwne: tych kilka kępek trawy, krzaki, ciernie. Nawet zielone zazwyczaj kaktusy zdawały się wyblakłe. Ich miąższ zrobił się twardy jak kamień, a gruba warstwa pyłu pokrywała rośliny o wysokości człowieka. Niebo nad naszymi głowami nie było już błękitne, jak jeszcze zimą i wczesną wiosną, teraz tam w górze było białe od upału. Słońce wędrowało po niebie niczym mleczna kula, która zdawała się roztopiać w przestworzach. Nad ziemią stało nieruchome powietrze, duchota była nie do zniesienia, nic nawet nie drgnęło. Nie było słyhać żadnego dźwięku, śpiewu ptaka, cykania świerszczy. Od czasu do czasu docierały do nas tylko dalekie grzmoty i trzaski frontowej strzelaniny.

Leżałam w cieniu pod rozpiętą plandeką i próbowałam uniknąć promieni słońca, które prażyło, przenikając przez niezliczone dziury. Starałam się jak najmniej ruszać, bo przy każdym ruchu człowiek oblewał się potem. Robiło się coraz bardziej gorąco i wilgotnie, wszyscy byli rozdrażnieni i wyczerpani.

Zaledwie ułożyłam się jakoś względnie wygodnie między ostrymi kamieniami a plamami słońca, kiedy w obozie znów rozległ się ciężki tupot „dużych” - jak mówiliśmy o trochę starszych od nas żołnierzach.

- Wstawaj, leniuchu! - wrzasnął na mnie jeden z nich. - Rusz się. Nie ma wody!

To brzmiało jak katastrofa. Zawsze była katastrofa, kiedy brakowało wody. Nie tylko dlatego, że nie mieliśmy co pić. Także dlatego, że trzeba było iść kopać.

Z trudem wytoczyłam się z cienia i przetarłam oczy, bo w końcu troszkę przysnęłam. Michael, ten, który mnie obudził, był jednym z najbardziej ordynarnych żołnierzy. O strach przyprawiały mnie już same jego żółte zęby, wystające z ust na wszystkie strony. Rozbiegane,

nabiegłe na ogół krwią czerwone oczy i chude pajęczne nogi, zawsze skore do kopniaków, nie przyczyniały się do zmniejszenia mojego strachu. Raz i jeszcze raz jego stopa wylądowała na moich plecach.

- Wstawaj, bihuk! - warknął na mnie. - Dalej, do kopania!

Tak naprawdę *bihuk* to ciasto z mąki, wody i soli, a więc pozbawiona smaku masa. W znaczeniu przenośnym *bihuk* to „tchórz”. Słowo, które często wyciskało mi łzy z oczu. Nie chciałam być tchórzem. Chciałam być silna i odważna, jak inni.

Zerwałam się, żeby pobiec do sióstr, które w towarzystwie kilku innych większych dziewczynek leżały pod plandeką w drugim końcu obozu. Ale już po pierwszym kroku coś mnie odrzuciło jak od niewidocznej ściany. Upałam! Jak strasznie paliły podeszwy stóp! Nie dało się przelecieć na bosaka. Gdzie się podziały moje gumowe klapki? Zaczęłam gorączkowo szukać. Zajrzałam pod wszystkie maty, leżące na ziemi pod plandeką, odrzuciłam kilka plastikowych torebek, koc, jakieś ubrania - nic.

- Szukasz czegoś? - zaśmiał się szyderczo Michael i znów uniósł swoją obrzydliwą, ostrą stopę do kopniaka. - No, czego szukasz?

Nie odpowiedziałam i grzebałam dalej. Michael trząsał się ze śmiechu. Brzmiało to jak meczenie rozhisteryzowanej kozy.

- Może szukasz tego? - zawołał, wymachując przed moimi oczami karabinem, na którego lufie kiwały się moje gumowe klapki.

- Bezcelny typ! - wrzasnęłam i rzuciłam się na niego. Śmiejąc się zrobił krok do tyłu i tak cofał się przede mną, zawsze o jeden krok dalej niż ja. Łzy nabiegły mi do oczu, kiedy biegłam po rozpalonej ziemi i ostrych kamieniach.

- Spójrzcie na tego tchórze, jak się drze! - Michael zwijał się ze śmiechu. Pogwizdywał przez swoje krzywe zęby, żeby zwrócić uwagę innych na mój przedziwny taniec.

Nadbiegli pierwsi widzowie, klaszcząc w dłonie.

- Skacz, mały tchórze, skacz!

Zrozpaczona, starałam się złowić swoje buty, podskakując to na jednej, to na drugiej nodze. Długo nie byłam w stanie ustać w jednym miejscu, na to ziemia była o wiele za gorąca. Karabin, buty, Michael, widzowie, którzy ustawili się w krąg wokół nas i wyli z radości, wszystko to rozpułyło się za kurtyną łez.

- Zostawcie ją w spokoju, idioci! - nagle wszyscy umilkli. To

była Agawegahta, jedna z przywódczyń. - Dawaj! - wrzasnęła na Michaela.

Michael nawet nie pomyślał o tym, żeby się jej przeciwstawić. Bez słowa ściągnęłam z lufy karabinu, którą wyciągnął w moją stronę, swoje klapki i włożyłam je na stopy. Cóż to za rozkosz, nie musieć już stać na gorących kamieniach! Michael wzruszył ramionami i poszedł w swoją stronę. Także inni się rozeszli, bo nie było się już na co gapić. Chciałam podziękować Agawegahcie, ale ona tylko machnęła ręką.

- Rób, co do ciebie należy. Potrzebujemy wody!

W tym momencie wydała mi się jeszcze większa i potężniejsza, niż już przecież była i tak. Agawegahta nie była kobietą, która by czekała na podziękowania albo na odpowiedź. Skinęłam więc tylko głową i odeszłam w milczeniu.

Ostatnie zabawy

Agawegahta była jedną z trzech lub czterech najpotężniejszych osób w naszym oddziale. Ja uważałam ją za najważniejszą, bo była jedyną kobietą wśród dowódców. Mogłam się do niej zwrócić, i czasami się mną zajmowała. Agawegahta było potężną kobietą, silną jak mężczyzna. Miała szerokie ramiona, muskularne ręce, żylaste uda, a mimo to nie wyglądała jak mężczyzna. Miała kobiece rysy, długie włosy, które zgodnie z ówczesną modą sterczały na wszystkie strony, przycięte na okrągło. Czasami splatała je w warkocz. Zachowywała się głośno, była silna, chodziła szybko i mówiła dużo. Miała głos zbyt niski jak na kobietę, ale za wysoki jak na mężczyznę. Agawegahta sprawiała wrażenie dorosłej, choć miała dopiero osiemnaście, najwyżej dwadzieścia lat. Umiała zabijać i wrzeszczeć, ale nie było po niej widać, że bez wahania potrafi stosować przemoc. W każdym razie nie zawsze. Była osobą budzącą szacunek, do której ja od samego początku odnosiłam się z mieszaniną strachu i podziwu.

Kiedy dotarłam do miejsca odpoczynku moich siostr, już ich nie było. Musiały gdzieś pójść. Miałam całą robotę wykonać sama? Dokopać się do wody, napełnić pojemniki i donieść je do obozu? Bezradnie rozglądałam się wokół. Powietrze ciągle było nieruchome, ale coś się zmieniło. Czy biel nieba trochę żółkła? Tego jeszcze nigdy nie

widziałam. Wysłałam spod cienia plandeki, żeby objąć wzrokiem cały horyzont. Wtedy zobaczyłam siostry, przykucnięte między dwiema skałkami - schowały się, żeby nikt nie mógł narzucić im jakiejś pracy. Wcale nie były zachwycone na mój widok.

- Co ty tu robisz, Senait? - wrzasnęła na mnie Jaldijan.

- Trzeba przynieść wodę - powiedziałam półgłosem. - Nie dam sobie rady sama...

- Nic ci innego nie pozostanie - wyszczerzyła zęby Jaldijan - ja nie mam czasu. Zaraz mam ćwiczenia! - na potwierdzenie swoich słów wskazała na kałasznikowa, który leżał obok niej.

Od czasu, kiedy moja najstarsza siostra dostała do ręki broń, była całkowicie odmieniona. Nie chciała mieć już nic wspólnego z takimi dzieciuchami jak ja, chociaż byłam jej siostrą. Nie interesowały jej już nasze - rzeczywiście, często głupawe - zabawy. Nie chciała robić z nami piłki ze starych gałganów i sznurków, którą przywiązywałyśmy do drzewa, żeby potem z rozbiegu uderzać w nią kijem. Nie chciała przykucać z nami na ziemi i z kilku kamieni tworzyć zarysy pałacu, w którym każda z nas miała swoją komnatę i urządzała ją jeszcze mniejszymi kamykami, zgodnie ze swoim gustem i humorem. Jaldijan chciała być żołnierką.

- Cegehano, choć ze mną ty! - poprosiłam średnią siostrę. Miała już wprawdzie w ręku kałasznikowa i kilka razy próbowała z niego strzelać, ale niewiele jeszcze z tego wynikało, wiedziała już jednak, co to znaczy odrzut w takim karabinie - przekonała się, że jest to coś bardzo silnego. Po pierwszym strzale tak gwałtownie rzuciło ją na ziemię, że jeszcze ciągle miała na twarzy, ramionach i nogach ślady po zadrapaniach od kamieni i cierni, wśród których wylądowała. Toteż Cegehana wołała pracować w szpitalu. Szpitalem był dach, pod którym znajdowało się parę koców, trochę materiałów opatrunkowych i kilka strzykawek. Strzykawki Cegehana miała podawać człowiekowi, który mówił o sobie doktor. Wiele zdziałać nie mógł, w każdym razie nie w najcięższych przypadkach: ciężko ranni mogli albo pożegnać się z życiem, albo liczyć na cud.

Cegehana nie ceniła sobie pracy w szpitalu, bo widziało się tam za dużo krwi, złamanych kości i innych okropieństw. Ale ciągle było to jednak lepsze niż front. Strzelanie przejmowało ją grozą, nie była w stanie opanować odrzutu karabinu i naturalnie odczuwała strach

przed wrogiem. Nie miała już odwagi, żeby przyznawać się do zabaw swojego dzieciństwa. Kiedy byłyśmy same, zbierała jeszcze wprawdzie ze mną kamyki, z których budowałyśmy nasze małe pałace. Ale kiedy tylko pojawiał się ktoś inny, udawała, że czegoś szuka, a nie bierze udziału w zabawie.

- Skoro nie możesz strzelać, musisz iść po wodę! - warknęła Jaldijan. - No, idź!

Woda!

Wzięłyśmy z Cegehaną łopate, starą, rozciętą u góry dużą puszkę po konserwie i dwa plastikowe kanistry. Poszłyśmy w dół, do rzeki. Nie było w niej wody, tylko wyschnięte łożysko. Od blisko roku prawie wcale nie padało. Zaledwie kilka razy pojawiły się krótkie mżawki, które niosły za mało wody, żeby nawilżyć chociażby najwyższe warstwy ziemi. Te rzadkie opady zamieniały się natychmiast w parę w zetknięciu z gorącymi kamieniami i piaskiem. W korycie, którym kiedyś płynęła woda, widać było tylko kamienie, piasek, żwir i kilka wyschniętych krzaków.

Mimo to tutaj miałyśmy jedyną szansę, żeby dotrzeć do wody - tam właśnie podchodziła trochę wyżej pod powierzchnię niż gdziekolwiek indziej na tym zwałowisku. Każdy centymetr, o który musiałybyśmy kopać głębiej niż to konieczne, wymagał w tym upale ogromnego trudu.

Niczym psy gończe szperałyśmy wśród żwiru. Jamy, które wykopałyśmy ostatnim razem, wyschły całkowicie - woda znalazła sobie inną drogę. Uważnie rozsuwałyśmy zarośla, rozgrzebywałyśmy wyschnięte kępki trawy, żeby dotknąć piasku między suchymi źdźbłami, podnosiłyśmy kamienie, żeby natrafić na ślad wilgoci. Zaglądałyśmy pod skalne występy, odrzucałyśmy po kilka kamieni, wydrapywałyśmy trochę ziemi - nic. Ani śladu wody, ani jednej chociażby trochę zielonej gałązki, kępki trawy, która wskazywałaby na obecność cennej wilgoci.

Posuwałyśmy się coraz dalej w górę rzeki. Byłyśmy w coraz gorszych humorach, bo im bardziej oddalałyśmy się od obozu, tym dalej będziemy musiały nieść wodę i tym gorzej zakończy się ten dzień.

Niebo tymczasem przyjmowało barwę, jakiej jeszcze nigdy nie widziałam: było bladego, matowożółtego koloru, co nigdy nie zdarzało się tutaj na pustyni. Teraz także Cegehana zwróciła na to uwagę.

- Może będzie padać - powiedziała.

Deszcz? Ogarnęły mnie najmiłsze wspomnienia ciepłego, miękkiego, cudownego deszczu, w którym pławiliśmy się w Asmarze, podskakując ze szczęścia jak szaleni. Czy tutaj w ogóle istniało coś takiego?

Przez chwilę miałam nadzieję, że ominie nas największa udręka.

- Jeżeli będzie padać, to znaczy że nie musimy szukać wody? - zapytałam.

Cegehana zawahała się i spojrzała w niebo.

- Nie jestem pewna, czy naprawdę będzie padać - zastrzegła. - Czasem tylko tak wygląda, ale nic się nie dzieje.

Moja nadzieja zgąsła, niczym świeczka na wietrze.

- Musimy szukać?

Cegehana w milczeniu skinęła głową. Na niebo nie można było liczyć, bo gdybyśmy wróciły do obozu bez wody, bez wątplenia dostałybyśmy za swoje. Tak więc znów spuściłyśmy wzrok na ziemię, żeby nie umknął nam nawet najmniejszy ślad wody. Nagle, za ziemnym nawisem, odkryłam wilgotne miejsce. Rosło tam kilka kępek trawy, które nie całkiem jeszcze uschły. Od razu zabrałyśmy się do kopania, ryjąc jak krety i ciągle się zmieniając. Jedna kopała łopata, druga gołymi rękami wrywała kamienie. Wykopany przez nas dół miał już pół metra i od dawna byłyśmy złane potem, ale ciągle odrzucałyśmy tylko wilgotny piach. Kiedy już byłyśmy bliskie rezygnacji, stał się cud: piasek nagle trochę ściemniał, wyczuwało się naprawdę ślad wilgoci. Harowałyśmy jak oszalałe, aż na dnie dołu zebrała się mętna kałuża. Kopałyśmy dalej, a kałuża była już głęboka na dłoń, na dwie dłonie, wreszcie osiągnęła głębokość równą wysokości naszej blaszanej puszk. Ostrożnie zanurzyłyśmy puszkę w wodzie, poczekałyśmy, aż się napełni, i wlałyśmy pierwszą porcję do kanistra. Ta woda nie była przeznaczona dla obozu, a tylko dla nas. Tylko dla nas! Łapczywie przywarłyśmy do brzegów pojemnika i wlewałyśmy w siebie brązową ciecz.

Woda smakowała obrzydliwie, a zarazem wspaniale: wyglądała

jak mętny sok owocowy i miałyśmy wrażenie, jakbyśmy zlizywały krople z glinianej ściany. Była cierpka, zapiaszczona i miała zapach zbutwiałej ziemi. Była to jednak woda, i to było najważniejsze. Wiedzieliśmy, że z piciem należy poczekać, aż osiądą największe zanieczyszczenia, żeby ograniczyć trochę niebezpieczeństwo biegunki, ale w tym momencie absolutnie nie byliśmy w stanie wykazać się takim rozsądkiem. Gardła paliły nas ogniem, głowy gotowały się z upału, czułyśmy się wyschnięte jak sama pustynia. To była uczta! Kiedy już zaspokoiłyśmy pragnienie, oblałyśmy się nawzajem tą cieczą po twarzach, wylewałyśmy ją sobie na głowy, pozwalałyśmy, żeby ściekała nam po plecach. Co za rozkosz!

Nagle zatrzymałam się i spojrzałam na niebo. Czyżby już zbliżał się wieczór? Należało w takim razie jak najszybciej napełnić kanistry i zataszczyć je do obozu, raz, drugi i jeszcze raz, i jeszcze raz. Ale to nie był zwykły zmierzch. Niebo nie robiło się ciemne lub czerwone, jak zwykle wieczorem, zmieniło tylko kolor z jasnożółtego na ciemnożółty. Powietrze stawało się coraz cięższe. A na dodatek wydawał się coraz bardziej przybliżać huk frontu. Co to było? Czyżby jednak miało padać? Teraz, kiedy już miałyśmy wodę?

Nie mogłyśmy liczyć na deszcz, bo inni czekali już niecierpliwie, aż przyniesiemy wodę. Im później przyjdziemy, tym pewniej dostaniemy lanie. Napełniłyśmy więc pośpiesznie kanistry, powiązałyśmy je przyniesionymi sznurkami, zarzuciłyśmy na plecy, i ciężko obciążone ruszyłyśmy w drogę, a każda z nas targała dwadzieścia litrów. Kiedy dotarłyśmy do obozu, natychmiast wyrwano nam wodę i rozdzielono. Razem z kilkoma innymi dziećmi kazano nam wracać po następny transport.

Kiedy szłyśmy z powrotem do naszej tymczasowej studni, uważałyśmy, że jesteśmy bardzo ważne. W końcu to my znalazłyśmy wodę i teraz możemy zaprowadzić tam innych. Ale nim doszłyśmy w pobliże naszej studni, grzmoty stawały się coraz głośniejsze. To nie był huk armat, to było coś innego. Spojrzałyśmy w górę. Niebo nie było już żółtawe, lecz szare. Nagle przemknęła błyskawica, wokół nas zaczęło grzmieć. Chciałyśmy się gdzieś ukryć, kiedy z łoskotem lunął deszcz. Zaczęła się ulewa - i to jaka! Najpierw spadło tylko kilka pojedynczych dużych kropli, potem było ich coraz więcej i wkrótce lało już jak z cebra, a w końcu rozpętał się istny potop. Wyrosła przed

nami ściana deszczu, w ciągu kilku sekund byliśmy całe przemoknięte. Potrwało chwilę, nim wszyscy pojęli, co się stało - pada deszcz! Wreszcie pada deszcz!

Tańczyliśmy jak szalone w łożysku rzeki, obejmowałyśmy się, wyrzucałyśmy w górę ramiona, otwierałyśmy szeroko usta, zwracałyśmy twarze ku niebu, żeby schwycić jak najwięcej tej cudownej mokrości. Tylko ja i Cegehana spojrzałyśmy po sobie z pewną irytacją - czy dziś po południu nie grzebałyśmy się w ziemi jak idiotki, a okazało się, że nie było to nikomu do niczego potrzebne?

Wszędzie wokół zbierały się małe kałuże i bajorka wody, o wiele lepszej i świeższej od tej zgniłej cieczy, do której tak mozolnie się dogrzebałyśmy. Najważniejsze jednak było to, że padał deszcz. W okamgnieniu napełniłyśmy kilka kanistrów i szczęśliwie pobiegłyśmy do obozu. Był to najpiękniejszy wieczór od długiego czasu! Prawie zapomniwałyśmy o tym, że naokoło trwa wojna i panuje nędza. Nieprzyjaciel odczuwał chyba tak samo, w każdym razie frontu nie było w ogóle słychać. A może po prostu wszystko zagłuszał deszcz?

Zwłoki

Kiedy następnego ranka obudziło mnie słońce, całkowicie przemoczoną, ale ciągle jeszcze przepełnioną szczęściem zaspokojonego pragnienia, nie mogłam uwierzyć własnym oczom: tuż obok obozu, tam gdzie wczoraj jeszcze było suche łożysko rzeki, wyschnięte kamieniste koryto, dzisiaj pędził szeroki, spieniony nurt, tak rozszalały, że nawet dorosły tylko z trudem zdołałby go przekroczyć. Wszyscy stali w zdumieniu i patrzyli na ten cud. Widziałam strumyki i małe rzeczki, ale z tak wielką ilością wody nigdy jeszcze nie miałam do czynienia.

My, dzieci, pobiegłyśmy do rzeki i moczyłyśmy nogi w wodzie. Chętnie byśmy wskoczyli do niej po szyję, ale już kiedy się stało z nogami zanurzonymi do półtada, trudno się było utrzymać. Woda z tajemniczą siłą opływała i atakowała moje nogi, chciała mnie przewrócić i porwać w głębinę. Z tak silnym prądem nikt z nas jeszcze nigdy się nie spotkał. Wycofaliśmy się przerażeni i stojąc na brzegu, próbowaliśmy poznać siłę rzeki.

Obydwie z Mihret byłyśmy tak zafascynowane, że pomaszero-

wałyśmy w górę rzeki, aż do następnego zakola. Mihret była trochę starsza od Cegehany, dumna bojowniczką i pieśniarką, święcie wierząca we wszystko, co robi. Koryto rzeki, ta szeroka niecka, pełna żwiru i kamieni, było prawie całkowicie wypełnione wodą. Doszłyśmy do miejsca, gdzie woda nie była tak głęboka i porywista, lecz jedynie nieśmiało lizała kamienie. Rzuciłam się przed siebie, żeby spróbować, jak daleko można wejść w tym miejscu do rzeki, wdrapałam się na skałę i skoczyłam w dół.

Już w locie najchętniej bym zawróciła. Gdybym tylko potrafiła, zatrzymałabym się w powietrzu i z miejsca odleciała z powrotem. To było jednak niemożliwe. Wylądowałam na czymś miękkim. Jak ugryziona przez tarantulę odbiłam się jak sprężyna i odskoczyłam na bok z przeraźliwym krzykiem. Krzyczałam i krzyczałam, i nie mogłam przestać krzyczeć. Mihret myślała, że zraniłam się, skacząc, i szybko podeszła do mnie. Kiedy zobaczyła to, co kryło się za skałą, stanęła jak wryta i też zaczęła krzyczeć. W samym środku wesołej zabawy utworzyło się przed nami piekło.

Za skałą leżały trupy. Rozszalała rzeka porwała zwłoki. Ciała o nabrzmiałych, wydętych brzuchach, strasznie cuchnące, w zakrwawionych szmatach, o pomazanych szlamem gołych stopach, z brązowo, niebiesko, czerwono połyskującą skórą i sklejonymi mułem i krwią włosami. Cofnęłyśmy się ze wstrętem, nie mogąc oderwać wzroku od zwłok, kołyszających się łagodnie przy brzegu.

Dopiero po jakimś czasie odzyskałyśmy mowę. Któraś wskazała palcem kawałek dalej w górę rzeki - tam kołysały się na falach jeszcze jedne zwłoki. Rozejrzałyśmy się wokół. Także na drugim brzegu leżał trup, zahaczony o gałęzie ciernistego krzaka. Z tyłu, tam gdzie wczoraj mozolnie szukałyśmy wody, zaplątane w przybrzeżnych gałęziach, leżały dwa następne. Ostrożnie podeszłyśmy bliżej do tych dwóch, które zobaczyłam na początku. Kto to był? Żołnierze nasi czy nieprzyjaciela? Czy to w ogóle byli żołnierze?

Nie byłyśmy w stanie nikogo rozpoznać, bo twarze zmarłych były krwawą miazgą, a ciała napęczniałe i zniekształcone. Ledwo odważyłam się rzucić na nie okiem. To byli na pewno żołnierze, bo byli młodymi mężczyznami, a w tej okolicy wszyscy młodzi mężczyźni byli żołnierzami, albo naszymi, albo EPLF. Po której stronie walczyli, tego już nie dało się stwierdzić: wszyscy byliśmy poubierani w takie

same, zniszczone ciuchy z plastikowych worów międzynarodowych organizacji charytatywnych, dżinsy, sportowe koszulki i koszule. Gumowe klapki pospadały im z nóg.

Również wszyscy mieliśmy taką samą czarną skórę. Większość należała do ludu Tire, nieliczni do Kunama, mieszkających tutaj, w prowincji Berka. Jedni i drudzy mówią tym samym językiem tigrinia. Wszyscy byli do siebie podobni, mieli skórę tego samego koloru, takie same włosy. Nie istnieją dające się zobaczyć albo usłyszeć różnice między Dżebhą a Szabią, między ELF a EPLF. Niczym się nie różnią ani żywi, ani umarli. Nie byliśmy w stanie stwierdzić, czy ci tutaj to byli martwi przyjaciele, czy martwi wrogowie. Niezależnie od tego, kim byli, dla mnie wszyscy stali się nieprzyjaciółmi, bo od tego dnia prześladowali mnie w snach.

Za następnym zakolem rzeki zobaczyłyśmy następne trupy. Wzburzone, pobiegłyśmy z powrotem do obozu. Tam początkowo nikt nam nie uwierzył i nie chciał z nami pójść. Byłyśmy jednak tak wstrząśnięte, że dali się przekonać. Przerażeni, zaczęli snuć domysły, któż by to mógł być i w jaki sposób trupy dostały się do rzeki. Ktoś rozpoznał dwa ciała: to byli bojownicy ELF, którzy zniknęli z naszej jednostki już kilka tygodni temu. Uważano powszechnie, że nie zginęli, ale uciekli, żeby nie musieć dalej walczyć. Agawegahta uznała, że uciekając, dostali się w ręce EPLF i ich stracono. Powiedziała to spokojnie, jak gdyby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie.

Podziwiałam ją. Inni krzyczeli i lamentowali, ale Agawegahta zachowywała spokój. Przechodziła od jednego ciała do drugiego, żeby przekonać się, czy nie zdoła kogoś zidentyfikować. Jeżeli któryś leżał twarzą do ziemi, odwracała go. Niektórych trupów nie dawało się już rozpoznać, bo miały zbyt zniekształcone twarze.

Śmierć jest wszędzie

Starsi bojownicy szybko przestali się interesować tymi zwłokami.

- Mamy to na co dzień - powiedział jeden. - Śmierć jest wszędzie.

To zdanie kazało mi się zastanowić. Czy w każdym zakątku czatuje ktoś, kto nazywa się „śmierć”? Czy to jest taka sama osoba jak

wszystkie inne? Nie miałam odwagi zapytać kogoś o śmierć, obawiając się, że mnie wyśmiej. To było na pewno bardzo głupie pytanie, na które wszyscy znali odpowiedź z wyjątkiem mnie. Tak więc zdusiłam je w sobie i jak często w milczeniu przetrawiałam swoje myśli.

Następnego dnia Agawegahta zawołała kilkoro dzieci, które jeszcze nie nosiły broni. Poleciała nam wydobyć ciała z rzeki. Wytrzeszczyłam na nią oczy. Ja miałabym dotykać tych trupów, ruszać i gdzieś je odciągać?

- Tak trzeba - stwierdziła twardo Agawegahta. - Jeżeli zostaną tutaj, zatrują nam wodę i nie będziemy mieli co pić.

Podkreśliła, że nie wolno nam pić wody z rzeki. Wodę należało najpierw wlać do kanistrów i przegotować w obozie, dopiero wtedy będzie nadawała się do picia. Ciała mieliśmy wyciągnąć na brzeg i zakopać tak daleko, że z całą pewnością nie będą zatrzuwać spływających do rzeki wód gruntowych.

Musieliśmy więc wydobywać zniekształcone zwłoki, tkwiące głęboko w piasku naniesionym przez nurt wody. Trzeba było siłą wyciągać je z ich mogił i wciągać do góry po skarpie, na kamienistą równinę. Rano jeszcze raz spadł deszcz, ale na krótko. Woda płynęła już o wiele wolniej niż jeszcze wczoraj - rwący nurt przemienił się w leniwie wijący się strumyk. Byłby cudownym miejscem do zabawy, gdyby nie leżały w nim te przerażające trupy. Gdyby nie ten odór.

Nad rzeką i nad całą okolicą ciągle wisiał zapach rozkładających się ciał. Początkowo było to jakby słabe przeczucie czegoś niedobrego, potem poczułam typowy słodkawy smród i w końcu w moich płucach zaległ odór zgnilizny i rozkładu. Chciałam zasłonić czymś usta i nos, ale nie znalazłam niczego odpowiedniego. Tak bardzo pragnęłam mieć teraz na sobie tradycyjny ubiór naszych kobiet: strój z otulającą włosy białą chustą, którą w razie potrzeby można było zasłonić także twarz, przede wszystkim usta i nos. Do tej pory zawsze wyśmiewałam się z tych chust, uważając je za staromodne. Teraz bardzo by mi się coś takiego przydało. W końcu znalazłam strzęp jakiejś koszulki, którą na uparteo mogłam obwiązać sobie twarz. Nic to jednak nie pomagało. Kiedy podeszłam do jednego z ciał, prosto w nos uderzyła mnie fala tego odoru i dostałam mdłości. Zdołałam jeszcze zerwać z twarzy koszulkę, inaczej zwymiotowałabym w nią.

W głowie mi huczało, przechylona nad kamieniem przeklinałam

w myśli wszystko: ELF, tę wojnę, martwych kolegów i Agawegahtë, mój ideał. Jak mogła kazać nam, dzieciom, wykonywać tę najstraszniejszą z wszystkich prac? Tysiąc razy wolałabym spełniać najtrudniejsze i najcięższe zadania - przynosić wodę, rozpalać ogień, zbierać drewno. Ale rozkazowi Agawegahty nikt nie potrafił się przeciwstawić.

Parami lub trójkami wyszarpywaliśmy i wyciągaliśmy trupy z rzeki. Niektóre nie dawały się wcale ruszyć, tak że musieliśmy zabierać się do nich we czworo lub pięcioro. Pod wieczór, kiedy zostało nam jeszcze dużo pracy, usłyszeliśmy śmiech kojotów. Najpierw daleko, potem coraz bliżej. Męczyły nas także roje much, a szczury przemykały tak blisko, że mogłam je dotknąć ręką.

Minęło trochę czasu, nim byłam w stanie przynajmniej na chwilę rzucić okiem na zniekształcone twarze nieżywych. Ich rysy nie nosiły śladów jakiegoś wielkiego bólu czy cierpienia. Widziałam tylko fizyczne zniszczenie, pozostawione przez walkę, tortury lub rwący nurt i kamienie w łóżysku rzeki. Patrzyłam na zapuchnięte oczy, poszarpane policzki, wywichnięte szczęki, połamane nosy.

Poukładaliśmy ciała na wysokim brzegu, ale była to dopiero połowa pracy, nie mogliśmy ich tam zostawić. Z powodu kojotów, z powodu much, z powodu szczurów i z powodu smrodu trzeba je było zakopać. W tych warunkach trudno było myśleć o szacunku dla zmarłych.

Jeszcze tego samego dnia zabraliśmy się do kopania dołów. Nie dla wszystkich wystarczyło łopat, toteż niektórzy musieli rozgrzebywać ziemię gołymi rękami. Pełno w niej było kamieni i skalnych odprysków, które musieliśmy mozolnie usuwać, żeby wykopać dół, w którym mogłyby się zmieścić wszystkie trupy. Było już prawie ciemno, kiedy razem z innymi poruszyłam ogromny kamień, leżący tuż przy twarzy jednego z martwych. Nagle uderzyła mnie w nos tak silna fala trupiego odoru, że zrobiło mi się czarno przed oczami. Straciłam przytomność i obudziłam się dopiero w środku nocy, leżąc na ziemi. Kiedy tylko otworzyłam oczy, zorientowałam się, że jestem jeszcze ciągle w pobliżu trupów. Wprawdzie nic nie było widać, ale tak teraz, jak i przedtem w powietrzu wisiał przeszywający smród, ten przenikający wszystko trupi odor, który natychmiast przypomniał mi o tym, od czego chciałam uciec.

Praca trwała jeszcze przez cały następny dzień. Mieliśmy wielkie

kłopoty z wodą. Jednemu z chłopców zrobiło się niedobrze. Ciagle wymiotował, miał kurczki i gorączkę. Jego przyjaciel modlił się, żeby przeżył. Wszyscy szybko dostaliśmy biegunki, w tym nie było nic nadzwyczajnego, na to nie zwracało się uwagi. Jadaliśmy po kilkanaścioro z jednej miski, która z braku wody nigdy nie była myta, tylko szorowana piaskiem. Jedliśmy rękami, jak wszyscy Afrykanie, ale nie było wody, żeby umyć ręce przed jedzeniem, jak to się zwykle robi. Zapasy jedzenia magazynowaliśmy pod gołym niebem, chroniąc je tylko byle jak przed szczurami, insektami i słońcem. Wszystko, co się nadawało do jedzenia, mieszałyśmy razem, nawet jeżeli do siebie nie pasowało: mączkę rybną z olejem, dynię z jagłami, mąkę pszenną z sojową śrutą - chodziło przede wszystkim o to, żeby choć trochę zaspokoić głód. W takich warunkach biegunka była nieunikniona, a kłopoty żołądkowe były na porządku dziennym. Chłopiec, który poprzedniego dnia napił się wody z rzeki, nie potrafiąc opanować pragnienia, nie cierpiał na zwykłą biegunkę: wyglądał tak, jak gdyby miał wyrzucić z siebie wszystko, razem z wnętrznościami. Umarł kilka dni później i nikt nie potrafił mu pomóc.

Susza

Po tym doświadczeniu zaczęliśmy przegotowywać wodę. W tym celu trzeba było jednak przynieść o wiele więcej niż normalnie drewna na opał. Dopiero po dłuższym czasie skończyła się ta dodatkowa gehenna i mogliśmy oddać się codziennym udrękom. Rzeka tymczasem znów prawie całkowicie wyschła. Wprawdzie nie trzeba było jeszcze kopać w piasku półmetrowych studni, żeby dotrzeć do wody, ale trochę musiałyśmy pogrzebać, zanim ukazała się mętna ciecz. Wszyscy mówili, że powinno jeszcze kilka razy mocno popadać. Dorośli ciągle zerkali w niebo, z powątpiewaniem i nadzieją. Tam jednak można było zobaczyć tylko wspaniałe, świetliste błękit i kilka białych niewielkich obłoczków, które w najmniejszej mierze nie wyglądały na deszczowe chmury. Codziennie to samo: błękitne niebo i świecące jasno słońce. Słuchając wieczornych rozmów, nauczyłam się nowego słowa, które coraz częściej z zatroskanymi minami powtarzali wszyscy: susza.

Woda jeszcze była. Jeszcze byłyśmy w stanie bez wielkiego

zachodu wykopać dołek, napełniający się brunatną cieczą, która służyła nam za wodę. Już prawie zapomniałam, jak wygląda i jaki ma smak przejrzysta, czysta, świeża woda. Za wodę uważałam brunatną, ciepłą, pełną piasku ciecz o zapachu ziemi, szlamu, mułu. A przecież byliśmy bardzo zadowoleni, że jest chociaż to, że mamy co pić i w czym gotować. Polewanie się, mycie - na taki luksus mogliśmy sobie pozwolić coraz rzadziej, w miarę jak przeciągał się okres bez opadów deszczu, a cały horyzont coraz bardziej zdecydowanie zajmował lśniący błękit nieba.

Jak by to było dobrze, gdybyśmy mogli pozwolić sobie na to, by ta brunatna woda spłynęła po naszych ciałach zlanych potem po codziennych ćwiczeniach. Nazywało się to „szkołą”, ale w niczym nie przypominało tego, co dotychczas uważałam za szkołę. Na początku pobytu w „Che Guevara” obserwowałam tylko z oddali, jak każdego ranka zbierano najmłodszych mieszkańców obozu, żeby udzielić im instrukcji i poddać odpowiedniej zaprawie fizycznej. Instynktownie zawsze trzymałam się nieco z boku i chodziłam własnymi drogami, bo czułam, że znienawidzę ten trening.

Mihret i Agawegahta

W tej samej chwili, kiedy Mihret powiedziała mi, że od dziś mam prawo uczestniczyć w tym treningu, znienawidziłam go. „Mam prawo” to nie było właściwe stwierdzenie, powinna raczej powiedzieć „muszę”. Myślała zapewne, że będę zachwycona, jeżeli powie „mam prawo”. Jak bardzo się myliła!

Mihret myliła się często. Wtedy postanowiłam, że nie jest moja przyjaciółką, nie mogę mieć do niej zaufania, i w miarę możliwości postaram się nie wypełniać jej rozkazów. Mihret miała może jedenaście albo dwanaście lat i była wyższa ode mnie najwyżej o półtorej albo dwie głowy. Zachowywała się jednak jak dorosła. Bardzo chciała znaleźć się w dowództwie, ale na to była jeszcze za młoda. Komenderowała natomiast najmłodszymi żołnierzami w naszym oddziale i ciągała nas na musztrę i ćwiczenia w strzelaniu, takie, jakie odbywali starsi.

Mihret była krępa, dobrze wyszkolona i bardzo z tego dumna. Chciała zostać małą maszynką do walki. Zawsze miała krótko obcięte włosy, duże piersi ukrywała pod luźną koszulką. Nosiła spodnie pan-

terki w ochronnym kolorze, z których też była bardzo dumna i zawsze chodziła z przewieszonym przez ramię karabinem. Wszędzie taszczyła ze sobą ciężkiego kałasznikowa, co dawało jej poczucie siły.

Była rubaszna i chciała taką być. Znała najbardziej pieprzne dowcipy i najokrutniej sze żarty, lubiła głośno bekać, a kiedy się śmiała, biła się po udach. Pewnego razu była gotowana wołowa wątroba, co na szczęście zdarzało się dosyć rzadko, a Mihret chciała mi ją za wszelką cenę wcisnąć. Była to najobrzydliwsza potrawa, jaką mogłam sobie wyobrazić, a Mihret napawała się moją odrazą. Wyjmowała śmierdzące jasnobrązowe skrawki wątroby z brązowawej szumowiny, w której się gotowały, i podsuwała mi je przed nos. Kiedy spróbowałam uciec, potarła mnie takim kawałkiem i wybuchła swoim tubalnym śmiechem.

Nie tylko na pierwszy rzut oka Mihret wyglądała jak chłopak, a nie jak dziewczyna, i dokładnie o to jej chodziło. Kiedy jednak otwierała usta, wrażenie pryskało. Głos miała bardzo wysoki i kiedy chciała mówić głośno, piszczała. Nie było w jej głosie nic groźnego, tylko histeria. Takiego skrzeczenia nikt nie mógł brać poważnie.

Chłopiec z zasady był więcej wart niż dziewczynka, nie tylko tutaj, na froncie, lecz w ogóle. W naszej kompanii było dużo kobiet, ale najważniejszymi szefami byli mężczyźni. Kobiety, nawet sprawujące funkcje kierownicze, były zawsze odpowiedzialne tylko za dzieci - z wyjątkiem Agawegahty. Agawegahta była równa mężczyznom. Była moim ideałem. Była tak samo silna jak mężczyzna. Jej słowo miało taką samą wagę jak słowo mężczyzny. Dla mnie znaczyło jeszcze więcej, bo była jedyną kobietą w dowództwie „Che Guevary”. Odpowiadała mi to, bo wyobraziłam sobie, że dziewczyna też może wiele osiągnąć, jeżeli tylko bardzo tego chce. Ja nigdy nie będę taka, to nie ulegało wątpliwości. Byłam zbyt wielkim tchórzem i nie znosiłam ćwiczeń wojskowych. Nienawidziłam musztry.

Mihret chciała być taka jak Agawegahta, ale jej się to nie udawało. Tylko wrzaskiem potrafiła zdobywać sobie posłuch, gdy Agawegahta nie musiała podnosić głosu, żeby powiedzieć to, co chciała powiedzieć. Była pewna swojej sprawy, gdy Mihret zawsze tylko chciała sprawić Wrażenie, że jest pewna. Czułam bardzo wyraźnie, że Mihret zaledwie pozuje na kogoś, kto wszystko może. Za nią stała tylko jej matka, która sama była żołnierką i uczyniła żołnierkę z córki.

Matki Mihret nie było u nas. Nikt nie wiedział, gdzie się podziawała. Mihret popisywała się czasami, opowiadając o bohaterskich czynach swojej matki, ale nie wierzyłam w ani jedno jej słowo. Może jej matka już nie żyła, może zginęła na wojnie, gdyż inaczej byłaby chyba z nami w Berce i walczyła z silniejszym wrogiem. Dla nas liczył się przecież każdy mężczyzna i każda kobieta, codziennie nam to powtarzano. Jak matka Mihret mogła być bohaterką, skoro nie było jej teraz na froncie?

Ćwiczenia

- Siadaj - rozkazała Mihret, wskazując na kurz u swoich stóp. Przed nią siedziało już kilkudziesięcioro dzieci, najmłodszy bojownicy „Che Guevary” - my, „Gwiazdy poranne”. Większość była trochę starsza ode mnie, mieli po osiem do jedenastu lat. Kilkoro wyglądało tylko na starszych, bo byli ode mnie więksi. Czułam się okropnie, byłam najmłodsza i najmniejsza, i każdy mógł nawymyślać mi od smarkatych. Mimo to chętnie zbierałabym dalej drewno na opał, przynosiła wodę i wykonywała te wszystkie prace, którymi obarczono najmłodszych. Nie miałam jednak żadnej szansy: nikt wprawdzie nie zwolnił mnie z wykonywania ciężkich prac, zastrzeżonych dla dzieci, ale dodano do nich jeszcze „dorosłe życie”. Bunt by do niczego nie doprowadził. Od dziś musiałam robić jedno i drugie, pracować i ćwiczyć. Najchętniej rozbeczałabym się, ale tego nie należało robić. Wzięłam się więc w garść, na ile to było możliwe, i słuchałam wykładu Mihret.

Mówiła o Erytrei i o tym, że uwolnimy ten kraj od wszystkich nieprzyjaciół, że naszym najgorszym wrogiem jest EPLF.

- Zwycięzimy- mówiła Mihret- bo słuszość jest po naszej stronie. Nigdy się nie poddamy.

Poddać się? To nie byłby zły pomysł, pomyślałam. Czy to by nie było najprostsze? Jak mamy zwyciężyć, jeżeli wszyscy są przeciwko nam?

Kiedy Mihret skończyła swój wykład, nikt się nie odezwał. Nie rozumiałam, dlaczego Mihret nam to wszystko mówiła, przecież słyszeliśmy już po tysiąc razy, że to my jesteśmy dobrzy, a wszyscy inni

są źli. Mihret rozglądała się pełna oczekiwania, ale nic się nie działo. Zrobiła się nerwowa.

- Za mną! - krzyknęła i zeskoczyła z kamienia, na którym siedziała. - Idziemy na ćwiczenia! - Wszyscy byli zadowoleni, że przestała bajdurzyć, i radośnie zerwali się z miejsc. - Ty też pójdziesz z nami! - wskazała na mnie. Tego się obawiałam. Miałam ćwiczyć razem z innymi.

Plac ćwiczeń znajdował się tuż obok obozu. Teren na nim był wprawdzie wyrównany, ale z piasku sterczała masa wielkich skalnych odłamków.

- Kryć się - ryknęła nagle Mihret, i wszyscy rzucili się na ziemię. Wszyscy oprócz mnie. Ja po prostu stałam. Sterczałam nieruchomo wśród tych wszystkich dzieci, padających na ziemię i kryjących się za jakimiś kamieniami, i przypatrywałam się im. Potem spojrzałam na Mihret. Przycupnięta za kamieniem, patrzyła prosto na mnie. Pozostałe dzieci przykucnęły za swoimi kamieniami i trwały bez ruchu. Stałam jak sparaliżowana, nie wiedząc, co robić. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co zrobiłam. Gapiłam się na Mihret. Ona ma mi rozkazywać? Tego nie mogłam zrozumieć.

Mihret była tak wytracona z równowagi, że zajęło jej chwilę, nim zareagowała. Coś takiego nigdy jej się jeszcze nie zdarzyło. To był opór, bunt? Przez małą wieczność mierzyłyśmy się wzrokiem, potem Mihret zerwała się na nogi, wydała piskliwy wrzask i z pełnym nienawiści spojrzeniem rzuciła się na mnie. Nic nie zrobiłam, kiedy z całą siłą uderzyła mnie w twarz. Impet uderzenia przewrócił mnie na ziemię. Mihret nie odpuściła. Jeszcze kilka razy uderzyła mnie po głowie i po plecach, zaczęła kopać.

- Nie słyszałaś? - wrzeszczała. - Masz się kryć!

Kopniakami zepchnęła mnie za jakiś kamień.

- Tutaj, smarkulo, za kamień - ryczała. - Kryć się! - Dopiero teraz zostawiła mnie w spokoju i ryknęła na innych: - Czego się gapiacie? Macie się kryć! Nad waszymi głowami świszczą kule, rozumiecie, idioci? Dalej!

Wszyscy znów rzucili się na ziemię i popełzli we wskazanym przez Mihret kierunku.

Pod wpływem uderzeń oprzytomniałam. Ze zdumieniem dotknęłam twarzy. Krew zabarwiła na czerwono moje palce. Płynęła

z nosa i z ust. Przestraszyłam się, bo widziałam to już u wielu żołnierzy, którzy potem umierali. Nie miałam jednak czasu, żeby się nad sobą uzalić, bo Mihret znów spoglądała groźnie w moim kierunku. Natychmiast poczołgałam się za innymi w stronę zbocza. Posuwałam się z trudem, od uderzenia o kamień bolało mnie ramię. Poza tym rozdrapałam sobie nogę. W kurzu ciągnął się za mną wąski krwawy ślad. Prośba o zwolnienie mnie na ten dzień z dalszych ćwiczeń nie miałyby wielkiego sensu. Starałam się być niewidoczna i kuliłam się za każdym kamieniem, tak żeby nikt nie mógł mnie zobaczyć, a już na pewno nie Mihret.

Mihret zdawała się być zadowolona. Znów panowała nad swoim wojskiem. Czołgaliśmy się przez kilkaset metrów wśród gęstych zarośli. Kiedy wrzasnęła „Naprzód!”, musieliśmy się unieść i pognać przed siebie, ciągle skuleni, możliwie najniżej nad ziemią, co nie przychodziło nam trudno, bo i tak wszyscy byliśmy mali. Na zakończenie kazała nam się ustawić i przyjąć postawę na baczność. Przechadzała się przed nami i darła się na każdego, kto chociaż trochę wysuwał się przed lub poza szereg, albo jego dłonie nie przylegały dokładnie do ud. Koniuszkami palców wyczuwałam krew, zastygającą w strupy na mojej nodze. Musieliśmy mieć wzrok skierowany prosto przed siebie, i nie wolno nam była patrzeć na nikogo, nawet na Mihret. Stanie bez ruchu przychodziło mi bez trudu. Mimo to jednak takie ćwiczenie wydawało mi się pozbawione sensu.

Wreszcie Mihret była zadowolona i zwolniła wszystkich innych, ale mnie kazała zostać. Natychmiast obudził się we mnie strach. Może znów będzie mnie bić? Pozostałe dzieci patrzyły z zaciekawieniem, ale Mihret je przepędziła. Kiedy zostaliśmy już tylko we dwie wśród kamieni, złapała mnie za koszulkę i zaczęła szarpać. Zasycała groźnie:

- Jeżeli jeszcze raz się postawisz, każę ci przez całą noc targać kamienie, a do tego złoję skórę, rozumiano?

Bez słowa skinęłam głową.

- Zjeżdżaj! - ulżyło mi i już chciałam pobiec, ale Mihret wymierzyła mi jeszcze cios w potylicę, który omal nie powalił mnie na ziemię. Zatoczyłam się.

- Idź! - powiedziała.

Taki zadany mimochodem cios nie był niczym wyjątkowym.

Każdy dorosły mógł go wymierzyć bez najmniejszego powodu każdemu dziecku. To należało do rytuału. Odeszłam pospiesznie. Marzyłam tylko o odrobinie spokoju, chciałam położyć się na chwilę w strasznym południowym upale, nim znów trzeba będzie drążyć ziemię w poszukiwaniu wody.

Przydział broni

Już po paru tygodniach pobytu w ELF zatraciłam wszelkie poczucie czasu. Nie wiedziałam nawet, czy jest lato, jesień, czy już zima. W Asmarze zawsze było wiadomo: stolica położona jest w tak wysokich górach, że z łatwością można odróżnić pory roku. Jesienią noce są chłodne, zimą panuje zdecydowany ziąb - czasami temperatura nie przekracza pięciu czy dziesięciu stopni. Wtedy szczyty gór na horyzoncie otula gęsta mgła, która wczesnym rankiem opada czasami także na miasto. Zimą niebo w ciągu dnia jest promiennie niebieskie i przejrzyste, a latem, kiedy upał skrzy się nad płaskowyżem, białawo-niebieskie. Naprawdę gorąco jest tylko latem.

W Berce, w zachodniej Erytrei, jest zawsze gorąco, niezależnie od pory roku. Tutaj na dobrą sprawę nie należałoby się w ogóle ubierać, bo przy najmniejszym ruchu człowiek spływa potem. Także noce nie dają orzeźwienia, tylko trochę ochłody, co kończy się wraz z pierwszymi promieniami porannego słońca. W tej okolicy wszystko jest zawsze gorące i suche, każdy kamień, każde ziarenko piasku, każdy pień drzewa. Jak można rozróżnić pory roku?

Byłyśmy już od kilku miesięcy w „Che Guevara”, kiedy pewnego ranka, zaraz po pobudce przyszła do mnie Agawegatha.

- Chodź ze mną - powiedziała szorstko. Zawsze mówiła szorstko. Było dla mnie oczywiste, że powinnam od razu zerwać się na nogi i podreptać za nią.

Zaprowadziła mnie do dużego namiotu, który często budził moje zainteresowanie. Zastanawiałam się, kto też w nim mieszka. Wejście było zawsze zasłonięte, a ja nigdy nie odważyłam się podejść bliżej. Co chciała mi tu pokazać duża Agawegahta? Że nie ona mieszka w tym namiocie, którego płachtę teraz odrzuciła, o tym wiedziałam.

Agawegahta weszła do ciemnego przedsionka i dała mi znak,

żebym szła za nią. Wstrzymałam oddech. Moje oczy bardzo wolno przyzwyczajały się do panującej w namiocie ciemności. Stopniowo zaczęłam rozróżniać jakieś kontury. Stały tu skrzynie, paki i pudła ułożone w wysokie stopy. Przy każdym przenosinach obozu musieliśmy ładować je na ciężarówkę, a po przybyciu na miejscu zdejmowaliśmy je z platform, ale gdzie je magazynowano, tego nam, najmłodszym, nie zdradzano. Może duzi bali się, że możemy rozdrapać te chowane przed nami zapasy.

Agawegahta otworzyła jedną z drewnianych skrzyń i coś z niej wyjęła. Zorientowałam się co to było dopiero wtedy, kiedy wcisnęła mi to do ręki. Omal nie wypuściłam tego przedmiotu, taki był ciężki. Karabin automatyczny zwany kałasznikowem! Spojrzałam pytająco na moją bohaterkę.

- Należy do ciebie - powiedziała. - Pilnuj go!

To rozumiało się samo przez się, bo broń dla każdego w obozie była największą świętością. Wszyscy wszędzie ciągnęli za sobą karabiny i nigdy nie spuszczały ich z oczu, a nikomu nie było wolno tknąć cudzej broni. Nawet śpiąc, zawsze miało się karabin pod ręką, gotów, by za niego chwycić.

Mała żołnierka

Ja mam nosić broń? Być żołnierką? Brać udział w walkach, tak jak inni? Nie wiedziałam, czy mam być dumna, czy raczej się bać, ale w końcu zwyciężył strach. Wobec Agawegahty nie śmiałam jednak okazywać swoich uczuć. Wzięłam tego metalowego potwora i chciałam go wytaszczyć bez słowa, żeby pokazać siostrze, ale Agawegahta mnie zatrzymała.

- Zapomniałaś o czymś! - powiedziała. - Czegoś nie wzięłaś!
Spojrzałam na nią zdezorientowana.

- Czym chcesz strzelać? - zapytała ze złością.

Oczywiście, amunicja. Agawegahta podała mi pudełko naboju, które z trudem tylko mogłam udźwignąć, mając już w ręku karabin.

- Idź - fuknęła na mnie ostro, ale jednocześnie niemal po macierzyńsku - i powiedz, żeby ci najpierw pokazali! Niech cię przeszkolą! Jacyś towarzysze mieli mi powiedzieć, jak się strzela.

Ciężko obciążona ruszyłam chwiejnym krokiem w stronę swojego legowiska. Czy mam przez cały dzień targać za sobą ten karabin? Był przecież o wiele za ciężki, żebym mogła go stale nosić, nie mówiąc już o ładowaniu i strzelaniu. Pewnie wszyscy uśmieją się do łez, kiedy będę szła przez obóz, ciągnąc za sobą ten ogromny przedmiot. Ukradkiem rozejrzałam się wokół, ale nikt się nie śmiał, nikt się nie gapił, nikt nie zrobił żadnego gestu. Tylko ja ugiinałam się pod jego ciężarem. Byłam jednocześnie dumna i bliska łez.

Nie miałam wyboru, musiałam robić, co do mnie należało. Często słyszałam uwagi, że „nie mamy już nic do stracenia”. Nie rozumiałam tego. Nie chciałam przegrać. Może uda nam się nie przegrać, kiedy i ja stanę do walki z bronią w ręku. Jestem bardzo potrzebna, myślałam, bo każdego dnia ktoś nie wracał z frontu, umierał z odniesionych ran albo przepadał bez wieści. W naszym oddziale było coraz mniej ludzi.

Nie wszyscy, którzy zniknęli, zginęli albo dostali się do niewoli, tyle już wywnioskowałam z rozmów dużych. Wielu po prostu uciekało, niespostrzeżenie rzucało broń i brało nogi na pas. Za obozem, wśród zarośli, ciągle znajdowano porzucone karabiny, niezawodny znak, że znów ktoś uciekł.

Wiele osób próbowało dostać się do pobliskiego Sudanu, nie chcąc trafić jeszcze raz do wojska - ELF, EPLF, czy zgoła etiopskiego. Niektórym się to nawet udawało. Otwarcie nigdy nikt o tym nie mówił, a już na pewno nie ze mną, najmłodszą żołnierką. Słowo „ucieczka” wyławiałam tylko czasami z prowadzonych szeptem rozmów starszych, które podsłuchiwałam przypadkowo albo specjalnie. Ucieczka była surowo zakazana. Zastanawiałam się, dlaczego mimo to uciekano. Normalnie w obozie działo się tylko to, co było dozwolone.

Nasi dowódcy w swoich przemówieniach mówili zawsze tylko o „wolności”, „ojczyźnie”, „Erytrei”, także o „wrogach”. Wrogowie to był przede wszystkim EPLF, a dopiero na drugim miejscu Etiopczycy. Byłam jak najdalej od zastanawiania się nad tym, kim są nasi wrogowie. Ja miałam innych nieprzyjaciół: głód, pragnienie, upał, szczury, hieny, ćwiczenia wojskowe i ten okropny ciężar, tego kałasznikowa, którego miałam wszędzie ze sobą ciągnąć.

Głód

Nie chciałam i nie mogłam nosić zawsze ze sobą karabinu. Ta ogromna kupa żelastwa była zbyt duża, żebym mogła przewiesić ją sobie po prostu przez ramię, jak to robili w czasie zajęć więksi, na przykład kiedy maszerowali albo pełzali, kryjąc się. Karabin był za ciężki, żebym mogła go udźwignąć, niosąc jednocześnie kanister z wodą, naręcze drewna na opał albo łopatę. Jeżeli go zarzuciłam na plecy, przyginał mnie do ziemi, jeżeli zawiesiłam go z przodu, ściągał mnie z wysokiego brzegu do rzeki, a kiedy pięłam się po bezdrożach, ciągle się o niego potykałam. Obijał mi się o nogi, kiedy chciałam się schylić, żeby coś podnieść. Zjeżdżał mi z ramion, kiedy się kryłam, i walił mnie po nogach. Nie dawałam sobie z nim rady. Nie chciałam.

Karabin, chluba dorosłych, dla mnie stał się szybko balastem, widocznym dla wszystkich symbolem mojej fizycznej słabości. Obciążenie było już i tak wystarczająco duże, szczególnie od kiedy do ciężkiej, codziennej pracy i fizycznej tresury systematycznych ćwiczeń wojskowych doszła trzecia plaga, dla mnie i dla pozostałych najgorsza ze wszystkich: głód. Głód nie pojawiał się na kilka godzin przed i kilka godzin po posiłku, lecz towarzyszył nam zawsze, dzień i noc wżerał się w moje wnętrzości i nie pozwalał myśleć o niczym innym, oprócz tego, gdzie zdobyć coś do jedzenia.

Jednego musiałam nauczyć się ja i moje siostry, musiały się nauczyć wszystkie dzieci z „Che Guevary”: nie należy spodziewać się, że nasza oddziałowa kuchnia zaserwuje nam coś, co będzie się nadawało do jedzenia. Nie miało sensu czekać na ciężarówkę, która przywoziła kilka worków zboża lub ryżu albo parę skrzynek z puszkami mączki rybnej. Owoców i jarzyn nie było już od dawna, a myśl o mięsie wszystkim, z wyjątkiem mnie, bo ja mięsa nie jadłam, zdawała się nieosiągalnym marzeniem. Nie mieliśmy kóz, owiec ani kur. Jak bardzo marzyłam o tym, żeby chociaż raz zjeść jajko albo wypić szklanekę koziego mleka! Już na samą myśl o tym zbierała mi się ślinka. Takich rarytasów tutaj nie było, a nawet od dawna już nie dostawaliśmy regularnie zawsze takiej samej w smaku endżery czy rybnej papki. Bywało, że przez kilka dni nie docierało żadne zaopatrzenie. Zdarzało się, że wyjedliśmy wszystkie zapasy aż do ostatniej szczypty mąki, i kiedy dostawa się spóźniała, przez kilka dni nie było co jeść.

Nawet kiedy wreszcie pojawił się nowy transport, wcale nie było pewne, że dostaniemy coś do jedzenia. Dlatego na wiele godzin przedtem, nim mógł być gotowy posiłek, podkradaliśmy się ukradkiem do paleniska na placu. Pewnego razu wspólnie z siostrami zorganizowałyśmy dyżury, żeby nie przegapić właściwego momentu. Kobiety przygotowujące jedzenie zabarykadowały się za swoim prowizorycznym paleniskiem zbudowanym po prostu z polnych kamieni i zardzewiałego żelastwa. Jaldijan i Cegehana wyznaczyły mi dyżur na popołudnie. Chciałam stanąć na warcie tuż obok ogniska, bo liczyłam na to, że któraś z kobiet, jeszcze nim wszystko będzie gotowe, poda mi może nad kamieniami kubek rybnej mączki albo zwitek ciasta. A może zapyta, czy nie zechciałabym pomóc przy gotowaniu - to byłoby dopiero wspaniałe!

Bardzo się pomyliłam.

- Zjeżdżaj stąd, smarkulo! - wrzasnęła jedna z kobiet, ciskając w moją stronę kamieniem, tak że tylko szybki refleks uchronił mnie od uderzenia. Musiałam być ostrożna! Jak kotka podkradłam się teraz z innej strony i schowałam się za jakimiś skrzynkami. Spędziłam tam kilka godzin przykucnięta, z burczeniem w żołądku, obserwując każdy ruch przy kuchni: zagniatanie ciasta, potem formowanie placków, które następnie rzucano na płytę do smażenia. Kucharki siekały drobno dynie i ugniatały małe kawałki na sos, gotując je z wodą i solą. Kiedy zbliżała się pora jedzenia, znalazłam się w rozterce: czy powinnam, jak było umówione, sprowadzić siostry, czy najpierw zadbać o siebie? Konflikt sumienia szybko rozwiązał się sam, bo obydwie same się pojawiły, skuszone obiecującymi zapachami z kuchni. Jednocześnie ze wszystkich stron zaczęli napływać ludzie, cisnęli się do kuchni i zbili się w gęsty tłum przy palenisku.

Niewiele brakowało, a sama nie zdołałabym w porę dopchać się do garnka. Jak ugryziona przez tarantulę podskoczyłam i zaczęłam przeciskać się do przodu. Dużi spychali mnie na bok, tutaj rządziło prawo silniejszego. Kiedy próbowałam przeczołgać się na czworakach między nogami dorosłych, poczułam się jak w młynie: nogi rozdzielały kopniaki, dłonie i ramiona próbowały mnie wyciągnąć, ciała stały tak blisko jedno przy drugim, że z trudem udawało mi się precyzyjnie między nimi. Wreszcie jednak wywalczyłam sobie miejsce w pierwszym rzędzie, ale za późno - właśnie wydano ostatnią porcję endżery,

ostatni talerz zupy z dyni. Dla mnie zostało kilka listków ciasta, które przylepiły się do blachy, i kleista resztkę dyniowej papki, której nikt nie zauważył. To było za mało, żeby mój żołądek natychmiast nie zaczął domagać się więcej.

Tłum wokół pieca rozproszył się jeszcze szybciej, niż się zgromadził. Pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że następnym razem będę miała więcej szczęścia.

Na łowach

Nie chciałam liczyć na szczęście, więc postanowiłam na własną rękę szukać czegoś do jedzenia. Wyruszyłam na łowy, w nadziei, że znajdę coś jadalnego. Inne dzieci, ale także dorośli, którym nie wystarczało to, co dostawali z oficjalnego kotła, polowali na wszystko, co się ruszało i chociaż z grubsza wyglądało na jadalne. Włazili na drzewa i zarzucając siatki lub pętle na kijach, łapali ptaki, nietoperze i chrabąszcze. Rozgrzebywali ściółkę nad rzeką, szukając żółwi, strzelali do nielicznych gazeli i innej dzikiej zwierzyny, jaka jeszcze została, albo zastawiali pułapki, w które chwyтали myszy, ziemne wiewiórki, jakieś podobne do kretów zwierzątka, nornice, które kopały sobie jamy pod ziemią. Piekli, smażyli i zjadali wszystko, co wpadło im w ręce, nawet jeżeli to było tylko kilka sztuk szarańczy albo chrabąszcze. Były to najnudniejsze posiłki, jakie można sobie wyobrazić: kilka zwęglonych kosteczek, jakieś osmalone kawałki sierści albo kilka kęsów, jakie można było znaleźć na szkielecie małego ptaszka.

Ja nigdy nie brałam udziału w tych polowaniach, bo nie byłam w stanie jeść mięsa. Wprawdzie byłam tak samo głodna jak inni, ale nie mogłam sobie wyobrazić, że miałabym wgryzać się we włókniste, półsurowe mięśnie albo wrywać plasterek mięsa spod pancerza żółwia. Uważano mnie za wariatkę, która woli umrzeć z głodu, niż zjeść coś, co jej nie smakuje, ale ja nie miałam wyboru, nie mogłam nic na to poradzić. Zwymiotowałabym, wgryzając się w chude ciało nietoperza, nawet jeżeli było mi niedobrze z głodu.

Jadłam inne rzeczy. Obrywałam liście, które wydawały mi się mniej twarde niż inne, jeżeli mogłam je znaleźć. Z kilku suchych gałązek rozparałam malutki ogienek i w zardzewiałej blaszanej

puszcze rozgotowywałam je z odrobiną gliniastej wody. Wprawdzie w smaku było to wstrętne, ale udawało mi się trochę zapełnić pustkę w żołądku.

Czasami na opuszczonym polu znajdowałam małe buraki albo wygrzebywałam z ziemi korzonki roślin. Gotowałam je i zjadałam, nie wiedząc, co jem. Czasami miałam szczęście i znajdowałam bulwę, która wyglądała jak cebula i którą widziałam już w garnku u dorosłych. Największym sukcesem takie poszukiwania kończyły się przede wszystkim późnym latem, kiedy wszędzie dojrzewały kolczaste, ale bardzo soczyste owoce kaktusów. Oczywiście, inni jadali je także, bo nie tylko zaspokajały trochę głód, lecz także pragnienie, a do tego miały jeszcze wspaniały słodki smak. Idiotyczne było tylko to, że wszystkie kwitły w tym samym czasie, a straszny upał sprawiał, że już po kilku tygodniach psuły się albo wysychały.

Czasami znajdowałam gaba, rosnące dziko malutkie orzeszki, na które nie wszyscy zwracali uwagę, bo są takie malutkie, że nieraz miałam wrażenie, jakby otwarcie takiego orzeszka wymagało więcej energii, niż dawało zjedzenie jego mięszu. Mimo wszystko szukałam ich, zbierałam i nosiłam w kieszeniach spodni, spędzając całe godziny na ich rozłupywaniu i rozgryzaniu.

Kiedy nie znajdowałam nic innego, a wiercenie głodu docierało z żołądka aż do głowy, schodziłam do koryta rzeki i jadłam ziemię. Odsuwałam najwyższą, piaszczystą warstwę, lekko wilgotną, aż natrafiłam na wyschnięty szlam i jadłam ten szlam. Garściami wpychałam go sobie do ust, żułam, żułam i dławiłam się, ale w końcu udawało mi się odrobinę przełknąć. Wpychałam do ust kolejną porcję i znów żułam i żułam, aż robiło mi się niedobrze. Problemem nie był przy tym smak - ziemia, szczególnie jeżeli miała posmak lekko wilgotnego mchu, wcale nie była taka zła, ale za każdym razem chwytały mnie straszne bóleści. Dostawałam skurczy, jak gdyby ktoś włożył mi rękę do żołądka i zakręcił. Potem często zaczynałam rzygać i dostawałam biegunki. To było przykre, ale ciągle jeszcze lepsze od tego nieustającego uczucia pustki w żołądku. Wolałam także, żeby mnie nazywano „pożeraczką błota”, niż nie jeść nic.

- Ty tchórze! - krzyczeli za mną. - To, co jesz, jest takie samo jak ty. Sama jesteś błotem, bo żresz błoto!

Nic sobie z tego nie robiłam.

- Czy człowiek je ziemię? - pytali mnie.
- Ja jem - odpowiadałam dumnie, czując się w takich **chwilach** jak ktoś naprawdę wyjątkowy.

Pragnienie

Mimo wszystkich związanych z nim męczarni głód nie był najgorszy. Przeważnie udawało mi się jednak jakoś go zagłuszyć. Gorzej było z pragnieniem. Na pragnienie nie pomagało żucie, rozgryzanie albo smażenie. Na pragnienie pomagała tylko woda, której zawsze znajdowaliśmy o wiele za mało, albo soczyste owoce kaktusa, ale te były dostępne tylko przez jeden miesiąc w roku.

Woda! Często zastanawiałam się nad tym, jak zdołały przeżyć towarzyszące nam wielbłądy. Zdawały się nigdy nie szukać wody, tylko międlili powoli w pysku kilka wyschniętych trawek, liście drzew, albo przesuwali chrapami po nagiej ziemi, na której, jak się wydawało, nic nie rośło. Zawsze były zadowolone, z wyjątkiem momentów, kiedy musiały przykłękać, bo ktoś chciał na nie wsiąść. Wtedy lamentowały i ryczały, jak gdyby wybiła ostatnia godzina ich życia.

Mleko wielbłądów nadaje się do picia, ale nasze nie dawały mleka - zapewne dlatego, że dostawały za mało wody. Obrywały jeszcze ostatnie kolce z ciernistych krzaków i żując je, wędrowały przez cały dzień, ciągle w rytmie lewa-prawa, lewa-prawa i kiwając się z boku na bok, bez przerwy ruszały żuchwami, wydymając wargi, jak gdyby miały za chwilę wybuchnąć śmiechem.

Wielbłądy jakoś dawały sobie radę bez wody, ale my nie. Wody szukałyśmy nieustannie. Czasami wydawało się, że to jakieś czary: szłyśmy z Cegehaną po wodę, ale wygrzebane przez nas w ciągu minionych dni studzienki były kompletnie wyschnięte, tak wyschnięte, jak gdyby nigdy nie było w nich wody. Więc kopałyśmy jeszcze głębiej. Czasami wykop był tak głęboki, że ledwo mnie było widać nad jego krawędzią.

Przekopywałyśmy się przez wyschnięty szlam, mieszaninę piasku i kamieni, żwiru i pyłu. Kurz czepiał się włosów i osiadał w wyschniętym gardle, wdzierał się w oczy i ranił palce, ziemia usuwała się nam spod rąk i kruszyła, kiedy tylko zaczynałyśmy kopać, tak że zawsze

musiałyśmy wykopywać o wiele większą dziurę, jeżeli chcieliśmy dotrzeć trochę głębiej. Czasami, mimo że kopałyśmy bardzo głęboko, natrafiałyśmy jedynie na piach, trochę tylko bardziej wilgotny. Nie był mokry, tylko trochę mniej sypki. Może natrafiłybyśmy w tym miejscu na wodę na głębokości kilku metrów, ale my byłyśmy małymi dziewczynkami i miałyśmy do dyspozycji zwykłe łopaty. Niewiele mogli tutaj poradzić także więksi chłopcy z naszej grupy, których kiedyś wezwaliśmy na pomoc, bo sypka ziemia ciągle zasypywała już wykopany dół.

Bogowie

Kopanie nic nie dawało, chciało nam się tylko coraz bardziej pić. Byłyśmy złane potem, piasek przenikał przez ubranie, zaklejał język i trzeszczał między zębami. Żar lał się na głowy, oczy łzawiły, błona śluzowa w nosie była wyschnięta i obolała.

Nie było nadziei na deszcz, niebo błyszczało wiecznym błękitem. Nie powiał najmniejszy wietrzyk. Upał robił się coraz większy, zwierzęta kryły się w zagłębieniach ziemi albo w cieniu jakichś zarośli. Minęła pora deszczowa, ale deszcz nie spadł już ani razu. Nasze wojsko modliło się o deszcz do najrozmaitszych bogów. Jezusa znałam już z sierocińca i od babci. Widziałam, jak wisi na krzyżu w kościele. Znałam również Marię, jego matkę. Kilka razy już się do niej zwracałam, kiedy nikt nie mógł mnie widzieć ani słyszeć: „Matko Boża, proszę, spraw, żeby popadało. Chociaż troszeczkę. Albo żeby w którymś z wykopanych przeze mnie dołów pojawiła się wilgoć. Spraw, żeby zebrało się tam trochę wody. Przynajmniej tyle, żebym chociaż raz mogła napełnić swój kanister. Spraw, żebym mogła zanurzyć w nim głowę i raz przynajmniej polać się całą wodą. Proszę cię, Matko Boża! Nie musisz przynosić nic do jedzenia. Najwyżej trochę endżery. Ale spraw, żeby popłynęła woda!”.

Inni modlili się do boga, który nazywał się Allah. W czasie modlitwy zawsze zwracali się w tę samą stronę, rozkładali szmatki i klękali na nich, bijąc głowami o ziemię. Rano, w południe, wieczorem, w nocy, ciągle od nowa, zawsze w tym samym kierunku. Nie mówili nic o wodzie, tylko powtarzali swoje modlitwy, ale Mohammed, jeden

ze starszych, powiedział mi kiedyś, że modląc się, myśli o wodzie. Ze myśli wyłącznie o wodzie.

Jeszcze inni modlili się do nieznanym mi bogów. Ci bogowie mogli być wszędzie, w kamieniu albo w drzewie, albo pod ziemią. Bojownicy, którzy modlili się do tych niewidocznych bóstw, krążyli po obozie, padali na czworaki, wrywali sobie włosy z głowy, tarzali się po ziemi i przechodzili od złości do próśb i samooskarżania się. Wydawali z siebie jakieś wrzaski i ciężko dyszeli, przeklinali i błagali, ale jedyną reakcją na to zdawał się być jeszcze większy upał. Nie sądziłam, żeby tymi sposobami dało się sprowadzić wodę. Może moja babcia wiedziałaby, jak należy się modlić o deszcz, ale tutaj nikt tego nie potrafił.

Mohammed, ten, który modlił się do Allaha, nigdy nie widział swojego boga. Nie znał nawet jego wizerunku. Mówił, że jego boga nie można zobaczyć. Mojego boga można było zobaczyć, a także jego matkę. On sam wisiał na krzyżu, przybito go do niego gwoździami, przebijając stopy i dłonie, a jego matka stała obok i składała ręce. Na głowie miała błękitną chustę, a na sobie błękitną luźną szatę, taką, jakie nosiły kobiety w Erytrei, tylko stroje tamtych były białe. Maria i Jezus mieli białą skórę - jak Mike'ele z ELF.

Mike'ele

Skóra Mike'ele była niemal tak samo jasna jak skóra Jezusa. Miał opadające na ramiona jasne loki, takie jak kora jednego z drzew. Jego włosy nie były tak skręcone jak moje, ale opadały szerokimi falami jak woda w strumieniu. Mike'ele miał białych rodziców, Włochów, a w każdym razie jedno z jego rodziców było białe. Był dobrym żołnierzem i w dodatku lubianym. Lubił zawsze pożartować, uchodził za oddziałowego wesołka. Potrafił wziąć kamień, zamknąć w dłoni, a kamień nagle jakimś cudem znajdował się w drugiej dłoni. To nie jest cud, tylko sztuczka, coś, czego można się nauczyć, mówił Mike'ele. Nie wyjaśniał jednak, jak to się robi. Raz dwóch chłopców zagroziło, że go zbije, jeżeli nie zdradzi im swojej sztuczki, ale Mike'ele nie powiedział. Mimo to nie zbili go. Myślę, że bali się z nim zadzierać, bo na ogół odnoszono się do niego z pewną obawą. Kiedyś usłyszałam, jak ktoś mówił, że Mike'ele potrafi zacczarować innych ludzi, a taki zacczarowany

traci wszystkie kolory na twarzy. Ale tylko tak mówiono, bo nikt z nas przecież nie widział, żeby Mike'ele robił coś takiego.

Mike'ele opowiadał, że jego ojciec był z Włoch, ale on go jeszcze nigdy nie widział, tylko na zdjęciu, które pokazała mu kiedyś matka. Na tym zdjęciu jego ojciec miał na sobie mundur. Mike'ele mówił, że jego ojciec na pewno nie żyje, bo inaczej byłby z nami. Nie śmiałam mu się sprzeciwiać. Myślałam sobie tylko, że ojcowie mogą żyć, a mimo to być gdzie indziej, tak jak mój. Ale ze mną było inaczej. Ja nie chciałam, żeby mój ojciec zjawił się u nas, a Mike'ele bardzo pragnął być ze swoim ojcem. Powiedział, że byłby najszczęśliwszy, gdyby mógł go kiedyś zobaczyć. Jeżeli jednak ojciec Mike'ele nie żyje, nigdy się to nie stanie.

Mike'ele modlił się do mojego boga, ale niezbyt często.

- To nic nie daje - powiedział kiedyś. - Nawet nie chce zesłać deszczu. Jemu jest zupełnie wszystko jedno, czy u nas pada. Gdyby było inaczej, dawno już zesłałby deszcz.

To dało mi do myślenia. Leżałam wieczorem na swojej macie wysuszona na pieprz i zastanawiałam się nad tym, dlaczego Bóg nie chce zesłać deszczu. Akurat u nas. Czy zrobiliśmy coś złego?

Agawegahta nie cierpiała takich pomysłów. Nienawidziła, kiedy mężczyźni i dziewczęta tarzali się po ziemi, żeby przypodobać się bogom. Nie chciała, żeby ktoś modlił się do Jezusa albo do Allaha.

- Bogowie nie istnieją - mówiła. - To ludzie ich wymyślili.

Ani przez chwilę nie wątpiłam w to, że to ludzie wykonali obrazy wiszące w sierocińcu i w kościele. Ale to były przecież tylko wizerunki, tak zawsze mówiły zakonnice, a także moja babcia. Bóg, mówiły, stworzył sam siebie. Agawegahta nie chciała jednak o tym słyszeć.

- Jesteśmy sami dla siebie bogami - mówiła. - Walczymy o siebie, nie o jakiegoś Boga. Zabierajcie się lepiej do roboty, zamiast beczeć. Tam, na górze nikt was nie słyszy!

Nie wierzyłam w to, ale kiedy wieczorami leżałam na macie i nie widziałam żadnej nadziei, i wszystko we mnie dusiło się z upału i suchości, czasami myślałam sobie: a co będzie, jeżeli Agawegahta ma rację?

- Hej! Chodź, idziemy po wodę! - Mike'ele wytrącił mnie z moich rmarzeń. Zerwałam się natychmiast. W tym okresie słowo „woda” było rnnie w stanie obudzić zawsze i wszędzie.

- Gdzie...? - chciałam zapytać, ale Mike'ele brutalnie zamknął mi usta. Już zaczęłam stawać dęba i bronić się, drapiąc i kopiąc, kiedy nagle zorientowałam się, że Mike'ele nie chce zrobić mi krzywdy. Zacisnął jeszcze mocniej dłoń na moich ustach i szepnął do ucha:

- Idziemy do wioski po wodę!

Zebraliśmy się błyskawicznie, my i jeszcze trójka innych dzieci.

Wodna karawana

Nie miałam pojęcia, jak to ma wyglądać, ale zrobiłabym wszystko, żeby zdobyć coś do picia. Nie wiedziałam, gdzie jest wioska - widziałymy ją kiedyś w oddali z Cegehana, kiedy wybrałyśmy się na długą wyprawę w poszukiwaniu drewna na opał. Wtedy nie odważyłyśmy się podejść bliżej, bo nie wiedziałyśmy, kto tam mieszka - przyjaciele czy wrogowie.

Mike'ele kazał mi iść za sobą i być cicho. Wymknęliśmy się z obozu niemal na czworakach. Nikomu nie było wolno opuszczać obozu, a już na pewno nie w nocy i na dodatek bez zezwolenia nikogo z dowódców, ale tym razem wyruszyliśmy bez rozkazu. Sama nigdy bym się na to nie odważyła, ale do Mike'ele miałam zaufanie. Gdyby coś się stało, już on postara się o to, żebyśmy wyszli cało z opresji. Trzeba tylko uważać, żeby nikt nas nie usłyszał i nie zobaczył.

Wokół obozu było kilka posterunków, ale wiedzieliśmy, gdzie się znajdowały: w dole nad rzeką, w górze, na kamienistym zboczu nad obozem i z przodu, przy kępie drzew, przez którą zawsze przechodzili duzi w drodze na front. Należało więc wyjść od tyłu, przez mały parów, dalej wzdłuż otaczającego obóz górskiego grzbietu, a potem, przechodząc za drzewami, skierować się ku wiosce. Musieliśmy zachowywać się cicho, uważać, żeby nie potrącać kamieni, nie przeklinać, nie skakać i nie rozmawiać, nawet jeżeli pytania cisnęły mi się na usta: kto miał nam dać wodę? Czy we wsi w ogóle jest woda? Czyj to był pomysł?

Niezauważeni ominęliśmy posterunki i szliśmy dalej pochyleni, schodząc w dolinę, w której chyba leżała wieś. Prawie nic nie widziałam, bo księżyc jeszcze nie wzeszedł. Po kilkuset metrach dostałam szturchańca od tego, kto szedł za mną. Obejrzałam się przestraszona.

- Możesz już iść normalnie - szepnął.

Wyprostowałam się z ulgą, trochę zawstydzona. Byłam jedyną, która ciągle jeszcze kurczowo schylona potykała się w ciemności.

Wędrowaliśmy przez noc, ale nigdzie nie było widać żadnej wsi. Nagle znaleźliśmy się wśród chałup. Wioska wyglądała na bardzo nędzną: wszystko było zbudowane z jakichś odpadków, nawet komórki dla kóz. Dachy ułożono z gałęzi i liści. Nie było widać nikogo z mieszkańców, nigdzie nie zapalił się żaden ogień ani światło. Mike'ele pchnął jednak jakieś przepierzenie i zawołał coś półgłosem. Stara, chroma kobieta, utykając, wyszła na zewnątrz, okropnie zaspana. Nie była zaskoczona, że nas widzi i zdawała się wiedzieć, po co przyszliśmy, bo zaprowadziła nas na tył swojej chaty do małego zagłębienia w ziemi. Stało tam kilka kanistrów. Kanistry z wodą! Nie mogłam uwierzyć - każde z nas mogło się napić, nawet ja. Czułam, jak płyn wlewa się we mnie i rozchodzi się po całym ciele. Czułam, jak cenny napój wypełnia mój żołądek i doświadczyłam jego działania - zrobiłam się spokojna i zadowolona.

Mike'ele wcisnął kobiecie coś do ręki. Dopiero, kiedy to schowała, zorientowałam się, że jest to zmięty banknot. Po raz pierwszy w Berce zobaczyłam u kogokolwiek pieniądze. Po raz pierwszy ktoś zapłacił za coś, bo tutaj, na prowincji, nie było ani sklepów, ani restauracji i niczego, za co należałoby płacić pieniędzmi. To mnie jednak już nie interesowało: chciałam jeszcze raz zbliżyć się do kanistra i pociągnąć porządny łyk. I mogłam to zrobić.

W porównaniu z drogą w tamtą stronę, droga powrotna wydała mi się trwać chwilę. Napełniliśmy i zabrali ze sobą kilka małych kanistrów. Kilkaset metrów przed obozem zakopaliśmy je w piasku i ułożyliśmy na nich trochę kamieni. Mike'ele wbił w ziemię kij i umocnił go kamieniami, żeby łatwiej było znaleźć kryjówkę.

- Macie pić tylko wtedy, kiedy nikt was nie widzi - powiedział ostrzegawczym tonem - i to tylko po kilka łyków dziennie. Kto wypije więcej, będzie miał ze mną do czynienia. Spuszczę mu potężne lanie.

Uznał, że jestem najmniej godna zaufania, bo byłam najmłodsza.

- Tylko nic nikomu nie mów - ostrzegł mnie jeszcze raz z naciśkiem, przesywając wzrokiem. Nawet bez jego ostrzeżenia nigdy nie

przyszłoby mi do głowy opowiadać komukolwiek o naszym skarbie. Wyczerpana, ale szczęśliwa, kilka minut później padłam na swoją matę.

Po chwili znów coś mnie obudziło. Wstające słońce oświetlało łańcuch wzgórz za obozem. Ich ciemne zarysy odcinały się na tle jaśniejącego nieba. To, co wydawało mi się minutą snu, musiało trwać godzinę lub dwie. Zdałam sobie sprawę, że czeka mnie trudny dzień. Ale ta nocna wyprawa była dla mnie warta każdego trudu. Wystarczyło, żebym przerwała na chwilę ciężką pracę i uważnie wsłuchała się we własny żołądek, w którym ciągle jeszcze coś się przelewało.

Jeszcze kilka razy udało mi się uczestniczyć w takiej wyprawie po wodę. Baliśmy się wprowadzić kar, jakie spadłyby na nas, gdyby ktoś poznał się na naszych sztuczках, ale to już nie miało znaczenia. Po kilku takich śmiałych wypadach zorientowałam się, że w naszym obozie zawsze były jakieś zapasy wody, i były także teraz: kilka żółtych plastikowych kanistrów, zakopanych do połowy w ziemi tuż obok magazynu amunicji, strzeżonych przez całą dobę, tak samo jak amunicja i broń. Zawsze myślałam, że straż pilnuje tylko broni - aż pewnego razu zobaczyłam przypadkowo, że ktoś manipuluje kanistrami z wodą. Utwierdziło mnie to tylko w zamiarze uczestniczenia w każdej z tych nocnych wypraw: jeżeli oni chowają wodę przed nami, dziećmi, i wydzielają nam ją tak skąpo, sami musimy jakoś ją sobie zdobyć.

Stara kobieta zdawała się mieć niewyczerpane zapasy wody, a kiedy raz jej zabrakło, dostaliśmy wodę od sąsiadki. Mike'ele płacił banknotami, których zdawał się mieć nieskończoną ilość, ale nawet kiedy czasami nie dawał pieniędzy, też dostawaliśmy swoją wodę, bo kobiety we wsi się nas bały. Myślały, że jesteśmy jakimś groźnym wojskiem, a my przecież nie mieliśmy nawet ze sobą broni - co, jak miało się jeszcze okazać, było błędem. Wszyscy ich mężczyźni byli na wojnie albo dawno zginęli, a kobiety strzegły kilku chudych kóz i swojej studni, tak głębokiej, że zawsze było w niej trochę wody.

Beduini

Pewnej nocy, kiedy wracaliśmy ze wsi do obozu, stanęli nam na drodze Beduini. Z powodu suszy musieli zataczać coraz większe koła ze swoimi wielbłędami, kozami i byłem przez suchy jak pieprz step, żeby ich zwierzęta mogły znaleźć kilka źdźbeł i niewyschnięte jeszcze wodne oczka. Z powodu upału wędrowali nocą.

Oni zobaczyli nas pierwsi, bo przyzwyczaili się do tego, żeby nawet w zupełnych ciemnościach dostrzegać coś w kamienistym stepie, na którym od czasu do czasu wyrastała tylko kępa drzew, a tu i ówdzie sterczał jakiś nastroszony krzak. My zauważyliśmy ich dopiero, kiedy już zmienili kierunek marszu i ruszyli naszym śladem. Początkowo myśleliśmy, że to nieprzyjacielscy żołnierze na nocnym patrolu. Nie mieliśmy przy sobie broni, więc coraz bardziej przyspieszaliśmy kroku, ale oni deptali nam po piętach. Zaczęliśmy biec, ale tamci zbliżali się coraz bardziej. Kiedy dotarliśmy do niewielkiego wzniesienia, zorientowaliśmy się, że to nie są żołnierze, lecz Beduini. Mieli na sobie sięgające ziemi szaty i jechali na wielbłędach. Czego od nas chcieli?

Nie pozostawało nam nic innego, jak zatrzymać się i czekać, bo byli o wiele od nas szybsi na swoich wielbłędach. Kiedy się zbliżyli, zaczęli wykrzykiwać jakieś słowa w języku, którego nie rozumiałam. Dwóch zaczęło wymachiwać szablami. Ich wygląd budził przerażenie, mieli długie brody, szerokie szpary między zębami i skórę trochę ciemniejszą niż nasza. To byli muzulmanie z Sudanu. Ktoś z naszej grupy rozumiał kilka słów w języku Beduinów, więc przetłumaczył:

- Oni myślą, że szukamy wielbłędów, kóz lub krów, żeby je ukraść.

Nie chcieli uwierzyć, że chodzi nam tylko o wodę. Z mojego punktu widzenia, mogli sobie myśleć, co chcieli, bo morza szczęścia, które chlupotało w moim żołądku nikt nie mógł mi odebrać. Mężczyźni zeskoczyli nagle ze swoich wielbłędów i groźnie zaczęli się do nas zbliżać. Nasz tłumacz wyjaśniał im z rozpaczą, że nie mamy przy sobie nic cennego. Nie mieliśmy zresztą przy sobie także nic niecennego, jeżeli nie liczyć postrzępionych ubrań na naszych grzbietach. W to jednak Beduini nie chcieli uwierzyć. Szarpali Mike'ele, kazali mu zdjąć koszulę, grzebali w kieszeniach jego spodni. Znaleźli w nich tylko kilka

drewniak, które podniósł wcześniej, i parę banknotów o niewielkiej wartości.

- Broń, broń?! - wykrzykiwali bez przerwy, ale tym nikt z nas nie mógł im służyć. Dopiero Mike'ele wpadł na pomysł, który pozwolił nam się ich pozbyć.

- Krzyczcie tak dalej - kazał powiedzieć tłumaczowi - tam, zaraz za wzgórzem, jest nasz obóz. Jesteśmy z Dżebhy i nasi koledzy przyjdą nam na pomoc...

Obóz wcale nie był tak blisko. Nikt tam nie usłyszałby naszych krzyków ani wrzasku Beduinów. A gdyby ktoś usłyszał, skończyłoby się to źle dla nas, bo chyłkiem wymknęliśmy się z obozu. Beduini woleli jednak nie ryzykować, tym bardziej że doszli do wniosku, iż chyba rzeczywiście nie ma nam czego zabrać. Wsiedli na wielbłądy i zniknęli nam z oczu. Wzięli tylko banknoty Mike'ele.

Kiedy następnym razem przemykaliśmy się tamtędy nocą po wodę, wzięliśmy kilka karabinów, ze względu na Beduinów. To czyniło sprawę jeszcze bardziej ryzykowną, bo o ile nie wolno było wychodzić nocą z obozu, to dopiero naprawdę zabronione było zabieranie ze sobą broni. Mogło to wyglądać na ucieczkę, a dezertarów rozstrzeliwano z miejsca, nawet wtedy, kiedy dla każdego stało się oczywiste, że położenie ELF jest beznadziejne.

Raz podsłuchiłam, jak rozmawiało ze sobą dwóch dowódców. Jeden mówił:

- Pozwólmy odejść dzieciom! Wojna się przecież skończyła, nie już z tego nie będzie.

Drugi jednak nawet nie chciał o tym słyszeć.

- Jeżeli to zrobimy, za kilka dni wszystkie znajdą się w EPLF i będą próbowały nas zabić. Wolę walczyć do ostatniego naboju, niż pozwolić się im zastrzelić! Każdego, kto spróbuje uciec, zabiję własnoręcznie!

Dawit

Okropnie się przestraszyłam, kiedy pewnego razu usłyszałam strzały karabinowe w samym obozie. Czy to już przyszli wrogowie, żeby nas pozabijać? Rzuciłam na ziemię przygotowywaną do prania bie-

liznę i padłam w piach obok niej. Jeszcze jedna salwa. Naciągnęłam na głowę węzełek bielizny. Słyszałam wiele razy, jak mówiono, że nieprzyjaciel może wkrótce zdobyć nasz obóz. Chyba to właśnie nastąpiło.

Leżałam na ziemi bez ruchu. Nagle usłyszałam czyjś śmiech, a potem jeszcze jeden głos.

- Popatrzcie na tego tchórza - krzyknął pierwszy - jak się tarza w gnoju!

To było o mnie. Podniosłam się zdziwiona. Zobaczyłam jedynie dwóch szczerzących zęby w złośliwym śmiechu kolegów.

- Kto to strzelał? - zapytałam, ale oni tylko mnie wyśmiali.

Dopiero następnego dnia zobaczyłam, co się stało. Na placu, obok plandek, pod którymi sypialiśmy, leżał w kurzu martwy człowiek, powalany ziemią i krwią. Znałam go. Dawit miał siedemnaście lub osiemnaście lat, był jednym z niewielu starszych, z którymi byłam w dobrej komitywie. Często opowiadał mi o swojej rodzinie, o ojcu, matce, rodzeństwie. Zazdrościłam mu tego, że może tak swobodnie mówić o swoich rodzicach, bez nienawiści i nie bojąc się, że znów go opuszcza, jak tyle razy już robili moi.

Siostry powiedziały mi potem, że Dawita rozstrzelano, bo próbował uciec. Złapano go o świcie niedaleko obozu, z bronią, workiem, w którym była endżera i trochę rzeczy osobistych. Mówiono, że Dawit chciał wrócić do rodziców, ale na równinie za obozem ostrzelał go patrol. Dwaj żołnierze z ELF myśleli najpierw, że jest z Szabii, od nieprzyjaciół, i poszli jego śladem. Kiedy spróbował im uciec, chcieli go zatrzymać i strzelili. Rannego przenieśli potem do obozu, gdzie na rozkaz jednego z naszych dowódców zabito go kilkoma salwami. Jeden z chłopców z patrolu mówił później, że poznał Dawita, ale nie przyznał się koledze; najchętniej od razu by go zastrzelił. W końcu z jego powodu musieli wlec się w upale kilka kilometrów!

Głupi Dawit - samotnie nie miał żadnej szansy, a już na pewno jej nie miał, wychodząc o świcie, a nie późną nocą, kiedy strażę śpią. Mógł na przykład wyjść z nami po wodę, a potem uciec. Współczułam mu - i bałam się coraz bardziej: co będzie, jeżeli ktoś nas odkryje w czasie jednej z tych nocnych eskapad?

Razem z kilkoma innymi wykopałam dół w kamienistej ziemi, żeby złożyć Dawita na ostatni spoczynek metr pod piaskiem, żwirem

i ziemią. Na tyle głęboki, żeby nie mógł wygrzebać go kojot ani sęp, bo nie było trumny, która chroniłaby przed padlinożercami jego tak krucho wyglądające ciało.

Cztery słupy

Kilka dni później kazano nam wszystkim ustawić się na placu między plandekami, pod którymi wypożyczaliśmy, a prowizoryczną kuchnią. Przed nami stało czterech kolegów, wszyscy znani mi z imienia. Nie wiele miałam z nimi wspólnego, bo byli dużo starsi, mieli od szesnastu do dwudziestu lat. Stali na tle skał, które wznosiły się tuż za obozem. Każdy z nich był przywiązany do jednego palika. Byli poranieni: jeden miał pręgi na ramionach i na tułowiu, drugi zakrwawioną twarz, trzeci zdartą skórę na nogach.

To było coś w rodzaju sądu wojennego. Nam kazano stać i patrzeć. Kilku starszych kolegów zbliżyło się do czterech oskarżonych. Trzech wierciło się przy swoich palikach, jak gdyby próbowali rozluźnić więzy. Czwarty po prostu stał z opuszczoną głową i zamkniętymi oczami. Wyglądał, jak gdyby był już zupełnie nieobecny.

Jeden z dowódców wygłosił krótkie przemówienie. Mówił o ELF, co słyszeliśmy już dosyć często, i o wolności Erytrei. Tym razem jednak powiedział coś więcej:

- Walczymy, przyparci plecami do muru. Wróg jest bezlitosny. Musimy się bronić zębami i pazurami. Ze wszystkich sił. Wygramy. Ale uda nam się zwyciężyć tylko pod tym warunkiem, że będziemy trzymać się razem, że nikt nie będzie uciekał i ramię w ramię staniemy do boju. Dlatego trzeba wyeliminować każdego, kto przeciwstawia się naszemu wspólnemu działaniu. Nie możemy pozwolić sobie na słabość. Każdy, kto nas oszukuje, kto oszukuje naszą sprawę, osłabia nas. Na to nie pozwolimy. Ja na to nie pozwolę.

Odwrócił się w kierunku czterech oskarżonych. Podeszedł do nich tak blisko, że gdyby nie byli przywiązani, mogliby go dotknąć.

- Zdradziliście naszą sprawę - krzyknął na nich. - Uciekliście z Dżebhy. Chcieliście pójść do domów, tchórze. Zamierzaliście opuścić nas w niebezpieczeństwie. Zniszczyć nasze morale. Nie pozwolę na to!

Zrobił długą przerwę i zajął w oczy każdemu z czterech oskarżonych. Nikt się nie poruszył, nikt się nie odezwał.

- Skazuję was na śmierć.

Było cicho. Dwóch oskarżonych załamało się. Uwieszeni na swoich sznurach, zaczęli krzyczeć. Błagali o życie. Ten, który dotychczas wydawał się całkowicie nieobecny, zaczął szarpać swoje więzy. Pierwszy w szeregu cicho płakał.

- Umrzecie, bo chcieliście zniszczyć Dżebhę - powiedział dowódca - a na to ja nie pozwolę. Umrzecie, żebyśmy my mogli żyć!

Panowała cisza, słychać było tylko pochlipywania i błagania skazanych. Nagle Mihret krzyknęła:

- Bravo! - i zaczęła klaskać. Wszystkie spojrzenia skierowały się na nią. Kilka osób stopniowo przyłączało się do oklasków, potem było ich coraz więcej. Także moja sąsiadka zaczęła bić brawo. Ja stałam jak skamieniała i nie mogłam zrozumieć, co się dzieje. Czyżby wszyscy zgadzali się z tym, że ci czterej mają umrzeć?

Każde z nas mogło się znaleźć na ich miejscu, bo każdy już przynajmniej raz zastanawiał się nad tym, jakby to było, gdyby mógł pójść do domu. Jakie by to było piękne i jakie łatwe - wystarczy tylko przebiec pustynię, i w świat. Tylko ja nigdy sobie tego nie wyobrażałam, bo ja nie miałam domu. Do ojca iść nie chciałam, za żadną cenę. Mbrat mnie opuściła. Okłamała i wydała ojcu, więc nie chciałam jej więcej widzieć. Owszem, nie miałam nic przeciwko temu, żeby pójść do dziadków, ale tam była Mbrat. Po tym wszystkim, co zobaczyłam i co przeżyłam, nie mogłabym się już bawić z tymi samymi dziećmi w te same zabawy na tej samej małej uliczce w Asmarze, jak gdyby nic się nie stało. Byłam już kimś innym. Nie mogłam wrócić.

- Klascz - syknęła sąsiadka, wymierzając mi szturchańca. - Musisz klaskać!

Mechanicznie uniosłam dłonie i pozwoliłam, żeby uderzały o siebie. Nie wydawały prawie żadnego odgłosu, ale wyglądało, jak gdybym klaskała. Sąsiadka była zadowolona. W środku byłam jak sparaliżowana. Czułam, że to wszystko jest skazane na śmierć. To było niesprawiedliwe, zabijać kogoś tylko dlatego, że chciał pójść do domu. Tutaj, na tym placu, z całą siłą uświadomiłam sobie, że nie mam domu.

Na to, co się działo potem, patrzyłam jak zza szklanej szyby. Byłam

jak ogłuszona. Nie bardzo rozumiałam, co się dzieje: do przodu wystąpiło czterech bojowników z kałasznikowami w dłoniach. Na dany znak każdy ustawił się przed jednym z kolegów.

- Strzelajcie! - powiedział dowódca. To było wszystko.

Czterech żołnierzy wycelowało i strzeliło. Związani koledzy wyprostowali się, siła salw karabinowych miotała nimi na wszystkie strony. Wstrząsały nimi takie drgawki, że jeden wyrwał z ziemi palik, do którego go przywiązano, przewrócił go na sąsiedni, którego też o mało nie przewrócił, padając na ziemię. To było straszne.

Zastoniłam twarz rękami i zacisnęłam oczy. Tylko uszu nie mogłam tak zatkać, żeby krzyki bólu nie mogły utworzyć sobie drogi do mojej świadomości. To były najstraszliwsze krzyki, jakie kiedykolwiek słyszałam. Minęło sporo czasu, nim znów zapanowała cisza.

- To spotka każdego z was, kto zrobi coś podobnego - zawołał dowódca. Było zupełnie cicho, ale on krzyczał na cały głos: - Każdy, kto chce zniszczyć Dżebhę, zostanie stracony.

Zrobił w tył zwrot i odszedł.

Nie wiedzieliśmy, co robić. Staliśmy w milczeniu, nie ruszając się. Nic się nie działo. Zabici do wieczora tkwili przywiązani do swoich pali, jako ostrzeżenie dla pozostałych. Odetchnęliśmy z ulgą, kiedy sprzątnięto ciała.

Kary

Następnej nocy Mike'ele przyszedł mnie obudzić, ale udawałam, że śpię. Za bardzo się bałam, żeby pójść z nimi po wodę. Cała dygotałam. Potrzęsnałam mną, ale zacisnęłam oczy. Nie zorientował się, jak bardzo drzę. Pomyślał, że mocno śpię, i wymknął się niespostrzeżenie.

Odetchnęłam z ulgą. Chciałabym pójść po wodę, ale kiedy zobaczyłam, co dzieje się z ludźmi uznanymi za uciekinierów, ogarnął mnie przemożny strach. Nie bałam się śmierci, wprost przeciwnie, często myślałam, że śmierć musi być wyzwoleniem od wszelkiego bólu i poniewierki. Po śmierci Bóg na pewno wzięłby mnie do siebie, tak często mówiły zakonnice. Bałam się jednak umierania. Tego przedpołudnia zobaczyłam i usłyszałam, że umieranie musi być bardzo bolesnym procesem, wobec którego czułam wielki respekt i wielki strach.

Zrozpaczona, spragniona, ze spalonym gardłem i oczami zaognionymi od płaczu przewracałam się na swojej macie. Udało mi się zasnąć dopiero na krótko przed świtem, kiedy tamci wrócili już ze wsi. Udało się! Wyczerpana, zasnęłam, ale zaraz mnie obudzono. Jak bardzo nienawidziłam tych dni, przepełnionych pracą, wrzaskiem, pośpiechem, strzelaniną, głodem i upałem!

Kilka tygodni później kazano nam przyglądać się kolejnej egzekucji. Tym razem było to dwóch chłopców, którzy sprzedali swoje karabiny Beduinom. Wymknęli się nocą z obozu tak ostrożnie, że nikt ich nie usłyszał. Co z tego, kiedy jeden z Beduinów ze szczepu, z którym załatwiali interesy, miał jakiś kontakt z Dżebhą i zdradził ich. Agawegahta zaczęła ich wypytywać, a oni wszystkiemu zaprzeczyli. Fakty jednak przemawiały przeciwko nim: nie mogli pokazać swoich karabinów, znaleziono przy nich także otrzymane od Beduinów pieniądze.

Nie brali tych pieniędzy dla siebie, lecz dla swoich rodzin. Może miały im także posłużyć do sfinansowania ucieczki. W pustkowiach zachodniej Erytrei, gdzie stacjonowaliśmy, za pieniądze nie można było nic kupić. Pieniądze, którymi płaciliśmy starej kobiecie w czasie naszych potajemnych wypraw, nic jej nie dawały. Nie miały żadnego znaczenia, bo tak jak wszyscy, żyła z kilku nędznych zwierząt i dostaw międzynarodowych organizacji humanitarnych. Niczego poza tym nie było. Pieniądze były bezwartościowe. Byli wśród nas tacy, którzy nigdy nie mieli do czynienia z pieniędzmi i wręcz nie wiedzieli, że w ogóle istnieją. Dla Agawegahty nie miało to jednak znaczenia. Chciała postępować zgodnie ze swoimi surowymi zasadami.

Z jej rozkazu obydwóch chłopców rozstrzelano. Nie wzięła sama karabinu do ręki. Zawsze chciała sprawiać wrażenie kogoś większego, ważniejszego, bardziej wartościowego. Ze mną jej się to nie udało. Już nie. Po tej egzekucji zaczęłam ją nienawidzić. Na początku, kiedy tylko zjawiałam się w ELF, podziwiałam ją. Wydawała mi się silną, nieugiętą kobietą. Ale z czasem widziałam coraz wyraźniej, że Agawegahta nie była silna, lecz bardzo słaba. Zrozumiałam, że tylko budząc strach, jest w stanie zapewnić sobie posłuch. Stało się dla mnie jasne, że jest nie tyle podziwiana i lubiana, co budzi strach, bo rozsiewa wokół siebie śmierć i przerażenie. Wszyscy bali się, że i na nich przyjdzie kolej. Kto popełnił jakiegokolwiek wykroczenie,

nawet najmniejsze, mógł się spodziewać zemsty Agawegahty i bał się śmiertelnie.

Kryjówki

Myśląc o Agawegahcie, nie uważałam jej już za swoją bohaterkę, za najsilniejszą z wszystkich dziewczyn. Mój stosunek do niej określały nienawiść i strach, przynajmniej od czasu, kiedy uznała, że razem z innymi małymi powinnam brać udział w ćwiczeniach w strzelaniu. Byliśmy ostatnią grupą w oddziale, która jeszcze nie umiała strzelać, bo po nas już nikt więcej do Dżebhy nie przyszedł.

Tak więc wlokłam kałasznikowa ze swojego legowiska na strzelnicę, znajdującą się kilkaset metrów za obozem. Było tam kilka desek i pni, popodpieranych dużymi kamieniami, które miały wyobrażać ludzi. Pełno w nich było śladów po kulach. Nie chciałam strzelać. Bałam się. Nienawidziłam hałasu wydawanego przez karabin, jego ciężaru, odrzutu, jaki powodował. Nie mogłam znieść myśli, że mogłabym kogoś zabić. Nie znałam nawet tych ludzi, do których miałam strzelać, nie miałam nic przeciwko nim, nawet jeżeli oni chcieli zabijać takich jak ja - tylko dlatego, że przypadkiem znalazłam się po drugiej stronie.

Po drodze na strzelnicę zatrzymałam się. A jeżeli nie pójdę? Jeżeli zajmę się jakąś inną pracą, pracą, która byłaby o wiele ważniejsza niż strzelanie? Na przykład trzeba było pilnie przynieść drewno na opał, bo już prawie nic nie było.

- No, chodź już! - powiedział ktoś za mną, kto też szedł na strzelnicę.

- Zaraz, idź, ja muszę jeszcze coś przynieść - odpowiedziałam.

- Co takiego? - zapytał ten ktoś. Wiedział, że jeszcze nigdy nie strzelałam.

- Amunicję - powiedziałam szybko. - Zapomniałam zabrać!

- Pospiesz się! - ponaglał. - Żebyś zaraz przyszła!

Odwrócił się i poszedł. Chyba nie powziął żadnego podejrzenia.

Powoli zrobiłam w tył zwrot i ruszyłam z powrotem do obozu. Najchętniej puściłabym się biegiem, jak lis pustylny, ale wzięłam się w garść, żeby nie podpaść. Tylko co zrobić z karabinem? Gdybym

położyła go przy swoim legowisku, każdy od razu by się domyślił, że nie poszłam z innymi na strzelnicę. Zrozpaczona, rozejrzałam się wokół. Nie było łatwo ukryć coś na tym pustkowiu, na dodatek coś tak nieporęcznego jak kałasznikow.

Wtedy przypomniał mi się Mike'ele i sposób, w jaki ukrywał kanistry z wodą. Postanowiłam swoją kryjówkę także założyć pod ziemią, więc wyszukałam odpowiednie miejsce z luźno leżącymi kamieniami i żwirem, gdzie łatwo mi było kopać. Gołymi rękami wygrzebałam mały dół, w którym zmieścił się karabin.

Kiedy kończyłam, pojawiła się Cegehana. Nie chciałam jej nic mówić, bo powie wszystko Jaldijan, a ta nie umiała utrzymać języka za zębami. Popchnęłam więc stopą jeszcze kilka kamieni, żeby przykryć metal, i udawałam, że właśnie załatwiłam swoją potrzebę. Tutaj za obozem, wśród kamieni i krzaków, była to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Zawsze trzeba było uważać, gdzie się stąpa, bo mieszkańcy obozu wszędzie pozostawiali po sobie pełno śladów. Cegehana niczego nie zauważyła. Kamień spadł mi z serca. Musiałam tylko nie myśleć o jutrze.

Poszłam razem z Cegehana po drewno.

- Znalazłem coś - zawołał Mike'ele, kiedy wróciłam obładowana. - Coś ci pokażę, chodź! - krzyknął. Natychmiast upuściłam naręczce drewna i podbiegłam do niego.

- Chodź ze mną! - Poszedł przodem, a ja nagle zorientowałam się, że idziemy w kierunku strzelnicy. Serce podskoczyło mi do gardła. Czy to właśnie on, który prowadził te ćwiczenia, musiał znaleźć mój karabin?

Doszliśmy do miejsca, w którym ukryłam broń, i zobaczyłam wystający do połowy z ziemi magazynek. Musiałam tego nie zauważyć, kiedy zaskoczyła mnie Cegehana. Zakłopotana, spuściłam oczy.

- Wiesz, co będzie, jeżeli komuś o tym powiem? - zapytał Mike'ele. Wiedziałam aż za dobrze. - Zabieraj to i zmykaj - powiedział i poszedł dalej, nie mówiąc już nic więcej.

Byłam mu wdzięczna, jak już dawno nikomu. Pośpiesznie odkopałam karabin.

Następne ćwiczenia na strzelnicy prowadziła Mihret. Musiałam stoczyć ze sobą poważną walkę, czy mogę pozwolić sobie jeszcze raz

na to, żeby się od nich wykręcić. Mike'ele nie było z nami. Wyraźnie nic nikomu nie powiedział.

Mihret ułatwiła mi sprawę, kiedy zostawiła nas samych na strzelnicy. Miała coś lepszego do roboty, a pozostałych i tak interesowała tylko zabawa w strzelanie. Było im wszystko jedno, co ja robię. Chcieli robić i nauczyć się wszystkiego, co robili duzi, także strzelać i zabijać. Z zachwytem zabierali się do dzieła. W każdym razie sprawiało to takie wrażenie.

Niepostrzeżenie wymknęłam się ze strzelnicy i zakopałam karabin. Tym razem ułożyłam się wygodnie w dole, w korycie potoku. Wyszukałam sobie ocienione częściowo, znajdujące się na uboczu miejsce, i położyłam się. Czemu miałabym pracować, skoro wszyscy myślą, że jestem na strzelnicy? Mieć czas tylko dla siebie, to było wspaniałe, nieznanne uczucie. Zupełnie sama, bez nikogo, kto by mi wydawał rozkazy, bez obowiązków, poczucia, że koniecznie muszę coś zrobić. To było tak wspaniałe uczucie, że odprężyłam się i zanim się spostrzegłam, już spałam.

Kiedy się obudziłam, było prawie ciemno. Wpadłam w popłoch. Tyle rzeczy powinnam zrobić do wieczoru! Zerwałam się błyskawicznie i pobiegłam do obozu tak szybko jak umiałam - prosto w ramiona Agawegahty. Mało brakowało, a bym ją przewróciła. Wymamrotałam jakieś wyjaśnienie i chciałam biec dalej, ale Agawegahta mocno mnie przytrzymała.

- Słyszałam, że ciągle chowasz gdzieś swój karabin, bo nie chcesz walczyć i nie chcesz ćwiczyć. Czy to prawda?

Zdrętwiałam z przerażenia. Skąd o tym wiedziała? Czy znów ktoś znalazł kałasznikowa? Czy Mike'ele jednak mnie zdradził? Jąkając się, podałam jakieś wymówki, wyjaśnienia, przeprosiny, ale na nic się to nie zdało. Agawegahta była pewna swego. Zaczęłam drżeć - czy będą mnie rozstrzeliwać?

- Tym razem nie ujdzie ci to bezkarnie - powiedziała. - Mihret wyznaczy ci karę. Ale uważaj! Następnym razem będzie naprawdę źle!

Szarpnęła mną kilka razy, potem nagle puściła, tak że o mało nie upadłam na ziemię.

Mihret kazała mi nosić wodę, na kolanach. Przez kilka godzin z pełnym wody kanistrem na plecach musiałam czołgać się po obozie,

aż zaczęły mi krwawić kolana i łokcie. Inni przyglądali się temu i dopingowali mnie, zanosząc się od śmiechu. Nie wolno mi było wypić ani kropli wody. To była jedna z najgorszych nocy w moim życiu. Kiedy wszyscy już spali, przewróciłam się i zasnęłam tam gdzie byłam, w tym całym gnoju, z kanistrem na plecach.

Później dowiedziałam się, że zdradziła mnie Jaldijan. Chyba usłyszała, jak Mikę'ele opowiadał przyjacielowi, że znalazł mój ukryty karabin. Jaldijan lubiła udawać ważną, a poza tym nie darzyła mnie wtedy wielką sympatią. Uważała, że powinnam się jej podporządkować, bo jest starszą siostrą, ale ja nie miałam na to ochoty.

Ta publiczna kara sprawiła, że byłam izolowana. Koledzy uważali mnie teraz za tchórza i patrzyli na mnie z góry. Przyjaciele, jak Mikę'ele, odwracali się i nie chcieli mieć ze mną do czynienia. Bali się, że zadając się ze mną, mogą zaszkodzić sobie.

Strach

Bałam się coraz bardziej. Strach był uczuciem wszechogarniającym. Nie chciałam umierać, a w każdym razie nie w wyniku egzekucji. Nie chciałam, żeby rozerwał mnie granat albo mina. Widziałam straszne okaleczenia, jakie to powoduje i jak okropnie umierali dotknięci nimi ludzie.

- Dlaczego ich zabijamy? - zapytałam Mihret, kiedy jeszcze raz zaczęła opowiadać nam bzdury o sprawiedliwej wojnie przeciwko złym ludziom, którzy chcą zniszczyć naszą ojczyznę. - Dlaczego mamy ich zabijać? Oni wyglądają dokładnie tak samo jak my. Są z tego samego plemienia co my!

O tym, że członkowie innych szczepów wyglądają inaczej, przekonałam się w Asmarze u dziadków. W wielkiej metropolii mieszkali wówczas zgodnie obok siebie członkowie najrozmaitszych plemion. Od tego czasu wiedziałam, że nie wszyscy Erytrejczycy są tacy sami, lecz że niektórzy mają ciemniejszą skórę, grubsze wargi, są wyżsi albo inaczej się ubierają. Zabici nieprzyjaciele, których ciągle mieliśmy okazję oglądać, wyglądali jednak dokładnie tak samo jak my.

Mihret odpowiedziała ze złością:

- Co za bzdury opowiadasz? Nie masz pojęcia, jesteś jeszcze mała, nic nie wiesz!

- Ale oni wyglądali tak samo jak ja! - powtórzyłam z uporem. Zdawałam sobie sprawę, że doprowadzam Mihret do jeszcze większej wściekłości, ale było mi to obojętne. Narastała we mnie taka złość, jakiej już dawno nie czułam. Złość na to zabijanie, na to nędzne życie tutaj na pustyni, na Mihret i Agawegahtë, i na wszystko, co miało z nimi związek.

- Oni wcale nie wyglądają tak jak ty, idiotko! - wrzasnęła Mihret. - To są żołnierze z EPLF. Wyglądają zupełnie inaczej!

- Wcale nie! - też krzyczałam. - Wyglądają tak samo! Mają takie same włosy, taką samą ciemną skórę...

Więcej nie zdołałam powiedzieć, bo Mihret jednym skokiem znalazła się przy mnie i napała na mnie całą siłą.

- Już ja ci pokażę, co to znaczy ciągle się sprzeciwiać, ty tchórze - wrzeszczała. - Kłamiesz, bo nie chcesz walczyć. Jesteś za tchórzliwa, żeby wziąć karabin do ręki, dlatego wymyślasz te bzdury!

W obronnym geście uniosłam ręce nad głowę. W duchu musiałam przyznać Mihret rację, przynajmniej do pewnego stopnia: nie chciałam walczyć. Wprawdzie i tak byłabym przeciwko wzajemnemu wyrzucaniu się ludzi, ale dopiero fakt, że musiałam w tym uczestniczyć, naprawdę mnie zirytował.

- Kłamiesz! - krzyczałam, już leżąc na ziemi, a kurz i piach wciskały mi się do ust. Fotem straciłam świadomość.

Od czasu tej awantury zdałam sobie sprawę, że dopóki jestem w obozie Dzebhy, nie mam szans uciec przed wojną. Wiedziałam, że będę jednak musiała zrobić użytek ze swojej broni. Nie odważyłam się już jej chować, i na ćwiczeniach albo w czasie jakichś wspólnych wypadów, miałam ją zawsze przy sobie. Nawet idąc po wodę, często brałam ze sobą karabin, chociaż niosąc kanister, ciągle z trudem mogłam go udźwignąć. Zakopałam natomiast amunicję. Wydawało mi się, że bez amunicji karabin będzie trochę lżejszy, ale to była tylko teoria: prawie nie czułam różnicy.

Nauka strzelania

Wkrótce miałam boleśnie odczuć brak amunicji, którą tak skwapliwie zakopałam. Kiedy razem z grupą dzieci i z Mihret byliśmy przy wodnym oczku, naszym oczom ukazało się cztery czy pięć kojotów, rozszarpujących martwą antylopę.

- Teraz możecie pokazać, co potraficie - syknęła łakomie Mihret, jak gdyby sama zamieniła się w kojota, który nagle poczuł smak krwi. - Dalej, kryć się! I podczołgajcie się bliżej. Jeżeli zobaczycie, że najbliższy kojot jest wielkości szczura, wycelujcie. Strzelicie do bestii dopiero na mój znak, nie wcześniej. Zobaczymy, czy potraficie do czegoś trafić!

Tak jak inni rzuciłam się na ziemię, ściągnęłam z ramienia i wysunęłam przed siebie karabin. Zaczęliśmy się czołgać, jak nas uczono na ćwiczeniach. Wydawało mi się to śmieszne i poniżające, posuwać się na czworakach, pełzając po kamienistej ziemi. Taki sposób poruszania się jest odpowiedni dla zwierząt. Ja wstydziłam się czołgać w tym gnoju, ale inni uważali, że tak jest dobrze. Nikt nie kochał musztry, ale „poważną akcją” przeciwko kojotom wszyscy uznali za ekscytującą.

Zwierzęta szybko wyczuły, że coś jest nie w porządku. Zostawiły na chwilę antylopę i starały się coś wywęszyć. Niespokojne, wróciły do swojej ofiary. Żarłocznie rozszarpywały ścierwo antylopy, coraz częściej odrywając się od niej i wietrząc coś w powietrzu. Wysokie, wyschnięte badyle zasłaniały mi widok, a powietrze tuż nad ziemią było tak bardzo rozdygotane od upału, że bardziej odległe przedmioty rozpyływały się i ulegały zniekształceniu w falującym powietrzu. Z trudem mogłam oddychać, bo w dole, nad samą ziemią panował straszny zaduch. W duchu żałowałam, że nie mam takiej chusty, jakie noszą Beduini, a także nasze kobiety. Mogłabym ją teraz owinać sobie wokół głowy i zasłonić nią twarz.

Kojoty robiły się coraz bardziej nerwowe. Stały obok ścierwa, jak gdyby gotując się do ucieczki. Ciągłe się rozglądały, węszyły, unosiły łby, często z ochłapem mięsa w pysku.

- Teraz! - syknęła Mihret. - Strzelajcie!

Podobnie jak inni uniosłam karabin, odbezpieczyłam i przylgnęłam do ziemi tak mocno, jak potrafiłam, bo odrzut i tak by mnie prze-

wrócił. Ale kiedy pociągnęłam za spust, rozległ się tylko cichy „klik”. Oblała mnie fala gorąca: w magazynku nie miałam naboju!

Z lewej i prawej jednocześnie rozległy się strzały kolegów. Ich salwy rozerwały powietrze nad szerokim, prawie całkowicie wyschniętym łożyskiem rzeki. Kamienie, pył i ziemia wzleciały do góry, większość strzałów trafiła daleko od celu. Śmierdziało spaloną skórą. Kojoty, dziko skowycząc, rzuciły się do ucieczki. Było ich dużo, kilkanaście. Stały stłoczone tak blisko siebie, że nie dało się odróżnić poszczególnych zwierząt. Nagle jeden drapieżnik wyskoczył groteskowo w powietrze, po czym jak długi runął na ziemię. Szybko poderwał się znów, znów upadł, podskoczył.

- Trafiony! - ryknęła Mihret. - No, dalej!

Ciągle jeszcze strzelając, wszyscy ruszyli przed siebie. Tylko ja w dalszym ciągu leżałam. Nie mogłam pojąć tego wybuchu przemo-
cy, harmidru, zniszczenia. Dwie osoby oddały jeszcze kilka strzałów do ciężko ranionego kojota, aż przestał się zupełnie ruszać. Rozległ się ogólny triumfalny okrzyk. Powoli podeszłam i stanęłam z tyłu, zastanawiając się jeszcze, jak się zachować, kiedy zbliżyła się do mnie Mihret i uderzyła mnie w twarz. Wyrwała mi z rąk karabin, otworzyła magazynek i oskarżycielskim gestem pokazała pozostałym, którzy odwrócili się od zabitego kojota.

- Popatrzcie tylko na tego tchórza - krzyczała, wymachując nad głową moim karabinem niczym jakimś trofeum. - Nawet nie załadowała. Odgrywa przed nami jakiś teatr, ale to tylko teatr. Jest o wiele bardziej nikczemna niż ten kojot, którego położyliście!

Uderzyła mnie w twarz po raz drugi i trzeci. Nie odezwałam się. Policzki mnie paliły, z nosa kapała krew, ale nie czułam tego. Spojrzenia innych paliły jak ogień. Czułam, jak gorącym płomieniem poraża mnie piekąca nienawiść Mihret.

- Ty gnoju - wrzeszczała - ty gnoju! Pożałujesz tego! Jeszcze cię dostanę! - wcisnęła mi karabin do ręki i kopnęła mnie, tak że o mało nie upadłam na wznak. - Ruszaj! No, dajcie jej wycisk!

Pozostali początkowo nie zrozumieli, ale kiedy Mihret kopnęła mnie jeszcze raz, stało się jasne, o co jej chodzi. Uciekałam, a tamci, śmiejąc się, biegli za mną i dręczyli, wymierzając kopniaki i szturchańce. Potknęłam się i upadłam na ziemię, tamci natychmiast znaleźli się przy mnie i kopali dalej, ale ja się nie broniłam.

Nagle zobaczyłam nad sobą wielki cień.

- Precz - powiedział spokojnie głos nawykły do rozkazywania. Należał do kierującej grupą trochę starszych dzieci. Moi prześladowcy natychmiast ode mnie odskoczyli. - Co to ma znaczyć? Czego oni od ciebie chcą?

- Oni mnie nienawidzą - szlochałam - bo nie strzelałam z nimi do kojotów. Chyba ktoś ukradł mi dzisiaj w nocy naboje, a ja nie miałam odwagi powiedzieć o tym Mihret. - Sama się zdziwiłam, że wpadło mi do głowy takie kłamstwo. Wymówka była doskonała.

- Zostawcie ją - ofuknęła moich prześladowców kierowniczką starszych dzieci. - zmykajcie stąd. - A do mnie: - Jeżeli kłamiesz, rzucę cię kojotom na pożarcie!

Wyczerpana, wstrząśnięta i wdzięczna jednocześnie, z trudem dźwignęłam się na nogi. Tamci odeszli bez słowa, nawet na mnie nie spojrzawszy.

Nieszczęśliwe wypadki

Byłam za mała, żeby być dobrym żołnierzem. Za młoda, za słaba, za tchórzliwa. Poza tym karabiny były dla mnie o wiele za ciężkie. Mieliśmy prawie wyłącznie kałasznikowy, wielkie, nieporęczne automaty. Tylko dowódcy, jak Agawegahta, mieli także pistolety. Nadawałyby się o wiele bardziej dla nas, dzieci, ale było ich bardzo mało. Dzięki Bogu, bo inaczej musiałabym z nich strzelać, a także trafiać. Z kałasznikowa, już chociażby z powodu silnego odrzutu, nie byłam w stanie w nic trafić. Żadne z nas, małych, nie dawało sobie rady z tą kupą żelastwa, dla nas o wiele za skomplikowaną i nieobliczalną.

Pewnego razu dwóch małych żołnierzy, obydwoj tylko o rok czy dwa starsi ode mnie, szło w kierunku strzelnicy z przewieszonymi przez ramię karabinami. Karabiny były tak duże, że ich kolby niemal dotykały ziemi. Zawsze, kiedy przestępowaliśmy przez większe kamienie, musieliśmy trochę unosić karabiny, żeby o nie nie uderzały.

Nie było nic niezwykłego w tym, że dzieci same ćwiczyły strzelanie, więc nie zwróciłam większej uwagi na tych dwóch. Rąbałam właśnie drewno na opał na małe drzazgi, potrzebne na podpałkę.

Ze strzelnicy dochodziły pojedyncze salwy. Nagle jeden z chłop-

ców przybiegł, głośno płacząc i coś niezrozumiale bełkocząc. Miał szeroko otwarte z przerażenia oczy. Rzuciłam nóż i podbiegłam do wrzeszczącego chłopca. Jego podarta koszula była poplamiona krwią, także na nogach miał plamy krwi.

- On nie żyje - zachłystywał się krzykiem - nie żyje! nie żyje!

Tymczasem pojawiło się jeszcze kilka osób. Chwycili za karabiny i próbowali dowiedzieć się od malca, gdzie jest ten nieżywy. Chłopiec wskazał w stronę strzelnicy i skalistego zbocza za obozem. Wszyscy odbezpieczyli broń, obawiając się, że jakiś nieprzyjacielski oddziałek zabarykadował się wśród skał i zabił jednego z naszych. Nieprzyjacielscy żołnierze często podchodzili tak blisko, że można było ich dojrzeć gołym okiem. Ostatnio coraz częściej mówiło się o tym, że znów powinniśmy przenieść gdzieś cały obóz. Problem polegał na tym, że tymczasem EPLF zdawał się zbliżać do nas już z dwóch stron.

Schowałam się i obserwowałam, co się dzieje. Chłopiec dalej zachłystywał się łzami, poza tym panował bezruch. Kilku kolegów ruszyło z gotową do strzału bronią i zaatakowało strzelnicę. Nie było jednak żadnej reakcji, nieprzyjaciel się nie pokazał. Nasi bezradnie pokrzykiwali jakieś rozkazy, wreszcie dali za wygraną i opuścili broń.

Wyglądało na to, że nikt na nas nie napadł, więc i ja ruszyłam się i poszłam także na strzelnicę. Potknęłam się właśnie o drugiego z chłopców: malec leżał pod krzakiem, miał rozerwaną głowę, ślady krwi na całym ciele, był martwy. Krzyknęłam, nadbiegli pozostali, z bronią gotową do strzału. Było za późno na wszelką pomoc - chłopiec nie żył. Zastrzelony przez najlepszego kolegę, jak mieliśmy się wkrótce dowiedzieć. Ciężki kałasznikow wysunął mu się z ręki przy odbezpieczaniu, sam wypalił i salwa roztrzaskała głowę dziecka.

Wszyscy wzruszyli ramionami i odeszli. Dwie osoby chwyciły drobne ciało i zaniósły do dołu wykopanego przez nas poprzedniego dnia dla dwóch bojowników, którzy zginęli na froncie. Ze względu na kojoty przysypaliśmy ich ciała kamieniami. Tego, że pod kamieniami spoczywają ludzie, można się było tylko domyślać. Do tego samego dołu wrzucono teraz ciało dziecka. Martwy człowiek spada jak worek. Ciężkie kamienie nie drgnęły, kiedy upadło na nie ciało chłopca. Krew ciekła z otwartej rany, która kiedyś była jego czaszką. Usiadłam bez ruchu na skraju dołu i patrzyłam tępo w głąb.

- Zakop go - powiedział jeden z tych, którzy przynieśli ciało, wciskając mi do ręki łopatę. Mechanicznie zaczęłam zgarniać łopatą piasek i małe kamyczki na martwego chłopca. Płakałam. Ciągłe płacząc, długo przysypywałam ten grób, aż było widać tylko piasek i żwir z pobliskiej rzeki. Dopiero, kiedy chciałam już wracać do obozu, dostrzegłam „winowajcę”. Przez cały czas siedział za mną, w zupełnej ciszy. Przestał pochlipywać, teraz był odrętwiały.

- On nie żyje - powiedział, kiedy na niego spojrzałam. - Ja go zabiłam.

Zabity był jego najlepszym przyjacielem. Schował twarz w dłoniach i zapłakał. Objęłam go. Oparł głowę na moim ramieniu. Poczulałam się jak matka, która go pociesza. Czułam tylko smutek, ale nie złość. Chłopiec nie chciał zrobić tego, co zrobił. Żadne z nas nie było odpowiedzialne za ten cały gnój, w jaki wpędziło nas wymachiwanie bronią i wojna.

Chłopiec oparł się na moich kolanach. Mogłabym zapłakać, pomyślałam, ale nie byłam w stanie wycisnąć z siebie ani jednej łzy. Zdziwiłam się, że chłopiec uspokoił się w ten sposób, chociaż ja też bym się uspokoiła. Jeszcze nigdy nie trzymałam nikogo w ramionach, jeszcze nigdy nikt się do mnie nie tulił. Ja tuliłam się kiedyś do mojej babki, ale nie ona do mnie. Kiedy to sobie uświadomiłam, pojawiły się łzy. Nie próbowałam ich powstrzymać, więc popłynęły obfitym strumieniem.

Próby i cięgi

Już przedtem zdarzało się, że w czasie ćwiczeń ktoś został raniony lub zabity przez swoich. Tym razem po raz pierwszy widziałam to na własne oczy. Wypadki były prawie nie do uniknięcia, bo każdy, kto przychodził do ELF, otrzymywał natychmiast broń, bez względu na to, czy trzymał ją kiedykolwiek przedtem w ręku, czy nie. Tylko ja, jako jedna z najmłodszych, dostałam kałasznikowa dopiero po kilku miesiącach pobytu w obozie.

W ostatnim okresie Dżebhy większość bojowników nie przechodziła przeszkolenia z bronią ćwiczebną, kijami lub atrapami, lecz ćwiczyła od razu z prawdziwą bronią i prawdziwą amunicją. Także

najmłodszym mówiono tylko: „tutaj masz broń i dobrze jej pilnuj”. Kiedy ktoś przez nieuwagę odbezpieczył karabin i nacisnął spust, karabin strzelał. Mnie także już się to raz zdarzyło. Na szczęście salwa poszła wtedy tylko w ziemię, która posypała mi się na twarz.

Raz strzeliłam w niebo, ale tylko okropnie się przestraszyłam, opuściłam karabin, przewróciłam się na ziemię i głośno krzyząc, złapałam się rękami za głowę, w strachu, że kule mogą spaść na mnie z powrotem. Zanim odważyłam się otworzyć oczy, już spadło na mnie kilka razy, które miały stanowić karę za niezręczność. To była część „szkolenia”: kiedy zrobiłam coś nie tak, niczego mi nie tłumaczono ani nie poprawiano, po prostu bito. Następnym razem może uda mi się zrobić to lepiej. Z czasem coraz lepiej wykonywałam codzienne zadania i już nikt mnie nie bił. Był to rezultat długiego szeregu prób i cięgów.

Kiedy dotarłam wreszcie na strzelnicę z naładowanym karabinem, zaczęłam wprawdzie strzelać tak jak inni, ale do niczego nie trafiałam. Żadne z nas, młodszych, nie mogło w nic trafić, bo karabiny miały zbyt potężny odrzut. My byliśmy chudzi i słabi jak muchy. Ja przelatywałam czasami kilka metrów do tyłu, niczym pchnięta potężną dłonią. Zsuwałam się po piasku, ocierałam o kamienie, rozwaliłam sobie kolana i łokcie i rozorałam plecy, kiedy natrafiałam na jakieś skalne odłamki, ostro zakończony patyk albo kolczasty krzak. Mimo to nie pozwalano nam strzelać z pozycji leżącej, przynajmniej na początku. Musieliśmy stać albo przykłękać, albo jakoś inaczej zachowywać pozycję pionową.

Potem nauczyłam się łagodzić odrzut, zginając nogę i stawiając stopę na czymkolwiek, na przykład na kamieniu. Albo opierałam się o możliwie grube drzewo, które nie ugięło się pod moim ciężarem - ale to nie zdarzało się często, bo drzewa były tutaj towarem deficytowym, w końcu byliśmy na pustyni. W każdym razie tak mi się wydawało po długotrwałej suszy, nawet jeżeli maszerowaliśmy przez step i po porośniętej trawą ziemi. Okolica była szeroką, otwartą równiną, z której wyrastało kilka grup wzgórz, bezkresne przestrzenie z nielicznymi kępami drzew i porzrzucanymi wszędzie kamieniami i skałkami jako jedynym urozmaiceniem. Po jakimś czasie mnie i moim rówieśnikom, jeszcze za młodym, żeby ich posyłać na front, odebrano broń. Im gorzej wiodło się Dżebhie, tym gorzej przedstawiała się sprawa z dostawami,

i tej broni, która była, nie można już było marnotrawić tak rozrzutnie. Karabiny były potrzebne na froncie, a nie do nauki strzelania. Mimo to nas, najmłodszych, nie zwolniono z musztry. Nawet bez broni musieliśmy uczestniczyć w ćwiczeniach terenowych.

„Wojna jest okrutna. Zbyt okrutna dla mnie...”

Kiedy po raz drugi od mojego przybycia do Dżebhy nadeszło lato, wojna coraz bardziej izolowała nas od wszystkiego, co nazywa się życiem. Egzystencję, jaką wiedliśmy, z trudem tylko można tak nazwać. Składało się na nią już tylko uciekanie, drgawki, głód, czołganie się w brudzie i walka o własne życie. To był raczej strach niż życie.

Co kilka tygodni musieliśmy zmieniać miejsce, czasami nawet co parę dni, bo polowano na nas jak na dziką zwierzynę. Pewnego razu dopiero późnym wieczorem dotarliśmy do miejsca na obóz, które nasi dowódcy uznali za względnie bezpieczne, bo było ukryte, a mimo to roztaczał się z niego widok na całą okolicę: zatrzymaliśmy się w małej niecce między dwoma łagodnymi pagórkami, z których jeden był oddalony od nas o niecały kilometr. Kiedy tam dotarliśmy, było już tak ciemno, że można było tylko z grubsza ocenić odległość, a wzgórze rysowało się tylko jak ciemna sylwetka pod czarną chustą upstrzoną miliardami błyszczących białych punkcików. Gwiazdy jednak świeciły słabo, więc bez przerwy potykaliśmy się o kamienie i raniłiśmy się do krwi ostami i cierniami. Wśród tego wielkiego zwirowiska jak okiem sięgnąć nic nie wskazywało na obecność jakiegokolwiek wody. Oznaczało to suche gardła tego wieczoru i uciążliwą wędrówkę w poszukiwaniu wody następnego ranka. Przy tym stopy już mi krwawiły od kamieni, które zaklinowały mi się między palcami u nóg i wsunęły między pięty a gumowe klapki. Całkowicie wyczerpani rozłożyliśmy swoje maty i trochę rzeczy, żeby tylko położyć się spać, spać, spać. Starczyło mi jeszcze sił na odrzucenie najostrzejszych kamieni, które mogłyby mnie poranić, a potem od razu zapadłam w głęboki sen bez snów.

Nikt z nas nie wiedział, czy bateria EPLF była już na szczycie pobliskiego wzgórza wtedy, kiedy tu przyszliśmy, czy też zauważono nasze przybycie i dlatego ustawiono tam baterię. Ostatecznie, nie miało

to wielkiego znaczenia. Kiedy tylko zaczęło świtać i z pochłaniającej wszystko szarości nocy zaczęły się wyłaniać pierwsze zarysy kamieni i skał oraz plecy śpiących, działa tamtych pokryły nas swoim ogniem.

Przed chwilą jeszcze panowała głęboka cisza, a w następnej minucie wszystko wokół eksplodowało. Tak musiał brzmieć koniec świata. Straszliwy huk wprawił w drżenie cały obóz. W powietrze wzbiły się ogromne obłoki pyłu, w górę wyskakiwały kamienie. Gwałtownie wyrwani z głębokiego snu wyczerpania, porwaliśmy się na nogi i stanęliśmy do wyścigu o własne życie. Kilka sekund później ruszyły ciężarówki, każdy chwycił to, co miał pod ręką.

Narzuciłam na siebie kilka koców i zaczęłam uciekać, kiedy uświadomiłam sobie, że pod nimi leżał mój karabin. Zostawiłam go i pobiegłam dalej, ale nagle ogarnął mnie obłędny strach, że wrogowie zechcą mnie zabić, a ja nie będę mogła się nawet bronić. A może był to strach, że swoi surowo mnie ukarzą za porzucenie broni? Zapewne przemknęło mi przez głowę jedno i drugie, jednocześnie albo po kolei, tuż obok siebie. To już nie były myśli, to były błyskawice, które pojawiały się w mojej świadomości, ułamki myśli, od których o mało nie pękła mi głowa. Wróciłam te kilka kroków i chwyciłam karabin.

Wokół panował chaos. Wrzaski, rozkazy, przekleństwa, które już nie były w stanie do mnie dotrzeć. Z krzykiem wpadł na mnie Mike'ele, trzymając się za rękę. Czerwona krew spływała mu po ramieniu. Na twarzy miał wyraz rozpaczliwej paniki.

W powietrzu unosił się zapach dymu, spalonych ciał i śmiertelnego strachu. Zagubiłam się i przez chwilę stałam niezdecydowana, cała drżąca. Pobiegłam kilka kroków w złym kierunku, instynktownie oddalając się od ryczącego motoru ciężarówki, na której platformę powinnam wskoczyć. Otuliłam się kocami, przycisnęłam do siebie kałasznikowa i pognałam we wstający świt.

W tym momencie granat uderzył dokładnie w to miejsce, w którym powinnam się znajdować, chcąc wdrapać się na platformę. Gdybym tam była, pocisk na miejscu rozerwałby mnie na strzępy. Zobaczyłam tylko błysk i usłyszałam trzask. Straszliwa siła odrzuciła mnie o kilka metrów dalej. Pocisk trafił w ciężarówkę, która zaraz stanęła w ogniu. Ludzie zeskakiwali z platformy. Ranni tkwili w rumowisku, wśród zgłiszcz i dymu, kurzu i potłuczonych butelek. Skąd się wzięło tyle odłamków szkła?

Zebrałam siły i pobiegłam dalej, wybiegłam na otwarte pole, ściskając koce i karabin. O mało nie wyrznięłam głową w jedną z małych ciężarówek, rodzaj samochodu dostawczego z drzwiami z tyłu. Wóz już był w biegu. Z trudem wskoczyłam na jego tył i omal nie stoczyłam się z gładkich stopni. Pozbyłam się swojego balastu i z całych sił uczepiłam się samochodu. Ktoś wciągnął mnie na górę. Weisnęłam się do ciemnego wnętrza wozu, między ludzi tłoczących się i napierających ze wszystkich stron. Było wilgotno od potu, a może od krwi. Czułam się, jak gdybym znalazła się w wilgotnych wnętrznościach jakiegoś ogromnego zwierzęcia, które pędziło do przodu, gwałtownie miotając kończynami. Ciągłe o coś się obijałam. Wszyscy w samochodzie milczeli, ktoś westchnął. To był cud, że kierowca trafił na drogę, bo ciągle jeszcze panowała prawie całkowita ciemność. Przestałam się bać, ale byłam jak sparaliżowana po tych okropnościach, które widziałam. Nigdy jeszcze nie oglądałam wojny z tak bliska.

Jechaliśmy i jechaliśmy, przez cały dzień, w kolumnie składającej się zaledwie z dziesięciu pojazdów. Obok szoferek we wszystkich samochodach stali najwięksi z nas, z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału, by w każdej chwili otworzyć ogień, gdybyśmy znaleźli się w zasadzce. Wszyscy inni przycupnęli na platformach, ciągle jeszcze nic nie mówiąc. Każdy znał kogoś, kto zginął albo, co gorsza, ranny został w obozie i teraz groziło mu rozstrzelanie, niewola, tortury lub pranie mózgu. Każdy miał dosyć ponurych myśli, w których mógł się pogрузić.

Ja myślałam o Mike'ele. Co się z nim dzieje? Za każdym razem, kiedy na jednej z polnych górskich dróg wchodziliśmy w dłuższy zakręt, wychylałam się zza pudła naszego samochodu i starałam się zajrzeć do innych w nadziei, że zobaczę gdzieś jego jasną czuprynę, ale nic takiego nie zauważyłam. Został na pewno w tamtym obozie, bo nie zdążył już złapać żadnego samochodu. Z krwawiącym ramieniem nie zdołał się chyba wdrapać na żadną ciężarówkę. Może umarł z upływu krwi? Tak bardzo krwawił. Czy ktoś go opatrzył? Nawet gdyby udało rnu się dotrzeć do jednego z samochodów, nikt nie zdołałby opatrzyć jego ran, bo większość takich rzeczy, jak materiały opatrunkowe, koce, garnki, a nawet prowiant, musieliśmy porzucić, uciekając. Każdą sekundę, o którą przedłużyłby się nasz pobyt w obozie, wielu z nas mogłoby przepłacić życiem. Ciągłe jeszcze nie czuliśmy się bez-

piecznie. Znajdowaliśmy się w drodze, z burczącymi żołądkami, bez kropli wody i bez perspektyw na zaspokojenie głodu czy znalezienie schronienia.

W tej beznadziejnej sytuacji ktoś zaintonował piosenkę. „Wojna jest okrutna. Zbyt okrutna dla mnie...”. Cichutko zaczął ją nucić jakiś czysty głos z tyłu, na pudle małej ciężarówki. „Przez nią zginął mój brat, przez nią strzelałem do mojego brata...”. W tym momencie najchętniej bym zapłakała, ale nie znajdowałam łez, odnalazłam dźwięki. „Kiedy moją rodzinę ktoś zabija za domem, uciekam przez drzwi frontowe...”. Włączyłam się do śpiewu i zamknęłam oczy.

To Eden zaintonowała tę piosenkę. Najlepsza pieśniarka w Dżebhie. Nie zauważyłam jej przedtem, w tym chaosie ludzkich ciał, rąk, nóg. Śpiewała również dziewczyna obok mnie, także chłopiec za mną. I jeszcze ktoś gdzieś z tyłu: „Ten, kto zabił moich bliskich to przecież mój brat...!”. Refren wszyscy na ciężarówce śpiewali pełnym głosem: „Wojna jest okrutna. Zbyt okrutna dla mnie...”. Nikt nie płakał, wszyscy poddali się muzyce. Głodni, spoceni, że śpiewem na ustach jechaliśmy przez kraj po niedobrych, gruntowych drogach, bez żadnej nadziei poza tą jedną piosenką. „Wojna jest okrutna. Zbyt okrutna dla mnie...”.

Piosenka już dawno się skończyła, a jeszcze ciągle brzmiała w mojej głowie. Jej melancholijny nastrój towarzyszył nam w jeździe przez tę kamienistą, górską krainę. Śpiewaliśmy tę piosenkę dosyć często, wieczorami, kiedy było trochę czasu, żeby wspólnie posiedzieć. Mihret jej nie lubiła. Po ćwiczeniach zawsze kazała nam śpiewać coś innego, ale mnie nie podobały się jej bojowe pieśni. Była w nich zawsze mowa tylko o bohaterstwie, o ojczyźnie i o wolności. Te pojęcia mnie nie interesowały. Nie byłam i nie chciałam zostać bohaterką. Ojca nienawidziłam - czym w takim razie była dla mnie ojczyzna? Chętnie dowiedziałabym się, czym jest wolność - nikt mi jej jednak nigdy nie pokazał.

Eden zawsze wiedziała, co zaśpiewać. Próbowałam pochwycić jej spojrzenie, nawiązać z nią jakiś kontakt, ale nie mogłam się do niej precyzyjnie. Ludzie ściśnięci w ciasnej skrzyni zdawali się tworzyć barierę między mną a nią. Eden była tylko o kilka lat starsza ode mnie, ale śpiewała pięknie. Miała niski, silny głos. Kiedy Eden śpiewała, nie wydawała z siebie takiego wysokiego skrzeku jak Mihret, ani takiego

pisku jak ja. Wtedy, w tej ciężarówce, przysięgam sobie, że postaram się kiedyś śpiewać tak pięknie jak Eden. Nie wiem, czy mi się to udało. Ale starałam się.

Eden nie tylko cudownie śpiewała, była także mądrą kobietą, która wiedziała, że nie należy zostawiać nas w nastroju żałoby, w jakim wszystkich pogrążyła ta piosenka. Zaintonowała więc następną: „Ci z EPLF, to podejrzani osobnicy, puszą się strasznie, bo oszukują i kłamają...”. Po kilku taktach przyłączyli się także pozostali. Wszyscy znaliśmy ten tekst od początku do końca. W ciągu ostatnich miesięcy była to najczęściej śpiewana przez nas piosenka, bo mówiła źle o naszych wrogach. Bo wielu z nas w rozpaczy próbowało uwierzyć w jej słowa. „Nie martwcie się, moi mili! Wszystko co złe źle się kończy. Nie martw się, Erytreo. Dżebha cię wyzwoli i poprowadzi ku niepodległości...”.

Tę piosenkę można było śpiewać głośno i nie szczczędząc strun głosowych. Nie miałam pojęcia, skąd mieliśmy tyle siły. Nie wiem, jakim sposobem wśród beznadziejności i nędzy byliśmy w stanie głośno śpiewać, nucić i klaskać do taktu, zdążając ku niewiadomej przyszłości.

Front

Dwa dni i dwie noce po tym porannym ataku natknęliśmy się na dwie następne kolumny samochodów należących do naszego oddziału. Ustaliśmy, że owego ranka zginęło albo zaginęło kilkudziesięciu naszych. Mieliśmy wprawdzie jeszcze ciągle całą masę broni i amunicji, których wieczorem nie zdążyliśmy rozładować, ale to było wszystko. Tak więc przeszukiwaliśmy każdą chałupę, każdy przysiółek, każdą wieś na naszej drodze w poszukiwaniu wody i czegoś do jedzenia. Mieszkańcy, przeważnie sami wygłodzeni biedacy, uciekali przed nami, biadoląc; nie stawiali oporu, a przecież nie mieli nic oprócz swoich chałup, jednego garnka i kilku na wpół zagłodzonych kóz, które im zabieraliśmy. Przez nas przed niektórymi rodzinami stanęło na pewno widmo pewnej śmierci, bo kiedy zabrano im także zwierzęta, nie mogli mieć już żadnej nadziei: mleka dla dzieci, mięsa dla dorosłych. Ta odrobina plonów, którą wydała ziemia, całkowicie wyschła na polach, ponieważ znów wczesnym latem prawie wcale nie padało. Mogli liczyć tylko na dostawy

międzynarodowych organizacji charytatywnych, ale te z rzadka tylko docierały do tych odległych okolic, po których grasowały bandy, takie jak nasza, gdzie było pełno min i bandytów, którzy nie mieli nic do stracenia oprócz własnego przenikliwego głodu.

Serce mi krwawiło, kiedy patrzyłam, jak nasi ludzie wyciągają z komórek zapierające się zwierzęta. Płaczące, obdarte kobiety czepiały się żołnierzy, chcąc ich odciągnąć, obrzucały ich wyzwiskami, prosiły, błagały, ale na nic się to nie zdawało. Żołnierze odpychali od siebie kobiety, wymierzali im kopniaki, a drżące ze strachu dzieci przypadały do swoich matek. Żołnierze wyciągali i ładowali kozy na ciężarówkę, i jechało się dalej. Jeszcze tego samego wieczoru zwierzęta zabijano, dzielono i natychmiast pieczono.

Nawet ja wbrew sobie żułam kilka kęsów mięsa, żeby zabić dręczący głód. Z rozpaczą grzebałam w ziemi w poszukiwaniu jakichś korzonków czy trawek, którymi mogłabym zaspokoić głód i które zastąpiłyby mi mięso, ale rzadko coś znajdowałam. Najadłam się wspaniale dopiero wtedy, kiedy z jakiejś pomocowej dostawy zdobyliśmy kilka worków nieznanej mi mąki. Nie znałam tego smaku, ale był wspaniały. Placki nie przypominały wprawdzie endżery, bo mąka była z innego zboża niż ta, jakiej zwykle do niej używaliśmy, ale można było robić z niej smaczne kulki albo kluchy, które mogłam jeść, dopóki się nie najadłam.

To był pierwszy prawdziwy posiłek od tygodni. Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście, że z takim pełnym, ciężkim brzuchem mogę chodzić po świecie. Nie czuć ssania z głodu. Nie myśleć bez przerwy o tym, gdzie by tu wytrzasnąć następny kęs. Kiedy przestałam myśleć o zaspokojeniu głodu, opadły mnie wyrzuty sumienia: dla kogo były przeznaczone te worki? Kto teraz był skazany na głodowanie zamiast mnie?

Ciągle znajdowaliśmy się w odwrocie. Nasi dowódcy nie mieli już żadnego planu, sami nie wiedzieli, dokąd mamy pójść. Z każdym dniem cofaliśmy się coraz dalej na zachód, od Biszy w prowincji Gesz-Berka, poprzez niewysokie wzgórza i równinę Dar, w kierunku granicy z Sudanem. Poprzedzało nas zawsze kilku zwiadowców, jadących małym autem albo penetrujących na piechotę tę czy inną drogę. Reszta czekała na ich powrót w tropikalnym upale, często mając za osłonę tylko cień naszych pojazdów, czasami kilku drzew.

Im dalej posuwaliśmy się na zachód, tym było więcej drzew. Początkowo pojawiły się pojedyncze baobaby, drzewa tamaryszkowe czy tamaryndowce, bardziej na zachód były już gaje eukaliptusowe, akacjowe i palmowe. Wprawdzie ziemia nie była zauważalnie bardziej wilgotna, ale było więcej zarośli i trawy, ewentualnie wyschniętych kęp, które musiały być wcześniej zielone. Nic jednak nie zapowiadało deszczu. Nad głowami mieliśmy coraz większą przestrzeń jaskrawo błękitnego nieba.

Uciekając coraz dalej, ciągle staczaliśmy potyczki z depczącymi nam po piętach oddziałami EPLF, które chciały wreszcie z nami skończyć. Z naszych ciężarówek zsiadało przeważnie kilkudziesięciu bojowników, którzy okopywali się w okolicy, zabezpieczając nasz odwrót. My, dzieci, jechałyśmy jeszcze kawałek drogi w pustych prawie ciężarówkach. Pojazdy w żadnym wypadku nie mogły wpaść w ręce nieprzyjaciela. Razem z kilkoma dorosłymi mieliśmy bronić tego skarbu aż do ostatniej kropli krwi.

Na szczęście nigdy nie doszło do ataku na nasz tabor. Dzień z karabinami w dłoniach warowaliśmy przykucnięci między pojazdami i wpatrywaliśmy się w horyzont, który tutaj był wyjątkowo daleko i wyjątkowo gorący. W dali rozpływały się drzewa, trawa i niebo, stapiając się w nieokreśloną, białą-brązową przestrzeń, której nie dało się przeniknąć spojrzeniem, nawet bardzo wysilając wzrok. Często podskakiwaliśmy ze strachu, bo wydawało nam się, że wypatrzyliśmy kolumnę samochodów lub dużą grupę ludzi, ale za każdym razem cienie i ciemne punkciki znikwały albo scalały się w mały lasek lub wijącą się brązową gąsienicę, pełznącą gdzieś w oddali i nagle rozpływającą się w niebyt. Trudno mi było odnaleźć się w tym krajobrazie. Nie byłam przyzwyczajona do takiej przestrzeni, dalekich widoków, które po kilku kilometrach tonęły w szarobrazowej mgłę, z uporem zachowującej dla siebie wszystkie tajemnice tej równiny.

Często słyszeliśmy strzały, kiedy nasi bronili się przed podchodzącym blisko wrogiem. Czasami widać było mały czarny obłoczek, znak eksplozji granatu, która spaliła kilkaset metrów kwadratowych suchej stepowej trawy. Zdarzało nam się słyszeć także odgłosy pojazdów, ryk zapuszczanych motorów, ale tak daleko, że z trudem można je było odróżnić od poszumu wiatru w koronach drzew.

Stopniowo nasza ucieczka stawała się mniej nerwowa. Nie trzeba

już było co kilka dni zmieniać miejsca postoju i nie codziennie docierały do nas odgłosy szaleńczej strzelaniny. Czasami natomiast na niebie pojawiały się samoloty, przelatujące nad nami na dużej wysokości. Czyżby to byli Etiopczycy, którzy ostrzelali kolumny EPLF, powstrzymując w ten sposób ich atak na nas? To było bardziej niż dziwne, że prawdopodobnie wspólnemu wrogowi winni byliśmy wdzięczność za to, że bombarduje naszych rodaków.

Po długich poszukiwaniach, zaledwie w odległości kilku kilometrów od granicy z Sudanem, znaleźliśmy wreszcie stałe schronienie. Na pustkowiu, wśród wyschniętego stepu, którego krajobraz urozmaicało jedynie kilka zagubionych grup drzew, opuszczonych wiosek i piaszczystych dróg, natrafiliśmy na obozowisko, na nasze warunki luksusowe: to nie były jaskinie ani wykopane w ziemi schrony, lecz długi szereg murowanych budynków, które kiedyś służyły za stajnie albo koszary.

Domy, które wzięliśmy teraz w posiadanie, długo stały puste. W narzuconych przez nędzę i wojnę warunkach, w jakich żyliśmy, nie miało dla nas większego znaczenia, czy przedtem mieszkały tam zwierzęta, czy ludzie - niezależnie od tego, pomieszczenia były równie opuszczone i nędzne. Powiązaliśmy miotły z suchych badyli i wymiataliśmy nimi ze środka gnój, piasek i ziemię. Załataliśmy jak się dało dziurawe dachy z falistej blachy, żeby mieć ochronę przed słońcem, w wielu miejscach między krokwią dachu a blachą utykając liście palmowe i gałęzie. Zaimprovizowanymi miotłami wypłoszyliśmy masę skorpionów, tak długo stukając we wszystkie szpary i dziury, aż pouciekały. Dwa razy przy tym skorpion ugryzł mnie w nogę. Ugryzienia były bardzo bolesne, ale dzięki Bogu w ranach nie wywiązał się stan zapalny. Infekcja mogłaby oznaczać dla mnie śmierć.

Malaria

W nowym obozie na kilka miesięcy wróciło trochę spokoju - przynajmniej jeśli chodzi o nieprzyjacielskie ataki. EPLF był w tym czasie zajęty walką z armią etiopską.

Ta chwila odpoczynku od wojny nie oznaczała jednak, że działało nam się lepiej. Nie mieliśmy przez to więcej jedzenia, z trudem zdoby-

waliśmy wodę do picia i nie zmniejszyło się zagrożenie malarią, która była kolejnym zabójcą. Wprawdzie nasz obóz leżał w bardzo suchej okolicy, nawet płynąca w pobliżu rzeka Gesz, od której wziął nazwę cały region, była prawie całkowicie wyschnięta, ale były to tereny objęte malarią. Nie mieliśmy jak się przed nią bronić: nie mieliśmy żadnych siatek na noc, maści ochronnych, sprayów czy środków odurzających, które odstraszałyby lub trwały szczególnie uciążliwe po zapadnięciu ciemności komary.

My, dzieci, wiedzieliśmy o wiele za mało na temat śmiertelnego zagrożenia, jakie niesie za sobą malaria. Wiedziałam wprawdzie, że nie jest dobrze, kiedy cię ukąsi komar, szczególnie wieczorem. Wiedziałam także, że można się zarazić chorobą, która nazywa się malaria, a objawia się silną gorączką i nudnościami i czasami kończy się śmiercią, ale nie rozumiałam, że istnieje jakiś bezpośredni związek między ukąszeniami komarów i chorobą. Nie rozumiałam, że jedyną możliwością ustrzeżenia się przed chorobą jest unikanie ukąszeń.

Całkowite uniknięcie ukąszeń było absolutnie niemożliwe. Przez cały dzień pracowaliśmy i nie mogliśmy zwracać uwagi na małych dręczycieli. Każde z nas było tak nieustannie kąsane, że już tego prawie nie zauważaliśmy. Po pewnym czasie, jeżeli komary atakowały wystarczająco często, swędzenie ustępowało samo. Na początku, w pierwszym okresie w Gesz Berka i w ELF, sprawiały mi jeszcze dużo cierpienia, bo mieszkając dotychczas w Asmarze, nigdy nie miałam z nimi do czynienia; miasto leży w górach, ponad 2300 metrów n.p.m., a na wysokości przekraczającej dwa tysiące metrów nie ma komarów, a więc nie ma też malarii.

Tutaj jednak atakowały nas często roje komarów. Kiedy nie było wiatru, opadały na nas zaraz po zapadnięciu ciemności i dawały się we znaki nawet najbardziej zahartowanym chłopcom z oddziału. W ciągu kilku minut można było zarobić kilkadziesiąt ukąszeń. Swędziały i podrażniały skórę, szczególnie jeżeli ktoś był tak wrażliwy na ugryzienia insektów jak ja. Toteż wieczorem, przed spaniem naciągałam na siebie jakieś dziurawe ścierki, stare ciuchy i wszystkie koce, jakie mogłam znaleźć. Ponieważ nocą było tylko trochę chłodniej, pod kocami trudno było wytrzymać. Kurz, brud, upał i pot powodowały podrażnienie i swędzenie skóry. W najlepszym wypadku nieświadomie zrzucałam z siebie Wszystko przez sen. Rezultat był taki, że zaraziłam się malarią.

Najpierw jeszcze myślałam, że zjadłam coś nieodpowiedniego. Kiedy raz przez kilka dni nie było nic do jedzenia, znów żułam rozmaite trawki i zioła, próbowałam gliniastej ziemi i starałam się przełknąć kilka wygrzebanych z ziemi bulw. Zrobiło mi się straszliwie niedobrze i kilkakrotnie zwymiotowałam. Mdłościom towarzyszyły także dreszcze i gorączka, tak że nie mogłam wstać, nosić wody i ćwiczyć. Złana potem przewracałam się na swoim legowisku, nie będąc w stanie nawet myśleć o jedzeniu, a przecież jeszcze poprzedniego dnia byłam bardzo głodna. Teraz robiło mi się niedobrze nie tylko wtedy, kiedy myślałam o garstce ziemi z kilkoma trawkami, lecz także na wspomnienie najlepszej na świecie endżery, jaką przyrządzała moja babka w Asmarze. Coś takiego jeszcze mi się nigdy nie przydarzyło.

Dwa albo trzy dni później poczułam się lepiej. Gorączka ustąpiła, żołądek powoli znów zaczął odczuwać głód. Nie miałam odwagi zjeść znalezionych korzonków, piłam tylko słonawą wodę, którą koledzy zdołali wyczarować z wodnych oczek w łożysku pobliskiej rzeki.

W dniu, w którym znów mogłam wstać, stał się cud: było coś prawdziwego do jedzenia - endżera polana odrobiną sosu pomidorowego. Wszyscy chodzili jak zaczadzeni, to było prawdziwe święto. Do czego doprowadziła nas wojna! Tanie, zwyczajne jedzenie wystarczyło, żeby wprawić nas w odświętny nastrój.

Moja radość nie trwała długo. Już w nocy zauważyłam, że dzieje się coś złego. Było mi coraz bardziej gorąco, miałam także mdłości. Jeszcze było ciemno, kiedy wypadłam na dwór z baraku, żeby zwymiotować. To była prawdziwa rozpacz - raz wreszcie udało mi się najeść do syta, a teraz wyrzucałam z siebie to całe wspaniałe jedzenie! Przeklinałam półgłosem swój żołądek, swoje wnętrzności i siebie samą.

Z każdym następnym dniem czułam się coraz gorzej. Kiedy tylko próbowałam wstać, tak bardzo kręciło mi się w głowie, że z trudem tylko mogłam się utrzymać na nogach. Ciągle musiałam, opierając się o ścianę, wychodzić na zewnątrz, żeby zwymiotować. W głowie gotowało mi się od gorączki, stawy miałam napuchnięte, język zamienił się w śmierdzącą, wyschniętą szmatę. Opiekowała się mną Cegehana - przynosiła wodę i zwilżała chustki, żebym mogła przynajmniej ztrzeć z siebie kwaśny pot.

Kiedy w nocy zaczęłam mówić coś bez ładu i składu, sprowadziła lekarza naszego oddziału. Nie był to prawdziwy lekarz: nie miał

lekarstw, prawie żadnych materiałów opatrunkowych, wiedzy. Szybko jednak stwierdził, że zachorowałam na malarię. Wiele więcej zrobić nie mógł - zaniepokoił tylko moje siostry, rzucając uwagę, że po paru dniach gorączki wyzdrowieję albo umrę, w zależności od tego, z jakim rodzajem malarii mamy do czynienia. Nie zapomniał także nadmienić, że nawet jeżeli wyzdrowieję, atak zawsze może się powtórzyć.

- Malaria wraca - stwierdził - znajdzie cię wszędzie, wszystko jedno, gdzie byś się przed nią ukryła.

Dał mi zastrzyk, który miał tylko ten skutek, że miejsce po ukłuciu silnie nabrzmiało i rozszedł się od niego piekący ból. Nie mogąc zasnąć, przewracałam się na moim łożu boleści w ciemnym kącie baraku, w którym oprócz mnie mieszkało jeszcze kilkudziesięciu bojowników. Moim „łóżkiem” było kilka brudnych koców, rozłożonych na mocno ubitej glinianej podłodze - jeżeli byłam w stanie zdobyć jeden z tych pożądanych koców, o które każdego wieczoru toczyły się zawzięte kłótnie.

Kilka razy wychodziłam tylko na parę minut na zewnątrz za potrzebą albo po to, żeby zaczerpnąć trochę chłodniejszego nocnego powietrza. W baraku dzień i noc panował ten sam smrodliwy zaduch potu, starych murów i znoszonych łachów. Siadałam przed drzwiami i spoglądałam na nieskończone, pokryte gwiazdami niebo, opierając głowę o złuszczoną ścianę. Dalej nie odważyłam się odejść, bo bałam się, żeby dowódca nie uznał, że jestem już zdrowa i nie przydzielił mnie do ciągle tych samych nużących prac. Nie mogłam jednak siedzieć tam długo, bo pod budynkiem były gniazda termitów. Każdego, kto tutaj usiadł, po kilku minutach obłaziły i kąsały. Jak bardzo wtedy zniechęciłam te wążące wszędzie insekty!

Kiedy wtoczyłam się z powrotem do śmierdzącego pomieszczenia, z głową i zmysłami przyćmionymi od gorączki, koce z mojego kąta zniknęły. Złana potem, ale mimo to trzęsąc się z zimna, ślizgałam się po straszliwie brudnej podłodze i czołgałam się na czworakach po całym pomieszczeniu, żeby zdobyć nowy koc, ale spod każdej płachty materiału, za którą pociągnęłam, wyłaniała się ręka, żeby mnie odepchnąć, albo noga, żeby mi wymierzyć kopniaka. W końcu zrezygnowałam, i wycofałam się do mojego kąta; drząc, zwinęłam się w kłębek i myślałam tylko o jednym: żeby się to wszystko wreszcie skończyło.

Męka miała jednak potrwać jeszcze kilka dni, zanim zgodnie z proroctwem pozbawionego środków lekarza, choroba zdecydowała się, czy ma mnie zabić, czy mam żyć, i minęła tak samo nagle, jak przyszła. Zniknęła gorączka i mdłości - ale jak przepowiedział doktor, wróciły kilka miesięcy później. Powtarzało się to osiem czy dziesięć razy, aż dała mi na kilka lat spokój.

Mimo wszystko dziewczyna

W czasie pierwszego ataku gorączki leżałam, trzęsąc się i obejmując się ramionami. Nagle duszący odór wokół mnie stał się cieplejszy, poczułam zapach zwierzęcia. Coś przysunęło się bliżej do mnie. Jakaś dłoń poderwała mnie do góry, inna przycisnęła do podłogi, jeszcze jedna - a może to była znów ta pierwsza? - szarpnęła na mnie koszulkę i pociągnęła za spodnie. Kuliłam się, trzęsłam, chciałam krzyknąć, ale poczułam na ustach czyjaś rękę. Wiedziałam już, co teraz nastąpi. Wyprostowałam się, ale w głowie ciągle mi się kręciło i miałam wrażenie, że podłoga chwieje się jak wilgotne łóżysko potoku z głęboką warstwą piasku.

Nagle podłoga pode mną stwardniała jak kamień. Jeden z chłopców próbował we mnie wejść, drugi mnie trzymał. Udało mi się uwolnić jedną rękę. Straciłam z siebie tego, który zatykał mi usta i wrzasnęłam tak głośno, że zrezygnowali. Tym razem nie osiągnęli swojego celu. Ale nie zawsze miałam takie szczęście.

Wszystko jedno, chłopiec czy dziewczynka, wszyscy byliśmy sobie równi, tyle samo warci, mieliśmy takie same prawa. Nie byłam ani lepsza, ani gorsza od innych, którzy razem ze mną walczyli o Erytreę - Agawegahta i inni dowódcy próbowali w każdym razie wbić nam to do głowy. Chciałam dotrzymywać im kroku, mówić to, co oni, robić to, co oni - tylko nie chciałam walczyć z bronią w rękę, w żadnym razie nie chciałam mordować w imię tajemniczej wolności Erytrei. Tymczasem praktyka ciągle wskazywała na coś innego, wyjaśniono mi, że dziewczyna jest mniej warta niż chłopak, że wcale nie ma takich samych praw. I chociaż bardzo się starałam, żeby nie rzucało się to w oczy, byłam dziewczyną. Jedną z rzeczy, za pomocą której chłopcy chcieli mi pokazać, gdzie jest moje miejsce jako dziewczyny,

był seks. Powinnam grzecznie czekać. Powinnam być na ich usługi, kiedy przyjdzie im na to ochota.

Dziewczyna powinna się podporządkować, to zrozumiałam już dawno. Zdarzały się rzucające się w oczy wyjątki, jak Agawegahta, ale ona osiągnęła swoją pozycję tylko za tę cenę, że była co najmniej tak samo okrutna jak mężczyźni, o ile nie okrutniejsza. Wiedziałam, na czym polegają fizyczne różnice między dziewczynami a chłopcami i wiedziałam, że jest jakaś tajemnica, którą powtarzają sobie chłopcy, ale o której nie wiedzą dziewczyny. Było coś, co chłopcy mogli sobie brać, nie pytając, a my musiałyśmy im na to pozwalać, nawet gdyby nam się to bardzo nie podobało.

Duże brzuchy

Dziewczęta i chłopcy w naszej jednostce mieszkali zawsze razem, nie istniał żaden podział. Takie tematy jak gwałt były zakazane, zakazane były rozmowy o seksie. Zawsze jakaś dziewczyna była w ciąży, ale nigdy o tym nie mówiono, jak gdyby to nie istniało. Ciągłe widziałam, jak któraś z dziewcząt staje się coraz grubsza i grubsza. Początkowo zastanawiałam się, skąd mają tyle jedzenia, że robią się takie tłuste. Muszą istnieć chyba jakieś tajemnicze źródła, których ja nie znam. Kiedy jednak brzuchy tych dziewcząt coraz bardziej się napinały, sama zauważyłam, że to nie mogło brać się z jedzenia.

- One są w ciąży - szepnęła mi kiedyś moja najstarsza siostra Jaldijan, zasłaniając usta ręką. Chyba spojrzałam na nią nic nierozumiejącym wzrokiem, bo dodała jeszcze wyjaśnienie. - One były z jakimiś chłopakami i teraz w ich brzuchach rosną dzieci.

- Były razem? - zapytałam bezradnie. - Z tego się biorą dzieci?

Jaldijan nie miała już ochoty czegokolwiek mi tłumaczyć. Nie lubiła nikomu niczego tłumaczyć, a już na pewno nie mnie. Tymczasem ja miałam taką masę pytań, a ona była jedyną z dużych, której mogłam ufać, bo że tutaj chodziło o szczególną sprawę, to czułam. Nie mogłam Pytać chłopaka. Wchodziła w grę tylko dziewczyna. Musiała być ode mnie starsza, ale nie jakaś przełożona, ważna osoba jak Agawegahta - więc pozostawała tylko Jaldijan. Cegehana nie mogła udzielić mi tego typu informacji, bo na ten temat wiedziała niewiele więcej niż ja.

Chętnie by się dowiedziała więcej, ale Jaldijan nie mówiła nic nawet Cegehanie, pomijając drobne aluzje, takie jak to, co powiedziała do mnie. Czasami wątpiałam nawet w to, czy Jaldijan wiedziała wszystko o byciu razem i o tym, jak to jest z dziećmi.

Nie miałam pojęcia, co to znaczy być kobietą, nie wiedziałam nic o własnym ciele. Nie wiedziałam, co się stało, kiedy innym razem jeden z trzech chłopców, którzy sobie mnie upatrzyli, rzucił się na mnie, zerwał ze mnie ubranie i swoim czymś wszedł we mnie. Czułam ból, wstyd, nienawiść, odrazę i bezradność, ale nie wiedziałam, co to wszystko znaczy. Domyślałam się tylko, że to wokół tego robiono taką tajemnicę, której nie mógł mi wyjaśnić żaden z tych chłopców, i czułam, że nie powinnam o tym rozmawiać - niezależnie od tego, że tych trzech wbijało mi ciągle do głowy, żebym trzymała gębę na kłódkę. Wiedziałam, że to, co się stało, oznaczało straszną hańbę nie tylko dla nich, lecz także dla mnie, i nie wolno mi nikomu o tym mówić. Tak więc zamknęłam się w sobie razem z moim bólem i wstydem, nic nikomu nie mówiąc. Po takiej nocy, kiedy przychodzili do mnie jeden lub kilku, często w ogóle nie byłam w stanie podnieść się z legowiska. Coś drgało i przewracało się w moich wnętrznościach, tak że nie mogłam ani spać, ani się ruszyć, ani nic zrobić, mogłam tylko przycisnąć ręce do brzucha i unikać jakiegokolwiek ruchu, który mógłby zwrócić na mnie czyjąś uwagę.

Nie byłam jedyną, która nie wiedziała, co działo się z nią i z jej ciałem. Jedna z dziewczyn przestraszyła się kiedyś okropnie, kiedy zobaczyła, jak jej uda zabarwiają się na czerwono i spływa po nich krew. Zrozpaczona pobiegła do lekarza, który tylko na nią spojrzął i natychmiast ryknął grzmiącym śmiechem. Nie mógł się uspokoić, klepał się po udach i zaśmiewał tak głośno, że zbiegło się trochę osób, które chciały się dowiedzieć, co się tutaj dzieje. Lekarz wskazał na dziewczynę.

- Spójrzcie na tę idiotkę - powiedział, ciągle się śmiejąc. - Właśnie stała się kobietą i uważa, że brzuch ją boli dlatego, że zjadła coś zepsutego!

Inni także zobaczyli spływającą po jej udach krew i zaczęli się śmiać. Było oczywiste, że ta krew nie świadczyła o niczym niedobrym. Ale czemu, na Boga, miała stać się kobietą? I co ta krew miała z tym wspólnego? Nic już nie rozumiałam.

Eden

Niepokojące było to, że mnie także bolał brzuch. W dodatku miałam jakiś ropień w okolicach narządów płciowych, który powstał zapewne z powodu tego, co robili ze mną chłopcy, i bardzo mnie bolał. Po tym, co właśnie zobaczyłam, przestraszyłam się, że i ja mogę zacząć krwawić z brzucha. Wzburzona, znów chciałam się zwrócić do Jaldijan, ale ona wyruszyła w teren z oddziałem zwiadowców. Kiedy nie znalazłam również Cegehany, usiadłam po prostu na ziemi i rozpłakałam się. Nareszcie pojawiły się łyzy, które tak długo tłumiłam w sobie i które mi wyschły między napadami malarycznej gorączki i innymi udrękami, jakie mnie spotykały. W tym momencie zjawiała się obok mnie Eden. Pieśniarka, która nigdy dotąd specjalnie się mną nie interesowała, była przy mnie i przytuliła mnie do siebie. Miało to tylko ten skutek, że zaczęłam szlochać jeszcze głośniejsze, a ona wtedy objęła mnie jeszcze mocniej.

Eden była bardzo piękną kobietą: wysoka, z niezwykle długimi, bujnymi włosami, a także o stosunkowo - jak na Erytrejkę - jasnej skórze. Już dlatego była dla mnie wzorem, bo uważałam, że jasna skóra jest zawsze oznaką dobrego pochodzenia. Im ktoś jest jaśniejszy, tym pochodzi z lepszej rodziny i tym jest ładniejszy - mężczyzna lub kobieta. Ja zawsze należałam do najciemniejszych w naszym obozie. Niewielu było takich, którzy mieli skórę jeszcze ciemniejszą niż moja. Dlatego zawsze uważałam, że jestem brzydka. Musiałam być brzydka, bo byłam taka ciemna.

Eden była nie tylko jasna, miała także słoneczne usposobienie. Śpiewała pierwszym głosem, kiedy po ćwiczeniach intonowaliśmy nasze ELF-owskie pieśni. Śpiewała w czasie rozmaitych wieczornych uroczystości, co zdarzało się dosyć rzadko, chyba że komuś z kierownictwa udało się zorganizować kilka skrzynek palmowego wina albo baterię butelek wypełnionych jakąś bezbarwną cieczą, śmierdzącą o wiele bardziej niż benzyna w bakach naszych pojazdów. Eden śpiewała, kiedy prosili ją o to dowódcy, ale także wtedy, kiedy po prostu miała na to ochotę.

Kiedy tylko pojawiała się gdzieś w pobliżu, przybiegałam pędem i słuchałam w skupieniu, ale nigdy nie odważyłam się do niej zagadać albo poprosić, żeby mnie czegoś nauczyła, chociaż już wtedy marzyłam

o tym, żeby śpiewać tak jak ona. Eden jednak nigdy nie zwracała na mnie uwagi, nigdy nie odezwała się do mnie ani słowem - ale teraz była przy mnie.

- Co ci jest? - zapytała, tak jak matka pyta swoje dziecko. Była najwyżej o dziesięć lat starsza ode mnie, ale dla mnie zabrzmiało to jak pytanie matki, i ten ton zachwycił mnie najbardziej.

- Nie wiem, co mi jest - szlochałam - boli mnie brzuch, a teraz boję się, że też będzie mi leciała krew, tak jak tej dziewczynie, z której wszyscy się wyśmiewali. Oni mówią, że jest przez to kobietą, ale tylko się z niej śmiali.

Teraz roześmiała się Eden, ale to mnie nie zabolało, bo widziałam, że wcale sobie ze mnie nie kpi, tylko śmieje się tak dla dodania otuchy albo ze zrozumieniem.

- Tak jest z każdą kobietą - zaczęła i usiadła obok mnie na ziemi, jak gdyby zabierała się do dłuższej opowieści. - U tej dziewczynki zaczęło się to bardzo wcześnie. To jest nasza, kobieca tajemnica...

Eden opowiedziała mi, jak to jest z tą krwią i z dziećmi, i z mężczyznami, a ja słuchałam jak zaczarowana. Skoro wiedziałam, o co chodzi, uspokoiłam się i postanowiłam na zawsze zachować dla Eden osobne miejsce w moim sercu.

Nie zaczęłam jednak krwawić. Stało się to dopiero wiele miesięcy później, kiedy nie byłam już w Dźebhie.

W każdym razie, uświadomiona przez Eden, mogłam rozmawiać o tym z innymi, przede wszystkim z moimi siostrami. Dowiedziałam się, że kobiety, które mają regularne krwawienia, mogą wykorzystywać skrawki materiałów, żeby krew nie spływała im po nogach. Dowiedziałam się, że chłopcy biorą sobie to, czego chcą, i że jest to rzeczą normalną. Miałam nadzieję, że nie zacznę nagle tyć i rzeczywiście ani razu w tym okresie nie zaszłam w ciążę. Wiele dziewczyn i kobiet maszerowało ze swoimi wielkimi brzuchami na front. Wiele z nich zniknęło w pewnym momencie na kilka tygodni, żeby w jakimś ponurym zakątku tej prowincji wydać na świat swoje dzieci, które potem albo zabijały, albo oddawały do sierocińców takich jak ten, w którym ja spędziłam pierwsze lata mojego życia. Prawie zawsze wracały potem bez wielkich brzuchów i bez dzieci. Nie mogły liczyć na żadną pomoc.

Siostry

Nie można powiedzieć, żeby w Dźebhie panowała powszechna zgoda. Każdy patrzył na każdego wilkiem: czy nie chce mi zabrać mojej porcji endżery? A może woli się objąć, zamiast pełnić razem ze mną służbę na froncie? Czy nie zamierza oczernić mnie przed szefem, żeby samemu wypaść lepiej w jego oczach? Każdy był przeciwko każdemu, bo chociaż nikt nie miał nic do stracenia, walczono jednak o tę odrobinę jedzenia i względów, które zapewniały nam przeżycie na co dzień.

Także i my, siostry, wcale nie byłyśmy jak jedno serce i jedna dusza. Jaldijan lubiła pozować na najważniejszą z nas. Cegehana uznała jej przywódczą rolę, więc Jaldijan starała się przede wszystkim ujarzmić mnie. Byłam wprawdzie najmłodsza, ale o wiele bardziej krnąbrna niż Cegehana. Nie pozwalałam nic sobie powiedzieć.

Kiedy Jaldijan już zupełnie nie wiedziała, co ze mną począć, ciskała we mnie kamyczkami, ciągnęła za włosy albo próbowała ściągnąć ze mnie koc, kiedy chciałam spać.

- Zostaw, Jaldijan! - krzyczałam. - Zabieraj swoje paluchy!

- Gnojówo, nie będziesz na mnie krzyczeć! - wrzeszczała w odpowiedzi. - Głupi bachor! Twoja matka to dziwka!

Tego nie zrozumiałam. Co to znaczy dziwka? To musi znaczyć coś bardzo złego, jeżeli tak się mówi o kobiecie. Coś nieprzyzwoitego, coś, czym nigdy nie chciałabym być. Ale nie wiedziałam, co złego miałyby zrobić Mbrat.

- Kłamiesz! - piszczłam. - Mbrat wcale nie jest dziwką! Sama jesteś dziwką! - To oczywiście nie była prawda, ale co miałam powiedzieć?

- Mbrat wcale nie jest twoją matką! - wrzasnęła znów Jaldijan. - Twoja matka jest tylko brudną dziwką!

Trafiło, bo i tak miałam wątpliwości co do Mbrat. Wprawdzie nigdy nie była dla mnie niedobra i nigdy mnie nie uderzyła, zabrała mnie z sierocińca, ale też wbrew mojej woli zawiozła do mojego ojca, do mojej macochy i do moich dwóch siostr, z których jedna mnie nienawidziła, bo musiała dzielić się ze mną swoim ojcem i swoją siostrą. Mbrat mnie zdradziła, to było jasne, ale przecież mimo to była moją matką! A może nie?

Jaldijan podsyciła moje dawne wątpliwości co do tego, czy może

Mbrat jest jednak tylko matką zastępczą, a nie moją prawdziwą matką. Dlaczego miała jeszcze jedną córkę, którą także nazwała Senait? Jaldijan potrafiła zręcznie stawiać takie dręczące kwestie, z którymi potem musiałam sobie radzić sama.

Do kilkorga dzieci z oddziału Gwiazd Porannych przychodzili czasami krewni, także rodzice. Zdarzało się to bardzo rzadko, ale to sprawiło, że nabrałam jeszcze większych wątpliwości. To, że nasz ojciec nigdy nas nie odwiedził, było jasne, w końcu chciał się nas pozbyć. Ale dlaczego nigdy nie przyszła moja matka Mbrat? Czy nie wiedziała, gdzie jestem? Także matka Jaldijan i Cegehany nigdy nas nie odwiedziła. Czy nie wiedziały o niczym? Czy nasze matki zupełnie się nami nie interesowały?

O takich sprawach mogłam rozmawiać tylko z Cegehana, bo nikt inny tutaj nie znał Mbrat. Ale Jaldijan zabroniła mi rozmawiać z Cegehana, a jej nie pozwalała rozmawiać ze mną.

- Czego chcesz od niej? - burczała.
- Jest moją siostrą! - krzyczałam.
- Nieprawda! - ryczała Jaldijan. - Wcale nie jesteś jej siostrą! Ja jestem jej siostrą! Ty jesteś dzieckiem prostytutki!

Cegehana była za słaba, żeby obronić się przed dominacją Jaldijan. Chciała ze mną rozmawiać i bawić się, spędzać ze mną czas, czułam to. Ale nie śmiała przeciwstawiać się zakazom Jaldijan. Chyba że Jaldijan musiała iść na front. Kiedy tylko Jaldijana zniknęła, jej słowo nie miało już żadnego znaczenia. Na początku nie chciałam się z tym pogodzić, ale w końcu się poddałam. Wolałam mieć Cegehane w tajemnicy, niż w ogóle się z nią nie spotykać.

Wyprawy Jaldijan na front trwały na ogół dłużej, toteż ja i Cegehana zawsze miałyśmy trochę czasu dla siebie. Front znajdował się z reguły jakieś pięć do piętnastu kilometrów od naszych obozów. Często słyszeliśmy strzały i wybuchy granatów, ale jeżeli trzymaliśmy się obozu albo w jego pobliżu, nic nie widzieliśmy. Droga na front była zawsze długim i niebezpiecznym pieszym marszem, bo na obszarze walk było pełno min, i można było dostać się w zasadzkę albo trafić na przeprowadzających zwiad nieprzyjacielskich żołnierzy. Nic nie było właściwie wiadomo; często słyszałam, jak nasi dowódcy spierali się o to, co należy robić. Mieliśmy wprawdzie radio, ale odbiorniki nie zawsze funkcjonowały i było ich za mało, żeby utrzymać łączność

wszystkich grup. Nieraz część oddziału nie wiedziała, gdzie jest reszta, a kiedy nasi wojownicy po całodziennym marszu wracali do obozu, nierzadko byli zaskoczeni zmianami, jakim uległa tymczasem sytuacja na froncie - chociaż właśnie stamtąd wracali. Toteż zdarzało się, że całymi dniami nie widziałam Jaldijan, bo kiedy ona szła na front, ja prawie zawsze musiałam - albo mogłam - zostać w obozie.

Akcja

Cegehana i ja bałyśmy się walki; ja jeszcze bardziej niż ona. Pod koniec naszego pobytu w ELF Cegehana musiała ciągle uczestniczyć w bitwach, a mnie wysyłano bardzo rzadko. Pewnego razu jednak obydwie towarzyszyłyśmy zmierzającemu na front oddziałowi, bo wyjątkowo spory odcinek drogi pokonywaliśmy samochodami.

Ja wprawdzie nie miałam broni, ale przy takich okazjach zwykle wysyłano w pole także kilkoro młodszych. Mieliśmy trzymać się z tyłu i robić to, co inni, żebyśmy pewnego dnia sami umieli walczyć.

Siedzieliśmy więc stłoczeni w pudle ciężarówki i nie mieliśmy pojęcia, dokąd jedziemy. Cegehana znalazła dwie stare baterie, które ktoś zostawił na platformie. Te puste baterie miały dla nas wielką wartość. Zdrapywałyśmy osłonę z plusa, aż ukazywała się czarna, podobna do gumy masa, nadająca się do żucia. Wyobrażałyśmy sobie, że to jest guma i rozkoszowałyśmy się jej gorzkim, ostrym smakiem. Z Asmary znałam gumę do żucia i wiedziałam, że jest to coś, co ma cudowny słodki smak, który traci im dłużej jest w ustach. Masa z baterii smakowała okropnie i nigdy nie traciła intensywności, wprost przeciwnie, mimo to lubiłyśmy ją żuć. Uspakajał nas sam fakt, że miałyśmy coś w ustach.

Ciężarówka nagle zahamowała, gwałtownie wyrwijąc nas z marzeń.

- Dalej, złazić, na tę stronę - ryknął ktoś z szoferki, pokazując na rzadki lasek obok drogi. - Kryć się!

Zeskoczyliśmy z platformy. Ledwo zdążyliśmy przykucnąć wśród krzaków i drzew, kiedy się zaczęło: usłyszeliśmy strzały z coraz bliższej odległości. Potem przebiegli obok nas koledzy, a za nimi bojownicy nieprzyjaciela.

- Ognia! - krzyknął ktoś, kiedy przed nami pojawiło się kilku przeciwników. Nigdy jeszcze nie widziałam ich z tak bliska. Moi towarzysze poderwali karabiny i zaczęli strzelać. Ja strasznie się bałam, że umrę albo się spalę, że zginęła Cegehana, albo ktoś koło mnie, albo jakiś nieprzyjaciel. To było wprawdzie nielogiczne, bo oni przecież chcieli nas zabić, ale ja nie mogłam znieść myśli, że leżymy prawie wśród samych trupów, musimy walczyć i strzelać.

Tym razem mieliśmy szczęście, bo po kilku minutach nieprzyjaciele poderwali się i uciekli. Powinniśmy ich ścigać, ale to było prawie niemożliwe, bo w gęsto zarośniętym terenie posuwaliśmy się bardzo wolno wśród zarośli, wysokiej trawy i rozmaitych korzeni, krzaków i drzew i szybko straciliśmy z oczu uciekających. Gwizd wezwał nas do ciężarówek, to był sygnał do powrotu. Posłusznie pomaszerowałam z powrotem, cała pokłuta i podrapana.

Kiedy wreszcie pozwolono nam wdrapać się znów na ciężarówkę, nagle całkiem blisko rozległo się kilka strzałów. Jako jedna z pierwszych znalazłam się już na platformie i stanęłam jak wryta, niezdolna do tego, żeby się ruszyć. Coś ciepłego spływało mi po nogach. Po prostu samo ze mnie wypłynęło, posusiałam się. W zaroślach koło naszej ciężarówki ktoś głośno się roześmiał. Nie widziałam kto, bo tymczasem zrobiło się już prawie ciemno. Znow trzasnął strzał i bezwładnie jak worek upadłam na dno ciężarówki. Nie byłam ranna. To strach podciął mi nogi.

Nagle usłyszałam czyjś śmiech, potem jeszcze czyjś. Nie od razu zorientowałam się, że śmieją się ze mnie. Ostrożnie uniosłam nieco głowę, ale nic nie zobaczyłam. Usiadłam i stwierdziłam, że wszyscy są w dobrych humorach. Strzał oddał ktoś z naszych, bo zauważył jakiegoś uciekającego przeciwnika. Położył go drugą salwą. Teraz nasi przewracali trupa na wszystkie strony i wciągnęli go w światło reflektorów ciężarówki, żeby sprawdzić, czy ma przy sobie coś, co mogłoby ich zainteresować. Kiedy niczego nie znaleźli, zostawili go w spokoju.

Podniosłam się i patrzyłam bezradnie na ciało, nie myśląc o tym, że się zmoczyłam.

- *Senait bidewa szenait* - krzyczeli moi koledzy i śmiali się. - *Senait bidewa szenait*. - Senait siusia na stojąco, podjęli jeszcze raz. Towarzyszące nam dzieci podchwyciły drwiącą przyśpiewkę. „Senait bidewa szenait” - to stało się jakby moim drugim imieniem.

Ze wstydu zwinęłam się cicho na platformie i w drodze do obozu wytrzęsło mnie straszliwie. Cegehana przykucnęła w milczeniu obok mnie. Nie śpiewała razem z innymi. Wprawdzie mnie nie broniła, ale tego nie mogłam się przecież po niej spodziewać. Nikt nie miał tyle siły, żeby przeciwstawić się zbiorowym kpinom, to wiedziałam. Nawet Jaldijan, moja duża siostra, nie zaprotestowałaby, a tym bardziej Cegehana.

Koniec jest bliski

Wtedy, kiedy założyliśmy obóz w starych koszarach nad rzeką Gesz tuż przy granicy z Sudanem, wiedzieliśmy już na pewno, że sprawa ELF jest przegrana. Zawsze byliśmy słabsi, taki wniosek wyciągnęłam z frontowych opowieści starszych kolegów. Oficjalnie wszystko było oczywiście ciągle w najlepszym porządku. Oficjalnie robiliśmy jeszcze postępy na froncie, nawet wtedy, kiedy zagnano nas już w ostatni kąt i cała armia o mało nie uciekła do Sudanu. Najpierw nieprzyjaciel wypłoszył nas z okolicy Biszy, potem pognał w stronę granicy z Sudanem, prawie naprzeciwko Kassali, najbliższego większego miasta po tamtej stronie granicy.

My, dzieci, nic o tym wszystkim nie wiedzieliśmy. Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, o co w tym konflikcie chodzi. ELF i EPLF to były dla nas tylko litery. Na nasze polityczne wykształcenie składało się kilka pieśni, w których my byliśmy dobrzy, a oni źli. Ci z EPLF to oszuści i mordercy, ELF jest dobre - takie było przesłanie. Oni byli Szabia, wrogowie, przegrani. My byliśmy Dżebha, odważni, zwycięzcy, wybawiciele Erytrei.

Dla ELF wojna była przegrana już wtedy, kiedy wszystkie trzy trafiłyśmy do Dżebhy Naszego wspólnego wroga, armii etiopskiej, nawet nie widzieliśmy, bo EPLF pędził nas przed sobą jak lisy zająca. Byliśmy zajęci tylko tym, żeby obronić się przed EPLF i nie dopuścić do klęski naszego oddziału. Jedynym co nam pozostało, była odwaga i rozpacz. Beznadziejność toczonej przez nas walki nadawała jej jakiś wyższy sens, czasami zahaczała niemal o świętość. Często myślałam, że Dżebha ma jakiś związek z modłami, bo mężczyźni wiele razy w ciągu dnia zwracali się w określoną stronę świata, żeby wymruczeć swoje modlitwy.

Dopiero potem dowiedziałam się, że to nie miało nic wspólnego z Dżebhą, że to była ich własna religia, islam. W Dżebhie byli chrześcijanie, jak Jaldijan, Cegehana i ja, ale my nie praktykowaliśmy swojej religii. Modliliśmy się wprawdzie po cichu, ale nie mieliśmy księży, krzyży, nie odprawialiśmy mszy. Oficjalna doktryna Dżebhy miała na imię równość. Mówiono nam, że walczymy o sprawiedliwszy świat. W tym świecie nie będzie już bogatych i biednych, wszyscy będą mieli co jeść, własne krowy i własne pola.

Nie potrafiłam wyobrazić sobie siebie jako osoby bogatej. Znałam tylko biednych, którzy wprawdzie nie skarżyli się, ale nie posiadali nic i przez całe życie ledwie wiązali koniec z końcem. W jaki sposób mielibyśmy to zmienić? Przecież zboże nie rosło dlatego, że było za mało deszczu. Przecież przywódcy ELF nie potrafili sprowadzić deszczu, o tym już się przekonałam.

Kiedyś zapytałam o to Mihret, ale zamiast odpowiedzi dostałam w twarz i uwagę, że spierze mnie na kwaśne jabłko, jeżeli dalej będę opowiadać takie głupoty. Nigdy już więc nie wracałam do tego tematu. To nie było ważne, bo nie miało żadnego wpływu na moje codzienne problemy.

Zadawałam zdecydowanie za dużo pytań. Z tego powodu zawsze miałam kłopoty, na przykład w czasie wykładów z polityki. Nie należy sobie przy tym wyobrażać, że były to jakieś prawdziwe wykłady, a nie zwykłe propagandowe pogadanki, odbywające się zawsze według tego samego schematu. Co kilka tygodni zwoływano takie zebrania, przeważnie bez uprzedzenia, bo ze względu na nieprzewidywalność sytuacji na froncie, nie istniał wyznaczony z góry plan zajęć. Na te zebrania musieli przychodzić wszyscy ci, którzy nie byli akurat na froncie albo nie musieli stać na warcie, dorośli i dzieci. Siadaliśmy wtedy na ziemi i słuchaliśmy, jak ktoś ze starszych opowiada o wojnie. Mówca przemawiał zawsze z wielkim patosem, zupełnie innym tonem niż normalnie.

Czasami taki wykład wygłaszała Agawegahta. Mówiła głośno, jakimiś dziwnie mętnymi zdaniami, które nigdy się nie kończyły i zawsze prowadziły do czegoś, czego nie pojmowałam. Zbliżając się do końca wykładu, Agawegahta mówiła coraz głośniej. „Szabia to oszuści!” - krzyczała. Albo: „EPLF chce zdradzić Erytreę, musimy go zniszczyć!”.

To były proste zdania, ale mimo to ich nie rozumiałam. Kiedy pozwolono nam zadawać pytania, podniosłam rękę.

- Żołnierze z Szabii wyglądają zupełnie tak samo jak my - powiedziałam. - Dlaczego mam do nich strzelać?

Agawegahta nie skrzyczała mnie. Tylko się roześmiała, a prawie wszyscy przyłączyli się do jej śmiechu. Wielki śmiech narastał, a mój sąsiad wymierzył mi cios prosto w twarz. Od tyłu dostałam kilka kopniaków, tak że upadłam w piasek i na tym sprawa się skończyła. Od tej pory wiedziałam, że zadawanie takich pytań nie ma sensu. Wiedziałam jednak także, że nigdy nie przestanę szukać na nie odpowiedzi.

Partyzantka

Wojna stawała się coraz bardziej brutalna, ponosiliśmy coraz większe straty. Nie było już prawie dnia, żeby nie przynoszono do obozu trupów albo ciężko rannych żołnierzy. Cała nasza armia składała się już tylko z kilkuset osób. Łatwo było przewidzieć, że w niedalekiej przyszłości zostaniemy starci z powierzchni ziemi, a w każdym razie staniemy się niezdolni do walki. Coraz częściej także najmłodszy musieli iść na front.

Ja odpowiadałam za to, żeby wszyscy mieli dosyć amunicji. Naboje pakowano w tekturowe pudełka, które musiałam roznosić między posterunkami. Bałam się. Bałam się wrogów, na których mogłam się natknąć wszędzie w zaroślach, bałam się, że wejdę na minę, co w ostatnich dniach spotkało już kilkoro moich kolegów. Wiedziałam z grubsza, jak miny wyglądają, ale sama nigdy jeszcze żadnej nie widziałam. Wiedziałam także, że nie ma szans na to, żeby minę zauważyć, jeżeli jest dobrze zakopana w ziemi. Mimo to, biegnąc przez las uporczywie wpatrywałam się w ziemię, ale widziałam tylko korzenie i trawę, zarośla i krzaki, za którymi mógł zawsze czaić się wróg. Po kilku godzinach na linii frontu nie wiedziałam już, czego mam się bać bardziej, min czy niespodziewanego ataku.

Wieczorem, po powrocie do obozu, zjadłam nędzny posiłek i natychmiast położyłam się spać. Skuliłam się pod kocem, nie chcąc nic więcej widzieć ani słyszeć. Wtem zabrzmiała piosenka „Wielbłądzie, wielbłądzie, jakie śliczne jest twoje imię...”. To była dziecięca piosenka,

jedna z pierwszych, jakich uczyliśmy się w ELF. Nam, małym wojownikom miała umilić wojnę. Ściągnęłam koc z głowy, żeby lepiej słyszeć: „Zawsze stoisz u boku bojownika i dźwigasz jego broń. Jesteś mu wierny w upale i w chłodzie, głodzie i pragnieniu...”.

Nie mogłam się powstrzymać od łez. Niespecjalnie wprawdzie lubiłam towarzyszące nam ciągle wielbłądy. Były to wielkie, budzące strach zwierzęta, na których olbrzymie kopyta trzeba było zawsze uważać, bo kiedy tylko coś im się nie spodobało natychmiast zaczynały wierzgać. Lubiłam jednak przyglądać się im z bezpiecznej odległości, a przede wszystkim miła mi była myśl, że ktoś wiernie stoi u mojego boku.

Nie mogłam przestać płakać nawet wtedy, kiedy głos śpiewał dalej oklepane bojowe pieśni Dżebhy: „Ci z EPLF, to podejrzani osobnicy, puszą się strasznie, bo oszukują i kłamią. Ale nie martw się, mój ludu, wszystko co złe źle kończy. Nie martw się, Erytreo. Dżebha cię wyzwoli i poprowadzi ku niepodległości...”.

Śpiewała Genet, inna pieśniarka Dżebhy. Wprawdzie nie robiła tego tak pięknie jak Eden, ale lubiłam ją, bo często śpiewała razem z nami, dziećmi, takie piosenki, jak na przykład ta o wielbłądzie. Albo pieśń o rozpoczynającym się dniu, który przyniesie nam dużo szczęścia i bogate żniwa: „Wstaje świt, jesteśmy gotowi...”.

Nie słyszałam już słów roztaczających wizję wspianącej przyszłości, w której miałyśmy rozkwitać ja i Erytrea. W środku pieśni zapadłam w głęboki sen bez snów.

Ucieczka

Z dnia na dzień mnożyły się oznaki pogłębiającego się rozkładu Dżebhy. Pewnego razu nie wróciły wieczorem do obozu dwie dziewczyny, które poszły po drewno. Następnego ranka pozostałe dzieci rozsypały się w tyralierę i zaczęły ich szukać, ale nie znalazły najmniejszego śladu. Dopiero następnego dnia koledzy natrafili na zaginione - nie żyły, prawdopodobnie zabite przez Beduinów. Nigdy nie mieliśmy się dowiedzieć, czy poszło o drewno na opał, czy też zatarg wywiązał się z innego powodu.

Innego dnia grupa żołnierzy wyruszyła późnym wieczorem na front. Chcieli iść nocą, bo nocą było chłodniej i bezpieczniej, a także uznali, że wczesnym rankiem uda im się trochę odpocząć i potem zacząć na wroga. Oddział składał się z trzydziestu-czterdziestu mężczyzn i chłopców. Ani jeden z nich nigdy nie wrócił. Początkowo nasze dowództwo przypuszczało, że wpadli w zasadzkę, ale chociaż przeszukaliśmy dokładnie wszystko wokół, nie udało nam się znaleźć żadnych śladów. Potem rozeszły się pogłoski, że nasi koledzy dali drapaką, uciekli przed wojną i przeszli przez pobliską granicę do sąsiedniego Sudanu. Głośno naturalnie nie należało tego mówić, ale niektórzy z nas także zadawali sobie pytanie, po co mamy prowadzić dalej tę bezsensowną walkę i ryzykować głową, kiedy jest inne wyjście?

Kilka dni później ja i moje siostry poszłyśmy po wodę do pobliskiej rzeki. Na dnie była tylko sucha, spękana ziemia, ale wiedziałyśmy, że trochę dalej jest miejsce, gdzie stoi kilka nędznych drzewek,

nieomylny znak tego, że musi tam być woda. Niejednokrotnie już ją tam znajdowałyśmy. Pozostawało tylko pytanie, jak głęboko trzeba będzie teraz kopać, żeby się do niej dostać.

Po stromej, piaszczystej i wyschniętej skarpie zeszliśmy w koryto rzeki, uzbrojone w łopatę, wiadro i kilka plastikowych kanistrów. Znalazłyśmy odpowiednie miejsce i na zmianę zaczęłyśmy kopać. Szło łatwo, bo podłoże było bardzo piaszczyste i szybko zaczęło ciemnieć od wilgoci. Trzeba było tylko uważać, żeby nie osypywały się ścianki wykopanego przez nas dołu, bo grunt był bardzo sypki.

Któraś z nas zaczęła coś nucić. Czułyśmy się całkowicie swobodnie i bezpiecznie. Nagle z drugiego brzegu usłyszałyśmy jakieś odgłosy. Rozbiło tam obóz kilku Beduinów z wielbłądami, a dwóch z nich schodziło teraz w dół, w koryto rzeki. Nie codziennie spotykało się Beduinów, ale też nie było w tym nic nadzwyczajnego; w poszukiwaniu paszy dla swoich zwierząt przemierzali rejon graniczny między Sudanem a Etiopią i handlowali wszystkim, czym się dało. Ponieważ my nie miałyśmy ani pieniędzy, ani rzeczy, które mogłybyśmy wymienić na towary Beduinów, nasze kontakty ograniczały się do przypadkowych spotkań. Normalnie Beduini nie interesowali się nami, lecz szli w swoją stronę, bo wiedzieli, że jesteśmy zwykłymi nędzarcami. Trzeba było jednak zachować ostrożność, bo zdarzyło się już kilka nieprzyjemnych incydentów.

Dwaj Beduini, którzy ześlizgnęli się w koryto rzeki, skierowali się w naszą stronę. Co robić? Uciekać?

Dół, który wykopałyśmy, był już dosyć głęboki, i jeżeli nie będziemy bez przerwy odgarniać osuwającego się piasku, nasza praca pójdzie na marne. A perspektywa powrotu do obozu z pustymi rękami nie była przyjemna. Naradziłyśmy się szeptem, i na początek postanowiłyśmy po prostu kopać dalej. Jaldijan była zdania, że Beduini nic nam nie zrobią, jeżeli będziemy trzymały się razem. Tak więc kopałyśmy dalej z całych sił. Lada chwila powinniśmy natrafić na wodę. Zachowywałyśmy się tak, jak gdyby nic innego nas nie interesowało. Nie musiałyśmy zresztą specjalnie udawać, bo bardzo nam się chciało pić.

- Pssst... psssst! - zasyczał w naszą stronę jeden z Beduinów, starając się zwrócić na siebie naszą uwagę. Rzuciłyśmy okiem w stronę warchołów, zakłócających nasz spokój. Jeden z nich ściągnął chustę

i odsłonił twarz. Wyglądał inaczej niż jego towarzysz, miał jaśniejszą cerę, o wiele ostrzejsze rysy, był od niego wyższy. Nie wyglądał też na chłopca, jak większość Beduinów. Ten człowiek był właściwie bardzo podobny do nas.

Chociaż prawie wszyscy Beduini mówili tylko po arabsku, ten wykrzyknął nagle niezbyt głośno pozdrowienie w naszym języku, tigrinia. Nie rozumialiśmy go za dobrze, bo był daleko i zwracał się do nas przytłumionym głosem. Dopiero kiedy przemówił trochę głośniejsze, zrozumialiśmy jego słowa:

- Jaldijan! Jaldijan! Podejź!

Jaldijan drgnęła i spojrzała z osłupieniem na mężczyznę. Po czym szepnęła do nas:

- To jest Hajle, nasz wujek!

Ja nigdy nie widziałam wujka Hajle, a Cegehana go nie pamiętała, bo była jeszcze za mała, kiedy odwiedził je po raz ostatni. Ale Jaldijan nie miała wątpliwości. Bez przerwy mruczała pod nosem:

- Hajle! To jest Hajle. - Jak zaczarowana gapiła się na mężczyznę, jak gdyby chciała wyczytać z jego twarzy, jakie ma zamiary.

Hajle nie sprawiał wrażenia ucieszonego - albo nie miał odwagi okazać swojej radości. Za nami schodziło w koryto rzeki kilkoro dzieci z naszej jednostki obwieszonych wiadrami i kanistrami, które przyszły, żeby pomóc nam w niesieniu wody. Hajle utrzymywał dystans, jak gdyby nie miał z nami nic wspólnego, i zbliżył się do nas najwyżej na dwadzieścia metrów.

- Chcę wam pomóc - szeptał. - Mam wiadomość od waszego ojca!

- Nie chcemy o nim słyszeć! - wyrwałam się, a siostry pokiwały potakująco głowami, nawet jeżeli z mniejszym przekonaniem, niż ja. - Nie chcemy mieć z nim nic wspólnego! - powiedziałam zdecydowanie. Tutaj mam szansę przeżyć, pomyślałam, u ojca czeka mnie pewna śmierć.

Hajle nie ruszał się, chociaż inne dzieci z naszego obozu zbliżyły się już prawie na odległość głosu, a my szykowałyśmy się do odejścia. Zarzuciłam swoje kanistry, Jaldijan wzięła łopatę, Cegehana wiadro.

- Przyjdźcie jutro! - zaszeptał Hajle. - Muszę porozmawiać z wami bez świadków!

Nie wiedziałyśmy, co o tym sądzić. Może to pułapka? Zasadzka przygotowana przez naszego ojca? Ale Hajle tak nalegał, że zgodziłyśmy się.

- Dobrze - powiedziała Jaldijan. - Jutro znów przyjdziemy tutaj po wodę.

Hajle chyba się tym zadowolił, bo odszedł. Zaraz potem podeszły do nas dzieci z naszego oddziału.

- Czego chcieli od was ci faceci? - pytały ciekawie, ale my tylko wzruszałyśmy ramionami.

- Nie zrozumiałam ani jednego słowa - powiedziałam bezczelnie.

- Nic dziwnego, głupku, przecież nie znasz arabskiego! - to zakończyło sprawę.

Wieczorem przez wiele godzin nie mogłyśmy zasnąć i zastanawiałyśmy się, co też to wszystko może znaczyć. Jaldijan była pewna, że tym Beduinem był Hajle, to nie ulegało wątpliwości. Pamiętała go jako sympatycznego i poczciwego człowieka. Hajle był najmłodszym bratem naszego ojca. Postanowiłyśmy mu zaufać - ale w żadnym wypadku nie pozwolić, by zaprowadził nas do ojca.

Następnego dnia znów poszłyśmy w to samo miejsce po wodę. Tym razem żadnego z kolegów nie było w pobliżu. Nagle pojawił się Hajle, ciągle jeszcze przebrany za Beduina, ale dzisiaj przyszedł sam. Powiedział, że chciałyby nas stąd zabrać i że „Che Guevara”, nasza jednostka, już prawie nie istnieje, że w tej wojnie zwycięży EPLF albo armia etiopska.

- Jeżeli nie pójdziecie ze mną, znajdziecie się w wielkim niebezpieczeństwie. Wielu spośród was zostanie zabitych, ELF jest bliski klęski.

Mówiąc to, wyważał otwarte drzwi, bo same wiedziałyśmy, że z Dżebhą nie jest dobrze.

- Przyjdźcie tu znów pojutrze, zabiorę was ze sobą i przeprowadzę do Sudanu. Obiecuję, że będziecie mieszkać u mnie w Chartumie, to stolica Sudanu, a nie u waszego ojca. On już jest dawno w kraju białych ludzi, w Europie.

Byłyśmy niezdecydowane, ale w końcu zgodziłyśmy się. Tak natarczywie przedstawiał swoją prośbę i był przy tym tak życzliwy że nie potrafiliśmy mu odmówić.

- Nie możemy spotykać się zawsze w tym samym miejscu - powiedział jeszcze - najlepiej będzie, jeżeli pójdziecie trochę dalej i przejdziecie na drugi brzeg, jak gdybyście szukały wody. Będę tam na was czekał!

Nadzieja

To były dwa dni pełne wątpliwości, strachów i obaw, ale także dwa dni pełne nadziei. Czy nie będziemy już musiały walczyć? Wyteżać wszystkich sił, żeby dokopać się do wody, cierpieć głodu i bać się o to, czy uda nam się przeżyć następny dzień? Pełne obaw, starałyśmy się uniknąć przydzielenia do jakiejś grupy zwiadowczej lub oddziału zmierzającego na front z dostawą amunicji. Takie wyprawy mogły potrwać kilka dni, a my za nic nie chciałyśmy spóźnić się na spotkanie z wujkiem albo wręcz zginąć od nieprzyjacielskiej kuli w ciągu ostatnich dni pobytu w Dzebhie. Gdyby to tylko była prawda i gdybyśmy rzeczywiście mogły wydostać się na wolność!

Wreszcie przyszła pora spotkania. Nie mogłyśmy się doczekać, kiedy będziemy mogły pójść nad rzekę. Rano skwapliwie chwyciłyśmy nasze sprzęty, z którymi chodziłyśmy po wodę. Już wychodziłyśmy z obozu, kiedy usłyszałyśmy głos Mihret:

- Hej, wracajcie! Trzeba iść na patrol!

Serce o mało nie stanęło mi w piersi. Co teraz?

- Zaraz wracamy, Mihret - odkrzyknęłam. - **Mamy już na dole** kilka wiader wody, musimy je jeszcze przynieść!

- Dobrze, ale pospieszcie się! - krzyknęła.

To właśnie zrobiłyśmy. Strasznie się spieszyłyśmy.

Dotarłyśmy do rzeki niemal bez tchu. Szybko wspięłyśmy się na drugi brzeg. Nikt nas nie widział, toteż nie zawracałyśmy sobie głowy udawaniem, że idziemy po wodę. Nagle zza krzaków wyskoczył Hajle i jeszcze jeden mężczyzna, którego nie znałyśmy. Wręczyli nam kilka chust, żebyśmy mogły się przebrać za małych Beduinów. Próbowałam coś z nimi zrobić, ale siostry musiały mi pomóc, bo nigdy jeszcze nie miałam na sobie niczego podobnego. Drugi mężczyzna patrzył na nas ponuro. Nie budził mojego zaufania, ale teraz nie było czasu na Wątpliwości.

- Idziemy - powiedział Hajle, kiedy skończyliśmy. - Już nigdy tutaj nie wrócicie.

Ruszyliśmy. Szliśmy w milczeniu, aż napotkaliśmy następnego mężczyznę, który czekał z osiołkiem poza zasięgiem wzroku. Towarzysze Hajlego byli chyba prawdziwymi Beduinami, w każdym razie tak wyglądali. Wszystkie trzy miałyśmy jechać na osiołku. Kiedy już siedziałyśmy na jego grzbiecie, osiołek westchnął głęboko i wyraźnie, zupełnie jak człowiek. Zrobiło mi się go żal, ale Hajle powiedział tylko:

- Nie gadaj głupstw, musimy znaleźć się daleko stąd, i to szybko! Będiesz jeszcze dziękować Bogu, że możesz siedzieć na tym osle!

Tak było. Posuwaliśmy się naprzód w milczeniu przez cały dzień, nie zatrzymując się i nie widząc po drodze żywego ducha. Tylko w oddali pojawiali się czasem Beduini ze swymi wielbładami, w pewnym momencie gdzieś daleko mignął jakiś pojazd, na pewno z żołnierzami. Nikt nie zwracał na nas uwagi, bo z dziećmi i osiołkiem nasza mała grupka wyglądała jak najgorsi nędzarze, którzy nie mogą sobie pozwolić na wielbłąda i którym na pewno niczego nie można ukraść.

Marsz

W miarę, jak się posuwaliśmy, równina stawała się coraz bardziej jałowa. Tutaj nie było już w ogóle drzew, tylko wyschnięte kępki traw, tu i ówdzie jakiś suchy krzak. To był najbardziej monotony krajobraz, jaki kiedykolwiek widziałam. Słońce paliło niemiłosiernie, ale nie mogłyśmy zdjąć chust, którymi miałyśmy owinięte głowy. Nie byłyśmy do tego przyzwyczajone, ale nie było to przykre: było nam wprawdzie gorąco i parno, ale za to słońce nie paliło w głowy i twarze.

Mrużąc oczy, wpatrywałyśmy się w horyzont, żeby wreszcie dojrzeć coś, co mogłoby być naszym celem, ale widziałyśmy tylko jasnyniebieską, prawie białą mgłę, która przybierała najrozmaitsze kształty. Raz w drgającym upale pojawiło się ogromne miasto, potem jezioro, czasami górskie łańcuchy. Wszystko przed nami zdawało się być w nieustannym ruchu, ale to były tylko odbicia powietrza, zwykła złuda. Za każdym razem, kiedy wspięliśmy się na niewysoki pagórek, w dole nie było widać nic więcej poza wyraźną linią oddzielającą niebo

od ziemi, która nie przesuwała się ani o milimetr i nie kryła w sobie żadnej tajemnicy.

Wieczorem, kiedy słońce dawno już zaszło za horyzontem, rozbiliśmy mały obóz. Mężczyźni mieli namiot, był suchy chleb i woda. Łapczywie wszystko pochłonęliśmy. Zamierzałyśmy zadać tyle pytań wujkowi Hajle tego pierwszego wieczoru wolności, bo po drodze nie chciał nic mówić i było za gorąco, żeby rozmawiać. Teraz jednak interesowało nas tylko to, kiedy będziemy mogły położyć się spać. Na zewnątrz, poza namiotem, panował przejmujący chłód, w środku zachowało się jeszcze ciepłe powietrze dnia. Przytuliłyśmy się do siebie. Zasyślałam ze wspaniałym uczuciem: może moje życie odmieni się wreszcie na lepsze.

Następnego dnia najpierw szłyśmy na piechotę, żeby oszczędzać osiołka. Podobało mi się to, ale koło południa już zmieniłam zdanie. Stopy paliły ogniem, język tkwił w ustach jak wyschnięta szmata, a beduiński strój kleił się do mnie mokry od potu.

Nagle okazało się, że otaczają nas żołnierze w mundurach, jakich jeszcze nigdy nie widziałam. Idąc, zwracałam tylko uwagę na to, jak stąkam, na swoje podarte klapki i ostre kamienie, które należało omijać, więc nie zauważyłam żołnierzy. Odezwali się do nas w obcym języku, po arabsku. Hajle odpowiedział coś, mężczyźni zmierzyl nas wzrokiem z góry na dół. Jeden z nich uczynił mały ruch podbródkiem w stronę horyzontu - znak, że możemy iść dalej. Hajle podziękował wylewnie i skłonił się przed żołnierzami, którzy machnęli tylko pogardliwie kilka razy dłońmi. W naszym beduińskim przebraniu wyraźnie nie byliśmy godni specjalnej uwagi. Bardzo mi to odpowiadało, bo mogliśmy bez przeszkód ruszyć w dalszą drogę.

Wujek Hajle umiał znakomicie robić z siebie biednego głupka. Coraz bardziej podobał mi się jego spokojny i przyjazny sposób bycia. Jeżeli to z jego rodziną mieliśmy teraz zamieszkać, za nic nie chciałam znaleźć się z powrotem w Dźebhie, a już na pewno nie z powodu kilku zadzierających nosa sudańskich pograniczników.

Trzeci dzień był próbą wytrzymałości dla nas wszystkich. Nie mieliśmy już prawie wody, każdemu wolno było pociągnąć tylko jeden łyk letniej, zatechłej brei, którą mężczyźni wypełnili dwie opony samochodowe i dodatkowo obarczyli nimi osiołka. Oczywiście miałam zaczerwienione od palącego światła słonecznego i piasku, który bez

przerwy sypał nam w twarze. W głowie coś mi brzęczało i gotowało się od gorąca i kłębiących się myśli: dokąd zmierzamy? Czego chce od nas Hajle? Czy może jednak za tą całą akcją kryje się nasz ojciec?

Nie miałam zbyt dużo czasu na te myśli, bo bez przerwy natrafialiśmy na kontrole wojskowe. Hajle wyjaśnił, że Sudan próbuje uszczelnić granice z powodu zbyt wielu uciekinierów z Erytrei. Dlatego mamy się nie odzywać, nawet gdyby zwrócił się do nas któryś z żołnierzy, żeby nie zdradzić się jako Erytrejki. Ale żołnierze i tak rozmawiali tylko z Hajlem i dwoma pozostałymi mężczyznami, nie zaszczycając nas nawet jednym spojrzeniem. W Sudanie mężczyźni z zasady nie zwracają się do kobiet, gdy chcą się czegoś dowiedzieć.

Światła!

Cóż to była za rozkosz, kiedy bezlitosne słońce niknęło za horyzontem! Niebo zapalało się czerwienią, żeby po kilku minutach, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zatonać w głębokim granacie, na którym pojawiało się coraz więcej gwiazd. Nigdy przedtem nie widziałam, żeby odbywało się to tak wyraźnie, żeby zmiany przychodziły tak szybko i nieodwołalnie, jak wtedy na tej pustyni. Tęsknie wyczekiwałyśmy, aż Hajle da znak, że nareszcie możemy rozkładać się na noc, kiedy nagle pojawiło się jeszcze kilka gwiazd, nisko nad horyzontem. Nie, one siedziały bezpośrednio na horyzoncie. Z napięciem wpatrywałyśmy się w noc. Te gwiazdy wyglądały inaczej niż tamte w górze, na niebie.

- Co to jest, tam przed nami? - zapytałam wujka Hajle. Bałam się, że znów padłam ofiarą złudzenia.

- To jest nasz cel - mruknął. - Kassala!

Najchętniej krzyczałybyśmy z radości, ale nie miałyśmy nawet odwagi jęknąć, czy w ogóle okazać jakiegoś podniecenia. Objęłyśmy się i uściskały. Przestałyśmy marzyć o rozbiciu obozu - chciałyśmy już tylko dotrzeć do tego cudownego horyzontu!

Cóż to był za wspaniały widok, kiedy ponad linią horyzontu wyrastało coraz więcej światel tego nieznanego miasta. Światła z okien, światła ulicznych latarni, światła lamp kołyszących się nad straganami na targowisku. O mało się nie rozpłakałam ze szczęścia - nie tylko

dlatego, że wreszcie dotarliśmy do celu, mając w perspektywie wodę i coś do jedzenia, ale także dlatego, że od wielu miesięcy nie widziałem żadnego miasta. Czy jeszcze w ogóle istniały? Oświetlone domy, ludzie, którzy normalnie chodzą po ulicach, nie strzelają do siebie i nie chcą się nawzajem pozabijać?

Od wielu lat nie widziałam już pokojowego życia, byłam tylko świadkiem walk, zniszczenia i nienawiści. Im więcej o tym myślałam, tym bardziej się cieszyłam, że zostawiłam to za sobą. Na chwilę zapomniałam o pragnieniu i głodzie i kilka razy głęboko odetchnęłam. Po policzkach spływały mi łzy. Starałam się je ukryć przed towarzyszami podróży, bo zawsze wstydziłam się płaczu. Nikt jednak nie zwracał na mnie uwagi, wszyscy patrzyli jak urzeczeni w majaczące przed nami światła.

Światła rosły i rosły, na horyzoncie zarysowywały się domy, minarety meczetów. Nikt nie spojrział na naszą nędzną karawanę, kiedy późną nocą dotarliśmy do miasta. Wszyscy byli zajęci swoimi sprawami: poganiacze wielbłądów karmili swoje zwierzęta. Kupcy przycupnęli na ziemi obok gór warzyw i owoców. Mężczyźni siedzieli na stopniach lokali albo na ustawionych przed nimi krzesłach i rozmawiali. Kobiety taszczyły kanistry pełne wody, drewno na opał albo torby z zakupami. Dzieci goniły się między dorosłymi.

Jest co jeść, przemknęło mi przez głowę jak błyskawica. Tutaj jest co jeść! Nagle zobaczyłam przed sobą znajome przecież kiedyś obrazki, o których dawno zapomniałam: starannie poukładane piramidy owoców i jarzyn, na półkach pudła z artykułami spożywczymi, worki z fasolą, zbożem i kawą, suszone owoce i korzenie. Ci ludzie nie głodowali, oni po prostu szli do sklepu, kiedy chcieli kupić coś do jedzenia!

Ślina napłynęła mi do ust. Wszyscy byliśmy wygłodniali i wychudzeni, obszarpani, brudni i sparszywiali, i tak się czuliśmy. Wstydziliśmy się swojego wyglądu. Przy tym Kassala bynajmniej nie przypominała w niczym eleganckiego miasta. W porównaniu z Asmarą Kassala była straszliwą dziurą, ostatnią stacją w drodze do Erytrei, Wysuniętą placówką na pustyni, której najwyższe budynki miały nie więcej niż dwa piętra. A jednak to zbiorowisko szarych i białych domów jak pudełka, poustawianych pośród kurzu, jakkolwiek jeden obok drugiego, z rzadka tylko poprzedzielanych przez bazyry i meczety, wydało nam się rajem!

W raju

Na wujku Hajle i jego dwóch towarzyszach ta wspaniała sceneria zdawała się robić równie małe wrażenie, jak na naszym ośle. Pewnie przemierzali ulice miasta, aż stanęli przed jednym z wielu podobnych do siebie domów. Weszliśmy do środka i znaleźliśmy się znów w ciemnej pieczarze, rozświetlonej tylko nagą, słabą żarówką. Tutaj mieszkał jeden z dwóch towarzyszy wujka Hajle. Jego żona, nie tracąc czasu na zbyteczne słowa, zabrała się natychmiast do przygotowywania posiłku. Usiedliśmy na podłodze. Jakaś dziewczynka przyniosła dzban z wodą. Łapczywie opróżnialiśmy szklankę za szklanką. Dziewczynka z uśmiechem dolewała nam jeszcze i jeszcze. Ciągłe nie miałyśmy dosyć. To było wspaniałe uczucie, móc pić wodę nalewaną z dzbanka, tak po prostu. Nie kopiąc, nie taszcząc wiader, nie szukając.

Dziewczynka podała nam miskę, w której leżał malutki kawałek mydła. Przytrzymała nam inny dzbanek, z którego nalewała wodę do miski, żebyśmy mogły umyć ręce pod jej strumieniem. Dokładnie tak samo robi się to w Erytrei, tak samo wita się gości, usługując im i proponując umycie rąk przed jedzeniem, bo przecież do jedzenia nie używa się sztućców. Byłam wzruszona, bo zwykle to ja byłam tą, która gościom naszego ojca albo mojej babki podawała karafkę z wodą, miskę i ręcznik. Teraz to mnie obsługiwano, i to po latach, w czasie których nikogo nie obchodziło to, czy umyłam ręce, czy nie.

Posiłek był prosty: endżera z sosem z przecieru pomidorowego i cebuli. Dla nas był to najlepszy posiłek na świecie. Szczęśliwie, zabrałyśmy się do jedzenia, pospiesznie urywałyśmy małe kawałki placków i maczały w sosie. To było nieopisanie piękne, tak po prostu siedzieć i móc jeść, nie musząc myśleć o zbliżającym się niebezpieczeństwie, nieoczekiwanym rozkazie czy strachach nadchodzącej nocy. Nagle znów była noc bez ataków, bez głodu, bez pragnienia i dziesiątków innych ludzi, śpiących w tym samym pomieszczeniu, o ile w ogóle było jakieś pomieszczenie, w którym można było spać. Tutaj mogłyśmy wyciągnąć się w kuchni na kilku matach, a kiedy dorośli pili jeszcze herbatę i rozmawiali, Jaldijan, Cegehana i ja, wyczerpane, zapadłyśmy w sen.

Następnego dnia pożegnaliśmy się z przewodnikami wujka Hajle i z osiołkiem, który noc spędził na podwórku. Udaliśmy się na

największy plac miasta, na którym panował całkowity chaos: tysiące ludzi, obładowanych walizkami, pakami i worami, biegało tam i z powrotem. Dziesiątki autobusów, wielbłądów, osiołków, rowerów i taczek beznadziejnie zaklinowało się nawzajem. To, że Hajle od razu znalazł autobus, który miał nas zawieźć do Porto Sudan, portowego miasta nad Morzem Czerwonym, wydało mi się cudem. Autobus był już pełen, ale znaleźliśmy jeszcze jakieś miejsca z tyłu za drzwiami. Na dachu przymocowano nie tylko skrzynie, kartony, walizki i worki, przywiązano na nim także dwie kozy, które ułożyły się wygodnie między tymi wszystkimi manelami i coś spokojnie przeżuwały.

Dopiero, kiedy autobus ruszył, powoli zaczął się rozpraszać panujący w środku potworny zaduch. Najpierw jechał w żółtym tempie, torując sobie drogę w tłoku, potem coraz szybciej i szybciej, aż wyjechał z miasta na prostą jak sznur drogę; przed nami był tylko żar, a za nami ogromna chmura pyłu. Z zadowoleniem pograżyłam się w swoim fotelu, który mimo że wąski, wydał mi się nieskończenie wygodny, i przytuliłam się do siostr. Byłam taka szczęśliwa, że nie muszę podążać na piechotę w ślad za osiołkiem!

Jechaliśmy przez wiele godzin. W Porto Sudan przesiedliśmy się do innego autobusu, który zmierzał do Chartumu, stolicy Sudanu, gdzie mieszkał wujek Hajle. Podróż trwała cały dzień, który spędziłyśmy w stanie jakiegoś zamroczenia albo śpiączki, jak gdyby za jednym zamachem opadało z nas napięcie ostatnich dni, tygodni i lat. Ta podróż przez rozległe przestrzenie Sudanu nie miała w sobie nic z ucieczki, była jak kuracja, w czasie której nabierałyśmy sił. Pozostali pasażerowie sapali i stękali z powodu upału, kurzu i ciasnoty, ale dla nas podróż była czystym odpoczynkiem. Przez ostatnie lata w czasie upalnych godzin dnia nie siedzialiśmy wygodnie w autobusie, lecz ciężko harowałyśmy.

Powieki ciągle opadały mi z wyczerpania. Przed oczami mojej duszy przewijały się jak szalone najbardziej przeraźliwe sceny z ostatnich trzech lat w ELF. Piękne było to, że wystarczyło, bym otworzyła czy i nie widziała już cierpienia, krwi i nędzy. Kiedy wyglądałam przez okno, widziałam tylko kamienie, piasek, słońce oraz tu i ówdzie jakąś chatę, w której cieniu snuło się kilka osób. Obrazy pokoju.

Chartum

Dyła już wieczór, kiedy autobus wtoczył się do miasta. Przestraszona, obudziłam się gwałtownie z drzemki, bo nagle ze wszystkich stron zaatakował mnie piekielny hałas. Ludzie w autobusie krzyczeli tak głośno, przekrzykując się nawzajem, że instynktownie zakryłam twarz, bo myślałam, że spadają na nas pociski i granaty. Głęboko tkwiła we mnie trwoga ostatnich lat. Kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam, że nie dzieje się nic strasznego. Pasażerowie dawali w ten sposób wyraz swojemu podnieceniu z powodu zbliżającego się końca podróży. Chwyтали za paczki i torby, pokazywali sobie nawzajem rzeczy, które działy się na zewnątrz, albo głośno dyskutowali o tym, co teraz będzie. Nie rozumiałam ani jednego słowa z tego wrzasku, bo wszyscy mówili po arabsku albo w nieznanym mi afrykańskich językach. Także Hajle przygotowywał się do wysiadania i poklepując po ramionach, budził Jaldijan i Cegehanę, które jeszcze ciągle bujały w krainie snu.

Z otwartymi ze zdumienia ustami patrzyłam przez okno. Była tam cała masa rzeczy, których nie widziałam jeszcze nigdy w życiu: domy tak wysokie, jak wieża katedry w Asmarze. Ulice z wieloma pasmami ruchu dla samochodów. Meczety, których minarety wznosiły się tak wysoko na tle nieba, że z okien autobusu nie mogłam dojrzeć ich wierzchołków. I wszędzie ludzie, ludzie, ludzie. Asmara zawsze była ruchliwym miastem, ale tutaj na ulicach było nieporównywalnie więcej ludzi. Przylepiłam twarz do szyby, zastanawiając się, skąd biorą się te tłumy ludzi, przemykających się ciągle tam i z powrotem wśród samochodów, furmanek i domów.

Hajle zaprowadził nas do swojego domu. Otworzył żelazną bramę w wysokim murze, za którym krył się bujny ogród i ogromny, kilkupiętrowy budynek. Hajle uśmiechnął się, widząc nasze zdziwienie i powiedział tylko:

- Tutaj mieszkamy.

Ten pałac miał być naszym domem? Tutaj do wszystkiego był osobny pokój - do jedzenia, do gotowania, do mycia, do spania - w sumie osiem. Czegoś takiego nie widziałam nawet w swoich marzeniach. Woda leciała z rur i był klozet, przez który przepływała ta woda. Coś takiego widziałam tylko raz w życiu, a mianowicie u włoskich zakonnicy w Asmarze. Ale tam często musieliśmy korzystać z wychodka w ogrodzie, który wtedy wydawał mi się luksusem.

Po obejrzeniu domu obeszyliśmy otaczający go teren, po którym biegały trzy wielkie psy. Nigdy się jeszcze nie spotkałam z tym, żeby psy były tak blisko ludzi, żeby je karmiono i traktowano jak członków rodziny. Znałam tylko uliczne kundły, które każdy kopał, przeganiał, i lekceważył. Nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby wpuścić psa do własnego ogrodu.

Wkrótce dowiedziałyśmy się, że ten dom nie należy do wujka Hajle, ale do naszej krewnej: bogatej, pięknej kobiety, pół Egipcjanki, pół Erytrejki. Miała bardzo jasną skórę, była prawie biała, a do tego czarne jak heban włosy. Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, stanęłam z otwartymi ustami, bo nigdy jeszcze nie widziałam tyle piękna. Nie wiedziałam, co się normalnie uważa za piękne, a co nie - ale wobec tej kobiety poczułam natychmiast, że mam przed sobą wyjątkową urodę. Mój podziw zdawał się sprawiać jej przyjemność, bo pogłaskała mnie po głowie i dała mi odczuć, że mnie lubi.

Wspaniały dom, w którym mieszkaliśmy, należał do jej córki, Sany. Sanaa była rozpuszczoną, dorosłą już dziewczyną, która miała wszystko oprócz męża: dom, samochód, sprzętaczkę, psy, i całą masę fajnych strojów. Do stylowych arabskich długich sukien nie nosiła chusty lub szala, nie zasłaniała włosów. Odsłonięte, rozpuszczone włosy widziałam dotychczas tylko u kobiet z ELF, ale one nie ubierały się w ładne sukienki, lecz wytarte spodnie w barwach ochronnych, t-shirty i postrzępione męskie koszule.

Matka Sany darzyła mnie coraz większą sympatią. Chciała, żebym przeprowadziła się do niej i do jej córki, i tak tygodniami mieszkałam

w jeszcze ładniejszym i wspanialszym domu w dzielnicy, w której stały tylko takie domy, każdy we własnym ogrodzie. Życie tam było świętem. Nikt nie wymagał ode mnie ciężkiej pracy, takiej jak przynoszenie wody lub drewna, musiałam tylko trochę pomóc w gospodarstwie. Gotowało się nie na drewnie, lecz na piecu, do którego była podłączona butla - kiedy do odpowiedniego miejsca przyłożyło się zapałkę, buchał z niej płomień. Żeby nabrać wody, wystarczyło odkręcić kran, jeden z wielu, jakie znajdowały się w wielu miejscach w domu, i stawał się cud, woda leciała ze ściany.

Moim jedynym obowiązkiem było pójście na targ, zrobienie zakupów i pomaganie w gotowaniu starej kobiecie, która była tutaj służącą. Nie musiałam nawet sprzątać, to należało do dwóch innych młodych kobiet. Czułam się jak w raj, z którego tylko czasami na kilka godzin mnie wypędzano, kiedy przychodził ktoś z wizytą. Wtedy razem z innymi pracującymi tutaj kobietami musiałam wycofywać się do kuchni. Bolało mnie to, bo chociaż prawie nic nie rozumiałam, znając jeszcze bardzo kiepsko arabski, byłam ciekawa i chciałam wiedzieć, jacy ludzie przychodzą tu z wizytą i o czym rozmawiają. Przede wszystkim jednak brakowało mi siostr i wujka Hajle, który przychodził tutaj tylko czasami. Wszyscy troje mieszkali w domu Sany.

W czasie jakichś odwiedzin wujka Hajle wydało mi się, że matka Sany i Hajle nie są już w tak dobrej komitywie. Raz doszło do prawdziwej kłótni. Mnie wyrzucono z pokoju, i tylko słyszałam, że rozmawiają głośniejszym niż zwykle. Nagle ktoś otworzył gwałtownie drzwi. Hajle złapał mnie za rękę i wyciągnął z domu.

- Idziemy - powiedział. - Nigdy już tu nie wrócisz.

Byłam przestraszona, ale też trochę mi ulżyło. Nagle coś sobie przypomniałam.

- A moje rzeczy?

- No, dobrze, zabierz je - Hajle puścił mnie, a ja wpadłam do pokoju, w którym mieszkałam razem z dziewczyną sprząającą tutaj. Szybko zebrałam swój dobytek: jedną sukienką, którą mi podarowała Sanaa, kilka chust i gumowe klapki. Nic więcej nie miałam. Z sukienki byłam bardzo dumna, nigdy przedtem nie miałam czegoś tak wspaniałego: nie składała się z kilku kawałków płótna, lecz była zrobiona ze zszywanego materiału, w którym, jak uznałam, bardzo mi było do twarzy. Pozbierawszy rzeczy, pobiegłam do wujka Hajle,

i poszłam z nim do domu Sany. Z jaką radością spotkałam się znów z siostrami!

Pierwszego wspólnego wieczoru Hajle powiedział nam, na czym polegały jego skomplikowane stosunki z matką Sany. Zrobiło to na mnie duże wrażenie, bo do tej pory nigdy nikt nie tracił czasu na to, żeby mnie i moim siostrom coś wyczerpująco tłumaczyć.

Matka Sany poznała mojego ojca, kiedy dotarł do niej z naszą macochą i ich dziećmi po ucieczce z Erytrei. Bardzo go polubiła i ciągle się nim zachwycała. Wujka Hajle natomiast nie lubiła.

- Bo nie byłem wobec niej taki uległy jak wasz ojciec - powiedział Hajle. Mimo to zgodziła się, żeby dalej mieszkał z nami w domu jej córki, jeżeli za to ja będę mieszkała u niej i jej pomogę. Zrobiła to ze względu na sympatię do mnie.

- Czułem się jednak trochę nieswojo - wyjaśnił Hajle w odpowiedzi na pytanie, co go w takim razie tak zezłościło. - Pomyślałem, że właściwie nie należy rozdzielać cię z siostrami. Kiedy jeszcze powiedziała, że chce cię adoptować, moja cierpliwość się skończyła. Z jednej strony byłaś podobno jej ulubienicą, ale kiedy przychodzili goście musiałaś siedzieć w kuchni ze sprzątaczkami, bo byłaś dla niej za czarna. Więc jej powiedziałem, że sobie tego nie życzę, a ona wyrzuciła mnie z domu.

Byłam bardzo wdzięczna wujkowi Hajle. Nie mogłam zrozumieć, że ktoś, kogo prawie nie znałam, tak bardzo się o mnie troszczył.

Wujek Hajle

Hajle zaprowadził nas do zakładu fotograficznego. Fotografie już wprawdzie widziałam, ale nie fotografów, nie mówiąc już o zakładzie fotograficznym. Kazano nam założyć nasze najlepsze sukienki - każda z nas miała zresztą tylko jedną - i ustawić się obok siebie. Za nami była wspiana zasłona z obrazem, ale nie pozwolono nam na niego patrzeć. Miałyśmy patrzeć na fotografa, który zniknął za małą skrzyneczką. Błysnęło jaskrawe światło, ale Hajle uprzedził nas, więc się nie przestraszyłyśmy. Następnego dnia mogłyśmy odebrać nasze zdjęcie.

Trudno było uwierzyć, że te dziewczynki na zdjęciu to my. Wyglądałyśmy ślicznie, zadbane i sympatyczne, jak gdyby nigdy nie spotkało

nas nic złego. Na zdjęciu wyglądamy tak niewinnie, jak gdybyśmy przyszły prosto ze szkolnej ławki albo z zamożnego rodzicielskiego domu, a nie z najbardziej krwawej i najdłuższej wojny domowej w najnowszych dziejach Afryki.

Teraz dopiero, kiedy uciekłyśmy przed wojną, mogłyśmy się czegoś o niej dowiedzieć. Hajle opowiedział nam o ELF i o EPLF, o bezsensownej rzezi między tymi dwiema powstańczymi organizacjami, zwalczającymi się nawzajem, chociaż chodziło im o to samo: o wolność dla Erytrei i niezależność od Etiopii. Obydwie niczym się między sobą nie różniły, nie było między nimi żadnych różnic światopoglądowych poza tym, że założona w Kairze ELF była zdominowana przez muzułmanów, gdy w EPLF większość stanowili chrześcijanie. Te religijne różnice nie powinny właściwie odgrywać żadnej roli, bo przecież obydwie organizacje przyznawały się do marksizmu, a więc do ateizmu, nawet jeżeli EPLF przywiązywała większą niż ELF wagę do spraw społecznych. W rzeczywistości jednak te dwa zwaśnione ugrupowania walczyły ze sobą na śmierć i życie, bo ich przywódcy chcieli zdobyć władzę w kraju, zanim jeszcze ten kraj w ogóle powstał. Dzielili skórę na niedźwiedziu.

Od przyjaciół, którzy zostali w Erytrei i z którymi utrzymywał stały kontakt, Hajle wiedział, że ELF jest bliska ostatecznej klęski. On sam dużo wcześniej uciekł do Sudanu przed głodem i wojną w Erytrei. Nie chciał ginąć w bezsensownej bratobójczej walce, a ponieważ nie miał ani żony, ani dzieci, mógł bez trudu uciec. Także w Sudanie żył samotnie. Nie umiałam sobie wytłumaczyć, dlaczego tak było, bo mój wujek przy swoich trzydziestu pięciu latach był przystojny, inteligentny, zarabiał dosyć pieniędzy i był dobrym człowiekiem - czy trzeba czegoś więcej, żeby znaleźć żonę? Z drugiej strony byliśmy zadowolone, że tak było, bo Hajle nastawił się całkowicie na nas. Został nam zaoszczędzony taki stres, jak w rodzinie naszego ojca, gdzie wszystko zdominowały nowe dzieci i nowa żona.

Hajle wiedział, że nasz ojciec razem ze swoją trzecią żoną Werhid i ich wspólną córką mieszka w Europie, w Niemczech. Nic nam to nie mówiło, ale byłam zadowolona, że ten kraj leży bardzo daleko i na dodatek po drugiej stronie morza, więc spotkanie z ojcem nam nie grozi. Chociaż nasz ojciec mieszkał tak daleko, to jednak jemu zawdzięczałyśmy ratunek: w dalekiej Europie poprzez erytrejskich przyjaciół

dowiedział się o rozpaczliwej sytuacji ELF i poprosił wujka Hajle, żeby nas stamtąd wyciągnął - tak w każdym razie mówił Hajle.

W tym okresie codziennie napływali do Sudanu uciekinierzy z Erytrei. Hajle wypytywał przyjaciół i znajomych, którzy zawsze wiedzieli, co się dzieje w Erytrei. W ten sposób dowiedział się, że resztki Dżebhy walczą właśnie w pobliżu granicy z Sudanem. Kiedy dotarło do niego także, że ostatnie oddziały Dżebhy wkrótce mogą zostać zmiażdżone, rozpoczął akcję ratunkową. On, który zawsze ubierał się po europejsku, przebrał się za muzułmańskiego Beduina, w białą, sięgającą ziemi szatę. Spędził nawet kilka dni z Beduinami na pustyni, żeby lepiej poznać ich obyczaje. Jednemu z nich zaufał, dał pieniądze i poprosił, żeby go do nas zaprowadził. Sam Hajle nigdy by nas nie znalazł w środku pustyni, bo w tym odległym regionie nie było żadnych drogowskazów, map, stałych dróg. Tylko Beduini wiedzieli, gdzie można przekroczyć granicę między Sudanem a Erytreą, nie nатыkając się na zbyt wiele patroli.

Nowe życie

Hajle uratował nas w ostatniej chwili. Ja miałam wtedy dziewięć lub dziesięć lat, Cegehana jedenaście, a Jaldijan czternaście, i musiałyśmy wszystko zaczynać od początku. Albo raczej: pozwolono nam zacząć wszystko od początku, bo nic nie sprawiło nam większej przyjemności.

Niewiele było w tym życiu rzeczy znanych. Poza wujkiem Hajle nie miałyśmy w Chartumie żadnych przyjaciół ani krewnych. Kontakt z Saną i jej matką zerwał się, kiedy matka Sany pokłóciła się z wujkiem. Nie rozumiałyśmy również języka. Wszyscy mówili tutaj po arabsku, a my znałyśmy tylko kilka słów w tym języku. Tych kilku zwrotów, jakie znałyśmy, nauczyłyśmy się od kolegów muzułmanów w Dżebhie, którzy jednak sami mówili źle po arabsku, bo przeważnie posługiwali się swoim afrykańskim macierzystym językiem. Z języków afrykańskich, jakimi mówiono w Sudanie, nie rozumiałyśmy ani słowa; nie miały nic wspólnego z językiem tigrinia. Tak więc uczyłyśmy się arabskiego tak, jak człowiek w naszej sytuacji uczy się obcego języka: na ulicy, od innych dzieci.

Musiałyśmy dostosować się do islamskiego obyczaju. Dziewczęta, -wychodząc z domu, powinny mieć zakryte włosy, niektóre dorosłe kobiety chodziły w czarczafach. Łaźnienie po świetle w czarnej chuście zasłaniającej twarz i głowę wydawało mi się całkiem niedorzeczne. My zakładałyśmy chustki na głowy tylko jako ochronę przed słońcem, kiedy było za gorąco.

Kiedy Sanaa nas wyrzuciła, Hajle znalazł dla nas nowy dom. Leżał w innej stronie miasta, tak wielkiego, że nie mogłam sobie wyobrazić, żebym mogła przejść na piechotę z jednego jego krańca na drugi. Można było iść i iść, i ciągle natrafiało się na nowe ulice i targowiska, place i meczety, i wielkie budynki, w których mieściły się urzędy i szkoły, a potem znów domy mieszkalne, magazyny i fabryki. Ciągnęło się to bez końca, tak że nie było widać ani horyzontu, ani gór, ani zawirowań gorącego powietrza nad ziemią. Wszędzie wokół nas było tylko miasto.

Dzielnica, w której teraz mieszkaliśmy, przypominała mi Asmarę: nie było asfaltowych ulic, lecz pełne kurzu kamieniste drogi. Domy stały blisko siebie. Niektóre miały ogrody albo ciasne podwórka, ukryte za wysokimi murami, tak że z ulicy widać było tylko ściany, mury i żelazne bramy między nimi. Nie było tak ładnie jak tam, gdzie mieszkała Sanaa, ale też nikt nie koczował tutaj w namiotach, barakach z falistej blachy czy w zbudowanych z odpadków chatach. I nikt nie spał na ulicy.

Hajle mógł sobie pozwolić, żeby zamieszkać w tej przyzwoitej dzielnicy, bo miał regularne dochody. W tym okresie była to w Chartumie rzadkość. Pracował w bardzo eleganckiej dzielnicy miasta, gdzie było wiele takich domów, jak ten należący do Sany. Hajle miał stałą pracę w Czerwonym Krzyżu i był odpowiedzialny za ogród, kuchnię i stan techniczny w siedzibie tej organizacji. Pracowali tam nawet biali, toteż Hajle miał bardzo dobre kontakty.

Nasza dzielnica była skromniejsza. Tutaj domy były parterowe i bardzo proste. Między drewnianymi słupami ciągnęły się druty, pokrywające miasto niczym pajęczyna, bo każdy dom miał prąd, nawet jeżeli w środku paliła się tylko jedna czy dwie żarówki i był jeden kontakt do radia lub telewizora. Także i my mieliśmy telewizor. Potrafiłyśmy siedzieć przed nim całymi godzinami i słuchać sudańskich piosenkarzy, którzy skarżyli się po arabsku na swoje miłosne cierpienia. Czasami można było

obejrzeć tancerzy i tancerki, filmy o pustyni albo o otwieranych właśnie fabrykach, ale te nie interesowały nas aż tak bardzo.

Najchętniej oglądałyśmy filmy amerykańskie, w których białe kobiety i biali mężczyźni jeździli wielkimi samochodami po wielkich miastach. Wszyscy w tych filmach się uśmiechali i byli pięknie ubrani. Mężczyźni czasami się kłócili, a potem strzelali do siebie i się zabijali. Nie bardzo rozumiałam, o co chodzi: wszystko było takie piękne i doskonałe, wszyscy mieli zawsze co jeść, dzieci i domy, i w ogóle - a potem nagle jeden rzucał się na drugiego. Filmy szły na ogół w oryginalnej wersji angielskiej z arabskimi napisami. Angielskiego nie znałam, a po arabsku wprawdzie trochę rozumiałam, ale nie umiałam czytać. Toteż telewizja oznaczała dla nas przede wszystkim gapienie się z otwartymi ustami na kolorowe obrazki.

Wkrótce straciłyśmy zainteresowanie dla tego rodzaju rozrywki, bo filmy, koncerty i otwarcia fabryk po kilku tygodniach zaczynały się powtarzać. Wróciłyśmy na ulicę i zaczęłyśmy się po niej rozglądać. Dzieci zostawiano tutaj na cały dzień ich własnemu losowi, jeżeli nie liczyć kilku przedpołudniowych godzin, kiedy powinny być w szkole. Bynajmniej nie wszystkie dzieci chodziły jednak do szkoły, my zresztą też nie chodziłyśmy.

Początkowo wychodziłyśmy przeważnie wszystkie trzy, bo w nowym otoczeniu czułyśmy się wtedy najpewniej. Ostatecznie, miałyśmy niewiele możliwości, żeby się porozumieć z innymi dziećmi. Nie byłyśmy specjalnie ostrożne i na początku ciągle dochodziło do konfliktów z miejscowymi. Pewnego razu chciałyśmy obejrzeć sobie mały placzyk w pobliżu naszego domu, gdzie był sklep, który nas zainteresował. Nagle w naszą stronę poleciały kamienie. Małe kamyki trafiły nas w głowy i w plecy. Schyliłyśmy się błyskawicznie i pobiegłyśmy jak poszczute zwierzęta, szukając schronienia za sklepem. Odruch ucieczki tkwił w nas jeszcze tak głęboko, jak gdybyśmy dopiero wczoraj opuściły Dżebhę.

Kiedy znalazłyśmy się już w bezpiecznym miejscu, odważyłyśmy się obejrzeć. Zobaczyłyśmy jednak tylko kilkoro małych dzieci, niektóre młodsze od nas, które wykrzykiwały w naszym kierunku jakieś niezrozumiałe słowa. Dopiero po jakimś czasie zrozumiłyśmy, że dzieci urągały nam, bo byłyśmy obce i nie nosiłyśmy chust. Tutaj nawet najmniejsze dziewczynki chodziły w chustach. Próbowałyśmy

coś powiedzieć, ale z drugiej strony nadeszło kilku chłopców, którzy zaczęli ciskać w nas ziemią i kamieniami. Wtedy ze sklepu wypadł właściciel i wrzasnął na nas i na inne dzieci. Brzmiało to bardzo groźnie, więc gdy inni jak najszybciej wzięli nogi za pas, my także skorzystałyśmy z okazji i pobiegłyśmy do domu. Od tego czasu częściej zakładałyśmy chusty, żeby nie rzucać się w oczy. Było to jednak prawie niemożliwe, bo i tak byłyśmy „Hawesz”.

„Haweszami” Sudańczycy nazywali Etiopczyków i Erytrejczyków. Dla nich wszyscy wyglądaliśmy tak samo. Mieliśmy o wiele jaśniejszą skórę i byliśmy wyżsi od Sudańczyków, nie mieliśmy tak bardzo skręconych włosów i nie tak grube wargi. W sumie, wyglądaliśmy mniej afrykańsko. Określenie „Hawesz” pochodzi od nazwy „Abisyńczyk”. Tak Włosi nazywali Etiopczyków.

Wychowanie

Hajle uczył nas sam, bo nie starczało pieniędzy, żebyśmy wszystkie trzy mogły chodzić do szkoły. Szkoły nie były publiczne, lecz prywatne, i tylko niewielu rodziców mogło sobie pozwolić, żeby za nie płacić. Hajle uczył nas przede wszystkim angielskiego, którego on używał na co dzień, pracując w Czerwonym Krzyżu. Uczył nas matematyki, a poza tym naszego alfabetu, koptyjskich liter, którymi pisano w języku tigrinia, a także arabskich. Lekcje sprawiały mu tyle samo przyjemności, co nam.

Byłyśmy niesforne, ale nie wtedy, kiedy chodziło o naukę. Niezależnie od tego, jak bardzo krnąbrna w innych sytuacjach byłam przede wszystkim ja, tutaj pokazywałyśmy się z najlepszej strony. Dokładnie, od pierwszej do ostatniej kartki, przerabiałymy przynieszone przez wujka Hajle książki. Kiedy wieczorem wracał do domu i zaczynał z nami lekcje, zawsze pytał, na czym stanęliśmy poprzednim razem:

- To chyba była druga albo trzecia strona?

My jednak przerobiłyśmy już tymczasem całą książkę, chociaż dopiero poprzedniego wieczoru zaczęliśmy nowy temat. Wiele zdań znałyśmy już nawet na pamięć. Hajle był absolutnie zachwycony. W takich sytuacjach mówił:

Och, co za *anjall*

Anjal to był mój ojciec. *Anjal* znaczyło „idiota” lub „niezguła”, i Hajle mówił tak zawsze, kiedy zrobiliśmy coś, co go cieszyło. Nasz ojciec był dla niego „tym głupim facetem”, bo nie potrafił sobie wyobrazić, jak mógł zostawić takie dzieci. Nie rozumiał, dlaczego oddał nas na mięso armatnie do wtedy już ledwie dyszącej powstańczej armii. Nigdy jednak poważnie nie narzekał na brata, nigdy go nie potępił.

Hajle uważał nas za swoje dzieci. Piękne było to, że nie chciał nas zmieniać, chciał tylko, żebyśmy się dalej rozwijały. Kochał nas za to, że byliśmy takie, jakie byliśmy. O średniej, Cegehanie, mówił „mądra”. Jaldijan, najstarszą, uważał za trochę opóźnioną, a ja uchodziłam za dziką i samowolną jak chłopak. Tak charakteryzował nas zawsze, kiedy przychodził ktoś z wizytą. Ja naturalnie byłam z tego dumna, ale uznawałam, że nie jest to w porządku wobec Jaldijan, bo wcale nie była głupia, tylko osobna. Była zamknięta w sobie i uparta, trochę fantastka, egzaltowana i niepraktyczna, ale nie ograniczona.

Na szczęście Hajle nie kierował się zaleceniami naszego ojca. Ten przysłał mu swego rodzaju instrukcję obsługi jego córek, w której znalazły się takie na przykład zdania: „Jaldijan powinienes tłuc do upadłego, żeby cokolwiek zrozumiała, Senait trzeba bić zawsze, tylko Cegehany możesz nie tykać”. Wujek przeczytał nam to i zapytał tylko:

- Czy ten człowiek zwariował?

Napisał do ojca, że jego zdaniem jest to bzdura i że nie będzie nas bił po prostu tak, bez powodu.

Nam oświadczył, że kto narozrabia, zostanie ukarany. Hajle był równie surowy jak nasz ojciec, ale bił tylko wtedy, kiedy był ku temu powód. Razy były dla niego nieodłączną częścią wychowania. Nie potrafił inaczej, bo nie wiedział, że można inaczej. Ale nigdy nie dotknął nas bez powodu, nie wpadał po prostu we wściekłość, lecz bił tylko wtedy, kiedy któraś z nas coś zbroiła i nie ulegało to wątpliwości. Na przykład, kiedy posłał nas na zakupy, a my zapomnialiśmy o polowie sprawunków, bo po drodze myślałyśmy o tysiącu innych rzeczy, tylko nie o tym, co mamy kupić. Albo kiedy kazał nam posprzątać, a my tego nie zrobiliśmy. Albo kiedy przyszłyśmy do domu później, niż było powiedziane. Policzek można było oberwać za byle co.

Pewnego razu Hajle zbił mnie tak, że dostałam krwawego wylewu

na gałce ocznej, który zniknął dopiero po czterech latach. Wyglądało to tak, jak gdybym miała podwójną powiekę. Kiedy Hajle wpadał w złość, nie bił ręką, lecz kawałkiem uciętego szlauchu tak długo, dopóki nie pojawiły się krwawe ślady. Mimo wszystko nie było to jednak tak samo jak z ojcem. Wprawdzie bałam się wujka, kiedy wpadał w złość, ale Hajle miał zasady. Nigdy nie wystawiłby na szwank naszego życia, a o tym wcale nie byliśmy przekonane w przypadku naszego ojca. Hajle był wobec nas uczciwy: zawsze mówił, za co bije, i kiedy już wymierzył karę za występki, wszystko było znów w porządku. Wtedy dawał nam do zrozumienia, że nas kocha.

Po powrocie z pracy do domu sprawdzał, co zrobiliśmy. W południe i wieczorem gotowałyśmy zawsze same. Zmywałyśmy naczynia, dużo czytałyśmy, chodziłyśmy na zakupy, sprzątałyśmy. Ogólnie rzecz biorąc, byłyśmy całkowicie samodzielne. Jeżeli Hajle był zadowolony z tego, co zrobiliśmy, wyrzywały mu się takie na przykład zdania: „Jak można pozbyć się takich dziewczynek?”. Albo: „To złote dziewczyny, czym sobie na nie zasłużyłem?”.

Hajle był chrześcijaninem, jak wszyscy w naszej rodzinie. Ktoś taki nawet w Chartumie nie stawał się muzułmaninem. Nie mogło tego zmienić islamskie otoczenie, ani meczety, ani muezini, których zaśpiewy rozlegały się nad miastem wczesnym rankiem i późnym wieczorem, ani liczni muzułmańscy przyjaciele. Ceniliśmy arabską kulturę, ale jej nie przejmowaliśmy. Ja lubiłam przede wszystkim arabską muzykę, która w Chartumie rozbrzmiewała na każdym rogu. Wylewała się z wszystkich lokali i z wielu sklepów. Grano ją w czasie świąt, bez przerwy słychać ją było w radiu, była także wszechobecna w telewizji. Moim ulubionym gwiazdorem był znany egipski piosenkarz, Mahmut. Jego córka miała na imię Randża. Śpiewał dla niej wiele piosenek, a czasami ona śpiewała razem z ojcem. To zawsze wzruszało mnie do łez. W duszy marzyłam o pięknym i harmonijnym związku między ojcem a córką, którzy razem uprawiają muzykę, wspólnie śpiewają i jeszcze zdobywają sławę. Wtedy każde dziecko znało Mahmuta, Randżę i ich piosenki.

To była pierwsza muzyka, z wyjątkiem tych kilku pieśni bojowych w Dżebhie, którą świadomie przeżyłam i którą się rozkoszowałam. Nasiąkałam nią jak wyschnięta gąbka wodą.

Uciekinierzy

Pewnego razu Hajle oświadczył, że ma **dla mnie dużą niespodziankę**.

- Zgadnij, kto zjawił się w Sudanie?

Przestraszyłam się. Czyżby mój ojciec? Nie, z tą najstraszniejszą z wszystkich nowin Hajle zwróciłby się do nas trzech, a nie tylko do mnie. Babcia?

- Przyjechała Mbrat! - patrzył na mnie wyczekująco.

Zadrzałam. Mbrat zdradziła mnie jak nikt inny na świecie. Zabrała mnie od babki i zawiozła do ojca, a tym samym spowodowała oddanie mnie do wojska. Poza tym, jak się tymczasem dowiedziałam, nie była moją prawdziwą matką. Mbrat była kuzynką wujka Hajle i mojego ojca. Była moją ciotką. Nie mogła być moją matką, bo oznaczałoby to, że mój ojciec spłodził dziecko z własną kuzynką, co należało wykluczyć. Ponieważ Hajle czekał z napięciem na moją reakcję, powiedziałam, żeby go uspokoić:

- Okay, cieszę się.

Przeszło mi to przez usta automatycznie, bez uczucia. Moja miłość do niej pierchła tego dnia, kiedy Mbrat mnie opuściła. Tego dnia umarło we mnie tak wiele, także uczucie do matki, za którą ją przecież wówczas jeszcze uważałam.

Kiedy znalazłam się twarzą w twarz z Mbrat, wprowadziła się ucieszyłam, ale już po trzech dniach straciłam jakoś dla niej zainteresowanie. Kobieta, która kiedyś była dla mnie całym życiem, siedziała obok mnie przy okrągłej misie, z której wszyscy jedliśmy upieczoną przez nas trzy endżerę, a ja myślałam o czymś innym. Rozmawiałam z nią tak samo jak z siostrami i z Hajle, ale była dla mnie tylko miłym gościem, takim jak inni.

Gościem wszakże, który przynosił wiadomości z Erytrei. Mbrat powiedziała, że cała Dżebha, razem z oddziałem „Che Guevara”, została starta z powierzchni ziemi przez EPLF i Etiopczyków. Siły etiopskie przystąpiły do nocnych nalotów, w czasie których zginęły setki osób, przede wszystkim dzieci. Pozostali przy życiu rozbiegli się na cztery wiatry. Wielu uciekło do Sudanu, inni przeszli do EPLF, jeszcze inni gdzieś zniknęli albo wrócili do swoich rodzin, gdzie wkrótce znaleźli ich naganiacze z EPLF i znów wysłali na front, żeby walczyli z Etiopczykami.

W Erytrei panował chaos i głód. Mbrat nie wiedziała, co się stało z innymi członkami rodziny - już od wielu tygodni wędrowała po krętych ścieżkach przez Erytreę i Sudan, żeby uratować własną skórę. Kie robiła tajemniczy z faktu, że Chartum nie miał być jej ostatnim przystankiem na tej drodze. Niecały rok później Mbrat przeniosła się do Arabii Saudyjskiej, bo otrzymała tam pracę, która w porównaniu z tym, co mogła dostać w Sudanie lub Erytrei, obiecywała jej niebotycznie wysokie zarobki.

Mbrat nie była ostatnią uciekinierką, która szukała schronienia u wujka Hajle. Zaledwie kilka tygodni po przybyciu Mbrat Hajle znów mnie zapytał, czy zgadnę, kto teraz przyjechał. Tym razem się nie pomyliłam - to była intuicja: Nazreth! Hajle nie mógł powstrzymać uśmiechu, ja przymknęłam oczy i zapiszczałam jak wariatka:

- Och! Nazreth! Moja siostra!

Nie była moją siostrą, a siostrą Mbrat, ale wtedy w Asmarze wychowywałyśmy się jak siostry. Była starsza ode mnie, a nawet od Cegehany i Jaldijan, ale wspaniale do siebie pasowałyśmy: była tak samo bezczelna jak ja, tak samo nieokiełznana i też miała ciągle masę dziwnych pomysłów. Nazreth uciekła nie tylko od wojny, głodu i nędzy, jakie panowały w Erytrei, uciekła także z domu, bo nie mogła już wytrzymać swojej ograniczonej rodziny. Chciała mieć przyjaciela, a moi dziadkowie nigdy by się na to nie zgodzili. Więc umówiła się z przyjaciółką i razem uciekły. Obydwie zaoszczędziły trochę pieniędzy i wsiadły do autobusu jadącego na zachód, do Gesz Berka. Tam szalała wojna, dalej - do Sudanu - nie jeździły żadne autobusy. Oficjalnie granica była zamknięta. Co począć? Ruszyły w drogę na własną rękę - dla młodych kobiet w tej okolicy w czasie wojny postanowienie nie tylko lekkomyślne, ale śmiertelnie niebezpieczne. Zabierały się ciężarówkami, furmankami, z żołnierzami, szły na piechotę, aż wreszcie dotarły do Chartumu. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie.

Przyjaciółka, z którą Nazreth przyjechała, poszła wkrótce swoją drogą, bo miała tutaj rodzinę, u której zamieszkała. Nazreth jednak chciała coś przeżyć. Pragnęła zobaczyć świat, robiła wielkie plany. Najpierw, powiedziała, musi znaleźć mężczyznę, i to takiego, który coś potrafi. Takiego, który ma pieniądze.

- Musi mi mieć coś do zaproponowania - stwierdziła. - Nie tak jak chłopaki z Maitemenai, tego ospałego przedmieścia Asmary,

gdzie nic się nie dzieje. Musiałam wyjechać stamtąd, żeby się wreszcie porządnie rozejrzeć.

Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś tak mówił. Kobieta, która czegoś chce, i to dla siebie. Nie dla rodziny, nie dla rodziców, nie dla Erytrei, ale całkiem po prostu dla siebie. I uzasadnia to nie inaczej, a jedynie tym, że tego chce. Było to dla mnie coś tak nowego, że z trudem mogłam to zrozumieć. Na taki pomysł nigdy jeszcze nie wpadłam. Postanowiłam nie spuszczać Nazreth z oczu. Nie było to zbyt trudne, bo miała teraz zamieszkać z nami pod jednym dachem.

Nazreth

Moja ciekawość nie doznała zawodu, bo w towarzystwie Nazreth było na co popatrzeć. Miała tyle seksu, jak żadna ze znanych mi dotychczas dziewczyn. Wspaniałe się poruszała, potrafiła prowokować i zwracać na siebie uwagę, przede wszystkim chłopców. Wprawdzie nie mogła ubierać się tak, jak chciała (w Sudanie to było nie do pomyślenia), ale spojrzeniami, gestami i drobnymi uwagami osiągała więcej niż odsłoniętą skórą. Kiedy na ulicy widziała faceta, który ją zainteresował, zwykle cicho wykrzykiwała „oh-oh” albo „u-uuh”. Zawsze dokładnie się temu przysłuchiwałam, tak samo jak chłopcy, do których te dźwięki docierały nawet w największym i najgłośniejszym zgiełku wielkiego miasta, a oni odpowiednio na nie reagowali.

Nazreth miała dopiero szesnaście lat i nie wolno jej było wychodzić samej na ulicę, na to Hajle bardzo zwracał uwagę, ale kiedy szliśmy wszystkie razem, chłopcy byli jeszcze bardziej zainteresowani. Moje siostry wydawały z siebie jakieś piski, coś jak „ih-ih”, jak gdyby chciały w ten sposób odpędzić chłopców albo osłonić przed nimi Nazreth, ale to nie działało na nią, a już tym bardziej na nich.

Kiedy szliśmy razem, zawsze byliśmy ośrodkiem zainteresowania. Nazreth się nie krępowała. Była niesforna, ale to normalna rzecz w jej wieku. Miała kilkanaście lat, przeżywała burzę hormonów.

- On jest słodki! - wykrzykiwała za jakimś idącym z naprzeciwka chłopakiem, albo: - Ojej, ten to musi mieć dużego!

Nazreth była bardzo bezpośrednia w tym, co dotyczyło jej uczuć, o wiele bardziej bezpośrednia niż wszystkie inne znane mi dziewczyny-

ny. Zawsze oglądała się za facetami, zamiast, jak wypada dziewczynie, natychmiast spuszczać oczy, kiedy spojrzął na nią mężczyzna. Hajle, który był właściwie kuzynem Nazreth, szybko przyjął niewatpliwie odpowiednią dla niego ze względu na wiek rolę ojca. Widział to wszystko, flirty Nazreth były dla niego jak ciernie w oku, i bronił się na swój sposób: za każdym razem, kiedy dowiadywał się, że Nazreth oglądała się za jakimś chłopakiem albo coś na jego temat mówiła, spuszczał jej łanie. Bił ją z zapamiętaniem, o wiele mocniej niż kiedykolwiek uderzył mnie. Hajle tłukł Nazreth, aż krew spływała jej po plecach i ramionach, ale na nią nie miało to żadnego wpływu. Nic nie mówiła, nie krzyczała, nie płakała. Zagryzała zęby i następnego dnia zachowywała się dokładnie tak samo, jak poprzedniego. Coraz bardziej ją za to podziwiałam. Nareszcie miałam do czynienia z kimś, kto nie dał sobie w kaszę dmuchać. Postanowiłam: ja też chcę być taka.

Ponieważ Hajle nie zawsze mógł pilnować swojej kuzynki, bo w ciągu dnia musiał iść do pracy w Czerwonym Krzyżu, tym zadaniem obarczył nas. Przykazał nam surowo, żebyśmy śledziły Nazreth i opowiadały mu o wszystkim, co robiła i z kim się spotykała. Nie odważyłyśmy się zaprotestować. Był to w końcu dowód wielkiego zaufania: my, młodsze, miałyśmy pilnować starszej.

Mnie bawiło to łożenie za Nazreth, bo strasznie byłam ciekawa tego, co ona robi, a przede wszystkim tego, jak to robi, jak udaje jej się oczarować tylu mężczyzn. Nigdy nie mówiłam wujkowi Hajle, co widziałam. Nie chciałam, żeby karał Nazreth, bo uznałam, że jestem po jej stronie. Poza tym uważałam, że wujka to wszystko nic nie powinno obchodzić. Także Jaldijan nie kablowała - może nie tyle z przekonania, co ze strachu, że Nazreth może się na niej mścić. Tylko Cegehana zachowywała się jak detektyw doskonały. Śledziła Nazreth i wszystko ze szczegółami opowiadała wujkowi Hajle. Nazreth błagała ją:

- Nie mów mu wszystkiego, bo znów mnie spierze.

Ale Cegehana pozostawała twarda:

- Co poradzę na to, że ty łgniesz do tych facetów?! Mam milczeć? Jeżeli on się o tym dowie, to ja dostanę łanie.

Tak więc opowiadała wujkowi wszystko, co wiedziała i Nazreth brała baty.

Wkrótce zaczęła nas okłamywać. Mówiła, na przykład, że idzie tylko na zakupy, do sklepu tuż obok, i nie musimy jej towarzyszyć.

W rzeczywistości chciała sobie pospacerować po mieście. Nie udawało się jej jednak nas pozbyć, ale szłyśmy za nią w pewnej odległości. To było interesujące. Nazreth orientowała się szybko, że idziemy za nią, bo nie była głupia, a my nie byliśmy specjalnie sprytnie, ale mimo to ciągnęła za sobą sznur rozmaitych facetów i spotykała się z jakimiś chłopcami w umówionych wcześniej miejscach. Cegehana mówiła potem o wszystkim wujkowi Hajle, a ten tłukł Nazreth do upadłego. To był zamknięty krąg.

Ten krąg nabierał coraz większego tempa, bo Nazreth ciągle oświadczała się jacyś mężczyźni, którzy chcieli się z nią żenić. Dostała nieskończenie wiele propozycji małżeństwa, bo kiedy chłopak chce czegoś od dziewczyny, nie mówi jej tego wprost i nie czyni żadnych dwuznacznych aluzji, lecz przeważnie pyta, czy ta zechce wyjść za niego za męża. Takie to proste w uporządkowanym świecie islamu. Ale potem muszą wyrazić zgodę rodzice, czy - jak w tym przypadku - kuzyn, a ci robią to dopiero wtedy, kiedy na horyzoncie pojawia się dobra partia.

Dobra partia pojawiła się z niespodziewanej strony. Pewien mężczyzna regularnie pisywał do Nazreth z Waszyngtonu, twierdził, że ma własne biuro i samochód, że dobrze mu się powodzi i żeby Nazreth do niego przyjechała. Hajle poznał tego człowieka, Erytrejczyka z Waszyngtonu, przez swoje rozliczne międzynarodowe kontakty. Kiedy pokazał Nazreth zdjęcia, które pełen nadziei ewentualny narzeczony dołączył do swojego listu, Nazreth uznała, że jest absolutnie słodki, a to, co zobaczyła na zdjęciach, jest niezwykle eleganckie: umeblowanie salonu, wbudowane w ścianę szafy, samochód, mieszkanie. Powiedziała „tak”, i od tego momentu wszystko poszło błyskawicznie.

Byłam trochę rozczarowana, że po cyrku z tymi wszystkimi wielbicielemi cała sprawa znalazła tak banalne rozwiązanie. Ale Nazreth trwała przy swojej decyzji, a Hajle wyraził zgodę. Wysłał list do moich dziadków i wszystko im opisał. Ci zgodzili się natychmiast - w końcu, cóż lepszego może spotkać dziewczynę z Erytrei, niż męża z Ameryki, i do tego rodak. Trzeba było załatwić jeszcze kilka formalności i Nazreth wyjechała. Poleciała do Stanów Zjednoczonych, żeby tam wyjść za męża. To była miłość od pierwszego wejrzenia, pisała, wielkie szczęście i wspaniałe, nowe życie.

Ja zostałam w Chartumie, który jeszcze kilka miesięcy temu wydawał mi się rajem, wybawieniem od wszystkiego złego, i dąsałam się. Nazreth ruszyła po szczęście w wielkim, szerokim świecie, po bogactwo, a ja i moje siostry musiałyśmy tkwić tutaj. Czy to życie było już ostatecznym spełnieniem? Czy to było owo piękne życie o jakim zawsze marzyłam?

Nazreth przewróciła mój sposób patrzenia na świat i nie pozostało mi nic innego, jak z drzeniem wrócić na swój materac i podumać, jak by tu nawiązać kontakt z wielkim, dalekim światem. Nie mogło dojść do tego w taki sposób, jak u Nazreth, bo po pierwsze wcale nie spieszyłam się do małżeństwa, a po drugie nikt nie prosił mnie o rękę, bo byłam na to jeszcze o wiele za mała. Nawet Nazreth była jeszcze dosyć młoda, ale cholernie ładna.

W Chartumie dziewczyny wkraczały w wiek małżeństwa mając szesnaście, osiemnaście, dwadzieścia lat. W Erytrei natomiast, przede wszystkim na wsi, wydawano je za mąż o wiele wcześniej. Małżeństwa kojarzono tam prawie zawsze, nie biorąc pod uwagę woli kobiety, aranżowali je rodzice, którzy liczyli na to, że to, co dostaną za narzeczoną, pozwoli przeżyć im i rodzinie, no i pozbędą się jednej gęby do wyżywienia.

Sprawy kobiet

Nazreth była gwiazdą wśród erytrejskich dziewczyn w Chartumie, bo miała jasną skórę i proste włosy. U nas w Erytrei taki typ kobiety nazywano *frenge*, a być *frenge* było tam równie godne pożądania jak w Sudanie. Nazreth była taka śliczna, że mężczyźni po prostu *musieli* się za nią oglądać. Wujek Hajle wiedział o tym, w końcu on też był mężczyzną. Ale nigdy nie pozwoliłby na to, żeby jego kuzynka wpadła w kłopoty. Świetnie rozumiał, że nie można dopuścić do tego, by zadała się z chłopakiem przed ślubem. Podobna sprawa oznaczałaby hańbę nie tylko dla Nazreth i dla niego, ale dla całej naszej rodziny.

Chcąc mieć pod tym względem gwarancję, większość ojców rodzin w Afryce każe swoje córki obrzezywać, w rodzinach muzulmańskich obrzezane są prawie wszystkie. Temat obrzezania był dla nas, dziewcząt, absolutnym tabu, żaden dorosły nigdy z nami o tym

nie rozmawiał. To się po prostu nie zdarzało, zupełnie tak, jak gdyby w ogóle nie było żadnego obrzezania.

Po raz pierwszy usłyszałam o tym w Chartumie - od Nazreth. Ona opowiedziała mi, że jej byłoby łatwiej niż Sudankom kochać się z mężczyzną, bo nie jest zaszyta. Z początku nic nie zrozumiałam, ani jednego słowa, co doprowadziło Nazreth do ataku śmiechu. Dopiero w odpowiedzi na moje wielokrotne uporczywe pytania wyjaśniła mi, o co chodzi, i powiedziała, że w Sudanie stosuje się zwyczajowo tak zwane duże obrzezanie, w czasie którego usuwa się *clitoris* i wewnętrzne wargi sromowe, a następnie zaszywa powstałą po tym ogromną dziurę. Jeżeli nie przyplątała się infekcja i dziewczynka przeżyła, rana się goiła. Dopiero w trakcie nocy poślubnej mężczyzna może „otworzyć” kobietę, niczym zapakowany prezent. Wtedy wie, czy jest jeszcze dziewicą, czy nie - jeżeli nie, to niech ją Bóg ma w swojej opiece.

U nas, w Erytrei, tłumaczyła Nazreth, nie stosuje się „dużego”, tylko „małe obrzezanie”. Wtedy wycina się dziewczynie jedynie *clitoris*. Mówiła o tym bez goryczy.

Nie bardzo rozumiałam, o czym mówi, ale wszystko się we mnie buntowało, kiedy sobie wyobraziłam, że ktoś ostrym nożem albo jakimś innym ostrym narzędziem wycina mi po kawałku fragmenty genitaliów. W pierwszej chwili wcale nie byłam pewna, czy nie jestem obrzezana, chociaż nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek przeżyła coś tak straszego. Dopiero kiedy Nazreth opisała mi dokładniej tę „kobiecą sprawę”, jak to nazwała, upewniłam się, że nie jestem obrzezana. Zapewne po prostu nikt się nigdy o to nie zatroszczył: w państwowym przedszkolu byłam za mała, katolickie zakonnice nie stosowały obrzezania, mojemu ojcu było to chyba raczej obojętne, a w Dżebhie nikt nie poczuwał się do odpowiedzialności za nas, dzieci.

Od kiedy Nazreth opowiedziała mi o obrzezaniu, inaczej zachowywałam się, idąc ulicą. Dokładnie przyglądałam się wszystkim kobietom i wpatrywałam się w ich twarze. Nie mogłam przestać myśleć o tym, że one są zaszyte na dole. Na pewno codziennie odczuwają wielkie bóle przy oddawaniu moczu i wstydzą się tego, że są okaleczone. Wprawdzie w ich twarzach nie odkryłam niczego, co by na to wskazywało, ale też sudańska kobieta nigdy nie dałaby nic po sobie poznać, nigdy by też o tym nie mówiła ani się skarżyła.

- Kobiety odbierają obrzezanie jako coś złego tylko wtedy, jeżeli wyrastały w środowisku, w którym się tego nie robi - powiedziała Nazreth. - Tutaj są do tego przyzwyczajone. To wszystko.

Dopiero kilka dni po tej rozmowie przyszło mi do głowy, żeby zapytać moje siostry, czy są obrzezane. Była to dla mnie trudna rozmowa, bo był to temat tak ważny i oczywisty, a my jeszcze nigdy go nie poruszałyśmy. To było jak coś, co tkwiło między nami i nie pozwalało nam osiągnąć pełnego zaufania. Wyobrażałam sobie ich prawdopodobne reakcje: może przestraszą się i będą się bały odpowiedzieć na moje pytanie. Może ucieszą się, że wreszcie mogą o tym porozmawiać. Albo napadną na mnie ze złością, bo nie chcą nic o tym słyszeć.

Długo się wahałam, zanim podjęłam temat. To było niezwykle, bo na ogół wyrzucałam z siebie wszystko, co mi tylko przyszło do głowy, bez cenzury, nie zastanawiając się. Tym razem długo wyczekiwałam na właściwy moment, bo nie chciałam rozmawiać o tym w domu, gdyż Hajle nie powinien o tym wiedzieć. Kiedy wreszcie poruszyłam ten niebezpieczny temat, szłyśmy właśnie na targ. Powiedziałam:

- Dawno już chciałam was o to zapytać - czy jesteście obrzezane?

Obydwie zareagowały na moje pytanie przerażeniem. Jaldijan spojrzała na mnie, jak gdybym chciała rzucić się jej do gardła, a Cegehana natychmiast wybuchła płaczem i odwróciła się do mnie tyłem. Rozmowa na ten temat była dla nich kłopotliwa. Tak jak dla wszystkich kobiet, a tym bardziej dla mężczyzn. Hajle na przykład natychmiast przetrzepał mi skórę, bo nie potrafił inaczej wyrazić swojej obawy przed poruszaniem tego tematu.

Znów zdusiłam ten problem w sobie i złożyłam go w najciemniejszym zakamarku mojego serca. Nie gnębił mnie już, po prostu przestał istnieć. Pytanie nie zaszkodziło moim stosunkom z siostrami, były teraz bardziej harmonijne niż kiedykolwiek. Bardzo przyjemnie nam się żyło w Sudanie. Dużo się śmiałyśmy. Byłyśmy jak jedno ciało i jedna dusza, co było dla mnie najważniejsze.

Jedynym, co zakłócało moją tęsknotę do normalności był fakt, że nie wolno nam było bawić się z chłopcami. W Asmarze zawsze bawiłam się z chłopcami, ale tutaj to było zakazane. Chłopcy grali w piłkę nożną, a dziewczęta wychodziły razem na ulice i organizowały sobie własne zabawy, w których nie mogli uczestniczyć chłopcy. Jeden z chłopców

z naszej ulicy, pewien Sudańczyk, wydał mi się jednak bardzo fajny. Mimo wszystkich zakazów widywaliśmy się codziennie, nawet jeżeli nie podchodziliśmy do siebie za blisko. Miał na imię Mohammed, a na jego widok mocniej biło mi serce. On jednak uważał, że jestem zupełnie niemożliwa.

Mogłam o tym porozmawiać tylko z Cegehaną. Kiedy opowiedziałam jej o Mohammedzie, stwierdziła od razu:

- Powiem o tym wujkowi Hajle!

Ale wiedziałam, że mnie nie wyda.

Nigdy się nie zdradzałyśmy. Tylko Jaldijan czasem z czymś się wygadała. Nie mogła uwolnić się od podejrzenia, że nasz ojciec opuścił rodzinę dla mojej matki, ale to nie była prawda. Było dokładnie odwrotnie. Hajle nie chciał o tym mówić, ale Mbrat i przede wszystkim Nazreth opowiedziały mi to i owo. Po rozstaniu z moją matką mój ojciec ożenił się po raz drugi. Ze swoją nową żoną Abrehet miał dwie córki, moje siostry Jaldijan i Cegehanę. Kilka lat później moi rodzice spotkali się przypadkiem na weselu jakiegoś przyjaciela. Stwierdzili spontanicznie, że jeszcze wiele ich łączy i szybko znów wyładowali razem w łóżku. Moja matka natychmiast zaszła w ciążę - prawie jednocześnie z Abrehet, która oczekiwała kolejnego dziecka z moim ojcem.

Ojciec oczyścił sytuację, okłamując obydwie kobiety: Abrehet przysiągł wierność po wsze czasy, a mojej matce obiecał, że wkrótce rozstanie się z Abrehet i ożeni się z nią. Żeby uprościć sprawy, kupił mojej matce mały sklepik w Adi Kejh, w tej samej miejscowości, gdzie mieszkał już on i jego prawdziwa żona, Abrehet. Wszystko jednak wskazuje na to, że nie wszyscy uznali to za najlepsze rozwiązanie i ojciec postanowił jeszcze raz przeprowadzić moją matkę. Kupił jej dom w Addis Abebie, stolicy Etiopii, i powiedział, że ma na niego czekać. Matka mu uwierzyła - a tymczasem ja przyszłam na świat.

Zaraz potem mój ojciec jeszcze raz zmienił zdanie, a w każdym razie stwarzał takie pozory. Zawiadomił moją matkę, że jednak nie przyjedzie do Addis Abeby, że ona ma przyjechać do Asmary, gdzie się spotkają. Matka zdawała się jeszcze ciągle mieć do niego zaufanie, sprzedała swój sklepik i przeniosła się do Asmary. Tam dowiedziała się, że mój ojciec ma jeszcze inny pomysł na życie. W jego nowych planach nie było już miejsca dla niej, dawno ją poświęcił na innym ołtarzu.

Ghebrehiwet Mehari, mój ojciec, rozstał się wprawdzie tymczasem z Abrehet - ale nie po to, żeby ożenić się z moją matką, lecz z Werhid, swoją nową kochanką.

Werhid i ojciec chcieli mieszkać razem ze swoimi dziećmi. Werhid wniosła do małżeństwa własne potomstwo, a mój ojciec zmusił Abrehet, swoją żonę, z którą dopiero co się rozwiódł, żeby oddała mu dwie ich wspólne córki, moje siostry. Kiedy nie chciała się na to zgodzić, zbił ją do nieprzytomności patelnią i uprowadził Jaldijan i Cegehanę. Niedługo potem nie były już dla niego takie ważne. Kiedy jeszcze i ja powtórnie wkroczyłam w jego życie, bo Mbrat przywiozła mnie do niego i jego nowej rodziny, tego było już dla niego za wiele i oddał nas wszystkie trzy do Dżebhy.

Tyle wiedziałam z opowieści Mbrat i Nazreth. Historia moich rodziców wprawdzie nie stała się dla mnie przez to bardziej sympatyczna, ale teraz przynajmniej wiedziałam, jak się to wszystko odbyło i skąd ja się wzięłam.

W drogę do Niemiec

W Chartumie przypominaliśmy szczęśliwą małą rodzinę: Hajle był naszym ojcem, Nazreth przez jakiś czas młodą mamą, a my trzy byłyśmy przedwcześnie dojrzałymi córkami. Z mojego punktu widzenia taka sytuacja mogłaby trwać jeszcze długo. Pewnego dnia jednak, kiedy Nazreth od kilku miesięcy była już w Ameryce, idylla się skończyła.

Po kolacji spędzaliśmy jak zawsze jeszcze trochę czasu razem, piliśmy kawę i rozmawiali o tym i owym, kiedy Hajle nagle przybrał poważniejszą niż zazwyczaj minę. Początkowo nie wiedziałyśmy, o co chodzi, ale wtedy wyładował swój niepokój w jednym tylko suchym zdaniu:

- Wasz ojciec chce mieć was u siebie, w Niemczech, i będziecie musiały do niego pojechać.

W jednej chwili zamarła nasza paplanina, w pokoju zapadła martwa cisza.

Jaldijan zareagowała pierwsza.

- Nie! - krzyknęła. - Za nic.

Także Cegehana uparcie potrząsała przecząco głową, a ja zawołałam coś w tym rodzaju:

- Hajle, my chcemy zostać z tobą!

Hajle jednak, nie zważając na naszą reakcję, zaczął przygotowywaną już wyraźnie od dawna przemowę:

- Nie wiecie jak jest tam, w Europie. Nie macie pojęcia o Niemczech. Tam ludzie mieszkają w dobrobycie, wszystkim dobrze się powodzi. Nikt nie cierpi głodu. Tam będziecie mogły chodzić do szkół, uczyć się języków, nauczyć się czegoś. Na dłuższą metę nie wam nie przyjdzie z tego, że będę was tutaj sam uczył, potrzebujecie cenzurek, papierów. W Niemczech możecie to wszystko zdobyć. Będziecie mogły studiować, znajdziecie sobie dobrych mężów, możecie potem zamieszkać, gdzie będziecie chciały. To jest największa szansa, jaką macie w życiu. Jeżeli ojcu uda się sprowadzić was do Niemiec, będziecie bezpieczne. Wszystkim wam będzie się dobrze żyło.

Nie wierzyliśmy w ani jedno jego słowo. Nie wiedziałyśmy, co nas może czekać w Niemczech, ale miałyśmy przed oczami naszego ojca i wujka Hajle. A przy tym porównaniu wszystkie trzy nie miałyśmy wątpliwości, z kim chcemy być.

- Wystarczy nam to, czego ty nas nauczysz - powiedziała.

- Nie chcemy żyć gdzieś w świecie - stwierdziła Jaldijan.

- Taka jest wola waszego ojca, bo pragnie was znów zobaczyć i zamierza pomóc wam w dalszym życiu. Ja chętnie bym was tutaj zatrzymał, ale nie mogę nic zrobić wbrew jego woli. Zresztą, nie chcę tego, bo jestem takiego samego zdania jak on. Gdybym mógł, też bym pojechał do Europy, tak jak on. Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo nie chcecie tam jechać. Na co czekacie?

Po raz drugi Jaldijan wyskoczyła pierwsza, co było dla niej niezwykłe:

- Pojedziemy dopiero wtedy, kiedy rozstanie się z naszą macochą. Nie chcemy mieszkać z nią, nie chcemy jeszcze raz być jej niewolnicami.

Cegehana i ja, a także Hajle, spojrzeliśmy na Jaldijan. Moje siostry uznały, że jest to słuszny postulat, bo aż za dobrze pamiętały rządy Werhid. Dla mnie Werhid była zawsze dobra, ale Jaldijan i Cegehane traktowała jak kartę przetargową przeciwko ojcu.

Hajle był zmieszany. Nie spodziewał się tak konkretnego żądania, nie brał tego pod uwagę, kiedy układał sobie strategię przekonywania nas do ojca. Wiedział jednak, że w tamtym czasie wspólne życie z nową rodziną naszego ojca układało się źle, więc nie miał żadnych argumentów. Tak więc bez wahania poszedł na ustępstwo.

- Napiszę o tym waszemu ojcu. Ale musicie być posłuszne, jeżeli on zechce, żebyście przyjechały.

Hajle przybrał swoją najpoważniejszą minę, co oznaczało niewątpliwie, że rozmowa jest skończona.

Przeniosłyśmy się na dwór, żeby rzucić kotom resztki jedzenia i uprzątnąć palenisko na podwórzu. Nic nie mówiąc, ciskałyśmy garnkami i miskami, a Hajle położył się na łóżku w salonie. W głowie kłębiły mi się myśli. Co nam przyniesie przyszłość?

Kilka tygodni później Hajle pokazał nam list od ojca. Rzeczywiście, ustąpił. Myślałyśmy, że się strasznie zezłości i powie, że pod żadnym pozorem nie zamierza rozstawać się z kobietą, którą kocha i z którą ma małą córeczkę. Nic z tych rzeczy. Pisał, że przygotował już wszystko do rozwodu.

Nie mogłyśmy w to uwierzyć. Jaldijan się rozpłakała, ja pograżyłam się w ponurych rozmyślania. Czy naszemu ojcu bardziej niż na czymkolwiek innym zależało na opinii? Hajle wspomniał nam mianowicie, że znajomi i rodzina już mówili o nim źle, zarzucając mu, że nic go nie obchodzi los jego trzech dużych córek. A może chce nas po prostu zobaczyć i w tym celu gotów jest nawet zmienić swoje życie?

Niezależnie od tego, jaka była prawda, teraz nie mogłyśmy się już wycofać. Hajle zaczął natychmiast załatwiać formalności związane z naszym wyjazdem. Musiałyśmy bez końca wypełniać i składać ciągle nowe, długachne wnioski o zezwolenie na wyjazd, stać w wielogodzinnych kolejkach: przed ambasadą niemiecką, przed urzędami sudańskimi, w ambasadzie Etiopii, bo ambasady erytrejskiej jeszcze wtedy nie było. Tłoczyłyśmy się wśród setek ludzi, odsyłane od jednego okienka do drugiego. Tutaj zabrakło jeszcze jakiegoś podpisu, tam fotokopii, gdzie indziej potrzebne były jeszcze raz nasze zdjęcia. Wujek Hajle nie raz musiał dobrze posmarować, żeby otrzymać dla nas potrzebny dokument. Urzędnicy sudańscy bywali leniwi, skorumpowani i zachłanni.

Często już przed świtem musiałyśmy ustawiać się w kolejce. Stały-

śmy w zbitym tłumie przed zamkniętymi drzwiami w strasznej duchocie, a z tyłu napierało coraz więcej ludzi. Małe dzieci, niemowlęta, całe rodziny godzinami wyczekiwały, aż zjawią się urzędnicy i otworzą drzwi. Wtedy ludzka ciżba jak wodospad rozlewała się natychmiast po biurowych pomieszczeniach. Rządziło tam prawo silniejszego. Dopiero kilka godzin później siedzieliśmy wreszcie naprzeciwko urzędnika. Ten przeważnie zupełnie nie interesował się naszą sprawą, przystawiał pieczętkę albo podpis na którymś z dokumentów i przekazywał nas innemu urzędnikowi, gdzie wszystko zaczynało się od początku.

W miarę, jak zbliżał się dzień naszego wyjazdu, Hajle był coraz bardziej zatroskany, przecież bardzo przypadliśmy mu do serca. Mimo to chciał, żebyśmy pojechali do Niemiec i tam zdobyły wykształcenie. To sprawiło, że jego chęć, by nas u siebie zatrzymać, odsunęła się na dalszy plan. Nigdy nie zapomnimy tej jego wielkoduszności. Hajle nauczył nas zasad, których przedtem nie znałyśmy. Pokazał nam, co jest w życiu ważne, a co nie. Temu służyła także jego surowość i brutalność, z jaką postępował, kiedy nas bił. Nie bił jednak, żeby nam sprawić ból. Bił tylko wtedy, kiedy uważał, że zrobiliśmy coś złego.

Z niemiecką wizą wjazdową było o wiele więcej trudności, niż wyobrażali sobie Hajle i nasz ojciec - dostawałyśmy odmowę za odmową. Dopiero po wielu miesiącach ambasada niemiecka udzieliła zgody na nasz wjazd. Warunkiem było jednak otrzymanie przez nas niemieckich paszportów, ze zdjęciami i datami urodzenia. A to nie było takie proste. W małej, oprawnej w zielone płótno książeczce podano wprawdzie nasze dni urodzenia, ale zamiast roku we wszystkich trzech paszportach wydrukowano jedynie cztery zera, bo nie miałyśmy żadnych dokumentów, metryk urodzenia, świadectw chrztu. Nikt, kogo znałyśmy, nie potrafił powiedzieć dokładnie, w którym roku się urodziłyśmy. Nie wiedział tego nasz ojciec, moja matka zaginęła i nikt nie miał pojęcia, co się z nią dzieje. Matka Jaldijan i Cegehany tkwiła w jakiejś wiosce w Erytrei, odcięta od jakiejkolwiek komunikacji, w samym środku głodu i wojny. Toteż niemiecki urzędnik w ambasadzie, kiwając głową, wstawił cztery zera i uznał, że trzeba to będzie uporządkować później, w Niemczech. Nie potrafił nam wyjawić, jakim cudem miałyby do tego dojść.

Dla tych pięknych paszportów, które po wielu miesiącach drepnięcia po rozmaitych urzędach przyniosłyśmy wreszcie do domu,

musiałyśmy zmienić imiona, bo niemieccy urzędnicy nie byli w stanie pojąć erytrejskiego systemu określania osób, tego niekończącego się korowodu imion, które przechodziły z ojca na synów i córki, a z synów znów na synów i córki. Mój ojciec nazywał się Ghebrehiwet Mehari, więc urzędnik wypełniający moje dokumenty, zdecydował po prostu, że Ghebrehiwet jest nazwiskiem, gdy w rzeczywistości było to imię mojego dziadka, czyli ojca mojego ojca. To imię uczynił moim nazwiskiem, a moje drugie imię, Mehari, imię mojego ojca, dodał mi jako drugie nazwisko. Całe szczęście, że zostawił mi przynajmniej imię Senait.

Nie przejmowałyśmy się już specjalnie tymi nazwiskowymi problemami, tak bardzo byłyśmy już przepuszczone przez biurokratyczne młynki. Chciałyśmy jak najszybciej pojechać wreszcie do Niemiec, do Europy, w obcy, szeroki świat. Hajle rozbudzał w nas to pragnienie, przemawiając jak do chorych wielbłądów. Mówił:

- Korzystajcie z tego, że macie okazję pojechać do Ameryki, do Niemiec albo do Europy. Tam będziecie mogli się uczyć.

Słowa wujka były dla nas ważne. Wszystko, co mówił, miało sens i nie mogłyśmy tego całkowicie zignorować, nawet jeżeli początkowo inaczej patrzyłyśmy na te sprawy. Dał nam bardzo dużo z siebie, jego rady pomogły nam sprostać nowej sytuacji w Niemczech.

- Starajcie się przystosować, nie wychylajcie się, nigdy nie pływajcie pod prąd. Biercie wszystko, co możecie dostać - powtarzał po wielokroć i nie chodziło mu przy tym o pieniądze czy majątek, lecz bogactwa niematerialne, a więc wiedzę. - Nie możecie przewidzieć, kiedy będziecie musiały wrócić do Afryki, a wtedy bardzo wam się przyda zdobytą tam wiedza.

Kiedy wreszcie dostałyśmy wizy wjazdowe do Niemiec, wszystko poszło już bardzo szybko. Ambasada kupiła bilety samolotowe, na które wujek nie miałby pieniędzy, a zapewne nie miał ich także nasz ojciec. W tych papierowych zeszytach, zawierających wiele niezrozumiałych dla nas słów, napisano czarno na białym: wyjazd za tydzień. Jeszcze siedem dni w ojczyźnie, siedem dni dawnego życia, nim rzucimy się głowami naprzód w nieznaną przyszłość. Dla mnie wszystko potoczyło się o wiele za szybko, nie byłam przygotowana na to, żeby wszystko na zawsze zostawić za sobą: wujka Hajle, Chartum, Afrykę, życie, jakie znałam.

Kiedy przyszła chwila pożegnania, byłam odrętwiała z bólu i smutku, i nie mogłam znaleźć słów ani gestów dla wujka, który odprowadził nas na lotnisko. Kiedy miałyśmy przejść za barierkę, Jaldijan odwróciła się i chciała go jeszcze raz objąć, ale on powiedział tylko:

- Już dobrze. Wchodźcie, wchodźcie, wchodźcie.

Potem odwrócił się i ruszył do wyjścia. Hajle jest dumny, nie chciał płakać przy nas. Jest dobrym, kochanym człowiekiem.

Niemcy

W samolocie wszystko wydało mi się zupełnie oczywiste i dziwnie dobrze znane. Takie sceny znałam z telewizji, toteż nie dziwiłam się temu, że ludzie siedzą w idealnym porządku na wygodnych fotelach, że obok nich przechodzą tam i z powrotem uśmiechnięte białe kobiety, przypominając im o zapięciu pasów, i że olbrzymi ptak posuwa się najpierw powoli, a potem coraz szybciej, aż w końcu traci ziemię pod kołami.

Był to pierwszy lot w moim życiu, z Chartumu do Zurychu. Dotychczas widywałam samoloty tylko jako małe punkciki, szybujące wysoko w górze na niebie nad pustynią. Wiedziałam wprawdzie, że w środku siedzą ludzie, przenosząc się z jednego miejsca na drugie, ale zupełnie nie byłam sobie w stanie wyobrazić, jak wygląda wnętrze takiej maszyny i co robią ludzie w czasie lotu. A w każdym razie nie przypuszczałam, że zajmują się przede wszystkim jedzeniem i piciem - będąc wtedy zawsze głodna i zawsze spragniona, nie byłabym w stanie w to w ogóle uwierzyć.

A teraz sama siedziałam tutaj w górze, spoglądałam na niekończące się stopy i pustynię pod nami, i wyobrażałam sobie jak tam na dole grupki lilipucio małych ludzików, którzy stoją gdzieś na drodze albo szukają odpoczynku w cieniu zarośli, spoglądają na ten mały punkcik na niebie i zastanawiają się, kto też nim może podróżować. 2 podniecenia nie zdołałam przełknąć ani kęsa ciepłego posiłku, który podano tutaj, na samym środku nieba. Inna sprawa, że miał koszmarne Wygląd zabitego zwierzęcia i strasznie śmierdział. Zawinięta mocno koc, skuliłam się na swoim siedzeniu i wyczerpana, zapadłam w głę-

boki sen. Siostry musiały mną potrząsnąć, kiedy samolot od dawna już zniżał się do lądowania.

Pijana snem szłam przez jakąś rurę do budynku lotniska, a potem przez następną rurę z niego wychodziłam, żeby w samolocie do Hanoweru znów natychmiast zasnąć. Nawet nie zobaczyłam, jak wygląda ten kraj. Nim znów zasnęłam, zauważyłam tylko, że w samolocie było pełno białych. Nikt nie zwracał na nas uwagi.

W Hanowerze gwałtownie oprzytomniałam, bo gdy schodziliśmy po schodkach z samolotu, które prowadziły na płytę lotniska, poczułam coś, czego jeszcze nie znałam: przejmujący chłód. Była zima i taki ziąb, że z trudem łapałam oddech. Mam żyć w tym zimnie? Hajle mówił wprawdzie, że w Niemczech będzie zimniej, i kupił nam kurtki, ale to były zwyyczajne kurtki, bez podbicia, takie, jakie można było kupić w Afryce, o wiele za cienkie na tutejsze temperatury. Wydawało mi się, że nie dojdę nawet do czekającego przed samolotem autobusu.

W budynku lotniska nie mogłyśmy wyjść ze zdumienia. Wszędzie było pełno białych ludzi! Szli bardzo szybko i mieli na sobie strasznie dużo rzeczy, co mnie natychmiast oświeciło - przy tych temperaturach trzeba zakładać na siebie wszystko co się da. Wszyscy nieśli torby i walizki i zdawali się dokładnie wiedzieć, dokąd idą.

Wprawdzie już jako dziecko widziałam białych, na przykład we włoskim sierocińcu albo u nas we wsi, kiedy przyjeżdżali ludzie z Czernowego Krzyża, ale sami biali, i to na dodatek w takiej masie, to było zupełnie nowe doświadczenie. Także w Sudanie mieszkało trochę białych - ale przeważnie nie byli to blondyni, lecz ciemnowłosi, głównie Egipcjanie i Włosi. Tutaj na lotnisku byli prawie sami jasnowłosi biali, tysiące blondynów. Początkowo żartowałyśmy sobie z siostrami:

- Spójrz tylko, tu są sami albinosi!

Ludzie o jasnej skórze i blond włosach, to byli u nas albinosi, a ja wyobrażałam sobie, że tym albinosom wypadają włosy i odpada skóra, kiedy się ich dotknie. Moje siostry nie mogły opanować chichotu.

- No nie, gdzie my jesteśmy! Niech tylko nie zbliżają się do nas za bardzo!

Oszołomione, nie wiedziałyśmy co ze sobą począć, aż sympatyczna biała kobieta w eleganckim mundurze odezwała się do nas po angielsku. Byłam zadowolona, że był ktoś, kogo mogłam zrozumieć,

i od razu poczułam się trochę mniej zagubiona. Kobieta pokazała nam, gdzie jest taśma z bagażami, po której krążyły nasze torby pełne ubrań, które na nic nam się nie zdadzą w tym pieskim klimacie, pomyślałam, trzęsąc się z zimna.

Następny szok czekał mnie za wielkimi szklanymi drzwiami, które rozsuwały się niczym pchnięte niewidzialną ręką, kiedy ktoś chciał przejść. Za tymi drzwiami czekał nasz ojciec. Wszystkie trzy stanęłyśmy jak wryte i patrzyłyśmy tylko na niego. Zobaczyłyśmy wyraźnie postarzałego już mężczyznę. Miał przetykane siwizną włosy, stał pochylony i nosił dziwne, grube rzeczy, tak jak inni ludzie wokół nas. Minęło siedem lat od dnia, kiedy ojciec zaprowadził nas do Dżebhy, a czas sprawił, że stał się dla mnie postacią z odległej przeszłości i wydał mi się kimś zupełnie nierzeczywistym, jak osoba z poprzedniego życia. Trudno mi było pojąć, że to jest on, że stoi tutaj przed nami i niepewnie daje jakieś znaki: Ghebrehiwet Mehari, obywatel niemiecki, okutany w bezkształtne palto zapinane na wiele guzików, w skórzanych, wysokich butach na nogach, zamieszkały w Hamburgu-Stellingen.

Przychodziły mi do głowy tylko jakieś absurdalne pomysły, myśli kłębiły się w głowie. Pomyślałam, na przykład, że nigdy jeszcze nie widziałam ojca w zamkniętych butach, zawsze w klapkach albo sandałach. Że jest jedynym czarnym, który czeka za szklanymi drzwiami. On, który zawsze wydawał mi się olbrzymem, tutaj wśród tych wszystkich białych sprawiał wrażenie człowieka średniego wzrostu, raczej niskiego. Nawet niektóre kobiety były od niego wyższe.

- Witajcie, dzieci! Cieszę się, że przyjechałyście! - powiedział ten niski czarny mężczyzna. Mówił naszym językiem, tigrinia, głosem, który bym poznała wśród setek tysięcy innych. Jeszcze raz stwierdziłam ze zdziwieniem, że jest to rzeczywiście nasz ojciec.

Obyło się bez uroczystego powitania, bo i my byłyśmy co najmniej tak samo zakłopotane jak on. Zresztą, nie mieliśmy też zbyt wiele czasu, bo ojciec chciał, żebyśmy od razu jechali dalej. To znów stanowiło dla mnie zaskoczenie, bo nigdy jeszcze nie widziałam, żeby się śpieszył. Prawdę mówiąc, poświęcałam mu jednak niewiele uwagi, tyle było tutaj zupełnie nowych wrażeń: jakie wysokie domy! Ile samochodów "a ulicach! I wszystkie ulice asfaltowane! A ile rzeczy tutaj rośnie, chociaż była zima, wszędzie była trawa i tyle drzew!

W pociągu, który miał nas zawieźć do Hamburga, znów wszystko wyglądało tak jak w samolocie. Pograżony już prawie w całkowitej ciemności krajobraz przemykał za oknami z zatykającą dech szybkością, jak gdyby pociąg lada chwila miał się odbić i poszybować w przestworza, ale nic takiego się nie stało, tylko na zewnątrz przesuwwały się światła, światła i coraz więcej świateł - zdumiewające, co też tutaj tak oświetlano. Wkrótce wtoczyliśmy się w jeszcze więcej światła, do ogromnej hali, po której nieustannie biegały tam i z powrotem tłumy ludzi, przyjeżdżały i odjeżdżały niezliczone pociągi. Ojciec chwycił nasze torby, mówiąc, że jesteśmy w Hamburgu.

- W domu - powiedział, ale nie zabrzmiało to specjalnie wiarygodnie.

Pojechaliśmy U-Bahnem wielką ilość przystanków pod ziemią, aż wyszliśmy znów na powierzchnię między jeszcze wyższymi i potężniejszymi domami. To było Stellingen, przedmieście Hamburga, gdzie każdy dom wyglądał dokładnie tak samo, jak pozostałe. Zastanawiałam się, jak ludzie tutaj nie błądzą, bo przecież każda ulica jest taka sama jak następna. Przynajmniej nie byliśmy tutaj jedynymi Afrykanami. Dopiero później dowiedziałam się, jak taką dzielnicę nazywają Niemcy: „getto cudzoziemców”.

W milczeniu kroczyliśmy za ojcem, który ku naszemu rozczarowaniu prowadził nas ku szeregowi niższych domów, które stały obok wysokich bloków.

- To tutaj - powiedział - jesteście w domu - i wskazał na jedne drzwi w długim szeregu innych.

Małe domki przylegały ciasno do siebie jak olbrzymia gaśienica, tyle że tworzyły prostą linię. Mieszkanie było ogromne i zajmowało trzy piętra. Był w nim salon z bardzo miękkimi meblami, telewizor, lodówka, kuchenka i masa małych pokoików. Pewnie byłybyśmy zachwycone, gdyby nie dwa nie zadane, czekające na odpowiedź pytania: Co my tutaj robimy? Jak będzie wyglądało nasze życie z ojcem?

Nowa ojczyzna

Miałam wtedy trzynaście lub czternaście lat i widziałam już dużo. Najtrudniejsze było dla mnie to, co najbardziej oczywiste, ale rzeczy

pozornie trudniejsze uważałam za najprostsze - na przykład zawieranie przyjaźni w otoczeniu, w którym nie rozumiałam ani słowa. Już pierwszego dnia po naszym przyjeździe zaraz po śniadaniu wyszłam sama na dwór, żeby zobaczyć, czy są tutaj jeszcze jakieś dzieci.

Moje siostry nie mogły uwierzyć.

- Co, wychodzisz? - pytały, kiedy jeszcze siedzieliśmy przy stole.

Ojciec tylko wzruszył ramionami. Dziwiłam się, że one się tak dziwiły.

- Oczywiście, że wychodzę. Jak inaczej mam się przekonać, czy są tutaj jeszcze jakieś dzieci?

Naciągnęłam na siebie wszystkie ciepłe rzeczy, jakie miałam, i zeszałam na dół.

Wzięłam ze sobą kartkę papieru i ołówek, bo w żadnym wypadku nie chciałam zabłądzić. Więc wszystko zapisałam. Litery znałam już z angielskiego. Teraz troskliwie przenosiłam na papier słowa nowego języka: PRIVATWEG, droga prywatna, z tablicy, która wisiała na naszym domu, HERMANNNS z szyldu nad wstrętą witryną, na której leżało mnóstwo zabitych zwierząt, PRIMA z wielkiej, świecącej tablicy nad supermarketem.

Przebrnęłam przez osiedle wysokich domów, aż wreszcie znalazłam plac zabaw, na którym stały dziwne sprzęty do zabawy, jakich nigdy jeszcze nie widziałam: wysokie jak dom drewniane zamczysko do wspinania się, zjeżdżalnie, rozmaite huštawki i jakieś dziwne urządzenia, jak na przykład tarcza, na której można się było kręcić w kółko. Wśród tych wszystkich cudownych rzeczy bawiła się tylko jedna dziewczynka, biała z długimi blond włosami. Dziewczynka huštała się. Usiadłam na sąsiedniej huštawce i uśmiechnęłam się. Dziewczynka spojrzała na mnie ze zdziwieniem i też się uśmiechnęła.

- Hallo - powiedziałam, ciągle się uśmiechając.

Dziewczynka coś zaczęła do mnie mówić, ale nie zrozumiałam ani słowa, poza „hallo”. Potem o coś mnie zapytała, ale mogłam tylko potrząsnąć głową. Pytała dalej, mówiąc coś bez przerwy, aż udało mi się wyłowić z tej całej gadaniny jedno pytanie, które powtarzała wielokrotnie. Pytanie brzmiało: „jak się nazywasz”, ale ja tego nie rozumiałam. Powtarzałam więc tylko: „co?”, potem ona mówiła: „jak się nazywasz?”, a ja: „co?”

- Tak, tak, co - powiedziała.

To było jedyne słowo, jakie znałam: „co?”. To słowo usłyszałam dzień wcześniej na lotnisku. Zapytałam ojca, co znaczy, a on mi wyjaśnił.

Kiedy dziewczynka zrozumiała, że znam tylko jedno słowo po niemiecku, zebrała się na odwagę i zapytała po angielsku:

- Yourname?

Odetchnęłam z ulgą - to zrozumiałam

- Senait - odparłam - and yours?

- Bianca!

Tym samym lody zostały przełamane i teraz już prowadziłyśmy konwersację, pomagając sobie rękami i nogami. Trochę błaznowaliśmy i dotykały nawzajem swojej skóry. Bianca chciała sprawdzić, czy ja nie farbuję, a ja chciałam zobaczyć, czy jej skóra nie schodzi, kiedy po niej przeciągnąć dłońią, albo czy nie można jej ściągnąć tak łatwo jak z brzoskwini.

Minęła prawie godzina, kiedy pomyślałam, że powinnam wracać do domu, bo będą się o mnie niepokoić. Kiedy powiedziałam Biance, że idę, posmutniała.

Obiecałam, że wrócę, i powiedziałam:

- Bye, bye.

Potem ruszyłam do domu, kierując się szyldami, które idąc tutaj tak dokładnie wbiłam sobie do głowy: PRIMA, HERMANNNS, PRIVAT- WEG.

Siostry nie mogły uwierzyć własnym uszom, kiedy opowiedziałam im o jasnowłosej białej dziewczynce; dopiero poprzedniego wieczoru wylądowałyśmy, późno w nocy dotarłyśmy do domu, rano poszłam na plac zabaw, a w południe miałam już nową przyjaciółkę. Ojciec roześmiał się głośno. Jeszcze z dawnych czasów przywykł do tego, że ja zawsze robię rzeczy, których inni nie rozumieją albo których się nie spodziewają.

W getcie

Moja nowa przyjaciółka Bianca była latarnią morską w morzu trudności, jakie załały nas na początku naszego życia w Niemczech. Wkrótce musieliśmy się przeprowadzić i zamienić nasze fajne trypoziomowe

mieszkanie na dużo mniejsze na hamburskim przedmieściu Eidelstedt. Tam mieszkaliśmy rzeczywiście w czymś w rodzaju getta: prawie żadnych Niemców, dużo Turków, Arabów, Afrykanów. Brudne ulice, niebezpieczne parki, zasmarowane mury, zniszczone budki telefoniczne, zaplute centra handlowe i masa młodocianych, którzy włączyli się beczynnie po ulicach, nie wiedząc, do jakiego świata należą. Pomijając zniszczenia, wiele rzeczy przypominało tu Afrykę. Tam wszystko było jeszcze nędzniejsze i starsze, ale nikt nie niszczył czegoś tylko po to, żeby zniszczyć. Było dużo kradzieży. Wszystko, co nie było dokładnie przymocowane, mogło zniknąć, ale nikt nie rozbijał szyby, nie wrywał latarni ani nie przewracał roweru tylko dlatego, że sprawiało mu przyjemność samo niszczenie.

Wprawdzie codziennie opuszczaliśmy to getto, ale tylko po to, żeby pojechać U-Bahnem na drugi koniec miasta, gdzie czekało na nas inne getto. Tam znajdowała się jedyna w Hamburgu szkoła, do której przyjmowano nowo przybyłych cudzoziemców. Najważniejszą sprawą była nauka niemieckiego, potem dopiero wszystko inne.

W tej szkole siedzieliśmy w ławkach z Turkami, Persami i Afgańczykami, z którymi nie łączyło nas nic poza faktem, że wszyscy byliśmy obcy. Oni nie rozumieli nas, a my ich. Większość uczniów odnosiła się do nas z pogardą, przede wszystkim dziewczyny. Przychodziły do szkoły w chustach na głowach, szalach i długich spódnicach, i wszystkie, które nie były tak ubrane, uważały za dziwki. „Dziwka” to było jedno z pierwszych niemieckich słów, jakich się nauczyłam w szkole.

Wkrótce czułam się w tej społeczności, która nie była żadną społecznością, lecz jedynie przypadkowym zbiorowiskiem ludzi, bardziej obco niż w innych częściach miasta, w których normalni ludzie zajmowali się normalnymi sprawami. Nie czułam się w Hamburgu jak w domu, ale nie bałam się go, nie uważałam, żeby miasto było odpychające czy niezrozumiałe. Nie przeżyłam szoku kulturowego. Ale ciągle dziwiłam się temu, co widziałam: bogactwo ludzi, pośpiech, w jakim żyli, niezadowolenie. Byłam zdumiona podażą towarów w domach towarowych, wspaniałymi lodówkami w domach, niezliczoną liczbą strojów w szafach. Trudno mi było uwierzyć, że w tym społeczeństwie są żebracy, którzy siedzą przed wejściem do pełnych ludzi domów towarowych, a mimo to rzadko ktoś im

dawał jakiś datek. Zdumiewała mnie swoboda seksualna: dziewczyny nosiły ciasne topy i superkrótkie spódniczki, malowały się jak małe księżniczki i rzucały chłopcom zachęcające spojrzenia, jak gdyby tylko na to czekały, żeby któryś zawlókł je gdzieś w krzaki. Dopiero po pewnym czasie zauważyłam, że wiele z tego to była tylko gra, niepociągająca za sobą żadnych konsekwencji; że istnieje taka zabawa, która nazywa się „flirt” i ma niewiele wspólnego z panującymi tutaj stosunkami.

Coraz częściej dochodziłam do wniosku, że wiele z tego, co nam w Sudanie opowiadano o Niemczech, nie było prawdą. Tam mawiano, że w Niemczech cukierki leżą w koszach na śmieci, a pieniądze na ulicy i wystarczy je tylko podnieść. Na początku często rozglądałam się więc po ulicach, a czasami także zaglądałam do pojemników na śmieci, ale znajdowałam w nich tylko odpadki, wyplutą gumę do żucia i pety.

My byłyśmy pełne sceptycyzmu i nie chciałyśmy jechać do Niemiec. Ale te bajki miały jeden skutek: wszystkie trzy byłyśmy zdumione tym, ile rzeczy w tym obcym kraju wała się na ulicach i można to spokojnie brać. Mnie w każdym razie już wtedy, kiedy byłam w Asmarze albo mieszkalam razem z ojcem na wsi, bardziej interesowały stroje niż słodycze. Kiedy przyjeżdżała ciężarówka Czerwonego Krzyża, żeby rozdzielić trochę paczek między potrzebujących, dzieci miały zawsze tylko dwie rzeczy do wyboru: „Tutaj są cukierki!” i „A tutaj są ciuchy!”. Wszystkie dzieci biegły wtedy do słodyczy, a ja leciałam do worków wypełnionych ubraniami i wyciągałam starą koszulkę z niezrozumiałym nadrukiem, barwne spodnie lub kurtkę, której nie miałam kiedy założyć, bo przeważnie było na to za gorąco.

Stary strach

Najbardziej niezrozumiałe sceny rozgrywały się nie na zewnątrz, na ulicach Hamburga, lecz w naszym własnym mieszkaniu w Stellingen. Ojciec szybko uporał się ze swoją początkową łaskawością i wkrótce znów stał się człowiekiem, którego wszystkie trzy pamiętałyśmy aż za dobrze. Nie minęło wiele czasu, a dawny strach przed ojcem znów wypęzł z ciemnych zakamarków mojej duszy, gdzie czaił się przez te wszystkie lata, kiedy go nie widziałam.

Zaczęło się od listów: po przyjeździe do Niemiec chciałyśmy napisać do wujka Hajle jak nam poszło i co widziałyśmy. Hajle jeszcze przez jakiś czas był jedynym naszym partnerem do rozmów. Nie spodobało się to ojcu, który obawiał się, że mogłybyśmy opowiedzieć wujkowi coś złego o nim. Było w tym zapewne także nieco zazdrości, i dlatego postanowił przeszkodzić nam w kontaktowaniu się z Hajle.

Znów zaczął nas bić, kiedy zapomniłyśmy o jakimś drobiazgu, kiedy chciałyśmy czegoś, co mu nie odpowiadało, albo po prostu wtedy, kiedy któraś z nas nieумыślnie przewróciła szklanke na stole. Tak jak w Afryce, tak i teraz na mnie najczęściej spadały razy.

Mimo to pisałyśmy do Hajle, ale ojciec sprawdzał wszystkie listy słowo po słowie. Nie miałyśmy szans, żeby opowiedzieć wujkowi o tym, jak parszywie wiedzie nam się u ojca. Ojciec w każdym liście znajdował coś, co mu się nie podobało. Natychmiast bił nas po twarzy i darł list. Listów, których nie zniszczył w naszej obecności, nie wysyłał. Nigdy nie dostałyśmy odpowiedzi od Hajle - potem dowiedziałam się od niego, że nie otrzymał od nas ani jednego listu.

Z tego wszystkiego nawet Jaldijan wpadła kiedyś w złość, co zdarzało się rzadko. Wrzasnęła na ojca:

- Hajle jest naszym ojcem, ty nigdy nim nie będziesz!

To już było dla niego za wiele. Zamknął Jaldijan na resztę dnia i stłukł ją na kwaśne jabłko. Nie tylko ona była potem zupełnie wykończona, ale także i on.

- Sprowadziłem was przecież tutaj - biadolił. - Chciałem dla was tylko dobrze.

Pozostałyśmy jednak niewzruszone.

- Wcale nie chciałyśmy przyjeżdżać - oświadczyła Cegehana.

- Jesteśmy tutaj, bo Hajle powiedział, że musimy jechać do Niemiec, i powiedział, że lepiej będzie dla nas, jeżeli zamieszkamy tutaj, a nie w Afryce - powiedziałam - inaczej wszystkie trzy zostałybyśmy w Chartumie.

Ku naszemu zdumieniu nie stłukł nas za to. Tego dnia w drodze Wyjątku poszłyśmy do łóżek bez kary. Za bardzo zmęczył się, bijąc Jaldijan.

Ale już następnego dnia był znów w tak dobrej formie, że Przetrzepał skórę nam wszystkim trzem. Bałam się go tak bardzo, że nieraz zdarzyło mi się popuścić w portki, kiedy słyszałam, że otwiera

drzwi. Niezależnie od tego, czym byłam akurat zajęta: odrabiałam lekcje, jadłam coś w kuchni albo po prostu znajdowałam się w mieszkaniu, nie potrafiłam tego opanować. Ale zanim on otworzył drzwi, wpadałam do toalety albo do łazienki. Tam czekałam zdrętwiała, aż pójdzie dalej, do salonu albo do kuchni, żeby wziąć sobie coś do jedzenia.

Kiedy już byłam pewna, że nie wpadnę na niego, przebierałam się, jak ścigane zwierzę wślizgiwałam do swojego pokoju i zamykałam drzwi na klucz. Próbowałam się na coś skupić, na odrabianych lekcjach, na książce, na jakiejś myśli, ale przychodziło mi to z trudem. Przez cały czas przede wszystkim czekałam, aż coś się stanie. Czasami, na krótko, wychodziłam ze swojego pokoju, żeby wziąć coś niecoś do jedzenia. Wtedy udawałam, że jestem śmiertelnie zmęczona i już o siódmej kładłam się do łóżka, tylko dlatego, żeby nie musieć z nim rozmawiać. Nie rozmawiać z nim i nie mieć z nim nic wspólnego, to była dla mnie najprostsza recepta, żeby nie popaść w kłopoty. Czasami jednak się nie udawało. Kiedy miał coś na wątrobie, przychodził i z wrzaskiem łomotał do mojego pokoju, tak długo waląc i kopiąc w drzwi, aż musiałam otworzyć.

Siostry reagowały inaczej: Jaldijan starała się za wszelką cenę zadowolić ojca i odzywała się tylko wtedy, kiedy już nie widziała innego sposobu i była ugodzona w samo serce. Cegehanę ojciec szanował najbardziej z nas trzech - wprawdzie czasami też coś się jej oberwało, ale mniej niż Jaldijan i o wiele mniej niż mnie. Próbowała postępować z nim dyplomatycznie, nie schlebiając, bo nie musiała. Ojciec świetnie zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo się różnimy, nawet jeżeli zachowywał się tak, jak gdybyśmy wszystkie trzy tak samo działały mu na nerwy. Po naszym przybyciu do Niemiec ofiarował nam książeczki do malowania, każdej inną. Nie mogłam powstrzymać śmiechu, bo wybór tomików mówił sam za siebie: na okładce książeczki Jaldijan był mały Gapcio, na książeczce Cegehany myszka Miki, a na mojej kaczor Donald.

Znałam te komiksowe postacie już z sudańskiej telewizji. Dokładnie trafił w nasze charaktery: Jaldijan była niezdarą jak Gapcio, chociaż drobna i krucha. Cegehana była tą mądrą, która kontrolowała sytuację i umiała wybrnąć z każdej opresji, a do mnie pasowało to zadziorne, zuchwałe kwakanie kaczora Donalda, które zwykle kończyło się jakąś

katastrofą. Do dzisiaj pasują do nas te charakterystyki: Jaldijan ma serce na dłoni, ale jest niezręczna. Ojciec uważał, że jest głupia, co nie jest jednak prawdą. Jaldijan jest bardzo delikatna. Cegehana jest opanowana i inteligentna, jako jedyna z nas miała wpływ na ojca. Czasami, kiedy mnie bił, mówiła do niego ostrym tonem: „Zostaw ją!”. Natychmiast dawał mi spokój. Ja natomiast zawsze byłam porywcza, wybuchowa i niespecjalnie umiałam negocjować.

Mimo całej ostrożności, jaką wykazywałyśmy, ojciec często nie wytrzymywał. Nie był przygotowany do przyjęcia odpowiedzialności za swoje dzieci. Przerastała go konieczność dbania o to, jak się uczy my, interesowania się naszymi problemami czy pomagania nam w radzeniu sobie z codziennymi sprawami. Nie wytrzymywał chodzenia na wywiadówki, troski o to, żebyśmy miały coś czystego do ubrania i żeby w domu było coś do jedzenia. Musiałyśmy troszczyć się o siebie same. Po powrocie ze szkoły często trzeba było najpierw iść po zakupy, zanim mogłyśmy przygotować coś do zjedzenia.

Czasami wtykał którejś do ręki dziesięć marek i nie pojawiał się przez kilka dni. To były dla nas ciężkie chwile. Nie znałyśmy jeszcze prawie wcale niemieckiego, bo nie od razu poszłyśmy do szkoły. Nie miałyśmy pojęcia, jak i gdzie kupić coś do jedzenia. Szłyśmy więc do najbliższego kiosku i kupowałyśmy tyle cukierków, ile można było dostać za dziesięciomarkowy banknot, a potem przez cały czas żywiłyśmy się cukierkami, aż robiło nam się niedobrze z głodu i z nadmiaru cukru. W takich okresach prawie się nie myłyśmy, nie zwracałyśmy uwagi na to, w co się ubieramy i zaniebdywałyśmy dom. Zapewne w oczach każdego, kto by nas zobaczył, stanowiłyśmy obraz nędzy i rozpacz. Ale nikt nie zwracał na nas uwagi. Nikogo nie obchodziło, jak żyjemy.

Macocha

Dopiero potem dowiedziałyśmy się, że kiedy ojciec zniknął na kilka dni, szedł do naszej macochy. Werhid mieszkała z córką godzinę drogi od Hamburga. Została w tym samym domu, w którym mieszkali jeszcze razem, nim się z nią rozwiódł. Przedtem obydwójce osiedlili się w Hamburgu, ale ojciec chciał wynieść się do miejscowości, gdzie nie było ani Afrykanów, ani Erytrejczyków.

Nie chciał mieć do czynienia z innymi Erytrejczykami. Był ostatnim i najbardziej zatwardziałym ze wszystkich zwolenników ELF. Nawet totalna klęska Dżebhy nie mogła skłonić go do zmiany przekonań i skłócił się z tego powodu z prawie wszystkimi swoimi dawnymi politycznymi przyjaciółmi i towarzyszami. Często opowiadał także ludziom, że nie wie, gdzie są jego dzieci. Lecz już wówczas do Hamburga docierali nieustannie jacyś uciekinierzy z Erytrei, także z Dżebhy i z „Che Guevary”. Od nich dowiadywano się, że jeszcze żyjemy i należymy do ostatnich żołnierzy zgrupowania.

Uciekinierzy z Erytrei są wprawdzie rozrzucony po wielu niemieckich miastach i po całym świecie, ale trzymają się razem i często kontaktują między sobą, jak to jest w zwyczaju u małych narodów żyjących w diasporze. Dlatego wśród społeczności erytrejskiej informacji rozchodziły się bardzo szybko. Odczuł to także ojciec, kiedy przyjaciele i krewni zaczęli robić mu wyrzuty, że jest człowiekiem pozbawionym poczucia odpowiedzialności. Kiedy już zaczęło mu to wychodzić bokiem, zwrócił się do wujka Hajle. Napisał mu, że ludzie go dręczą, wytykają go palcami i potępiają, bo nie dba o swoje córki. Dlatego prosi Hajle, żeby umożliwił nam wyjazd do Niemiec. Żeby uciąć wszelkie plotki, natychmiast wyprowadził się z rodziną z Hamburga.

Po powrocie z kolejnej z tych kilkudniowych wypraw, ojciec powiedział, że Werhid zaproponowała mu, żeby następnym razem zabrał nas ze sobą. Może martwiła się, że jesteśmy tak długo same, w każdym razie chciała nas zobaczyć. Wkrótce potem pojechałyśmy do niej i zostałyśmy przez całe trzy tygodnie. Werhid codziennie gotowała endżerę, napychałyśmy sobie brzuchy i bawiłyśmy się z Florą, naszą czteroletnią siostrą przyrodnią, której jeszcze nie znałyśmy. Po okresach niedostatku przyjemnie było znaleźć się znów w pełnej rodzinie.

Między Werhid a mną panowały wtedy bardzo dobre stosunki. Byłam szczęśliwa, że trochę odwracała ode mnie uwagę ojca. Siostry nie były z naszą macochą w równie dobrej komitywie, bo z dawnych czasów miały złe wspomnienia związane z Werhid. To z powodu jej związku z naszym ojcem zostały brutalnie oddzielone od swojej matki, Abrehet. Obwiniwały Werhid o to, że ojciec pobił do nieprzytomności ciężarną Abrehet, żeby zabrać jej obydwie córki - to wydarzenie wryło się głęboko w pamięć Jaldijan i Cegehany. Jaldijan błagała wtedy, żeby

jej pozwolił zostać, bo chciała pomóc matce, ale ojciec chwycił obydwie dziewczynki i po prostu zostawił swoją nieprzytomną żonę w szóstym miesiącu ciąży. Niech mu Bóg wybaczy! Ja nie umiałabym żyć z takim ciężarem. Nic więc dziwnego, że moje siostry z niechęcią odnosiły się do nowej żony naszego ojca.

Ja natomiast odnosiłam się podejrzliwie przede wszystkim do ojca. Po tysiąc razy widziałam oczami duszy tę scenę, kiedy zabrał mnie do lasu, chcąc mnie zabić. Wtedy, w lesie, Werhid uratowała mi życie. Już w Niemczech często powtarzał, że powinien był to wtedy zrobić, a ja nigdy nie byłam pewna, czy mówi poważnie, czy żartuje. Z teatralną emfazą powtarzał takie zdania: „Jedno obiecuję ci, Senait, nie umrzesz śmiercią naturalną, ale z mojej ręki!”. Albo: „Ja ciebie nie planowałem”. Kiedy odpowiadałam na to: „Przykro mi, więc uważaj po prostu, że mnie nie ma”, milczał.

Ojciec raz jeszcze

Tym, co sprawiało, że moje stosunki z ojcem stawały się takie trudne, była jego nieobliczalność. To, co powiedział jednego dnia, następnego nie miało już żadnego znaczenia. Nie uznawał żadnych zasad. Nie istniał schemat, którego można by się trzymać, żeby jakoś ułożyć sobie z nim życie. Dopiero kiedy wszystkich wokół wyprowadził z równowagi, kiedy ich całkowicie pognębił, czuł wewnętrzny spokój.

Przy całym swoim szaleństwie, miał jednak także sympatyczne oblicze. Pokazywał mi je tylko na krótko, ale były to dla mnie tak cudowne chwile, że utkwiły mi głęboko w pamięci i zawsze miałam nadzieję, że się jeszcze powtórzą. Kiedy pokazywał się z tej dobrej strony, obserwowałam go, słuchałam, co mówił i wisiałam na jego ustach. Cegehana uważała zawsze, że ani ona, ani Jaldijan nie mogłyby go tak pokochać jak ja.

- Nie potrafię - powiedziała Cegehana - i nigdy się tego nie nauczę.

Te sympatyczne strony polegały dla mnie nie na konkretnych, powtarzających się działaniach czy cechach, lecz na ulotnych momentach. To był sposób, w jaki się śmiał albo jak opowiadał dowcip. Sposób, w jaki drażnił sąsiadów albo przechodniów, którzy wydali mu się

zabawni i których naśladował - to wszystko, co ja robiłam tak samo jak on. Ja też lubiłam w miarę swoich możliwości drażnić sąsiadów, którzy nie przestawali mówić. Kiedy widzieliśmy na ulicy dwie sąsiadki, które zapamiętałe plotkowały, ojciec wkraczał między nie i wykrzykiwał: „Gagagagagaaaa”, wchodząc w sam środek ich rozmowy. Naśladował ludzi z sąsiedztwa, a ja zaśmiewałam się do łez.

Moje siostry też uważały, że to zabawne, ale tylko ja słuchałam z prawdziwym zachwytem, kiedy wygadywał głupoty. Potem podchodziłam do niego i prosiłam o jeszcze:

- Opowiedz, opowiedz!

Sprawiło mu to wielką przyjemność.

Czasami mówił do mnie „Senu”, zdrobnienie od Senait. Siedzieliśmy w salonie, wygadywaliśmy zupełne nonsensy i zaśmiewaliśmy się do rozpuku. Obmawialiśmy w najgorszy sposób znajomych, aż w końcu siostry szły do swoich pokojów, żeby coś poczytać, bo nudziły je nasze wygłupy. Ja do rana siedziałam z nim w salonie i bawiliśmy się dalej, aż od śmiechu bolały nas mięśnie brzucha.

W takich momentach mogłam coś osiągnąć u ojca. Wtedy mnie lubił, chociaż z zastrzeżeniami. Kiedyś powiedział mi:

- Gdybyś była chłopcem, kochałbym cię nade wszystko.

Musiłam gwałtownie przełknąć ślinę. To zdanie prześladowało mnie jeszcze przez wiele lat.

Interesowałam się już wtedy bardzo muzyką i moim największym marzeniem był fortepian. W domu nie było na niego miejsca, zresztą nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Dla ojca nie były to jednak przeszkody - poszedł ze mną na pchli targ, z którego wróciliśmy do domu z keyboardem. Maszyna była strasznie stara, całkowicie rozstrojona i połowa rejestrów już nie funkcjonowała, ale to nie miało znaczenia: on mi go kupił, a ja ćwiczyłam na nim, aż paliły mnie palce.

Jednak ta sama ręka, która przyniosła mi do domu instrument, następnego dnia znów mnie stłukła. Nigdy nie mogłam mieć do niej zaufania. Nie wiedziałam, kiedy będzie mi przyjacielem, a kiedy wrogiem.

W rozmowach z samą sobą albo z siostrami często nazywałam ojca „ręką”. Do Jaldijan i Cegehany mówiłam:

- Nie wiem, czy ręka mnie dzisiaj zbije, czy pogłaszcze - a one aż za dobrze wiedziały, o co mi chodzi. Nawet patrząc ojcu w oczy, nigdy

nie mogłam być pewna, co zrobi ze mną za chwilę; także wtedy, kiedy był wściekły, w jego oczach nigdy nie widziałam złości. Nie miał jej ani w oczach, ani w wyrazie twarzy. Miałam wrażenie, jakby zło było u niego tylko fasadą, maską.

Nie byłam jedyną osobą, której stosunki z moim ojcem układały się w ten sposób, takie wrażenie odnosiło również wiele innych osób. Było trochę ludzi, sami Erytrejczycy, których mój ojciec traktował nie tyle przyjaźnie, co protekcjonalnie, ale którzy mimo to byli mu oddani i szukali jego towarzystwa. Ojciec był jak pasza, zawsze gromadził wokół siebie tłumy pochlebców. To tworzyło wokół niego swoistą atmosferę. Było takich pięciu, sześciu facetów, którzy ciągle kręcili się koło niego i go obsługiwali. Przynosili mu jakieś jedzenie, załatwiali za niego sprawy w urzędach i zapraszali do knajp.

Ojciec miał coś w sobie, jakiś urok, od którego wiele osób nie potrafiło się uwolnić. Wkrótce miałam się przekonać, jak wiele mam z niego - nie tylko kształt głowy, kwadratowe zęby i tyłek, brzydkie stopy i uszy. Po nim odziedziczyłam także ową swoistą aurę i dar szybkiej orientacji.

Ojciec zdawał sobie sprawę z tego, że jestem do niego bardzo podobna - w przeciwieństwie do moich siostr, które w niczym go nie przypominały, ani wyglądem, ani zachowaniem. Ale ja?! Wszystko jedno, czy patrzę ze złością, czy też jestem czymś zachwycona, wyglądam tak jak on. Często także reaguję podobnie jak on. Nigdy, na przykład, nikogo do niczego nie namawiam, zawsze mówię wprost, o co mi chodzi i jestem przekonująca dlatego, że jestem taka, jaka jestem - zupełnie tak samo jak on. Obydwoje mamy w sobie tę siłę, która pozwala nam tak postępować. Do tego dochodzi mój głos, mój talent muzyczny: jedno i drugie mam po nim. Ojciec zawsze śpiewał, przede wszystkim pieśni polityczne, śpiewał w Afryce, śpiewał w Niemczech na imprezach solidarnościowych organizowanych przez ELF na rzecz Erytrei. Przeważnie stałam wtedy w pierwszym rzędzie przed sceną i niemal pękałam z dumy, że ten facet, który stoi na estradzie i bez najmniejszego wysiłku potrafi swoją pieśnią porwać innych, to mój ojciec.

Bijatyki

Kiedy ELF przestał istnieć w Niemczech nawet jako szczątkowa grupa, ojciec zaczął nas zabierać na imprezy EPLF. Mogło się zdarzyć, że w środku przedstawienia wpadał na scenę i intonował jakieś bardzo stare pieśni skierowane przeciwko EPLF. Przeważnie pojawiało się wtedy kilku aktywistów partyjnych, którzy bez pardonu wyrzucali go z sali. Mieli dla niego za dużo szacunku, żeby go porządnie stłuc, ale wynosili go za drzwi i tam porzucali. Wybiegałyśmy za nim, z jednej strony przerażone, że coś takiego przydarzyło się naszemu ojcu, a z drugiej zadowolone, że w końcu ktoś się odważył powiedzieć mu, co o nim myśli.

Podobne zajścia nie robiły na nim wielkiego wrażenia. Po prostu szedł z nami na następne spotkanie i tam znowu śpiewał. Często było już tak późno, że z trudem trzymałyśmy się na nogach ze zmęczenia. Jemu było to obojętne, tym bardziej że często sam już leciał z nóg, bo w czasie wieczoru za dużo wypił. Na takich spotkaniach gadał przeważnie straszne głupstwa - był już kompletnie pijany. Inni goście patrzyli na nas ze współczuciem albo mówili, że bardzo im nas żal. Niczego to nie zmieniało w naszej sytuacji.

Kilka razy zostawiłyśmy go własnemu losowi i nocnym autobusem pojechałyśmy do domu, bo wstydziliśmy się jego wulgarnych wybryków. Czasami jego występy przeradzały się w awantury, kiedy wbiegał na scenę i wykrzykiwał na przykład coś takiego: „Wy cholerni zasmarkańcy” albo: „Wy zasańcy! ELF wróci do władzy!”. Lub: „Terrorysty! Oszuści! Spójrzcie mi w oczy, wyrzucicie mnie, jeżeli zdołacie! Nie macie odwagi! Wysadzacie mój dom w powietrze, kiedy śpię. Tchórze! Niech przemówią pięści!”.

Czasami myślałam, że facet w jego wieku powinien być trochę bardziej dorosły i nie wymachiwać ze złością wokół siebie rękami jak dziecko. Ale ojciec nie tylko nie był dorosły, we wszystkim, co robił, nie znał miary; był urodzonym buntownikiem. Jeżeli był o czymś przekonany, nikt nie mógł go skłonić do zmiany zdania. Jeżeli coś mu nie odpowiada, raczej stanie i nie ruszy się z miejsca, niż pójdzie w kierunku, w jakim nie chce iść.

W Hamburgu na Sternschanze odbywał się kiedyś festiwal erytrejski, na który ojciec nas zabrał. Zaraz po wejściu spotkał Hagossa,

zaciekłego zwolennika EPLE który stracił rękę na wojnie, więc od razu wiedziałyśmy, że ten wieczór nie skończy się dobrze. Tych dwóch zawsze się nie cierpiało.

Hagoss i ojciec natychmiast zaczęli się kłócić. Hagoss zarzucił ojcu, że nie troszczył się jak należy o swoje dzieci i od razu wsadził szpilę:

- Słuchają cię chociaż? One tylko się ciebie boją, to widać po ich oczach. Masz przynajmniej szczęście, że masz inteligentne dzieci!

Ojciec nie pozostał mu dłużny.

- Możliwe, ale będę klaskać obydwiema rękami, kiedy moje córki będą wychodzić za mąż! - powiedział i zaczął dziko klaskać pod nosem jednorękiego. Ten uznał, że jest to wystarczający pretekst, żeby zaatakować ojca, który natychmiast mu oddał. Po chwili inni rzucili się na dwa walczące koguty. Trudno było się zorientować, czy chcą ich rozdzielić, czy też wziąć udział w bójce, bo po podłodze u naszych stóp tarzało się już ogromne kłębowisko ludzi.

Takie sceny ciągle się powtarzały. Pewnego razu z dworca głównego w Hamburgu mieliśmy jechać do Frankfurtu z wizytą do zaprzyjaźnionych Erytr ejczykó w, kiedy podszedł do nas mężczyzna, którego mój ojciec nie cierpiał. Kiedy przyjechaliśmy do Niemiec, wydawało się jeszcze, że są wielkimi przyjaciółmi, ale wkrótce potem pokłócili się i byli na noże. Teraz też się zaczęło. Przed skrytkami pocztowymi rozgorzała gwałtowna dyskusja na temat niezrozumiałych kwestii politycznych i panowie zaczęli się bić.

Wszystkie trzy patrzyłyśmy na to bezradnie, zbyt słabe, żeby interweniować i straszliwie speszzone, bo patrzyli na nich wszyscy przechodnie, nie mając pojęcia o co chodzi. Na szczęście dwóch Niemców zdołało ich rozdzielić. Podziękowałyśmy i byłyśmy nader uszczęśliwione, kiedy wreszcie udało nam się z naszym ojcem, który nie ucierpiał w bójce, wsiąść do pociągu. On jednak zwrócił teraz swoją złość na nas:

- Dlaczego nie zdieśliłyście go walizką przez łeb? - naskoczył. Byłam zadowolona, że ludzie w naszym przedziale nie rozumieli z tego ani słowa.

Mówiąc o polityce, mógł podniecać się całymi godzinami, a ja miałam wrażenie, że bardzo to lubi. Nie zauważał, że ELF przegrał Wojnę. Nie chciał do siebie dopuścić tej myśli. Z nami nigdy o tym nie rozmawiał, niczego nam nie tłumaczył i nie przepraszał za to, co

zrobił z nami ELF i Dżebha. Wydawało się to nie mieć dla niego najmniejszego znaczenia wobec hańby, jaką była w jego pojęciu militarna kłęska ELF.

Nigdy nie mogłam do końca zgłębić, co naprawdę o tym wszystkim myślał, bo w gruncie rzeczy był człowiekiem bardzo skrytym. Nienawidził mówić o swoich uczuciach. Mimo to zawsze czułam, kiedy coś mu dolegało. Czasami było mu niedobrze, chociaż nie pił. Kilka razy gwałtownie zwymiotował, na środku pokoju, na stojąco. Jęczał z bólu, a ja podeszłam do niego i przez całą noc trzymałam go za rękę. Następnego dnia musiałam iść do szkoły i wiedziałam, że będę się strasznie czuła, bo wcale nie spałam tej nocy, ale nie było na to rady. Powiedziałam tylko:

- Wszystko będzie dobrze - i pogłaskałam go po głowie, ale wiedziałam jednocześnie, że następnego dnia, kiedy wrócę ze szkoły do domu, znów może spuścić mi lanie z powodu jakiegoś drobiazgu. W tym momencie nie miało to jednak dla mnie znaczenia.

Nie wiem, skąd miałam tyle siły. Nie wiem, czemu znosiłam to tak dobrze. Musiała mnie chronić jakaś niezwykła moc lub siła, inaczej bym tego wszystkiego nie wytrzymała. Moje siostry nie mają tej siły, szybko się załamują.

Ojciec też musiał dysponować taką siłą, inaczej nie przeszedłby tak łatwo przez życie, bo on z pewnością przeżył pięć razy więcej niż to było moim udziałem. Miał macochę, która go strasznie katowała. Zadawała mu rany, przypalając skórę i kazała gryźć ściany, kiedy mówił, że jest głodny. Nie jest to usprawiedliwieniem, może najwyżej tłumaczyć jego zachowanie, nie więcej i nie mniej.

Usamodzielnić się

Im dłużej mieszkalam w Niemczech, tym mniejszą rolę odgrywał w moim życiu ojciec. Wprawdzie ciągle próbował mną rządzić, bił mnie mocno i systematycznie, chciał być absolutnym władcą w naszej rodzinie, ale sznurki wyraźnie wymykały mu się z rąk, bo moje własne życie zataczało coraz szersze kręgi. W szkole zdobyłam przyjaciół i przyjaciółki, coraz lepiej mówiłam po niemiecku i mogłam swobodnie poruszać się po mieście. Poza tym zaczęłam spędzać wieczory

poza domem, bo w miarę, jak zyskiwałam więcej pewności siebie, powoli budziło się we mnie dłuugo i bojaźliwie wypierane zainteresowanie - ciekawość drugiej płci.

Moment zwrotny nastąpił, kiedy wybrałam się gdzieś z dwoma kolegami. Martin był w moim wieku, a Boris trochę starszy - obydwaj byli po prostu dobrymi przyjaciółmi, nic więcej. Zaproponowali, żebyśmy poszli razem do Stefana, ich dawno niewidzianego przyjaciela. Powiedziane, zrobione. Po nieskończeniu długiej jeździe do eleganckiej podmiejskiej dzielnicy Hamburga, znaleźliśmy się na ogromnej parceli, na której stał dom tak wielki, że aż otworzyłam usta ze zdziwienia.

W przedpokoju przed dużym lustrem stał chłopiec i przybierał dla żartu rozmaite pozy. Był w typie Brada Pitta, gładko wygolony, sprężysty, promienny i szalenie sympatyczny. Pomyślałam natychmiast: „A któż to taki?”. Był tak zadowolony z siebie, teatralny, bezceremonialny, że z miejsca się w nim zakochałam - jeszcze sobie tego nie uświadamiając. Kiedy wracaliśmy, zauważyłam tylko, że wszystko jest inne niż dotychczas. W żołądku miałam jakieś dziwne uczucie, którego nie potrafiłam określić, bo nigdy jeszcze czegoś takiego nie przeżyłam. Czułam się dziwnie lekko i ciężko zarazem. Zachowywałam się jak szalona i wygadywałam masę różnych głupot, tak że obydwaj chłopcy zastanawiali się, co mi jest.

Wprawdzie uważałam wtedy, że Martin jest *cool*, ale nie traktowałam go jak mężczyznę, a już na pewno nie po tym, jak poznałam Stefana. Boris już przedtem był zaufanym przyjacielem, ale od dnia, w którym złożyliśmy wizytę Stefanowi, chciałam spotykać się z nim bez przerwy, bo wiedziałam, że to on jest pośrednikiem w kontaktach ze Stefanem. I rzeczywiście, udało się: już kilka dni później Boris znów zabrał mnie do willi na przedmieściu.

W czasie drugiej wizyty wszystko poszło już błyskawicznie. Stefan bardzo się ucieszył, że znów mnie widzi, i zaledwie kilka godzin później całowaliśmy się namiętnie. Od tej chwili byliśmy razem. Seks był jednak dla mnie całkowicie spaloną ziemią. Kojarzył mi się tylko z bólem, zniewoleniem i poniżeniem. Nie wydawał mi się czymś, o co warto zabiegać.

To dziwne, ale wiele osób, które obserwowały mnie w lokalach, na spacerach albo w dyskotekach, myślało: „Ta to ma codziennie innego”. Tak można się mylić. Na pewno byli faceci, którzy chcieliby się ze mną

przespać, ale na tym się kończyło, bo dla mnie seks nie istniał, już chociażby z powodu gwałtów, na które kiedyś musiałam się godzić.

Ponieważ robiłam wrażenie swobodnej, rozmownej i wesołej, i ponieważ, w ramach moich ograniczonych możliwości finansowych, lubiłam ubierać się wyzywająco, kiedy wchodziłam do lokalu wiele osób widziało we mnie kogoś zupełnie innego. Myśleli: „Jak ona wygląda, jaka pewna siebie, to widać od razu...”, ale to był tylko teatr. Musiałam grać pewność siebie, żeby czuć się pewnie, bo inaczej od razu schowałamby się w najciemniejszym kącie cała roztrzęsiona.

To brzmi, jakbym nie robiła nic innego, tylko bez przerwy chodziła na przyjęcia, ale było wręcz przeciwnie. Przeważnie harowałam jak opętana, bo chciałam jak najlepiej wypaść w szkole. Robiłam bardzo szybkie postępy w niemieckim, szczególnie kiedy się zorientowałam, że w Niemczech nikt nie rozumie po angielsku. Niemiecki był jedynym językiem, którego mogłam używać w kontaktach z kolegami ze szkoły, bo poza tym mówili tylko po turecku, rosyjsku, rumuńsku albo w jakimkolwiek innym języku. Jedynie z niewieloma uczniami mogłam się porozumieć po arabsku.

Niestety, w szkole musiałam pójść do bardzo niskiej klasy. Moje siostry i ja w czasie wstępnej rozmowy z nauczycielką udawałyśmy trochę starsze, bo miałyśmy nadzieję na zaoszczędzenie dzięki temu kilku lat szkoły, ale się nie udało. Ponieważ w naszych paszportach nie było roku urodzenia, nasz wiek szacowano na oko, na podstawie budowy kości i wzrostu. Na podstawie wyników tych badań dostałyśmy metryki z obliczonymi w ten sposób datami urodzenia. Od tego czasu moja oficjalna data urodzenia to 3 grudnia 1976. Było to konieczne, bo w Niemczech bez daty urodzenia niczego nie można załatwić. Dowodu osobistego, jakichkolwiek dokumentów, karty ubezpieczenia społecznego, meldunku, konta w banku, telefonu komórkowego. Po prostu niczego.

Jeżeli chodzi o materiał, mogłyśmy spokojnie przeskoczyć jedną lub dwie klasy, bo byłyśmy bardzo zaawansowane. W Sudanie kułyśmy przecież tak, jakby od tego zależało nasze życie, tak wielką odczuwałyśmy potrzebę odrabiania strat, prawdziwy głód wiedzy.

Czasami dochodziło do zatargów z innymi uczniami, gdyż wielu osobom nie mogło się pomieścić w głowie, że czarna dziewczyna może dysponować solidną wiedzą podstawową, mieć ogólne

wykształcenie. Największymi rasistami byli ci, którzy sami cierpieli z powodu rasizmu. W mojej klasie była na przykład Turczynka, która ciągle podkreślała, że jest trochę bardziej Niemką niż ja. Bez przerwy mi dokuczała.

- Możesz mieć niemiecki paszport - powracała ciągle do tego samego - ale nigdy nie będziesz biała.

W końcu miałam tego dosyć i zaczęłam ją bić. Od przyjazdu do Hamburga nigdy tego nie robiłam. Kiedy nieprzytomna z wściekłości rzuciłam się na nią z zacisniętymi pięściami, wałam w nią jak w bęben, nie mogłam nie pomyśleć o moim ojcu. Broniła się z całych sił, drapała i gryzła mnie do krwi. Nie wiem, jakby się to skończyło, gdyby jakieś koleżanki nie odciągnęły nas od siebie.

W tym okresie byłam dosyć zadziorna, bo musiałam dopiero wywalczyć sobie miejsce w społeczeństwie, ale rzadko przeradzało się to w bójki. Przeważnie kończyło się na słownych awanturach, wrzaskach, wyzwiskach i przekleństwach. Wyjątkiem była Jaldijan. Kiedy Jaldijan mnie zdenerwowała, rzucałam się na nią z pięściami i ciskałam nią o ścianę albo przewracałam na podłogę. Działo się tak nie bez powodu, po prostu zawsze dotychczas na sobie wyładowywałyśmy wszystkie swoje frustracje.

Jaldijan uznała, że ja ponoszę winę za wiele jej życiowych zawodów. Chociaż ani ona, ani ja nie znałyśmy mojej matki, często twierdziła, że jestem tak samo zła i podła jak ona. Jaldijan nigdy nie dała mi szansy, żeby jej udowodnić coś wręcz przeciwnego. Dopiero dużo później odkryłyśmy, że wiele rzeczy nas łączy - w młodości nie potrafiłyśmy jeszcze przetrwać narastających między nami konfliktów.

O ile jednak Jaldijan szukała ze mną zwady, to zawsze interweniowała, kiedy kłóciłyśmy się z Cegehana. Wtedy wkraczała między nas niczym pani nauczycielka, wywijiała dziko rękami i krzyczała:

- Przestańcie! Przestańcie!

Może to, co mam do opowiedzenia o moich siostrach nie brzmi zbyt sympatycznie, ale przecież to je kocham najbardziej na świecie. Nie zmieni tego nawet fakt, że dzisiaj prawie wcale się nie widzimy. Dla obydwu zachowałam najlepsze miejsca w swoim sercu i zawsze mogą liczyć na moją miłość.

Rejterada

Ze względu na siostry, z którymi byłam bardzo związana, długo odwlekałam to, co dawno już powinnam zrobić - całkowite zerwanie z ojcem. Biorąc przy tym pod uwagę jego charakter, nie mogłam zrobić tego stopniowo, drogą kilku kolejnych drobnych posunięć, lecz musiałam wykonać jedno zdecydowane cięcie: zerwałam z domem bez uprzedzenia, z dnia na dzień. Dobrowolnie ojciec nigdy by mnie nie puścił, z własnej woli nigdy nie rozluźniłby cugli, a nie mogłam i nie chciałam czekać, aż będę mogła odejść zgodnie z prawem. Kiedy związałam z domu, nie miałam jeszcze piętnastu lat i było dla mnie jasne, że nie zniosę bez uszczerbku dla siebie następnych trzech lat upokorzeń i ciasnoty ojcowskiego mieszkania.

To było bardzo proste. Pewnego dnia zapakowałam do szkolnego plecaka kilka sztuk garderoby, dołożyłam kawałek chleba i kilka jabłek, pod klapą przyczepiłam zwinięty w rulon wełniany koc i wyszłam. Siostry były właśnie na zakupach, a ojciec biegał gdzieś po mieście. Odbyło się to całkiem normalnie: zarzuciłam plecak na ramię, jak to robiłam tyle razy, zamknęłam za sobą drzwi do mieszkania i zniknęłam między wysokimi blokami w wejściu do U-Bahnu. Wszystko odbyło się tak jak każdego dnia. Istniała tylko jedna różnica, a mnie podniecał fakt, że wiedziałam o tym tylko ja i nikt poza tym spośród setek i tysięcy osób, które mijałam na ulicy, w U-Bahnie i w S-Bahnie. Różnica polegała na tym, że zamierzałam jechać tą trasą po raz ostatni. Postanowiłam nigdy już nie wracać do znienawidzonego mieszkania w Hamburgu-Eidelstedt.

A jednak jeszcze dwa razy byłam potem w tym mieszkaniu. Do dziś tego żałuję. W każdym razie jednak nie spędziłam już więcej ani jednej nocy pod dachem mojego ojca.

Kiedy uciekałam, miałam bardzo mgliste wyobrażenie o tym, gdzie mogłabym przenocować. Pieniądzy na wynajęcie pokoju lub mieszkania nie miałam. W ostatnich tygodniach wprawdzie zaoszczędziłam prawie czterysta marek, które zarobiłam, roznosząc gazety, ale te pieniądze przeznaczałam wyłącznie na jedzenie. Jedno było jasne: powrót do domu z powodu braku pieniędzy nie wchodził w grę.

Przede wszystkim pojechałam do Stefana i spędziliśmy razem

cały dzień. Przenocowałam w jego samochodzie, bo nie odważyliśmy się powiedzieć jego rodzicom, że uciekłam z domu. Następnego dnia powiedziałam mu, że idę spać do przyjaciółki, bo było oczywiste, że nie mogę zostać u niego dłużej, nie budząc podejrzeń jego rodziców. Poza tym za nic nie chciałam zamieniać zależności od ojca na zależność od Stefana. Bardzo lubiłam jego rodziców i wcale się ich nie bałam. Znacomie rozumiałam się z jego ojcem, a on z całą pewnością natychmiast przygarnąłby mnie. Przemawiała przeciwko temu tylko moja duma, ale to było bardzo dużo.

Wrócić do domu nie mogłam już chociażby dlatego, że ojciec bez mrugnięcia okiem zatłukłby mnie chyba na śmierć, a w każdym razie biłby tak długo, aż nie mogłabym się ruszać, poraniona i zakrwawiona. To nie były fantazje dziewczyny w wieku dojrzewania, to była rzeczywistość. Znałam mojego ojca wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że gdybym wróciła, nie potrafiłby nad sobą zapanować.

Tak więc, kiedy pożegnałam się ze Stefanem pod pretekstem, że jadę do koleżanki, wyruszyłam w miasto. Nie miałam wprawdzie jakiegoś konkretnego celu, ale za to bardzo dokładnie wiedziałam, dokąd jechać nie chcę. Mimo to moja krótka podróż nie zaprowadziła mnie w nieznane, lecz wszystko potoczyło się jakby samo. W drodze do mojego nowego życia automatycznie wysiadłam na Jungfernstein, w centrum Hamburga. Zawsze mnie tam ciągnęło, kiedy nie wiedziałam, co z sobą zrobić. W tutejszym tłumie nikt nie zaprzętał sobie głowy tym, jak ktoś wygląda, co myśli i jakie ma problemy. Można było natomiast spotkać całą masę życiowych rozbitków, ludzi bez stałego miejsca pobytu, którzy nie potrafili odnaleźć się w życiu. Takich, którzy nie wiedzieli, gdzie spędzą następną noc i co będą jeść następnego dnia. Miałam być teraz jedną z nich - przynajmniej na razie, bo na zawsze nie chciałam tak żyć. O tym wiedziałam już, zanim po raz pierwszy spędziłam noc na ulicy. Dla mnie miało to być tylko stadium przejściowe. Za wszelką cenę musiałam zacząć od nowa i stanąć na własnych nogach.

Teraz jednak włączyłam się w świetnym nastroju po Mönckebergstrasse, zafundowałam sobie ogromnego loda i rozkoszowałam się myślą, że nade mną jest tylko Bóg i szczęśliwie roziskrzone dzisiaj błękitem niebo. Cieszyło mnie, że nie muszę patrzeć na zegarek ani myśleć o tym, jak prześlizgnąć się wieczorem do swojego pokoju,

żeby nie spotkać się z ojcem, ani o tym, co mamy razem z siostrami ugotować na wieczorny posiłek, żeby jego zadowolić.

Siostry! Przemknęło mi przez głowę, czy już się o mnie martwią, ale szybko pozbyłam się tej myśli: one były dwie i mogły się nawzajem wspierać.

Trochę zepsuł mi się humor, kiedy neony na domach towarowych i witryny sklepowe stały się jaśniejsze niż ciemniejące nad miastem niebo. Co dalej? Wprawdzie nie odczuwałam głodu, zapewne byłam zbyt podniecona tym, na co się ważyłam, ale marzył mi się pokój, w którym mogłabym ułożyć się spokojnie do snu. Dziś wieczorem niczego takiego nie będzie, to było jasne.

Poszłam w stronę Alsteru, tam gdzie wiele mostów łączy brzegi niezliczonych, przecinających miasto kanałów. Zgodnie z moimi wyobrażeniami bezdomni mieszkają pod mostami, bo tam nie pada deszcz i można rozpalić małe ognisko, niekoniecznie na oczach tych wszystkich ludzi, którzy podążają do swoich małych, przytulnych mieszkańek. Po krótkich poszukiwaniach znalazłam most, pod którym rozłożyły się już jakieś typki. Urządzili się wygodnie, mieli materace, koce, krzesła i masę rozmaitych sprzętów, poumieszczanych w licznych wózkach na zakupy zaparkowanych obok ich biwaku. A na dodatek trzaskało przy nich małe ognisko.

Pod mostami

Mężczyźni przy ognisku zdawali się wcale nie dziwić, kiedy przysiadła się do nich mała Afrykanka, a ja bardzo starałam się tak zachowywać, jak gdyby to było coś najoczywistszego w świecie, że wieczorem szukam schronienia pod mostem. Nikt nie zapytał, skąd przyszłam, dlaczego tu jestem i dokąd zmierzam - było tak, jak gdybym od dawna już tutaj mieszkała. Rozmowa toczyła się o tym i owym, o jakichś niezobowiązujących sprawach, opowiadano dowcipy, żartowano, a mężczyźni co i raz podawali mi butelkę z wódką. Wódka miała okropny smak, ale rozgrzewała żołądek i zapadłam po niej w jakiś ołowiany bezruch. Kiedy chciałam zawinąć się w swój dużo za cienki koc, jeden z mężczyzn zaproponował mi swój materac, a drugi dał poduszkę pod

głowę. Nie wpatrywałam się długo w płomienie, wkrótce zapadłam w ciężki, pozbawiony marzeń sen.

Cóż to było za cudowne uczucie, kiedy następnego ranka po obudzeniu nie zobaczyłam przed sobą żadnej ograniczającej widoczność ściany, ani sufitu nade mną, tylko łuki mostu. Wspaniałe było to, że nikogo nie musiałam o nic pytać i nikomu udzielać żadnych wyjaśnień, po prostu mogłam pójść do najbliższej piekarni, zamówić rogalik i kawę z mlekiem, a potem U-Bahnem pojechać do szkoły. Ale życie na ulicy toczyło się nie tylko w słoneczne dni. Wkrótce zaczęły się deszcze i mój nastrój spadł do zera. Wprawdzie moje ubrania nie przemokły, ale były tak wilgotne, że czułam się w nich bardzo nieprzyjemnie. Nawet kiedy wchodziłam do jakiegoś lokalu, siedziałam godzinę nad szklanką herbaty, moje rzeczy nie schły, tylko parowały, i gdy tylko znów wychodziłam na dwór, kleiły się nieprzyjemnie do ciała. Zaczęłam się poważnie zastanawiać nad tym, co mam dalej robić. Na domiar złego jeden z facetów spod mostu stawał się coraz bardziej nachalny. Tylko dlatego, że pożyczył mi swój materac, wyobrażał sobie, że ma prawo dzielić go ze mną. Napawało mnie to głębokim brzydzeniem.

Nawet w czasie, kiedy nocowałam na ulicy, nie opuściłam ani jednego dnia w szkole. Zaraz po wejściu do klasy ukradkiem lustrowałam swoje ubranie, rozglądałam się uważnie i szukałam cudzych spojrzeń, ale wszystko było takie jak zawsze, nikt się na mnie nie gapił. Z ulgą siadałam w ławce i wykładałam zeszyty. Żadna z moich koleżanek z klasy nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie spędziłam noc. Żadna z tych, które siedziały koło mnie, nie domyślała się nawet, że dzieli ławkę z bezdomną. Triumfowałam w duchu, z poczuciem, że mi się udało. Zdołałam postawić na swoim i sama kształtowałam swoje nowe życie.

Po lekcjach spotkałam się z siostrami - od jakiegoś czasu chodziłam do innej szkoły niż one. Naskoczyły na mnie i zarzuciły pytaniami. Ojciec szalał i bił je, domagając się, żeby mu powiedziały, gdzie jestem, ale w końcu musiał uwierzyć, że nie wiedzą. Nie zdradziłam się ani słowem. Gdybym przyznała się, że śpię pod mostem, pobiegłyby do ojca, a on natychmiast wezwałby policję. Dlatego powiedziałam tylko, że powodzi mi się bardzo dobrze, że mieszkam u przyjaciół i wkrótce będę miała własne mieszkanie.

Jaldijan i Cegehana nie wierzyły w ani jedno moje słowo i zaklinały mnie, żebym wróciła do domu, ale pozostałam niewzruszona. Po lekcjach rozglądałam się uważnie, czy nikt za mną nie idzie. Wyobrażałam sobie, że jestem bohaterką jakiegoś wielkomiejskiego kryminału,

Nie doceniłam jednak ich uporu: Jaldijan zatelefonowała do rodziców Stefana i prosiła jego matkę, żeby mnie namówiła do powrotu do domu, bo inaczej będę miała straszne kłopoty. W ten sposób rodzice Stefana dowiedzieli się o mojej sytuacji i zaproponowali mi, żebym zamieszkała u nich tak długo, jak będę chciała. Mieli najlepsze intencje, a trochę może też myśleli sobie, że jeżeli będę mieszkać u Stefana, on nie będzie szwendał się bez przerwy ze swoją bandą po klubach i może zacznie prowadzić bardziej uporządkowane życie.

Tak było jednak tylko przez kilka dni, bo potem Stefan znów zaczął włóczyć się po klubach codziennie aż do białego rana. Ja go nie powstrzymałam, ale na początku z nim nie chodziłam, bo następnego dnia musiałam być punktualnie w szkole. Potem trochę mnie w to wciągnął i włóczyliśmy się razem po rozmaitych miejscach. Zasadniczo jednak nie miałam nic przeciwko temu, żeby zostawać w domu sama. Korzystałam do woli z luksusu toalety, łazienki, a także miękkiego, ciepłego i suchego łóżka. Wszystkie te wspaniałości tylko wtedy można prawdziwie docenić, kiedy przez parę tygodni trzeba się było bez nich obywać.

Lanie

Ta sielanka nie mogła jednak trwać wiecznie. Dokładnie po trzech miesiącach wspólnego życia Stefan uderzył mnie po raz pierwszy. Nie zdziwiłam się, ostatecznie znałam to z domu. W tym momencie tama została przerwana. Miałam wrażenie, że Stefan dawno już chciał mnie uderzyć, ale dotychczas powstrzymywała go przed tym jakaś niewytłumaczalna obawa. Obawa, którą chciał przełamać, podobnie jak zbiornik zaporowy przełamuje tamę, która tak długo wstrzymywała jego wody.

Stało się to latem, kiedy w kilkanaście osób odpoczywaliśmy nad Bałtykiem i urządziliśmy zabawę na plaży. Z jakiegoś nieistotnego

powodu wszczęliśmy ze Stefanem straszną kłótnię, tak gorącą, że szybko znaleźliśmy się w centrum zainteresowania. Pół poważnie, pół żartem, na oczach tych wszystkich ludzi podniósł na mnie rękę, przygotowaną do ciosu. Groźba zamieniła się w czyn. Uderzył raz, potem drugi. Wtedy ja także straciłam panowanie nad sobą, i wrzasnęłam:

- Bij, bij! Jesteś taki sam jak mój ojciec. Tylko tego jeszcze brakuje, żebyś chciał zobaczyć moją krew!

Kłótnie między nami wybuchały często o błahostki, z rzadka tylko chodziło o coś ważnego. On mnie bił, a ja broniłam się, jak umiałam, gryzłam, drapałam i zadałam mu niejedną ranę. Czasami najpierw widziałam krew na mojej koszuli, a dopiero potem odczuwałam ból. On nie wytrzymał, bo chciał być ze mną, a ja chowałam się za grubą warstwą ochronną, za którą nie czułam ani bólu, ani rozkoszy. Tkwiłam głęboko w okowach mojej przeszłości, milcząca, zimna, nieruchoma i niewrażliwa na nowe podniety. Czasami sama z trudem wytrzymywałam ten wewnętrzny paraliż. W takich momentach, kiedy byłam sama, brałam do ręki nóż i robiłam sobie nacięcia na nogach, żeby coś poczuć.

Kiedy w czasie jakiejś kłótni w domku letniskowym nad Bałtykiem Stefan stłukł mnie tak mocno, że z nosa popłynęła mi krew i zaszumiało mi w uszach, przestraszyłam się. Uciekłam do domu jego rodziców, spontanicznie, bez zastanowienia. Nie chciałam zaszkodzić Stefanowi, szukałam tylko bezpiecznego miejsca.

Ojciec Stefana zorientował się natychmiast, co się stało. Od razu pobiegł do Stefana i kazał mu się wytłumaczyć. Ojciec bardzo mnie lubił, wiedział też, że jego syn jest porywczy i nie panuje nad sobą.

- Spójrz tylko! - krzyknął i pokazał na moją zakrwawioną twarz. - Czy ty zupełnie oszalałeś? Jak śmiesz tak ją bić?

Był wściekły.

Stefan speszył się i nie wiedział, co powiedzieć. Siedział na łóżku jak mały chłopiec i patrzył nieruchomo przed siebie, jak gdyby chciał zamienić się w kamień, dopóki nie skończy się reprimenda.

Tak bardzo przypominał zmokłego pudła, że znów zrobiło mi się go żal. Ja też ponosiłam pewną odpowiedzialność za jego napady wściekłości- często go prowokowałam, nie pozwalałam nic sobie powiedzieć, okłamywałam go. Kłamałam od samego początku. Kłamałam na swój temat. Okłamywałam go, bo wstydziłam się sama przed

sobą swojego pochodzenia, swojej rodziny, swojego ojca, swojego losu. Na początku naszego związku miałam przed oczami tylko pozornie tak doskonały dom rodzinny Stefana, który porównywałam z moim rozpaczliwie smutnym domem. A i to było już za dużo powiedziane, bo ja w ogóle nie miałam domu.

Nie miałam żadnego poczucia bezpieczeństwa, jakiegokolwiek oparcia, krewnych, do których mogłabym się zwrócić o pomoc. Miałam tylko siebie. Wbrew woli Stefana, a przede wszystkim wbrew woli jego rodziców, opuściłam ich dom i po półtora roku znów wróciłam na ulicę.

Przyjaciół

Kiedy znów zaczęłam sypiać pod mostem, poznałam bardzo sympatycznego faceta, który nie chlał, tylko palił i w milczeniu melancholijnie patrzył przed siebie. Opowiedział mi całą historię swego życia: pochodził z dobrego domu, studiował prawo i ostatnio pracował jako sędzia, ale z powodu pracy, w której nie widział sensu, i związku, który nie dawał mu satysfakcji, popadł w depresję. Przestał przychodzić do sądu, więc po wielokrotnych upomnieniach w końcu go zwolniono. Zaraz po tym opuściła go żona, rozwiodła się z nim i zażądała wysokich alimentów. Sąd przyznał jej kupę forsy, mój sędzia musiał sprzedać mieszkanie i nie miał siły, żeby rozejrzeć się za nowym lokum i szukać nowej pracy. I tak wylądował pod mostem.

Z trudem mogłam sobie wyobrazić, jak ktoś mający bezpieczne życie może upaść tak szybko i tak nisko, ale świetnie go rozumiałam. Uważałam, że jest uczciwiej żyć w ten sposób, niż w pięknym domu i z dobrze płatną pracą, ale w wielkim kłamstwie. Z miejsca się zaprzyjaźniliśmy. Był pierwszym człowiekiem, któremu opowiedziałam swoją historię.

Teraz przypomniało mi się, co powiedział pewnego wieczoru, przybierając nagle poważny ton:

- Senait, ty nie należysz do tego świata! - zaczął. - Przed tobą jest jeszcze całe życie, jesteś inteligentna, jesteś ładna, możesz coś osiągnąć, ale nie uda ci się to, jeżeli będziesz spędzała czas z takimi typami jak ja. Nie dojdiesz do niczego, jeżeli dalej będziesz żyła na ulicy.

Musiałam przełknąć ślinę. Dotychczas pan sędzia unikał tego typu uwag, bo był zadowolony, że trafiła mu się taka towarzyszka niedoli jak ja. Zdawałam sobie sprawę, że nie jest to rozwiązanie na dłuższą metę. Najpóźniej pod koniec lata będę musiała coś wymyślić, bo nie należałam do tych zahartowanych, którzy nawet zimą pozostawali na ulicy. W Afryce, gdzie zimą temperatura nie schodzi poniżej dziesięciu stopni, jeszcze by się to dało zrobić, ale nie przy tej podłej hamburskiej pogodzie.

- Senait - mówił dalej sędzia poważnym głosem - tutaj zginiesz. Musisz coś zmienić i to się da zrobić. Idź do Urzędu do spraw Młodzieży i opowiedz tamtejszym urzędnikom, gdzie mieszkasz i jak do tego doszło, a od razu dostaniesz mieszkanie. Na pewno, ja to wiem.

Poszłam za jego radą. Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak przewidział: natychmiast przyznano mi mieszkanie, tak że już następnego dnia mogłam zapakować tych niewiele rzeczy, jakie miałam, i wprowadziłam się do czegoś w rodzaju schroniska dla młodzieży. Nie był to jakiś zamknięty zakład, lecz normalny blok z normalnymi, chociaż bardzo małymi mieszkaniami, z których każde składało się z kuchni, łazienki i dwóch małych pokoiów. Wszystkie były przeznaczone dla dwóch osób. Każda z nich musiała prowadzić własne gospodarstwo, a opiekunowie społeczni na etacie sprawowali nad tym kontrolę. Jeżeli ktoś przepuścił to, co dostał, ciągle siedział w domu i nie uczył się albo nie pracował, wprawdzie nie wyrzucano go na ulicę, ale nie dostawał kieszonkowego. Prawie dla wszystkich była to bolesna kara.

Kiedy po raz pierwszy w życiu znalazłam się we własnym pokoju i usiadłam na własnym łóżku, natychmiast musiałam podzielić się z kimś swoim szczęściem. Zadzwoiłam więc do siostr, pełna dumy podałam im swój nowy adres i powiedziałam im, jakie mam teraz fajne mieszkanie. Co za głupi pomysł! Już następnego dnia zadzwonił do mnie ojciec, szalał i wrzeszczał jak opętany, każąc mi natychmiast wracać do domu. Pracownica socjalna, która rozmawiała ze mną, kiedy się tu wprowadzałam, przygotowała mnie na podobną rozmowę - bardzo często się zdarza, że rodzice, którzy katują swoje dzieci, telefonują lub przychodzą tutaj, chcąc je zabrać.

Chciałam powiedzieć ojcu dokładnie to, co poradziła mi opiekunka: że jest mi tutaj dobrze, że to wszystko jest całkowicie legalne, że teraz będzie się o mnie troszczyło państwo i że działałam z własnej

woli. Ojciec nie dopuścił mnie jednak właściwie do słowa. Po prostu dalej krzyczał, więc nie pozostało mi nic innego, jak odłożyć słuchawkę. Dzwonił potem jeszcze kilka razy, żeby nakłonić mnie do powrotu, ale bezskutecznie - pozostałam twarda. Po kilku tygodniach przestał dzwonić. Może sam również doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeżeli nie będę już mieszkać u niego. Zdziwiło mnie tylko, że nigdy nie próbował przyjść do schroniska ani dostać się do mojego mieszkania. Czyżby odczuwał szacunek do niemieckich organizacji społecznych? Albo bał się, że przez nieodpowiednie zachowanie sam straci zasiłek, który stanowił podstawę jego utrzymania?

Nieuczciwość

Reasumując, z tym schroniskiem udało mi się bardzo dobrze. Przeżyłam tylko jedno małe rozczarowanie, kiedy następnego dnia po wprowadzeniu się powiedziano mi, że pierwsze kieszonkowe dostanę dopiero po paru tygodniach, a nie od razu. Spowodowało to głęboką wyrwę w moim budżecie i nie wiedziałam, jak mam ją załatać.

Po kilku dniach w schronisku zrozumiałam, dlaczego tak się działo: większość mieszkańców bloku to były typy aspołeczne, narkomani i drobni kryminaliści. Skończyli najwyżej szkołę podstawową, kradli regularnie w Aldi, zebrali pod U-Bahnem i wykorzystywali każdą okazję, żeby naciąć kogoś z kolegów albo kierownictwo schroniska. Było więc oczywiste, że nie dawano im pieniędzy od razu po zamieszkaniu, bo natychmiast znów by się wynieśli.

Nie miałam już ani grosza. Kiedy zostało mi w kieszeni ostatnie dziesięć marek, zaczęłam odczuwać w żołądku dziwną pustkę, bo czym innym było samodzielne życie, a czymś zupełnie innym żebranina. Za nic nie chciałam zaczynać od tego, bo wiedziałam, że nie potrafię siedzieć pokornie ze spuszczoną głową przed domem towarowym i czekać, aż jedna osoba na tysiąc zlituje się i rzuci mi markę. Kraść także nie chciałam, bądź co bądź sędzia przedstawił mi w żywych barwach sądy dla nieletnich i wszystkie związane z tym okropieństwa.

Chciałam poszukać pracy, ale to musiało potrwać, a poza tym nikt nie dałby mi od ręki zaliczki, więc potrzebne mi były jakieś

pieniądze na przeżycie kilku pierwszych tygodni. Do tej pory nie mogłam rozejrzeć się jeszcze za jakąś pracą, bo przy każdym, nawet najmniej płatnym dorywczym zajęciu trzeba było podać jakiś adres albo przynajmniej numer telefonu, a ja nie miałam ani jednego, ani drugiego. Pożyczanie od sędziego nie wchodziło w grę. Po pierwsze, on sam nie miał pieniędzy, a po drugie, proszenie go o pomoc finansową zraniłoby moją dumę. W moich oczach byliśmy równymi sobie przyjaciółmi i nie chciałam być od niego w jakikolwiek sposób zależna. To samo dotyczyło Stefana, z którym znów pozostawałam w luźnym kontakcie. Zwracanie się z prośbą o pieniądze do mojej współlokatorki było całkowicie bezcelowe, bo ona miała ich jeszcze mniej niż ja. Była nie tylko goła, miała także całą masę długów.

Jedynym, co mi przyszło do głowy w moim kłopotcie, było zwrócenie się o pożyczkę do moich sióstr. Niełatwo przyszło mi się na to zdecydować i musiałam dać sobie potężnego kopa, żeby wsiąść do U-Bahnu jadącego do Eidelstedt - w klasie, w obecności przyjaciółek i szkolnych koleżanek, nigdy bym się nie zdobyła na rozmowę z nimi o pieniądzach. Miałam jeszcze klucz do mieszkania, ale do tej pory ani razu nie poddałam się pokusie, żeby tam pojechać, wziąć prysznic, wykapać się, napchać brzuch albo położyć się w ciągu dnia na miękkim łóżku.

Wybrałam się w porze, w której mogłam mieć pewność, że ojca nie będzie w domu. Po południu zawsze gdzieś wychodził. Mimo to ręce mi drżały, kiedy wkładałam klucz do dziurki. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi, kiedy wchodziłam do mieszkania, ale w domu była tylko Jaldijan. Miałam kluchy w gardle, kiedy zobaczyłam, że w moim pokoju nic się nie zmieniło: łóżko było zasłane, nietknięte, dokładnie takie, jak je zostawiłam. Wszystko stało na swoim miejscu, jak gdyby czekało na mój powrót.

Jak sparaliżowana stałam na progu swojego pokoju, niezdolna zrobić kroku naprzód ani w tył. Jak na przyspieszonym filmie przemknęło mi przez głowę to wszystko, co zaszło w ciągu ostatnich tygodni, wszystkie sceny ze Stefanem, zobaczyłam most, sędziego i innych włóczęgów, kiedy nagle ocknęłam się: pieniądze! Potrzebuję pieniędzy!

Jaldijan miała pieniądze, ale nie miałam odwagi ją o nie poprosić. Korzystając z chwili nieuwagi wsunęłam rękę pod jej materac i znalazłam to, czego szukałam: jej książeczkę oszczędnościową. Wiedziałam,

że to, co właśnie zamierzam zrobić, jest nieuczciwe. Wiedziałam, że jest to nikkczemność i grzech, okradanie własnej siostry, ale nie miałam innego wyjścia. Powzięłam postanowienie, że zwrócę jej te pieniądze przy pierwszej okazji. Rzuciłam okiem na stan konta: cztery tysiące marek. Uspokojona schowałam książeczkę i wyniosłam się z mieszkania.

Od razu poszłam na najbliższą pocztę, bo bałam się, że Jaldijan każe zablokować swoje konto, jeżeli zorientuje się w stracie, i podjęłam siedemset marek. To było uspokajające uczucie, mieć przy sobie pokaźny plik banknotów! Przez cały czas towarzyszyła mi nieprzyjemna świadomość, że zdobyłam te pieniądze w sposób nielegalny, że to nie są moje pieniądze, bo przecież Jaldijan zarobiła je sama, podejmując kiepsko płatne prace.

Dwa dni później zadzwoniła do mnie Jaldijan. Zrobiło mi się gorąco, kiedy usłyszałam jej głos w słuchawce. Jaldijan nie starała się owijać rzeczy w bawełnę, lecz zapytała mnie wprost, czy mam jej książeczkę. Przełknęłam ślinę i skłamałam zuchwale:

- Skąd ci to przyszło do głowy? Ja przecież nigdy bym...!

Nie wiem, czy mi uwierzyła, ale nie podjęła żadnych kroków, bo inaczej natychmiast miałabym kłopoty.

Kilka dni później wyrzuty sumienia sprawiły, że poszłam jeszcze raz w tajemnicy do mieszkania ojca, żeby odłożyć na miejsce książeczkę Jaldijan. Wprawdzie nie podjęłam z niej już żadnych pieniędzy, ale też nie wpłaciłam brakujących siedmiuset marek, z których niewiele mi już zostało. Było dla mnie jasne, że teraz Jaldijan będzie na pewno wiedziała, że to ja wzięłam pieniądze, bo nikt inny nie miał klucza do naszego mieszkania i poza mną nikt nie wiedział, gdzie przechowuje swoją książeczkę oszczędnościową - z wyjątkiem Cegehany, ale ona nie mogła okraść własnej siostry.

Wiedziałam, że Jaldijan mnie przejrzała, ale nic nie powiedziała. Więcej się do mnie nie odezwała, nie zażądała wyjaśnień, nie powiedziała nic ojcu. Do dziś nie przyznałam się wobec niej do tej kradzieży. Za każdym razem, kiedy miałam już to zrobić, brakowało mi w końcu odwagi. Nie wiedziałam, od czego zacząć. W jej oczach czytałam: „Dobra, ten jeden raz niech ci będzie, ale nie rób tego nigdy więcej”.

Tak też było - raz i nigdy więcej. Niech mi Jaldijan wybaczy!

Zycie na własny rachunek

Kiedy tylko zadomowiłam się w swoim nowym mieszkaniu, nic już nie mogło mnie powstrzymać. Tutaj czułam się pewnie, tutaj mogłam robić to, co chciałam, i mogłam wreszcie zacząć to, o czym zawsze marzyłam: życie na własny rachunek!

Nie uległam wszechobecnemu nastrojowi tumiwisizmu, jaki panował wokół mnie. Ci wszyscy zgromadzeni w schronisku nieudacznicy raczej prowokowali mnie do jeszcze większego wysiłku, bo codziennie widziałam wokół siebie, do czego mogę dojść, jeżeli będę tak samo bierna jak oni.

Fathma, wówczas moja najbliższa przyjaciółka w schronisku, i ja byłyśmy jedynymi, które chodziły do gimnazjum. Dzień w dzień kułyśmy jak szalone, ale też i przynosiłyśmy dobre stopnie. Zaczęłam także zarabiać jakieś pieniądze. Najpierw udawało mi się dostać tylko pracę przy roznoszeniu gazet albo w McDonalddie, ale potem, dzięki ogłoszeniu pewnej agencji, zaczęłam otrzymywać niewielkie zlecenia jako modelka. Była to wprawdzie robota prawie jak przy taśmie produkcyjnej, jeden kostium kąpielowy po drugim dla katalogów wysyłkowych i prospektów reklamowych, ale przynosiła niewiarygodnie duże pieniądze: tysiąc do tysiąca dwustu marek za dzień. Jeszcze kilka tygodni wcześniej nie zarabiałam tyle przez cały miesiąc. Nie był to powód do triumfu, ale miałam satysfakcję, że mogę stanąć na własnych nogach.

Wkrótce byłam w stanie sama zarobić na swoje utrzymanie, nie starczało jeszcze tylko na opłacenie pobytu w schronisku lub własnego mieszkania. Ale mogłam sobie już pozwolić nawet na telewizję kablową, absolutny luksus, którego nie miał tam nikt poza mną. Często w moim pokoju tłoczyło się z pół tuzina osób, które chciały obejrzeć jakiś program albo konkretny film. Wprawdzie czasami było to trochę kłopotliwe, ale z drugiej strony sprawiało mi wielką przyjemność: teraz nikogo już nie musiałam o nic prosić, to inni przychodzili do mnie, jeżeli czegoś chcieli.

Nie składałam pieniędzy do pończochy, lecz starałam się zrobić z nich jakiś sensowny użytek: regularnie wysyłałam pieniądze wielu afrykańskim podopiecznym, wspierałam stację opiekuńczą na dworcu, gdzie często udzielano mi pomocy, kiedy sypiałam na ulicy. Pamięta-

łam też o sędzim, który ciągle mieszkał pod mostem. Zanim zaczęłam pracować jako modelka, przez dłuższy czas miałam zajęcie w piekarni i przynosiłam mu codziennie świeże bułeczki, które zostawały po zamknięciu sklepu i trafiłyby na śmietnik.

Spędziłam w schronisku w sumie dwa lata i w tym okresie, trochę przypadkiem, rozpoczęła się także moja kariera muzyczna. Później często zadawałam sobie pytanie, skąd brałam czas i siły, żeby robić to wszystko jednocześnie: chodzić do szkoły, uczyć się, pracować, pomagać innym i jeszcze uprawiać muzykę. Kupiłam sobie wreszcie sprawny keyboard, odtwarzacz cd i dużo płyt kompaktowych. Słuchałam bardzo dużo muzyki, jak leci, wszystkiego, co mi się podobało, często chodziłam na koncerty i do klubów, żeby wiedzieć, co się gra. Zresztą, zawsze miałam nastawione jakieś radio - kiedy się uczyłam, kiedy odrabiałam lekcje, czasami nawet kiedy spałam. W telewizji oglądałam przede wszystkim kanały muzyczne, chłonęłam wszystkie wideoklipy i wkrótce wyrobiłam sobie pogląd na to, co aktualnie dzieje się w branży muzycznej.

Większość hitów bazowała na kilku akordach, prostym rytmie i tekście, w którym w niezbyt oryginalny sposób pojawiały się na przemian motywy miłości i porzucenia. Po kilku miesiącach intensywnego studiowania stwierdziłam, że i ja to potrafię.

Usiadłam do keyboardu i zaczęłam ćwiczyć rozmaite kombinacje. Najpierw śpiewałam w języku tigrinia, potem po niemiecku, potem jednak chętniej po angielsku. W końcu postanowiłam zebrać się na odwagę. Poprzez ludzi, których poznałam w klubach, nawiązałam kontakt z grupą młodych muzyków. Jeden z nich powiedział, że zna kogoś z firmy płytowej, ale szybko okazało się, że znał tylko jego kartę wizytową. Innemu udało się wcisnąć nas do półprofesjonalnego studia dźwiękowego. Razem z dwoma muzykami, których poznałam zaledwie kilka dni wcześniej, nagrałam tam kilka songów. Z tymi samymi muzykami spróbowałam także sił, śpiewając na żywo: występowaliśmy kilkakrotnie na rozmaitych imprezach urodzinowych i w klubach, ale to nie było to, o co mi chodziło. Marzyłam o tym, żeby nagrać własną płytę cd.

Wysłaliśmy więc taśmy na podany na wizytówce adres, ale nic z tego nie wyszło, a w każdym razie niewiele, bo odesłano nam je bez komentarza. Jednak zaledwie niecały rok później w końcu się udało:

sfinansowano nam singla, tylko kilka tysięcy sztuk, ale płyta trafiła na rynek. Zrobiła totalną klapę, sprzedano zaledwie kilkaset sztuk, zapewne przyjaciołom i kolegom muzyków - reszta wylądowała na straganach i w śmietnikach. A przecież stał się cud: jakimś zawiłymi drogami płyta trafiła do Korei Południowej i tam dwa lata później stała się wielkim hitem.

Byłam właściwie jeszcze ciągle dzieckiem ulicy i skończyłam dopiero 16 lat, a miałam już na rynku singla, który zajmował pierwsze miejsce na liście hitów w Korei. W Niemczech dostaje się złotą płytę po sprzedaniu stu pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy, w Korei wystarczy niewielka część tej liczby. Nie jest to więc nic wielkiego, ale dla mnie to było coś wspaniałego, sensacja, niepojęte szczęście. Osiągnęłam punkt, o którym jeszcze niedawno nawet nie śmiałam marzyć: uprawiałam muzykę, jaką lubiłam, zdobywałam uznanie, miałam z tego masę przyjemności, a na dodatek także trochę pieniędzy! Kiedy miałam lecieć na kilka koncertów do Korei, żeby promować swoją płytę i stawić czoło szturmowi zachwyconych Koreańczyków, czułam się tak, jakbym mogła dolecieć tam i bez samolotu, bo i tak unosiłam się w przestworzach. Początek mojej kariery muzycznej to jeden z najszcześniejszych i najbardziej twórczych momentów mojego życia.

Żar serca

Bardzo szczęśliwa, nie zapomniałam o człowieku, który sprawił, że zaszłam tak daleko. W swoim czasie powiedział mi, że jestem coś warta i mogę coś osiągnąć, w co zresztą nikt poza nim nie wierzył, ze mną włącznie - był to sędzia spod mostu. Po powrocie z Korei chciałam go odwiedzić, żeby opowiedzieć mu o podróży, ale kiedy zeszłam nad kanał, okazało się, że nasze dawne miejsce jest puste. Zniknął nie tylko sędzia, lecz także wszystkie jego rzeczy, materace, krzesła, koce, pakunki. Przeszukałam okoliczne brzegi, miejsca noclegowe pod mostami, gdzie czasami odwiedzaliśmy innych bezdomnych, ale niczego nie mogłam znaleźć, z wyjątkiem pustych puszek po coca-coli i zużytych prezerwatyw - a ani jednych, ani drugich w żadnym wypadku nie zostawił tam sędzia.

Ogarnęła mnie panika - czy mojemu przyjacielowi nie przyda-

rzyło się nic złego? Zdenerwowana, wybiegłam z powrotem na ulicę, żeby się rozejrzeć. Po drugiej stronie stał luksusowy hotel, przed którym często robiliśmy sobie jaja, przyglądając się elegancko ubranym hotelowym gościom, żartując z ich zabawnego sposobu zachowania i z tego, jak niewielka odległość dzieli pięciogwiazdkowy hotel od legowiska pod mostem. Bywało, że nawiązywaliśmy rozmowę z portierami, którzy wtykali nam czasem po kilka marek. Jeden z nich stał w swojej groteskowej liberii przed obrotowymi drzwiami. Podeszłam do niego, ale w pobliżu byli inni pracownicy hotelu, więc udał, że mnie nie zna i nie wie, o kim mówię.

- Przepędziliśmy wszystkich włóczęgów - powiedział krótko i oficjalnie - wspólnie z policją. Nie wolno już im tutaj mieszkać, to przeszkadza gościom.

Nie ma pojęcia, gdzie podzieli się „włóczędzy”.

Wytracona z równowagi, krzyknęłam na niego:

- To nie są żadni włóczędzy! Nie masz o tym pojęcia, ty zasrany lokaju! Nosisz walizki, skończyłeś tylko szkołę podstawową, a on jest sędzią.

Portier, nie dając się zbić z tropu, strzelił tylko lekko palcami. Szybko podbiegło dwóch boyów i odciągnęło mnie na bok. Szarpałam się z nimi trochę, ale to też nic nie dało. Ponura, ruszyłam na dalsze poszukiwania. Paczka dla sędziego, którą cały czas targałam ze sobą - kilka kawałków ciasta i trochę owoców - wydała mi się bezużyteczna.

Szukałam sędziego aż do wieczora, byłam na dworcowej stacji opiekuńczej i wypytywałam znajomych bezdomnych z Mönckebergstrasse. Zagadywałam każdego włóczęgę, jaki mi stanął na drodze, ale nikt nic nie wiedział. Wieczorem byłam umówiona z dwiema przyjaciółkami, którym opowiedziałam całkiem świeżą jeszcze historię, ciągle podniecona i bardzo zdenerwowana. Wpatrywały się we mnie, nic nie rozumiejąc. Nie były w stanie pojąć, że teraz, kiedy coś osiągnęłam i stanęłam na własnych nogach, zależy mi jeszcze na dawnych kumplach, na przyjaciółkach z ulicy.

- Senait - stwierdziła Mariam - masz dobre serce, ja tego nie rozumiem.

- Nie - odparłam - mylisz się, wcale nie mam dobrego serca.

Nie powiedziałam tego z fałszywej skromności albo dlatego, że

tak wypada, po prostu rzeczywiście tak uważałam. Widziałam siebie, jak wślizguję się do pokoju siostry, żeby buchnąć jej kilkaset marek. Widziałam siebie, jak się z nią biję, jak ją rzucam na ziemię. Widziałam siebie, jak okłamuję Stefana. Widziałam siebie, jak strzelam, tam, na wojnie. Widziałam siebie, jak razem z ojcem drażnię sąsiadów, widziałam siebie, jak oszukuję wujka Hajle, w tajemnicy przed nim włócząc się po ulicach Chartumu.

- Nie znasz mnie, Mariam - powiedziałam. - Nie mam dobrego serca, ale ono płonie, czasami jasnym płomieniem. - Nie zawsze bowiem byłam dobra, ale nigdy nie pozostawałam obojętna, i zawsze angażowałam się we wszystko całym sercem. Czasami aż tak bardzo, że sama się spalałam. - Może moje serce wiecznie się żarzy - dodałam.

Bezradne spojrzenia, jakie wymieniły moje przyjaciółki, zdradziły mi, że nie bardzo wiedzą, co zrobić z moją metaforą. Szybko zmieniłam temat, nie chcąc odsłonić się jeszcze bardziej. Rozmowa toczyła się o najnowszych zespołach młodzieżowych i na ukochany temat „kto z kim”, a także dokąd powinniśmy pójść wieczorem na tańce.

Nie było jednak takie złe, to moje żarzące się serce. Moim afrykańskim podopiecznym dochowałam wierności do dziś, niektórzy z nich weszli już w wiek młodzieńczy. Przed Bożym Narodzeniem zawsze łądowałam na kilka wózków sklepowych słodycze, owoce, gotowe dania i papierosy. Jechałam z tym w górę i w dół Mönckebergerstrasse i rozdawałam wszystko bezdomnym. Wkrótce już wszyscy mnie znali. „Senait!”, wołali już z daleka na mój widok. Robiłam to, bo nigdy nie zapomniałam, że wielu z nich pomogło mi wtedy, kiedy ja sama nic nie miałam. Po cichu łądziłam się nadzieją, że w którymś z bożenarodzeniowych objazdów natrafię na sędziego, ale nie zobaczyłam go już nigdy.

Pewnego razu zapytałam Mariam, moją najlepszą przyjaciółkę, czy nie chciałaby pójść ze mną na Mönckebergerstrasse i pomóc przy rozdzielaniu darów. Łączyło nas wtedy wiele, czemu nie miałabym dzielić z nią także tych szczęśliwych chwil?

Mariam nie chciała jednak iść tam ze mną, zastąpiła się jakimś innym spotkaniem. Inne przyjaciółki powiedziały mi potem, że często drwiła sobie z moich charytatywnych ciągów, wyrażała się pogardliwie o moich „włóczęgach” i o moim charakterze. Nasza przyjaźń bardzo wówczas ostygła i wkrótce przestałyśmy się spotykać.

Wiele lat później przypadkiem spotkałam Mariam w jednym z klubów. Najpierw udawała, że mnie nie poznaje, ale kiedy ją przyjaźnie pozdrowiłam, nie mogła dłużej udawać. Miała straszne wyrzuty sumienia.

- Senait, źle o tobie mówiłam - przyznała sama, pełna poczucia winy.

- Wiem - machnęłam szybko ręką, bo nic nie było mi bardziej obce, niż odgrywanie się za rzeczy, które już dawno minęły. - Nie rozumiem tylko jednego: znałaś moje życie, bywałaś u mnie codziennie, zawsze słuchałam tego, co mówisz, od dawna stanowiłyśmy jedno serce i jedną duszę - więc dlaczego?

Byłam zadowolona, że mogę to powiedzieć, bo było to pytanie, które często mnie męczyło w ciągu ostatnich lat.

Mariam długo szukała słów. Wreszcie odezwała się:

- Byłam o ciebie zazdrosna. Miałas własne mieszkanie, to mnie po prostu przerastało. Wyznawałaś mi tyle rzeczy, nie umiałam dać sobie z tym rady.

- Byłyśmy przyjaciółkami! Dlaczego nigdy mi tego nie powiedziałaś? - zapytałam.

Płacząc, rzuciłyśmy się sobie w ramiona i wszystko znów było okay.

Tak to na ogół ze mną bywa: nie chcę nikogo nienawidzić, nigdy nie uważam, że ktoś jest z gruntu zły. Chciałabym tylko wiedzieć, o co chodzi, kiedy ktoś jest dla mnie nieprzyjemny, a nie mówi dlaczego. Prawie zawsze udaje mi się dotrzeć do prawdy. Nie mam ochoty udawać, że nic się nie dzieje i po prostu łykać to, co inni dla mnie upichcą. Nie potrafię tak. Nie godzę się na to. Nie umiem niczego dusić w sobie.

To była pierwsza rzecz, jaką sobie uświadomiłam, kiedy w Hamburgu stanęłam na własnych nogach - dzięki własnym pieniądzom, własnej pracy, własnemu mieszkaniu, własnym przyjaciołom: nie chcę więcej niczego dusić w sobie, niczego łykać. Musiałam w życiu znieść tak wiele, tyle rzeczy zdusić w sobie, że nie miałam już siły na więcej. Mówiąc ściśle ani siły, ani czasu, bo byłam zajęta na okrągło przez całą dobę i kręciłam się jak bąk, który odpycha od siebie wszystko, co złe, a co chcieliby mu przypisać inni ludzie. Wydawało mi się wtedy, że tak może być zawsze, ale co do tego grubo się myliłam.

Dorosłość

Tak się dziwnie złożyło, że na początku, zaraz po ucieczce z domu, wszystko przychodziło mi o wiele łatwiej niż w późniejszym okresie. Weszłam w to życie z optymizmem, który - kiedy patrzę wstecz - wydaje mi się prawie zuchwałością. Rzeczywiście, wiele rzeczy udawało mi się za pierwszym razem: pierwsze mieszkanie, rozmaite prace, bycie modelką, pierwsza płyta, sukces w Korei, liczne przyjaźnie. Osiągnęłam o wiele więcej niż może się spodziewać szesnastoletnia dziewczyna. Może dlatego nie doceniałam licznych raf, na które natrafia każdy człowiek na drodze od dzieciństwa poprzez młodość do dorosłości.

Nie mogłam za jednym zamachem wymazać z pamięci swojej, tak bardzo pod wieloma względami ponurej, przeszłości. Do dziś mi się to nie udaje, ale teraz już wcale tego nie pragnę. Wtedy bardzo chciałam pozbyć się na zawsze duchów tej przeszłości, uciec od nich jak najdalej, ale to było niemożliwe. Często opadały mnie w najbardziej pogodnych momentach: robiąc zakupy w supermarkecie, nagle widziałam przed sobą nas, wygłodniałe dzieci z Dżebhy. Kiedy indziej, wchodząc w tonące w półmroku zejście do U-Bahnu, aż podskoczyłam z przerażenia, bo zobaczyłam siebie i swoich kolegów w ciężarówce pędzącej nocą przez pustynię, zasypywanej gradem nieprzyjacielskich pocisków. Na klatce schodowej w schronisku, w którym mieszkałam, za każdym węglem czyhali na mnie uzbrojeni ludzie, strzelcy z karabinami i instruktorzy, którzy biciem chcieli mnie zapędzić na strzelnicę i nie dawali spokoju, dopóki, złana potem, nie zamknęłam za sobą drzwi mieszkania.

Najgorsze były noce. Bez włączonego telewizora nie miałam odwagi położyć się do łóżka - tak jest jeszcze dzisiaj. Potrzebne mi były obrazy, światło, ruch, żeby nie wpaść w czarną dziurę i nie dać się pociągnąć do dna przez wir wspomnień. Często leżałam całymi godzinami, nie mogąc zasnąć, i gapiłam się w ekran, żeby nie poddać się wspomnieniom. Byłam śmiertelnie zmęczona, ale mogłam zasnąć dopiero wtedy, kiedy miałam głowę pełną nowych obrazów, wchłoniętych z telewizora. Dopiero wtedy mogłam mieć nadzieję, że barwne obrazki z wideoklipów, oper mydlanych i reklam przynajmniej na tę noc wypchnęły ponure wizje przeszłości.

Nie tylko jednak wizje, także realni ludzie z mojej przeszłości nie chcieli tak od razu zostawić mnie w spokoju: ojciec ciągle podejmował nowe próby, żeby znów roztoczyć nade mną swoją władzę. Czasami do mnie dzwonił, czasami przekazywał za pośrednictwem przyjaciół albo przez siostry, że nie podoba mu się moja właśnie zdobyta samodzielność. Boi się, żebym nie zeszła na złą drogę: narkotyki, alkohol, prostytutka i co tam jeszcze.

Siostry wielokrotnie próbowały nawiązać ze mną kontakt i wywrzeć na mnie wpływ. Bardzo by chciały, żebym wróciła do domu. Sytuacja była paradoksalna: z jednej strony cierpiały z powodu ojca i same chętnie wyrwałyby się spod jego ponurej władzy, ale z drugiej drażniło je to, że ja potrafiłam zbudować sobie własne życie. Paradoksem było także to, że nasz ojciec próbował wpływać na mnie poprzez moje siostry, im jednak jak najsurowiej zakazał się ze mną spotykać. Tak często im powtarzał, jaka to ja jestem zła i jak okropnie narozrabiałam, aż w końcu Jaldijan i Cegehana zaczęły mu wierzyć i same nie chciały się ze mną spotykać.

Tylko wujek Hajle dodawał mi sił. Od czasu mojej ucieczki z domu kilka razy rozmawialiśmy przez telefon.

- Słyszałem, że mieszkasz osobno - powiedział.

- Tak - przyznałam. Nie powiedziałam mu o swojej ucieczce z domu w obawie, że mogę go zranić, ale teraz, kiedy już wszystko wiedział, postanowiłam mówić z nim otwarcie. - Za dużo zaszło między ojcem a mną - stwierdziłam.

Hajle jak zawsze zareagował spokojnie i bez hysterii. Powiedział tylko:

- Nie chcę się wtrącać, chyba wiesz, co zrobiłaś i co chcesz robić. Jesteś dorosła, jesteś kobietą.

Uznałam, że jest wspaniały i o mało nie rozpłakałam się przy telefonie. Wreszcie ktoś przyznał, że sama ponoszę odpowiedzialność za własne czyny i nie chce przypinać mi łątek, lecz z najszczerzego serca życzy wszystkiego najlepszego na dalsze życie. To życie wywalczyłam sobie sama, tocząc zaciekle boje.

Podróże

Chciałam zobaczyć świat - sama. Tak często wyprawiano mnie w drogę wbrew mojej woli, włączając na ciężarówkę, wpychając do autobusów, gnając na piechotę albo sadzając na osiołku, tak często wysyłano mnie do miejsc, w których wcale nie miałam ochoty się znaleźć: do Dżebhy, na front, do ojca. Teraz chciałam sama rozstrzygać o celach swoich podróży. Jeździłam dużo, i chociaż w podróży zawsze byłam oszczędna, wydawałam jednak sporo pieniędzy na ten wycinek wolności, który sobie wypracowałam.

Wszyscy moi przyjaciele i przyjaciółki mówili:

- Jesteś kobietą, nie możesz podróżować sama, a już na pewno nie do egzotycznych krajów, do Trzeciego Świata.

Ale ja mogłam. Byłam na Barbadosie, w Kingston (na Jamajce), w Dominikanie, Trynidadzie, Tanzanii, Etiopii i Erytrei, w Turcji i w Korei. Do Korei Południowej pojechałam na zaproszenie firmy płytowej, ale zwykle rezerwowałam przelot, i na jakieś dwa, trzy tygodnie wyruszałam w drogę, zabierając ze sobą niewiele rzeczy w małym plecaku albo w torbie, którą mogłam bez trudu sama udźwignąć.

Pierwszego dnia po przyjeździe wysypiałam się, przeważnie na plaży. Przed wyjazdem zawsze żyłam w wielkim pośpiechu, bo tysiące rzeczy, jakie były jeszcze do załatwienia, zostawiałam na ostatnią chwilę. Przed odlotem prawie nie miałam czasu, żeby zmrużyć oczy, a w samolocie nigdy nie udawało mi się zasnąć, bo byłam zbyt podniecona. Potem, wieczorem, szukałam jakiegoś taniego pensjonatu albo apartamentu z kuchenką i wszystkim, co trzeba. Przeważnie wynajmowałam także jakiś strasznie stary, tani i nierzucający się w oczy samochód. Potem szłam na zakupy, masę gotowałam, spacerowałam, wieczory zawsze spędzałam poza domem, poznawałam wiele osób i przeżywałam najfantastyczniejsze przygody.

Przyjaciele w kraju, w Niemczech, nie mogli tego pojąć:

- Masz szesnaście lat - mówili (siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście, ale w każdym razie zawsze za mało). - W tym wieku nie powinnaś sama objąć się po plaży albo włączyć wieczorami po mieście. Ktoś cię napadnie, zgwałci, okradnie...

Przedstawiali mi bardzo sugestywnie wszystko, co mnie może spotkać.

Nigdy jednak nic mi się nie stało. Nie ubierałam się ekstrawagancko, nie robiłam z siebie lalki Barbie, miałam grube dredy, które związywałam w węzeł pod barwną chustką. Do tego zakładałam farmerki i ciężkie, grube buty. Nigdy się nie malowałam i zawsze podkreślałam, że jestem osobą niezależną finansowo. No i robiłam wszystko, czego na dobrą sprawę robić nie należało: sypiałam na plażach, siadywałam przez pół nocy z całkowicie obcymi ludźmi przy obozowych ogniskach, piłam sporo ginu albo rumu, paliłam skręty - wszystko, co można robić na Karaibach. I za każdym razem wracałam zdrowa i wspaniale wypoczęta.

Robiłam to, co chciałam, w przeciwieństwie do moich szkolnych kolegów, którzy jeździli z rodzicami nad Bałtyk lub na Majorkę, do przytulnych rodzinnych hotelików albo do własnych letnich domków. Kiedy opowiadałam im o swoich przygodach, pytali:

- Czy ty masz dobrze w głowie? A co będzie, jeżeli ktoś cię zabije?

Na to odpowiadałam tylko:

- To będzie znaczyło, że tak miało być. Nie boję się, chcę zobaczyć świat.

Dzisiaj już nie potrafiłabym tak jeździć. Stałam się o wiele bardziej ostrożna, bo tymczasem nabrałam zdecydowanie kobiecych kształtów. Wtedy, kiedy schowałam włosy pod chustką, można mnie było na dobrą sprawę wziąć za chłopaka. Byłam płaska jak deska, kaśliwa jak osa i nie miałam w sobie nic kobiecego. Wiele napotykanym w podróży osobom sądziło, że chyba jestem kokainistką, bo tak bez obawy i bez zastanowienia szwendam się po świecie. Tymczasem ja nie potrzebowałam kokainy; we mnie tkwiła jeszcze ta cała energia, która pchnęła mnie do ucieczki z domu, to wystarczało. Uczucie, że mogę dźwignąć ziemię z posad, stanowiło o wiele lepszą tarczę ochronną, niż jakiś gaz w sprayu albo straszak.

Niepotrzebna mi była wtedy obrona przed napastnikami, złodziejami, mordercami czy gwałcicielami, ale przed sobą samą i przed burzami, które szalały w moim sercu. Moja nowa wolność była cudowna, ale stwarzała problemy, bo byłam w pełni świadoma, że muszę sobie z nią poradzić sama. Niestety, znalazłam przyjaciół, którzy zdawali się obiecywać, że dzięki nim wszystko może stać się odrobinę łatwiejsze: alkohol i haszysz. Nie próbowałam brać twardych narkotyków, chociaż

wielokrotnie mi je proponowano, nie brałam kokainy, heroiny, nie paliłam nawet papierosów. Ale piłam do upadłego. Aż wszystkie moje troski, problemy, wspomnienia znikną za gęstą, miękką mgłą, tak że mimo najlepszej woli nie będę już w stanie ich rozpoznać. Często nocą wytaczałam się ostatkiem sił z tego czy innego baru lub klubu i już z trudem trzymając się na nogach, wsiadałam do taksówki. Czasami następnego ranka zastanawiałam się, jak dotarłam do własnego łóżka. Wstydziłam się, nienawidziłam się za to - ale bywało, że taka sytuacja powtarzała się jeszcze tego samego wieczoru.

Stefan

Powodem ówczesnego zamętu w moim życiu nie były wydarzenia z przeszłości ani niefortunne układy rodzinne. Mój problem miał konkretne imię: Stefan, mój pierwszy przyjaciel. Był moją pierwszą wielką miłością, mężczyzną, który mógł określić całe moje życie - jak wtedy myślałam. Mój Stefan. Dobrze, że wszystko potoczyło się inaczej.

Czternaste urodziny obchodziłam razem ze Stefanem. Wypiłam dwie szklanki szampana i zrobiło mi się potem strasznie niedobrze, bo nie byłam w ogóle przyzwyczajona do alkoholu. Dopiero pół roku później opowiedział mi Stefan, że on i Boris zrobili wówczas zakład. Boris twierdził, że on też będzie mnie miał, a Stefan uważał, że nie. Stawka wyniosła sto marek. Byłam wściekła, kiedy się o tym dowiedziałam. Nie trzeba dodawać, że Boris zakład przegrał.

Przy Stefanie często zdarzały mi się takie sytuacje. Był bardzo rozpuszczony i czasami zachowywał się tak, jak gdyby wszyscy musieli tańczyć tak, jak on zagra. Mimo to byliśmy razem przez cztery i pół roku. W gronie naszych znajomych była to sensacja, bo większość zmieniała partnerów co kilka miesięcy.

Wytrzymaliśmy ze Stefanem tak długo nie dlatego, że stanowiliśmy tak zgodną parę, ale dlatego, że byliśmy nawzajem od siebie uzależnieni, a ja nie potrafiłam rozpoznać sytuacji. Przywiązał się do mnie, bo była mu potrzebna jakaś przychylna osoba, która mogłaby stać się dla niego oparciem w jego pozbawionym zasad życiu. Ja przywiązałam się do niego, bo uważałam, że może mi ofiarować godne tego miana podniecające życie.

Stefan bynajmniej nie zachowywał się wobec mnie jak ktoś obojętny. To, że interesował się moim pochodzeniem, cieszyło mnie, ale zarazem budziło obawy. Opowiadałam mu więc, jaka fajna jest moja rodzina, jakiego mam wspaniałego ojca, już nie mówiąc o matce. Stefan szybko jednak nabrał podejrzeń. Dopytywał się bez przerwy, czy nie mógłby poznać moich rodziców, ale ja kłamałam, że ojciec jest bardzo zajęty, a matka wróciła do Afryki.

Mojej prawdziwej historii nie byłby w ogóle w stanie przyjąć do wiadomości. Całe życie spędził w domu, a rodzice odgadywali jego każde życzenie, jeszcze zanim je wypowiedział - przede wszystkim życzenie finansowe. Nie zaznał nigdy trosk, nędzy.

Ja zachowywałam się tak, jak gdybym też miała masę forsy i razem z nim szalałam w klubach i knajpach. Dla Stefana pieniądze nie miały żadnej wartości, bo następnego dnia tatuś dał mu tyle, ile wydał dnia poprzedniego, ale dla mnie były to z trudem zaoszczędzone pieniądze, na które musiałam przez wiele godzin pracować u McDonalda, w piekarni, a później jako modelka. Nigdy mu się do tego nie przyznałam i nie pozwalałam, żeby za mnie płacił, na to byłam zbyt dumna. Wolałam zagryźć zęby i pracować dwa razy więcej.

Swoimi kłamstwami, które z czasem przejrzał, dużo zepsułam. Zniszczyłam jego zaufanie do mnie i wkrótce w ogóle przestał mi wierzyć. To oczywiście jeszcze nie był żaden powód, żeby zaczął mnie bić, nawet jeżeli ciągle myślał, że go zdradzam z innymi. To była absurdalna insynuacja. Nie zamierzałam zdradzać Stefana, za bardzo mi na nim zależało. Kochałam go, byłam od niego uzależniona. Poza tym całkowicie wystarczały mi te przeżycia seksualne, jakie miałam z nim - mówiąc ściśle, było to i tak zdecydowanie za dużo.

Spanie ze Stefanem było dla mnie w każdym razie prawdziwą torturą. Jeszcze do tego nie dojrzałam. On zauważał tylko, że nie jest mi dobrze i bynajmniej nie starał się zrozumieć, dlaczego. Kiedy był w złym nastroju, mówił, że jestem zimna jak lesbijka. Jeżeli był w lepszym humorze, głaskał mnie czule po głowie i mówił, bardziej do siebie niż do mnie:

- Co się dzieje w tej małej główce?

Ja, tak samo jak on, nie umiałam odpowiedzieć na to pytanie, bo wtedy jeszcze nie potrafiłam swobodnie rozmawiać o swojej przeszłości, a już na pewno nie seksualnej. Więc nic nie mówiłam. Milczałam,

kiedy leżeliśmy razem w łóżku. Musiał mieć często wrażenie, że nic mnie to wszystko nie obchodzi. A ja tymczasem byłam sparaliżowana bólem, bólem fizycznym i takim, o którym nawet nie umiałam powiedzieć, skąd się bierze.

Truczna

Stefan umiał być czarujący, ale często przerzucał się w nastrojach z jednej krańcowości w drugą. Zależnie od jego humorów, nasz związek leciał gwałtownie w przepaść, a potem bez żadnego przejścia szybował na wyżyny, żeby znów runąć w dół na łeb, na szyję. Długo trwało, zanim zrozumiałam, czemu nie umiał stanąć mocno na ziemi, skąd brały się jego nieustanne wybuchy bezgranicznej nienawiści albo gwałtownej agresji.

Moje pierwsze znaleźiska uznałam za brudne gumki do ścierania. Odłożyłam je do jego piórnika, ale on ciągle przekładał je gdzie indziej. Wydało mi się to komiczne: czemu bez przerwy gdzieś je utyka. Kilkakrotnie pytałam go, już trochę zła:

- Co ty wyprawiasz z tymi gumkami? - ale udzielał wymijających odpowiedzi.

I tak było, dopóki nie pokazałam takiej gumki sprzątacze, która właśnie robiła porządek w pokoju Stefana. Ta powiedziała o tym matce Stefana, a ona mnie oświeciła:

- To nie jest gumka do ścierania. To haszysz. Oni to kruszą i sami robią sobie skręty, mieszając z tytoniem.

Wydałam się sobie nieskończenie głupia, że na to nie wpadłam. Coś takiego świtało mi w głowie, ale nie chciałam się do tego przyznać sama przed sobą. Nie chciałam nic o tym wiedzieć. Miałam nadzieję, że są to gumki do ścierania, a Stefan jest grzecznym chłopcem.

Tymczasem nic z tych rzeczy. Potem to nie były już „gumki do ścierania”, ale nadpalone folie i powyginane łyżeczki. Pewnego razu powiedział:

- Idę zatankować, zaraz wracam.

Cztery dni później wrócił z bardzo rozszerzonymi źrenicami. Potem w domu pojawiło się kilku obcych facetów, którzy bez końca

słuchali strasznego dudnienia techno. Już wtedy pomyślałam: „To nie jest życie dla mnie, to nie jest dla mnie mężczyzna. Nie chcę tego, ja tak nie potrafię”.

Tymczasem było coraz gorzej. Pewnego dnia, kiedy szykowałam jego bieliznę do wrzucenia do pralki, znalazłam papierową torebkę, z jakimś tysiącem pigułek. Trochę z niewiedzy, a trochę z niechęci do poznania prawdy, zdziwiłam się, dlaczego wpakował swoje tabletki od bólu głowy do papierowej torebki. Nie chciałam przyjąć do wiadomości, że są to zapewne narkotyki; wyobraziłam sobie, że wszystkie moje obawy są majakami chorego mózgu i rozplyną się w powietrzu. Grzecznie odłożyłam torebkę do apteczki. Kilka dni później, kiedy Stefan w panice szukał tych tabletek, powiedziałam, żeby popatrzył wśród leków. Dopiero kiedy odetchnął z ulgą, trzymając w ręku torebkę, wyjaśnił mi:

- Senait, to nie jest aspiryna. To są cudowne pigułki, które pomagają mi funkcjonować. Nazywają się ekstazy.

Im więcej dowiadywałam się o uzależnieniu Stefana od narkotyków, tym lepiej rozumiałam, że znalazł się na równi pochyłej, po której może poruszać się tylko w jednym kierunku: w dół. Byłam świadkiem tego, jak po raz pierwszy wziął narkotyk, i ciągle jeszcze byłam z nim, kiedy brał coraz więcej, aż przegrał walkę. Próbował zepchnąć na mnie odpowiedzialność za swoje niepowodzenia w szkole:

- To wszystko przez ciebie - rzucił mi kiedyś w twarz, porządnie naćpany. - To ty mnie wykańczasz! Jesteś psychiczna, z ciebie też jest dobry numer...

Po kilku miesiącach zaczęłam w to wierzyć. Zastanawiałam się, co robiłam nie tak. Jak mogłam doprowadzić Stefana aż tak daleko. I w jaki sposób mogę mu teraz pomóc. Ale im więcej nad tym myślałam, tym dziwniejsze wydawały mi się jego zarzuty. Pewnego dnia powiedziałam mu więc, co o tym sędzę:

- Wiesz Stefan, to chyba niemożliwe. Ja niczego nie biorę, żadnych narkotyków, nawet nie palę papierosów. Dobrze się uczę. Nie jestem z tych, które znikają na trzy dni, żeby włóczyć się po klubach techno. Nie jestem z tych, które muszą codziennie wziąć swoją działkę, żeby móc normalnie żyć. Kiedy cię poznałam, stroiłeś miny do swojego odbicia w lustrze -już wtedy coś się nie zgadzało. Poza tym, ty jesteś starszy, byłeś pełnoletni, kiedy się poznaliśmy, ja jeszcze nie.

Więc powinieneś być bardziej dojrzały niż ja, doroślejszy. W końcu każdy musi przejąć odpowiedzialność za siebie. Nie możesz zwałać wszystkiego na mnie. Ja nie jestem łatwa, okay, ale mam do czynienia z facetem, którego interesuje tylko to, żeby codziennie być na haju, nic innego go nie obchodzi. Moja wina polega tylko na tym, że jeszcze ciągle z nim jestem!

Stefana wyraźnie poruszyło moje małe przemówienie, ale nie miało żadnych praktycznych skutków - nic się potem nie zmieniło.

Z czasem coraz lepiej poznawałam Stefana, a także stosunki panujące w jego rodzinie. Kontrast między naszymi rodzinami nie mógł być większy: moja na dobrą sprawę w ogóle nie zasługiwała na to miano; rodzina Stefana to była rodzina pozornie wzorowa - ojciec, matka, syn - która osiągnęła w życiu powodzenie, bogata i szczęśliwa. Cierpiała tylko na jeden poważny niedostatek: w rodzinie Stefana nikt nie miał czasu dla innych, ich kłopoty przyjmowano do wiadomości dopiero wtedy, kiedy już nie dało się ich nie zauważać. W sytuacji krytycznej mogli na siebie liczyć, ale do tego czasu wszystkie problemy rozwiązywano tylko przez portfel, na zasadzie: czegoś ci brak, to sobie to kup. Na zewnątrz nie rzucało się to w oczy, ale wszystkie potrzeby, których nie da się załatwić za pomocą karty kredytowej, pozostawały niezaspokojone.

Przeciwnieństwa

Rodzice Stefana byli dla mnie bardzo dobrzy, lepsi niż dla własnego syna, który coraz bardziej im się wymykał. Zdawali sobie z tego sprawę, ale nie chcieli zastanowić się nad przyczynami, bronili się nawet przed przyjęciem do wiadomości jego uzależnienia od narkotyków.

Zdarzało się czasami, że przez cztery, pięć miesięcy mieszkałam w domu Stefana i tylko na krótko zjawiałam się u siebie. Nigdy oczywiście nie zrezygnowałam z pokoju w schronisku, bo nie chciałam być zależna od Stefana i jego rodziny. Na samą myśl o takiej możliwości ogarniało mnie przygnębienie.

Wkrótce bardzo się zżyłam z rodziną Stefana. Jego matka przedstawiała mnie wszystkim jako swoją synową. Ojciec opowiadał każdemu, jaka jestem wspaniała, mądra, pracowita i śliczna.

Rodzice Stefana często zabierali mnie ze sobą na wakacje. To były zawsze szczególne wyjazdy, na które sama nigdy nie mogłabym sobie pozwolić. Stefan lubił bywać w luksusowych pensjonatach, w jakich wynajmowali miejsca jego rodzice, i najchętniej jadałby tylko sznycle i frytki. Nie jechałam jednak na Karaiby po to, żeby jeść sznycle i frytki, chciałam poznać kraj i ludzi.

Najchętniej pojechałabym ze Stefanem do Afryki, ale on nie chciał.

- No nie! Afryka! Tam przecież je się rękami!

Mówił o moim kontynencie jak o zaraźliwej chorobie. Nie mogłabym w żadnym razie przedstawić go mojej tamtejszej rodzinie, bo z całą pewnością nie potrafiłby się do nich dostosować. Czułby się nieszczęśliwy, gdyby razem z moim wujkiem musiał wstawać codziennie o czwartej rano, żeby iść na ryby. Albo gdyby kazano mu siedzieć na podłodze i jeść razem z innymi z jednej miski - gołą ręką. Trzeci Świat to było dla niego coś, co cuchnie.

Kiedy poszłam z nim w Puerto Plata do centrum miasta. Kiedy szukaliśmy targu, jakaś kobieta poczęstowała nas kilkoma smażonymi bananami. Wziął banany, ale zaraz poszedł za róg, wypluł to, co wziął do ust, a resztę wyrzucił. Banany miały cudowny smak, ale on bał się, że jest na nich dużo bakterii.

Stefan był rozpuszczony. Kiedy miał dwanaście lat, dostawał 400 marek na weekend; kiedy skończył osiemnaście, miał dwa samochody i domek letniskowy nad Bałtykiem. Nie potrafił inaczej żyć i nie mogłam się spodziewać, że przejmie mój sposób życia. Ja natomiast akceptowałam jego zwyczaje, rozumiałam je, ale nigdy tego nie lubiałam.

Ojciec Stefana dostrzegał, z jakim trudem przychodziło mi zarobienie na ten kosztowny styl życia. Raz po raz wciskał mi jakieś pieniądze, ale ja nie chciałam, żeby mnie finansował. Dla mnie było ważne, że miałam własne pieniądze. Gdyby tak nie było, nie mogłabym spojrzeć w oczy Stefanowi. Nie mogłabym już dzielić się z nim swobodnie spostrzeżeniami na każdy temat. Nie czułabym się mu równa, gdybym w razie potrzeby nie mogła także sama płacić za swoje drinki. Stefanowi natomiast zupełnie nie przeszkadzało, że jest ciągle na utrzymaniu rodziców. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, żeby podjąć pracę i trochę dorobić. A przecież, już chociażby

ze względu na narkotyki, miał bardzo duże potrzeby finansowe. Mawiał zawsze:

- Czemu mam pracować? I tak wszystko odziedziczę!

Wolał pójść jeszcze raz do ojca, żeby poprosić o zaliczkę na kieszonkowe. I dostawał ją. Ojciec dawał mu kilkaset marek tak, jak inni ojcowie wręczają swoim synom pięciomarkowy banknot na porcję lodów.

Stefan miał instynkt posiadania i nie miałby nic przeciwko temu, żeby była zależna od jego rodziny. Myślał, że dzięki temu będzie mnie miał na zawsze, bo szybko się zorientował, że nie dam się przytrzymać. Nie mógł mnie jednak zamknąć, uczynić swoją własnością, a to go irytowało, bo od dzieciństwa przyzwyczał się do tego, że dostaje wszystko, co zechce. Dlatego wszystkich i wszystko wokół siebie traktował jak swoją własność.

Tymczasem mój ojciec dowiedział się, że częściej mieszkam u przyjaciela niż w schronisku. Nie spodobało mu się to. Jego zdaniem byłam za młoda, wymknęłam się spod jego kontroli i ranił jego dumę fakt, że - jak uważał - ktoś inny utrzymuje jego córkę. Do tego stopnia nie mógł się pogodzić z tą myślą, że zdobył się na telefon do ojca Stefana, żeby zaofiarować mu pieniądze za to, że mieszkam w jego domu. Tego już było za wiele.

- Proszę nie martwić się o nasze pieniądze, zarabiamy dosyć - oświadczył wprost mojemu ojcu. - Lubimy Senait. Jeżeli powie, że chce odejść, może odejść, ale dopóki chce tutaj zostać, może tu być tak długo, jak zechce.

Ojciec musiał się tym zadowolić, bez względu na to, czy mu się to spodobało, czy nie.

Dla mnie cała sprawa była wyjątkowo niezręczna, przede wszystkim dlatego, że zawsze trochę kłamałam, opowiadając rodzicom Stefanowi o mojej idealnej rodzinie.

Kłamstwa

Zbudowany przeze mnie gmach kłamstw trzymał się tak długo, dopóki ojciec Stefana nie powiedział mi pewnego dnia, co o tym myśli:

- Senait, bardzo cię lubimy. Ale nigdy nas już nie okłamuj. Wszystko wiemy

To był jeden z najstraszliwszych momentów w tym okresie. Chciałam coś tłumaczyć. Wyjaśnić rodzicom Stefana, czym było dla mnie uczestniczenie w życiu ich doskonałej rodziny, którą na każdym kroku musiałam porównywać z tym, co pozostało z mojej, ale ojciec Stefana machnął ręką:

- Nie musisz niczego tłumaczyć. Wszystko w porządku.

W ten sposób zakończył rozmowę.

Będę mu za to zawsze wdzięczna, w tym była wielkość. Mogłam oszczędzić sobie całego tego gadania. Cóż za cudowne uczucie, dojść do ładu z nim i ze sobą!

Częstowałam go tak wieloma kłamstwami: że mam fajnego tatusia, fajną mamę, kochające siostry, z którymi utrzymuję bardzo bliskie, sympatyczne stosunki. Matki nigdy nie widziałam na oczy, ale czasami już sama zaczynałam wierzyć w te kłamstwa i w końcu wpadłam w depresję, widząc, jak w moich własnych oczach wali się ten gmach wzniesiony z kłamstw. Normalnie nie przywiązuję wielkiej wagi do przysłów, które są mądrością narodów, ale jedno przyjęłam za swoje motto: „kłamstwo ma krótkie nogi”. Wręcz lilipucie. Niektórzy z moich przyjaciół, przyjaciółek i szkolnych kolegów, którym także prezentowałam zdrowy świat Senait, odwrócili się ode mnie, kiedy przejrzeni tę grę.

- Ona jest nienormalna - mówili. - Łże jak pies, to wszystko jest kłamstwem.

Te kłamstwa największą szkodę przynosiły jednak mnie, a nie innym. Tylko jedna rzecz zraniłaby mnie bardziej: powiedzenie wszystkim prawdy. Jaka szesnastoletnia dziewczyna chciałaby przyznać się przyjacielom i przyjaciółkom, że dzień w dzień po przyjściu do domu dostaje lanie? Że ojciec codziennie ją poniża i na nią wrzeszczy? Jaka dziewczyna nie wolałaby twierdzić, że złamała rękę, bo spadła ze schodów? Czy jest taka dziewczyna, która byłaby w stanie opowiedzieć swojemu partnerowi, że nie może uprawiać z nim seksu, bo zadano jej tyle fizycznych i psychicznych cierpień, że nie może tego teraz znieść?

Chłopak jest zawsze skłonny przypuszczać, że to jego wina, kiedy dziewczyna w oczywisty sposób nie odczuwa nic w łóżku. Wiedziałam o tym, ale nic nie mogłam na to poradzić. Kiedy uprawialiśmy seks, łapałam pilota i przelatywałam programy, dopóki nie trafiłam na coś odpowiedniego. Jemu tam na gorze pozwalałam robić, na co

miał ochotę. Doprowadzało to Stefana do szału, więc mnie tłukł. Ja stawałam się przez to jeszcze bardziej zimna i milcząca, a Stefan coraz bardziej wikał się w zależność od narkotyków.

Z czasem pogodziłam się z tym, że nic nie wyjdzie z naszego związku. Narkotyki zabrały mi pierwszego przyjaciela.

O własnych siłach

Jakiś czas po rozstaniu ze Stefanem zaczęło mi się powodzić o wiele lepiej. Na krótko przed dziewiętnastymi urodzinami byłam w stanie opłacić swoje pierwsze własne mieszkanie i wyprowadzić się wreszcie ze schroniska. Nie pasowałam już do niego. Jego mieszkańcy byli przeważnie dużo ode mnie młodszy i o wiele bardziej zepsuci - ale przede wszystkim mieli o wiele mniej ochoty, żeby coś zmienić w swoim życiu. Schronisko, które początkowo było dla mnie wyzwoleniem, z czasem stało się miejscem, którego energia ciągnęła mnie do dołu.

Nie zdając się już na wskazówki pracowników socjalnych i pań z wydziału do spraw młodzieży, które dbały o porządek w schronisku, wzięłam swoje życie we własne ręce. Załatwiłam sobie mieszkanie, możliwość nauki i zajęcia, gdyż jedna praca nie wystarczała, żebym mogła zarobić na swoje utrzymanie. Przestałam pozować, bo coraz bardziej odczuwałam to jak jakiś rodzaj prostytucji. Z coraz większą niechęcią wyginałam swoje ciało w nienaturalnych pozach, z oczami nieruchomo wpatrzonymi w aparat, zawsze mu podporządkowana, z nadąsanymi usteczkami i spuszczonego wzrokiem. To nie było dla mnie. Pozowałam tylko dlatego, żeby podratować matkę, móc posłać coś moim podopiecznym i pozwolić sobie na podróż, ale wtedy już i tak było mnie na nie stać. Zrezygnowałam nawet z kelnerowania, bo wytrzymałam najwyżej trzy do czterech miesięcy w jednym lokalu. Nigdy nie potrafiłam wysłuchiwać uwag, że mam zrobić to czy tamto, i to najlepiej trochę szybciej. Jestem zbyt dumna, zbyt niecierpliwa i za bardzo mi zależy na tym, żeby być sobą. Chciałam wreszcie być panią samej siebie.

Tego jeszcze wtedy jednak nie osiągnęłam, natomiast w tym okresie znów dużo pracowałam nad moimi taśmami demo, chcąc wyrobić sobie własny styl, sprawdzić, jak mi się współpracuje z innymi

muzykami i z czasem otrzymać kontrakt na płytę. Nie miałam jednak ochoty na życie głodującej, zapoznanej artystki, postanowiłam więc równolegle zdobyć jakieś „przyzwoite” wykształcenie, więc zaczęłam praktykę w kancelarii notarialnej.

To brzmi straszliwie sucho, ale ta praca sprawiała mi przyjemność. Do hamburskiej kancelarii, w której odbywałam praktykę, na samym początku mojej tam pracy, przyszło czworo arabskich klientów: dwoje z Dubaju i dwoje z Jemenu. Chodziło o rozwód, o odprawę pomażeńską, to były bardzo duże pieniądze. Jedna z kobiet miała dwadzieścia jeden lat, jej mąż dwadzieścia dziewięć. Byli małżeństwem przez rok, a przy rozwodzie ona dostała 4,5 miliona marek.

To zrobiło na mnie wrażenie: kobieta z kręgu arabskiej kultury, która wprawdzie otrzymuje bogate prezenty od męża, ale poza tym traktowana jest jak niewolnica, zbuntowała się i przyznano jej rację. Tłumacząc wszystkie rozprawy z arabskiego na niemiecki i odwrotnie, zaangażowałam się w sprawę tej kobiety. Szeptana propaganda sprawiła, że także spoza mojej kancelarii zaczęłam dostawać wiele propozycji tłumaczenia z arabskiego, a czasem nawet z języka tigrinia, którym mówi się nie tylko w Erytrei, lecz także w Etiopii. Z obydwóch języków z równą niemal swobodą mogłam tłumaczyć na niemiecki lub na angielski.

Odkryłam wtedy w sobie nowe zdolności. Zauważyłam, że mam dobry kontakt z ludźmi. Że sprawnie posługuję się słowem i umiem logicznie myśleć, co ma zawsze duże znaczenie, kiedy ma się do czynienia z prawem. Jedno zdanie uświadomiło mi, jak to jest z tym myśleniem: „myślę, więc jestem”. Zakręciło mi się w głowie z podniecenia, kiedy je przeczytałam. Wcześniej, przez wiele lat, walczyłam jeszcze o to, żeby poczuć swoje ciało, ale nie czułam nawet bólu. Cięłam sobie nogi żyłkami, ale nic się nie działo, poza tym, że po udach spływała mi czerwona krew. Wtedy ktoś z przyjaciół przyniósł mi książkę z tym zdaniem. Napisałam piosenkę pod tym tytułem: „Myślę, więc jestem”. Wydawnictwo publikujące Kartezjusza robiło wprawdzie trochę kłopotów, ale po krótkich korowodach pozwolono mi w końcu wykorzystać ten cytat.

Trudniej mi było ułożyć sobie życie prywatne niż zawodowe. Christian, mój nowy partner, wprawdzie nie należał do tych, co biją, ale też był bogatym facetem. Rozpuszczony, wychowany w internacie, nie

miał praktycznie żadnej samoświadomości, był wyprany z charakteru. Jego ojciec był Niemcem, matka Persjanką. Lubiła mnie, a najbardziej bała się tego, że jej syn zejdzie się z Niemką. Czasami żartowała:

- On zaraz ożeni się z jakimś kartoflem. Ale ja nie chcę kartofla, ja chcę ciebie! - O Niemcach zawsze mówiła „kartofel”.

Jej mąż miał pewne zastrzeżenia wobec cudzoziemców, co było dosyć zabawne przy żonie Persjance - a może miał zastrzeżenia tylko do czarnych?

- O Boże - powiedział przy mnie do syna - zaczynasz sprowadzać do domu czarnuchów?

- Proszę uważać - krzyknęłam. - Czasy się zmieniły. Wychowuje pan dziecko na maminsynka i... - więcej nie zdołałam powiedzieć, bo wyrzucił mnie z domu. Niewiele sobie z tego robiłam, bo i tak chciałam zerwać z Christianem.

Po Christianie był Klaus, wspaniały facet. Jego matka jest Brazylijką, ojciec Niemcem. Klaus jest do dzisiaj jednym z moich najlepszych przyjaciół, ale szybko się zorientowaliśmy, że to nie jest miłość, lecz przyjaźń, bliska przyjaźń, jak między dobrze rozumiejącym się rodzeństwem.

Matka Afryka

1 o raz pierwszy znalazłam się znów w Afryce. Kiedy wysiadłam z samolotu na lotnisku w Asmarze, od razu wróciło wszystko, o czym próbowałam zapomnieć. Odskokczyłam jak oparzona, wychodząc z kabiny w sierpniowy upał. Zobaczyłam białą poświatę, błękitne niebo, tłum Afrykanów na drodze kołowania samolotu. Zaczerpnęłam gwałtownie powietrza, potem nagle wstrzymałam oddech. Podskoczyły do mnie siostry - wtedy upadłam, zleciałam w dół po schodach.

Pospiesznie stanęłam na nogi, a Jaldijan wzięła mnie za rękę.

- Senait, wiem - powiedziała. - Wiem o tym z twoich snów. Mówisz przez sen, wszystko mi opowiedziałaś.

Siedziała na płycie lotniska w Addis Abebie, stolicy Etiopii, i opowiadała mi mój sen. Miałam w nim oświadczyć, że jak tylko dotrę do Afryki, zacznę latać. Od razu wyrosną mi skrzydła, będę wolna i lekka jak ptak. Wokół nas stało kilkudziesięciu pasażerów, sami czarni, i uważnie słuchało. Śmiali się, klaskali i bawili opowiadaną przez Jaldijan historią. W tym momencie zrozumiałam, że przyjechałam do domu.

Jak długo przygotowywałam się na tę chwilę! Jak długo do tego dążyłam, harowałam, oszczędzałam, żeby sobie pozwolić na podróż do Erytrei i wreszcie odnaleźć swoją matkę. Nie wiedziałam ani tego, gdzie mieszka, ani jak się nazywa. Wszystko, co miałam, to było jej imię: Adhanet.

Ojciec spotkał się z nią jeszcze parę razy po wyjeździe do Europy. Był kilkakrotnie w Etiopii; nie miał tylko wstępu do Erytrei, gdyż tam od czasu, kiedy EPLF pokonało ELF, którego fanatycznym zwolenni-

kiem ojciec jest do dziś, znajdował się na listach poszukiwanych za dezercję. I ojciec, i matka powiedzieli mi później, że kiedy się spotykali, w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Nigdy do tego nie doszło, nie próbowali porozmawiać o przeszłości, nawiązać dialogu, znaleźć jakiś wspólny temat. Nie wspomnieli ani słowem nawet o mnie, jedynej sprawie, jaka ich łączyła.

Ojciec polecił Cegehanie, żeby ostrzegła mnie przed matką:

- Uważaj, żeby Senait niczego u niej nie jadła - powiedziała. - Musisz na nią uważać, ona na pewno otruje Senait.

Nie rozumiałam, czemu miałyby to robić. Widziała mnie tylko zaraz po urodzeniu, a potem już nigdy.

Nie wierzyłam w spiskowe teorie ojca, ale jednak wsączył kilka kropeł trucizny w moją duszę. A co będzie, jeżeli wyrzuty sumienia sprawiły, że mama żywi wobec mnie nieprzyjemne uczucia? Może mnie nienawidzi, bo przeżyłam wbrew jej woli?

Pełna takich ponurych myśli poleciałam z Cegehaną do Addis Abeby. Jaldijan została w Asmarze. Przez dwa tygodnie szukałam matki, a teraz pewien znajomy prowadził do niej mnie i Cegehanę. Niosłam torby pełne prezentów: kawa, herbata, mąka, przyprawy, olej, owoce, cukier - prawie same rzeczy codziennego użytku. Nieprzytomnie patrzyłam przez szybę samochodu na rzędy parterowych domków, zakurzone ulice, tłumy przechodniów, wozy, objuczone osiołki. Po raz pierwszy od wielu lat znów widziałam dymiące, stare jak świat autobusy, żebraczki, gromady obdartych dzieci i kobiety niosące z targowiska do domu związane za łapy kury, wiszące łbami do dołu. Znałam ten widok z dzieciństwa, a jednak był już dla mnie obcy.

Spotkanie

Samochód zatrzymał się. Czyżbyśmy już byli na miejscu? Przez chwilę stałam zagubiona na ulicy. Potem wzięłam się w garść. Z rozjarzonego słonecznego światła przez otwarte drzwi weszliśmy do wysokiego pomieszczenia. Początkowo widziałam tylko ciemność. Pomieszczenie, jak większość tutaj, nie miało okien, znajdował się tam tylko jeden otwór, z powodu upału zasłonięty kawałkiem blachy. Ze zderzenia zapomniałam zdjąć okulary słoneczne. Teraz moje oczy

przyzwyczajają się stopniowo do przytłumionego światła i zaczynałam dostrzegać jakieś kontury: szafę, łóżko, stół, kosze i skrzynie. Na podłodze stał mały piecyk i maszynka spirytusowa, na której gotowano i przyrządzano kawę.

Na krześle w najdalszym kącie siedziała duża, chuda kobieta. Miała siwe włosy szczesane z czoła, zgodnie z tutejszym obyczajem ciasno splecione i zwinięte w wielki kok. Była ubrana w tradycyjną białą szatę i sandały na nogach. Siedziała bez ruchu, ze wzrokiem trwożliwie wbitym w ziemię. Tylko dłonie poruszały się, splecione na jej łonie. Nie wiedziałam, co mam zrobić, więc po prostu nie ruszyłam się z miejsca. Cisza. Jej twarz powoli wyłaniała się z ciemności, wystające kości policzkowe, szerokie wargi. Miała bardzo wyraziste rysy. To były moje rysy. Przede mną siedziała moja matka. Była dla mnie obcą osobą.

Znajomy powiedział: „Przyjechała pani córka, żeby panią odwiedzić”, i zapytał, czy ona wie, która z nas dwóch jest jej córką. Wtedy matka wskazała na mnie i odezwała się:

- Ona jest moją córką. Przecież wygląda tak samo jak jej ojciec.

Podchodząc do kobiety, która była moją matką, miałam wrażenie, że opuszczam znany mi świat. Usiadłam obok niej. Ostrożnie pogłaskała mnie po włosach.

- Masz śliczne włosy - powiedziała - Senait.

Słowa zamarły mi na ustach. Byłam jak skamieniała. Trwało nieskończenie długo, nim odzyskałam mowę.

Potem z ociąganiem zaczęłyśmy opowiadać sobie swoje życie. Strasznie cierpiała przez te sześć lat, które spędziła w więzieniu oskarżona o opuszczenie dziecka. Potem wyszła za męża po raz drugi i urodziła jeszcze troje dzieci, dwie dziewczynki i jednego chłopca, które sama wychowywała. Po kilku miesiącach jej mąż wrócił z frontu jako inwalida wojenny.

- Co mi przyjdzie z kaleki? - zapytała go moja matka, położyła mu na kolanach trzymiesięcznego niemowlaka i opuściła dzieci i męża, znikając bez śladu.

Właśnie odnalazłam moją matkę, a przecież była dla mnie obcą osobą. Sytuacja była nierealna, czułam się sztucznie i nieswojo. Matka odepchnęła męża kalekę, niemowlę, dwoje małych dzieci! Czy ta straszna historia nigdy się nie skończy, czy w końcu pojawi się jakieś

światełko w tym życiu złożonym z cierpienia i kłamstw? Czekałam jednak na próżno, z jej ust nie padło słowo żalu. Widziałam tylko nie-szczęsną, zrozpaczoną kobietę, która nie wie, co dalej robić ze sobą i ze swoim życiem. Nie potrafiła uporać się z cierpieniem, jakie sama zadawała, tak samo jak z cierpieniem, które zadano jej.

Mogłam jedynie schować twarz w dłoniach i rozpłakać się. Matka sądziła, że płacę, wzruszona jej opowieścią, i próbowała pocieszyć mnie kanciastymi, niezgrabnymi ruchami. To były dłonie, które nieczęsto obdarowywały pociechą. Ale ja nie płakałam nad nią, płakałam nad sobą. Opłakiwałam moją przeszłość, moją rodzinę, moje życie. Musiałam zapłakać nad ponurym losem, jaki zawisł od samego początku nad moim życiem. Opowieści matki szeroko otworzyły drzwi, przez które wdarło się w moje życie jeszcze więcej ciemności.

Płakałam i płakałam, i nie mogłam się uspokoić. Matka wstała i zrobiła to, co robi większość kobiet w Afryce, kiedy nie wiedzą, co począć: zabrała się do pracy, roznieciła małe ognisko w centrum pomieszczenia, podrzuciła węgla drzewnego i opaliła kilka surowych ziaren kawy. W metalowym moździerzu roztarła je na pył. Potem nastawiła wodę na kawę w tradycyjnym, glinianym, brzuchatym dzbanku z wąskim dzióbkiem. Przez złożoną w wachlarz kartkę, z której zrobiła lejek, wsypała proszek kawowy do dzbanka. Dzbanek postawiła na palenisku i podtrzymywała ogień. W milczeniu dmuchała w żar, zapewniając do niego dostęp pewnej ilości świeżego tlenu, aż mocna, prawie zawieszista kawa była gotowa. W czasie tej tradycyjnej ceremonii parzenia kawy zapadł wieczór i obserwując pewne wyćwiczone przez dziesiątki lat ruchy jej rąk, przynajmniej na jakiś czas zdołałam opanować swoje uczucia. Zręczność mojej matki napełniała mnie pociechą, tak samo jak stanowiła oparcie dla niej samej.

Dopiero kiedy przycupnęłyśmy obok siebie na malutkich, ręcznie ciosanych drewnianych taboretach, na których od dawien dawna przysiadają kobiety w zakamarkach pokoju, kiedy na nich przycupnęłyśmy, popijając słodką, mocną kawę, znów mogliśmy wrócić do rozmowy.

Chciałam dowiedzieć się od matki, kim był ojciec jej pozostałych trojga dzieci i jak mogę go odnaleźć, żeby pomóc moim siostrze, ale ona powiedziała tylko:

- Nie warto. Jeżeli przyjechałaś, żeby rozdrapywać stare rany, to opuść mój dom.

Znów zapadłam się w mrok. Poczułam, jak moja dusza pograża się w ciemności.

- Nie warto?

- Nie warto - powiedziała sucho matka, bardziej do siebie niż do mnie. - Ten człowiek to nicpoń, a jego dzieci skończą tak samo jak on.

Było to tyleż proste co fałszywe. Świadczyło o bezgranicznym pesymizmie, który może być udziałem tylko osób ciężko doświadczonych przez życie, umęczonych, nie dających sobie rady, zdeptanych. Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. W tym momencie sama w to wierzyłam. Uwierzyłam, że jestem świadomym wytworem Złego. Uwierzyłam, że przyszłam na świat jako wcielenie Zła. Byłam o tym przekonana.

Coś chyba poszło zupełnie nie tak, bo nigdy jeszcze nie patrzyłam na siebie z takim pesymizmem. To nieprawda, myślałam. Tych dwoje to nie mogą być moi rodzice, czepiałam się rozpaczliwej nadziei. W żaden sposób nie mogę być dzieckiem tej pary. Jednak nie było wątpliwości: przede mną siedziała moja matka Adhanet, a jej były mąż, Ghebrehwet Mehari, był moim ojcem.

Siedziałam tam i rozmyślałam, ale nie doszłam do żadnego wniosku. Nie rozumiałam, jak moja matka mogła być do tego stopnia pozbawiona uczuć, żeby powiedzieć mi tak po prostu:

- Och, wiesz, nie chciałam żyć z takim kaleką i co miałam począć z dziećmi, z*jego* dziećmi...

W tym momencie zupełnie nie myślała o tym, że może mnie zranić, bo ja też byłam jej dzieckiem, tak samo jak moje przyrodnie rodzeństwo. Chciałam coś na to odpowiedzieć, na przykład: „wiesz, u ciebie już mnie to nie dziwi...”. Mało brakowało, abym to powiedziała, ale pomyślałam: Och, Senait, po co ranić matkę?

Musiała czuć się podle, kiedy na mnie patrzyła: byłam wykształcona, przystojna, dorosła i w tyle lepszej sytuacji finansowej, że mogłam ją wziąć na utrzymanie. Cóż miałam w niej zmieniać, co poprawiać?

Czasami spodziewam się, że ludzie myślą tak samo jak ja. Oczekuję, że wyciągną wnioski ze swojego dzieciństwa i powiedzą sobie, że nie chcą być tacy jak ich rodzice. Ja to robiłam, skorzystałam z tej nauki. Ale byłoby arogancją zakładać, że wszyscy ludzie są tacy jak ja. Nie mogłam w każdym razie żądać tego od mojej matki.

W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek nie chciałam być podobna do swoich rodziców. Nigdy bardziej niż w tym momencie nie ciążył mi balast mojej przeszłości. Mimo wszystko jednak nie potrafiłam zniechęcić mojej matki, nie potrafiłam nią gardzić. Nie odczuwałam współczucia, gniewu, złości. Czułam tylko smutek z powodu spraw, na które nie miałam najmniejszego wpływu.

Kiedy wypiliśmy kawę, musiałam się pożegnać. Obyło się bez wielkich ceregieli, bez specjalnego wzruszenia. Jak się wydawało, moja matka uznała za rzecz zupełnie zwyczajną to, że tak po prostu wpadłam sobie z Hamburga do niej do Addis Abeby, byśmy sobie trochę wspólnie popłakały i wypłyły razem kawę. Uścisnęła mnie i poprosiła, żebym jej przysłała pieniądze. I tyle. Nie zapytała, czy się znówu zobaczymy w czasie tych dwóch tygodni, jakie miałam jeszcze spędzić w Afryce. Nie chciała wiedzieć, jakie mam jeszcze plany na ten czas, nie chciała wiedzieć o niczym, nie miała odwagi pytać.

Chwiejąc się na nogach, wyszłam z domu. Znajomy zawiózł mnie i Cegehanę z powrotem do miasta. Mieliśmy jeszcze jakieś wspólne plany, ale ja nie chciałam już nikogo widzieć. Poszłam prosto do pokoju i zrobiłam to, na co miałam ochotę od chwili, kiedy przyjechalismy do Afryki: płakać, płakać, płakać, aż wyczerpię wszystkie łzy. Dobrze mi to zrobiło, jak zalecona przez lekarza kuracja.

Pojechałam jeszcze raz do domu mojej matki, ale było zupełnie tak samo jak za pierwszym razem. Matka przygotowała kawę, pomilczaliśmy, matka coś powiedziała, ja mówiłam dużo, wymieniliśmy adresy i numery telefonów, wreszcie odjechałam rozczarowana. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale to nie nastąpiło.

Niezależnie jednak od wszystkiego, Afryka mnie porwała. Tutaj były moje korzenie. Musiałam tutaj przyjechać, żeby dowiedzieć się czegoś o sobie. Musiałam porozmawiać z ludźmi, posmakować powietrza nad wschodnioafrykańską wyżyną i spojrzeć na góry okalające miasto, rysujące się wieczorem na tle czerwieniejącego nieba, żeby stopić się z rozświetloną gwiazdami nocą. Tutaj będę mogła odnaleźć siebie, jeżeli potrafię bez uprzedzeń podejść do kraju i ludzi.

Od tego momentu usilnie się o to starałam. Latem 1993 po raz pierwszy odwiedziłam moją matkę i od tego czasu co roku latałam do Erytrei, a czasami także do Etiopii. Przeważnie leciałam na Boże Narodzenie, bo latem panuje tam nieznośny upał. Zimą na wyżynie

temperatura w ciągu dnia rzadko przekracza dwadzieścia pięć, trzydzieści stopni, i nie spada poniżej dziesięciu stopni w nocy i dwudziestu w dzień. Jednocześnie prawie zawsze jest piękna i słoneczna pogoda. Taki klimat musi panować w raju.

Matki nigdy już więcej nie miałam zobaczyć. Tylko dwa razy zetknęło nas ze sobą życie: w pierwszych tygodniach mojego życia i kiedy odwiedziłam ją w Addis Abebie. 14 sierpnia 1993 po raz pierwszy wkroczyłam w ciemność jej domu, poczułam dotyk jej dłoni, zobaczyłam jej twarz, usłyszałam jej ponurą historię. Dokładnie rok później, 14 sierpnia 1994, znalazła się w autobusie, który jadąc z górskiej wioski Adi Kejh, gdzie się urodziła, do Asmary, stoczył się w przepaść. Po defekcie hamulców wypadł z krętej górskiej drogi i spadł setki metrów w dół w skalistą, niedostępną przepaść.

Pierwszą wizytę złożyłam matce koło siódmej wieczorem. Niemal dokładnie o tej samej godzinie rok później, koło piątej, spotkała ją śmierć w roztrzaskanym autobusie. To tylko jeden z wielu powodów, dla których nie wierzę w przypadki, ale w zrządzenia losu. Pocięchę przyniósł mi fakt, że ostatni rok - w dużej mierze także dzięki mojej pomocy - był zapewne najlepszym rokiem jej życia. Wolna od finansowych trosk, lecz także od uczucia nienawiści i zemsty, od prześladowań i wojny, strachu i ciągłej ucieczki, mogła cieszyć się życiem - o ile pozwalało jej na to brzemię przeszłości. Był to dla niej rok, jakiego życzyłam jej z całego serca.

Przeszłość

Razem z siostrami odwiedziłam także ich matkę Abrehet, drugą żonę naszego ojca. Mieszka w Adi Kejh, górskiej wiosce w Erytrei. Nigdy nie zapomnę jej słów:

- Senait, twój ojciec popełnił wiele błędów, ale z tobą miał rację, chociaż wcale tego nie chciał.

Także w niej nie było nienawiści, żadnej żądzy zemsty, sama życzliwość, i to nie tylko wobec własnych córek, lecz także dla mnie. Opowiedziała nam, jak strasznie zachowywał się nasz ojciec: bił jej rodziców, złamał nogę swojej teściowej, ją samą kopał w brzuch, kiedy była w ciąży z Jaldijan. Słuchając tego, nie mogłyśmy powstrzymać łez.

Nie mogliśmy zrozumieć, jak nasz ojciec mógł z tym żyć. Do dziś nie przeprosił nikogo z tych, którym zadał tyle cierpienia i bólu.

Odbyło się radosne spotkanie z wujkiem Hajle, z którym zobaczyłam się w Asmarze, po raz pierwszy od naszych wspólnych czasów w Chartumie. Nie był emigrantem politycznym i nigdy nie służył w wojsku, więc w przeciwieństwie do mojego ojca, mógł wrócić do Erytrei, kiedy chciał. Hajle też był w Erytrei tylko chwilowo, bo tymczasem zamieszkał w Holandii. Powiedziałam mu, że jego razy wywarły na mnie ogromny wpływ, na całe życie. Roześmiał się tylko, jak gdyby chciał powiedzieć: „Co chcesz przez to powiedzieć?”. Nie zrozumiał, że to wcale nie jest dobrze, że na mojej duszy zostały od tego blizny.

W moim odczuciu był to nie tyle błąd wujka Hajle, co raczej problem afrykańskiego wychowania. Zarówno teraz, jak i przedtem Hajle był dla mnie wspaniałym człowiekiem. Kochałam i kocham mojego wujka ponad wszystko i to jest dla mnie najważniejsze. O razach i bólu dawno zapomniałam, bo wiedziałam, że nie obdzielał nas nimi, żebyśmy cierpiały, ale dlatego, że uznawał nasze postępowanie za niewłaściwe. Był normalnym człowiekiem, a nie duchowym wrakiem jak mój ojciec. Hajle po prostu nie wiedział, że można inaczej wychowywać dzieci.

Dawno już zrezygnowałam z tłumaczenia ludziom w Afryce, że takie wychowanie jest mało skuteczne. Afrykańczycy rozumieją to dopiero wtedy, kiedy zamieszkają w Europie. Także ja dopiero w Europie pojęłam, że może istnieć wychowanie bez przemocy i że nie trzeba bić dzieci, żeby zrozumiały, czego się od nich chce. Dopiero w Europie dowiedziałam się, że jestem wolnym człowiekiem, że mam prawo mieć własne zdanie i że nikt nie będzie mnie bić tylko dlatego, że myślę inaczej niż on. Najpiękniejszą rzeczą było odkrycie, że ja też mam prawa i nikomu nie wolno mnie bić. W Afryce nikt tego nie wie. Tutaj każdy myśli, że razy i niesprawiedliwość są zwykłymi składnikami życia.

O takich problemach związanych z przeszłością nie mogłam rozmawiać nawet z Hajle. W Afryce nie istnieje nic takiego, jak próba uporania się z przeszłością. Nie ma tu żadnej pomocy psychiatrycznej ani psychologów. O przemocy nikt nie mówi, bo jest rozumiała sama

przez się. W Afryce chodzi o przeżycie, liczą się tylko problemy bytowe: skąd mam wziąć coś do jedzenia? Skąd mam wziąć coś do picia? Jak wyżywić rodzinę? Jest nadzieja, że nie zachoruję, bo nie moglibyśmy sobie pozwolić na lekarza... To są sprawy Afrykanów. Nikt nie ma czasu, żeby zastanawiać się nad tym, co czuje. Nikomu nie przyjdzie do głowy powiedzieć: „tato, mam, muszę z wami porozmawiać”, „mam przyjaciela”, „potrzebna mi jest pigułka”. Mówiąc ściśle, nie ma także nic takiego jak „mama” i „tata”. Istnieją wprawdzie takie osoby, ale to nie są ludzie, którym ufasz, co w Niemczech każde dziecko wiąże z pojęciem „tata” czy „mama”. W Afryce to są tylko role: Ojciec, Matka - te określenia lepiej pasują do tamtejszych stosunków. To są nazwy mówiące o pokrewieństwie, współzależności i o niczym poza tym.

Tę świadomość, obok glinianych dzbanków do kawy, plecionych podstawek i rzeźbionych figurek, przywiozłam jako najważniejszą pamiątkę z mojej ojczyzny. A także chorobę, która męczyła mnie już wcześniej w Erytrei, a która powracała ciągle od nowa. Co cztery lata poddaję się kuracji, biorąc kilka bolesnych zastrzyków. Kiedy raz zignorowałam ten termin, w piątym roku moja wierna towarzysza nie omieszkała mnie odnaleźć. Wróciłam właśnie do Hamburga z Afryki i nocowałam u przyjaciółki. Następnego dnia zrobiło mi się strasznie niedobrze, dostałam gorączki.

- Tanja - powiedziałam do przyjaciółki - mam atak malarii.

- No jasne - powiedziała, ale nie uwierzyła mi. Malaria w samym środku Hamburga, mimo najlepszej woli nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Ale ja zaczęłam rzygać zieloną żółcią, wstrząsały mną dreszcze i czułam dobrze mi znane zmęczenie. Wszystko było dokładnie tak jak wtedy, w tym nędznym baraku w Dżebhie, w którym po raz pierwszy dopadły mnie malaryczne dreszcze. Zebrałam wszystkie siły, na ile to było możliwe - już samo mówienie przychodziło mi z trudem - i błagałam Tanję:

- Proszę cię, zadzwoń po karetkę.

Powoli zaświtało jej, że może rzeczywiście nie jest to zwykły kac po butelczynie, jaką wypróżniłyśmy razem poprzedniego wieczoru, kiedy opowiadałam jej o Afryce. Lekarz, który mnie badał, od razu zapytał:

- Kiedy była pani po raz ostatni w tropikach?

Ostatnim wysiłkiem odparłam:

- Co za głupie pytanie? Właśnie wróciłam z Afryki i mam malarię!

I tak było - z tą afrykańską pamiątką musiałam spędzić kilka dni w szpitalu, pogrążona w półprzytomnym śnie.

Muzyka

Jylalaria znów przypomniała mi boleśnie o mojej fizycznej ułomności. Wolę o tym nie pamiętać, zajęta nieustannie snuciem nowych planów, nie mogąc wyrwać się z kierunku codziennych zajęć. Nie były to już rozmaite dorywcze roboty, pozowanie albo praktyka w kancelarii notarialnej, chodziło o powołanie, które czułam w sobie coraz wyraźniej. Chciałam zrobić karierę muzyczną.

Jeszcze w czasach, kiedy dopiero próbowałam swoich sił w muzyce i ćwiczyłam na keyboardzie, grałam na gitarze i śpiewałam, coraz wyraźniej uświadamiałam sobie, że potrafię także komponować i pisać teksty. Zaczęłam łączyć ze sobą poszczególne dźwięki i akordy, komponowałam, zapisywałam nuty, dodawałam do tego teksty - początkowo w języku tigrinia, potem po angielsku, w końcu po niemiecku. Ze zdumieniem stwierdziłam, że powstają z tego songi, które chciałam nie tylko śpiewać, lecz także miałam ochotę ich słuchać.

Nawiązałam kontakt z producentem, wyszukałam muzyków, przesłuchałam całe góry wzorcowych demo-CD i kaset, aż w końcu znalazłam. Potrzebni mi byli ludzie nieprzywiązani do jakiegoś określonego stylu, którzy mieliby tak samo opanowany soul jak pop, rock and roli czy funk. Wśród tych nurtów szukałam własnej linii, podprawiając ją porządną szczyptą afrykańskich rytmów i melodii, których nauczyłam się w dzieciństwie, dodając do tego śpiewne, urywane dźwięki wzięte z muzyki arabskiej, którą znałam z Chartumu. Był to czas eksperymentów. Stąd wzięłam jakiś rytm, stamtąd jakiś akord, jeszcze gdzieś znalazłam fragment melodii, łącząc wszystko w nową całość zgodną z moim gustem. Przy tym ciągle walczyłam z techniką.

Najpierw musiałam się nauczyć czytać i zapisywać nuty, zapisywać muzykę na komputerze, programować keyboard i zorientować się w rozmaitych elektronicznych efektach dźwiękowych. Wszystko to było dla mnie nowe.

Byłam cholerną debiutantką i szybko zrozumiałam, że dopiero wtedy będę miała komercyjną szansę z własnymi piosenkami, kiedy będę lepsza technicznie. Przekonałam się także, że muzyka odnosząca sukcesy komercyjne w Niemczech a także w Ameryce to bynajmniej nie jakieś czarodziejskie sztuczki. Im lepiej sama poznawałam muzyczne tajniki, tym było dla mnie bardziej oczywiste, że rzępolenie, wydobywające się na co dzień z radia i muzycznych kanałów telewizji, przeważnie obficie korzysta z prymitywnie poskładanych wzorców. Kilka akordów, prosty rytm, trochę elektronicznych efektów, kilka od dawna znanych schematów, i towar nadaje się do emisji, jeżeli na połączonym z nim klipie można zobaczyć odpowiednio dobrane, nieopatrzone młode twarze. Czy i ja zdołam sprokurować coś takiego? Jako czarna włączyć się do niemieckiego pop-cyrku?

Postanowiłam spróbować. Beztrosko pojawiłam się dwa dni po od dawna ustalonym terminie w jednej z hamburskich agencji reklamowych i zaczęłam śpiewać bez towarzyszenia instrumentów - z miejsca zaangażowano mnie do kobiecego zespołu Corniche. Niezły początek, nawet jeżeli był to zespół zdecydowanie komercyjny i pracował według porażająco prostych wzorów.

Zespół rozpadł się, kiedy z niego odeszłam, bo miałam po uszy tego feministycznego gadania. Mimo to grupa Corniche była dla mnie trampoliną do kariery solistki: po kilku koncertach w studio, objazdach po klubach i występach z różnymi półzawodowymi zespołami, w 1999 podpisałam swój pierwszy kontrakt z wytwórnią Polydor. Po raz pierwszy mogłam pokazać się od strony muzycznej. Rozwinęłam swój „styl Senait”, połączenie rytm and bluesa, popu, rytmów afrykańskich z niemieckimi tekstami. Wydaliśmy kilka singli, które wprawdzie nie stały się wielkimi przebojami, ale zostały przyjaźnie przyjęte przez krytykę. Życ z tego oczywiście nie mogłam, więc szukałam jakiegoś muzycznego „zajęcia dla chleba” i odniosłam mały sukces, pisząc kilka tekstów dla zespołu No Angels.

Choć jestem artystką niemiecką, nie chciałam zapominać o swoich

korzeniach i dochowałam im wierności, występując na tych wszystkich erytrejskich koncertach i festiwalach, które teraz, jak i przedtem, regularnie odbywają się w Niemczech, bo tutaj jest liczna społeczność erytrejska, przede wszystkim we Frankfurcie nad Menem, Kassel i Hamburgu. Lubiłam występować przed „moimi” ludźmi i śpiewać „nasze” erytrejskie pieśni, ale także własne songi.

Pewnego razu występowałam na młodzieżowym festiwalu erytrejskim w Kassel. Zjawiły się na nim także moje siostry, więc spotkałyśmy się po koncercie. Tak długo nie widziałam Jaldijan i Cegehany! Kiedy stanęłyśmy wszystkie trzy za sceną, wszystko było tak jak za dawnych czasów - ale jednak niezupełnie. Było coś jeszcze, co zauważyłam dopiero po kilku dobrych minutach, kiedy terkotałam jak nakręcona, opowiadając im w skrócie o tym, co wydarzyło się przez ostatnie lata w moim życiu.

- Dużo podróżujesz - stwierdziła Jaldijan, a powiedziała to tak oficjalnie, jak gdybyśmy były sobie obce. Potwierdziłam z wahaniem, a ona mówiła dalej, tak samo oficjalnie: - Masz teraz bardzo dobry głos.

W normalnej sytuacji byłby to komplement, za który należałoby miło podziękować, a potem zmienić temat, ale między nami - przecież Jaldijan to moja siostra! Spędziłyśmy razem najgorsze lata naszego życia, cierpiałyśmy, ale udało nam się przeżyć, a teraz mamy prowadzić oficjalną konwersację?

Zniecierpliwiłam się, o mało się nie uniosłam. Byłam jeszcze podniecona po koncercie. Stać w obliczu kilku tysięcy ludzi na scenie i wiedzieć, że wszystkie oczy skierowane są na ciebie i oczekują czegoś, co w tym momencie tylko ty możesz im dać, to całkiem niezłe burzy krew. A Jaldijan wyskakuje ze swoją konwersacją!

- Powiedz coś innego! - niemal krzyknęłam. - Powiedz, że ci mnie brak! Spodziewałam się czegoś więcej! Czegokolwiek!

Powtórzyła znów bardzo rzeczowo:

- O rany, ależ ty masz piękny głos...

Łzy popłynęły mi z oczu.

- Czemu płaczesz? - zapytała.

- A jak sądzisz? - odparłam.

Na to już nic nie odpowiedziała. Ta scena **wyraźnie ją krępowała**

i zorientowałam się, że szuka pretekstu, żeby się ze mną pożegnać. Nie było to potrzebne, wyszłam jej naprzeciw - ze szlochem popędziłam do garderoby.

Czy straciłam kontakt z siostrami?

Wielka nagroda

Pierwszy przełom w mojej karierze nastąpił na początku roku 2003. Zbliżałam się do trzydziestki, trochę już wiedziałam o tym, jak kręci się muzyczny interes i miałam za sobą płytę z dwoma dziesiątkami songów, do których sama napisałam teksty i muzykę. Ich aranżacja nie była jeszcze wprawdzie doskonała, ale już jakoś do przyjęcia. W tym czasie ludzie z TAZ, lewicującego „Berliner Tageszeitung”, szukali kandydata lub kandydatki, którego lub którą mogliby wysłać na niemieckie eliminacje do Grand Prix Eurowizji 2003.

Zwrócili się do wytwórni Polydor, której menadżerowie najpierw zaproponowali im jakąś chłopięcą grupę, ta jednak nie odpowiadała ludziom z TAZ. Bossowie płytowi poradzili więc dziennikarzom, żeby obejrzel ich stronę internetową. Tam natrafili na moje prace i z miejsca wpadli w zachwyty. Umówiłam się z ludźmi z redakcji, od których zależała decyzja, przyniosłam moje CD, coś zaśpiewałam i tym razem także „z miejsca” zostałam zaangażowana. Spodobało mi się, że ludzie z gazety zainteresowali się nie tylko tym, jak wyglądam, moim życiorysem i pochodzeniem, ale także spodobała im się moja muzyka, śpiew i atmosfera, jaką potrafiłam wokół siebie wytworzyć.

Zapowiadała się trudna walka; zmierzyłam się z takimi konkurentami, jak niezwykle wówczas popularny, znany z imitacji kanclerza Elmar Brandt, który był kandydatem „Bildzeitung”, a piosenkarka Lou, wytypowana do konkursu przez autora szlagierów i impresaria Ralpha Siegely zaśpiewała jego piosenkę „Lefs Get Happy”.

Lou wygrała zawody, bo reprezentowała rodzaj muzyki, który w Niemczech ciągle jeszcze ma największe szanse na Grand Prix ławą rozrywkę, która nikogo nie drażni. Ja zaśpiewałam swoje „Serce z lodu”, trudny, aluzyjny tekst do pulsującej, nieco melancholijnej muzyki - i ostatecznie zdobyłam czwarte miejsce w eliminacjach narodowych. To nie była piosenka masowa, ale wystarczająco dobra, żeby zdobyć

uznanie i wielki poklask w całym kraju. Było to dla mnie - zupełnie szczerze! - ważniejsze niż zdobycie pierwszego miejsca w Grand Prix, bo nie zależało mi na tym, żeby zostać jednodniową bohaterką, która za chwilę popadnie w zapomnienie; chciałam budować swoją karierę jako piosenkarka i autorka tekstów i uznałam, że do tego znakomicie nadaje się mój niespodziewany prestiżowy sukces odniesiony przez „Serce z lodu”. W ślad za tym poszły niezliczone występy, w telewizji i na żywo na scenie, w czasie których miałam szansę zaprezentować szerszej publiczności nie tylko piosenkę konkursową, ale także wiele własnych songów.

Nie spodobało mi się to, że wielu dziennikarzy, pisząc o mnie, zwracało uwagę tylko na moją przeszłość, czasy kiedy byłam dzieckiem-żołnierzem, na moje życie jako Afrykanki w Niemczech. Rozmawiając ze mną, pytali, czy spotkałam się kiedyś z jakimiś rasistowskimi wybrykami, ale ja zawsze przeczytałam. Z jednej strony nie podobał mi się ten koń, na którego bardzo chciano mnie wsadzić, a z drugiej rzeczywiście prawie nie miałam tego typu doświadczeń. Najbardziej jaskrawo przedstawiała się sprawa w samej redakcji TAZ.

- W żadnym wypadku nie wolno ci powiedzieć w jakimkolwiek wywiadzie - pouczała mnie pani redaktor jeszcze przed ostatecznym werdyktem - że nigdy nie spotkałaś się w Niemczech z rasizmem.

Nie mogłam traktować poważnie takich pouczeń.

- Zaraz - powiedziałam - chwileczkę, może mam twierdzić, że jakiś typ zachowywał się wobec mnie jak rasista, nawet jeżeli tak nie było? Czy mam mówić tak tylko dlatego, że wy jesteście lewicowi?

Dziennikarze upierali się przy swoim.

- Coś przecież musiało być...?!

- Ja niczego takiego nie doświadczyłam, wiem co mówię.

To było wszystko, co miałam na ten temat do powiedzenia. Sytuacja robi się paradoksalna, gdy ludzie są rozczarowani, że ktoś nie spotkał się z przejawami rasizmu. Wielu spodziewało się, że ja musiałam mieć takie doświadczenia, ale ja ich po prostu nie miałam, nawet jeżeli nie jest to zgodne ze schematem, jakiemu chcieliby hołdować niemieccy dziennikarze piszący o czarnych Afrykanach w Niemczech. Pytanie o rasizm jest takim samym stereotypem jak spodziewanie się po mnie, że będę śpiewała za darmo dla każdej organizacji mającej związek z Trzecim Światem tylko dlatego, że pochodzę z Erytrei. Ja

uprawiam przecież pewien zawód, jestem zawodową piosenkarką, żyję z muzyki, chociaż nie tak dobrze jak wielu innych niemieckich muzyków. Dlaczego ci biali, dobrze sytuowani zawodowcy nie występują w każdym koncercie na rzecz Trzeciego Świata? Ci, którzy nie muszą już toczyć codziennej walki o byt, co jeszcze ciągle jest moim udziałem? Dlaczego właśnie Afrykanie, którym udało się wydobyć z nędzy swojego kontynentu, muszą za tę nędzę płacić?

Często śpiewałam na rzecz takich organizacji, na przykład dla Karla-Heinza Bóhma, i robiłam to chętnie, bo los Afryki leżał i leży mi na sercu. Gdybym jednak odpowiadała pozytywnie na wszystkie tego rodzaju zaproszenia, musiałabym zawiesić na kołku zawodową karierę muzyczną już chociażby z braku czasu...

W branży

Uczyłam się, i to uczyłam się pod hasłem: „Senait uczy się, jak przeprowadzać własną wolę w muzyce”. Dla mnie oznaczało to konieczność walki z firmą płytową o to, żebym nie musiała robić jakichś komercyjnych idiotyzmów, co może przyniosłoby mi trochę więcej sprzedanych płyt cd, ale na dłuższą metę uczyniłoby szkodę, gdyż nikt w branży nie traktowałby mnie jako poważnej artystki. Oznaczało to stawienie czoła dziennikarzom, bojownikom o prawa człowieka i stowarzyszeniom dobroczynnym. Wszyscy ze względu na moje pochodzenie chcieli zrobić ze mnie bohaterkę rozmaitych występów poświęconych problemom regionu, zwracających uwagę na przykład na głód w Etiopii, nie zauważając, że mam coś do powiedzenia także na inne tematy.

Uczyłam się, jak walczyć ze zjawiskami towarzyszącymi muzycznemu biznesowi. Zadzwonili do mnie ludzie z programu Stefana Raaba z pytaniem, czy nie zechciałabym u niego wystąpić, ale ja nie chciałam. Był więc zły, kiedy potem pokazałam się u Haralda Schmidta. To jest dowcipny i fajny program.

Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, czego inni chcą ode mnie i czego się po mnie spodziewają, lecz zawsze starałam się pomyśleć o tym, czego ja chcę, a czego nie chcę od innych. Także „Playboy” próbował za wszelką cenę namówić mnie na robieraną sesję zdję-

ciową, w końcu nawet zaproponowali mi pieniądze. Powiedziałam tylko:

- Zapomnijcie o tym! To mnie nie interesuje. Nie pozuję do robionych zdjęć. Chcę być przekonująca dzięki temu, co umiem, a nie co pokazuję...

Przysięgam, że przydałyby mi się te pieniądze, nawet bardzo. Ale wiedziałam, że przegram, jeżeli będę robiła rzeczy, co do których nie jestem przekonana i których robić nie chcę.

Ludzie z branży mówią, że jestem trudna. Owszem, bywam trudna, ale co z tego? Za trudnego uchodzi każdy, kto nie jest posłuszny. Ktoś, kto potrafi powiedzieć „nie” uchodzi za trudnego, bo potrafi się bronić. Moi partnerzy na muzycznej scenie czasami skarżą się na współpracę ze mną. Nie są przyzwyczajeni do tego, żeby im mówić nie. Nie są przyzwyczajeni do tego, że ktoś nie chwytą natychmiast wszystkiego, co modne. Menedżerowie patrzą na mnie, widzą czarną dziewczynę i natychmiast otwierają swoje szufladki: „muzyka czarnych Amerykanów”, „rap”, „hip-hop”. Tymczasem te muzyczne nurty nigdy nie miały dla mnie żadnego znaczenia, dlatego więc mam z nich czerpać, sięgać do nich? Nie chcę tego, a gdybym nawet wbrew sobie to zrobiła, nic by z tego nie wyszło, bo nie byłoby to wiele warte. Kiedy mówię to menedżerom i próbuję im wytłumaczyć, że nie chcę wchodzić na scenę z hip-hopowymi songami innych autorów i z muzyką, która mi nie leży, uważają, że jestem trudna. Muszę sobie z tym jakoś poradzić.

Nigdy nie mogłam i nie chciałam wypierać się swojego pochodzenia: jestem Afrykanką, a to bynajmniej nie to samo co „Afro-Amerykanka”, jak brzmi politycznie poprawne określenie czarnych w USA. Oni fascynują mnie tylko swoją mocną chrześcijańską wiarą, której zawdzięczają twarde zasady. Poza tym ich postawy wcale mi nie odpowiadają, wprost przeciwnie, często uważam, że są naprawdę głupi. Za każdym razem, kiedy czarnemu Amerykaninowi zadaję pytanie, czy jest Afrykańczykiem, odpowiada przecząco. Już samo takie pytanie dla większości Amerykanów jest obrażą, bo są krańcowymi rasistami w stosunku do ludzi, którzy byli ich przodkami. Także czarni mają uprzedzenia wobec kontynentu, z którego pochodzą.

Amerykanie nie powinni mówić zbyt wiele o tradycji, o historii, o korzeniach. Uważają się wprawdzie za jedyne światowe mocarstwo,

ale kulturalnie często nie dorastają do pięt narodom, które chcą ocalić albo decydować o ich losie. To nie znaczy, że jestem z zasady przeciw Ameryce albo przeciw Amerykanom, przeszkadzają mi tylko pewne postawy, ich poczucie władzy, polityka.

Mimo to śpiewam po angielsku. Nie ma to nic wspólnego z USA, ale z językiem, który lubię. Jest rozumiany wszędzie, na całym świecie, jest piękny i często najlepiej pasuje do takiej muzyki, jaką uprawiam.

Angielski jest językiem, który potrafi być cudownie płynny, melodyjny i który na szczęście bardzo dobrze opanowałam. Ale ostatnio chcę śpiewać więcej po niemiecku, bo to jest język jeszcze bardziej poetycki, język o nieskończenie wielu obliczach. Widzę, że po niemiecku potrafię znaleźć odpowiednie słowo, żeby zawrzeć w moich songach to, co chcę przekazać innym ludziom.

Dzisiaj

Ważnym krokiem w moim życiu była przeprowadzka do Berlina. Decyzję podjęłam w grudniu 2002 roku przede wszystkim ze względów praktycznych: moja ówczesna firma płytowa przeniosła się właśnie z Hamburga do Berlina, podobnie jak wielu muzyków, menedżerów i innych ludzi z branży, z którymi miałam do czynienia na co dzień. Nagle okazało się, że niemal co tydzień jadę pociągiem do Berlina.

Ciesząc się z góry myślą o przyszłości, wsiadłam z kilkoma kartonami rzeczy, komputerem i przede wszystkim moimi CD do combi jednego z przyjaciół, który wiozł do Berlina mnie i moje bagaże. Szybko jednak zorientowałam się, że Berlin nie jest wesołym, pełnym życia, międzynarodowym i roztańczonym miastem, jakim może się wydawać z zewnątrz, kiedy zna się tylko eleganckie biura rozmaitych firm płytowych, najwytworniejsze przyjęcia, najmodniejsze lokale i starannie wybrane koncerty. Wkrótce po rozpakowaniu walizek, kiedy już wytyczyłam swoje codzienne trasy, najpierw na Kreuzbergu, a potem na sennym Schönebergu, na pocztę, do banku, do supermarketu, do zieleniarza za rogiem, kiedy przyjrzałam się sąsiadom i ludziom, którzy codziennie tłoczą się w U-Bahnie, zorientowałam się, że Berlin wcale nie jest jakąś kosmopolityczną aglomeracją, ale rozległym i nieco prowincjonalnym pruskim miastem. Jest brudnym, szarym zbiorowiskiem chylących się ku upadkowi koszar do wynajęcia, w których mieszkają tłumy ludzi pozbawionych złudzeń, sfrustrowanych i niedających sobie rady z życiem.

Wkrótce zaczęłam myśleć z tęsknotą o Hamburgu. Z berlińskiej

perspektywy wydał mi się miastem pełnym światła, międzynarodowym i pełnym polotu. Jak pogodnie, nie tracąc humoru i z życzliwością podchodzą tam ludzie do codziennych problemów. W Berlinie naturalnie też można bez trudu obracać się wśród samych miłych ludzi, ale pod warunkiem, że nie będziemy nigdy opuszczać gett dobrego humoru w śródmieściu albo pewnych enklaw w Charlottenbourgu i obracać się tylko w lepszym towarzystwie, nie widząc nic poza tym, nie patrząc na to, jak żyją „normalni” ludzie, ale to nie jest sposób, w jaki ja poznaję miasto.

W Berlinie także spotkałam się po raz pierwszy i ciągle się spotykam ze zjawiskiem, z którym dotychczas nigdy nie miałam do czynienia - z rasizmem. Przypomniały mi się wizyty w redakcji TAZ i nasze rozmowy na ten temat. Dopiero teraz dowiedziałam się, o co chodziło tamtejszym dziennikarzom. Przez wiele lat, jakie spędziłam w Hamburgu, nigdy nie miałam do czynienia z żadnymi rasistowskimi wypowiedziami czy zachowaniami, ale w Berlinie szybko się to zmieniło.

Teraz mogę już coś powiedzieć o przejawach rasizmu na co dzień. Takich jak przygoda z taksówkarzem, który nie reagował na moją prośbę, żeby przykręcił trochę szybę, bo jest mi zimno. Poprosiłam jeszcze raz i powtórzyłam po raz trzeci, już trochę głośniej, bo myślałam, że nie dosłyszysz. On jednak zrozumiał mnie dobrze, bo w odpowiedzi wyrzucił z siebie zdanie, po którym kazałam mu się natychmiast zatrzymać i wysiadłam z taksówki:

- Czarnuchów wprawdzie zabieram - powiedział - ale nie muszę z nimi rozmawiać.

Rasizm w Berlinie, to właśnie takie sytuacje. Berlin to twardszy orzech do zgryzienia niż Hamburg. Ludzie tutaj nie odnoszą się do siebie z szacunkiem. W dzień moich dwudziestych dziewiątych urodzin, w grudniu 2003 roku, wydałam małe przyjęcie w „Trompete”, barze Bena Beckera. Pracowałam na to przez cały tydzień, prawdziwie harowałam. Na własny koszt sprowadziłam z Hamburga swoich muzyków, przez cały dzień robiłam zakupy, przez cały dzień przygotowywałam afrykańskie potrawy i małe przekąski. To miał być fajny wieczór, piękna uroczystość, w czasie której chciałam zobaczyć ludzi, których nie widziałam od miesiący, bo wielu z nich mieszkało w Hamburgu.

Wieczór zaczął się od tego, że kiedy z kimś rozmawiałam, ukradziono mi papierosy. Leżały tuż obok, na kilka minut spuściłam je z oczu. Później tego samego wieczoru zniknęła moja torebka, w której było kilkaset euro, pieniądze na gaże i opłacenie hotelu dla dwóch muzyków, a także mój dowód osobisty, telefon komórkowy i różne drobiazgi osobiste. Złodziej był na tyle bezczelny, że z tej komórki zadzwonił do mojej kuzynki Suzy, która też była obecna na przyjęciu. Przeglądając mój dowód zorientował się, że ukradł torebkę osobie, która go gościła i wyjaśniał Suzy, że nie zamierza oddać mojej komórki ani ukradzionych pieniędzy. Zostawił tylko kartę sim w pobliskim arabskim lokaliku i powiedział Suzy, gdzie wyrzucił torebkę.

Chciałyśmy odzyskać przynajmniej torebkę, ale dawno już zniknęła, ukradziona przez kogoś innego. Dowodu osobistego nigdy nie odnalazłam.

Byłam wściekła. Dziesięć dni wcześniej w jakimś klubie ukradziono mi już portfel, w którym było kilkaset euro. Od tej pory, kiedy jestem gdzieś w tym mieście, ani na chwilę nie spuszczam z oczu swoich rzeczy.

Polityka

Przez te wszystkie lata utrzymywałam liczne kontakty z Erytreą. Erytrejczycy to mały naród, a ponieważ mieszkają rozrzucony po całym świecie, związek między nimi jest wyjątkowo silny, tak samo jak duma z każdego spośród nich, który do czegoś doszedł. W Erytrei mieszka 3,6 miliona osób, w Niemczech zapewne zaledwie kilka tysięcy Erytrejczyków. Najwięcej erytrejskich emigrantów jest w USA, Skandynawii i Australii.

Kiedy ostatnio występowałam w Kassel na erytrejskim festiwalu młodzieży, jak zawsze przedtem obecni byli także przedstawiciele rządu Erytrei. Tym razem jednak wszyscy przyszli do mnie, przywitali się, uściskali, poczulili się i musieli jeszcze wykonać ze mną tysiące fotografii. Chcieli przekonać mnie do swojej sprawy, do erytrejskiego nacjonalizmu, do EPLF, do słuszności znów narastającego po latach pokoju konfliktu z Etiopią.

Zrobiłam dobrą minę do złej gry, a potem ze sceny wyłożyłam swoje poglądy.

- Śpiewam dla was - powiedziałam - ale nie mogę się zmienić. Mój ojciec jest Erytrejczykiem, matka pochodzi z Etiopii, a ja występuję w imieniu ich obojga. Śpiewam w języku, który rozumiecie, należę do was.

Otrzymałam burzliwą owację, bo wielu spośród obecnych już od dawna miało dosyć wojny, waśni z Etiopią, wiecznie powracających haseł wzywających do nienawiści. Nawet przedstawiciele rządu Erytrei przyszli do mnie jeszcze raz po koncercie i wylewnie mi dziękowali.

Co kryło się za ich uśmiechniętymi twarzami, dowiedziałam się dopiero z e-maila pewnego Niemca, który interesował się sprawami Erytrei. Napisał:

- Senait, ja i moja żona zawsze cię podziwialiśmy, ale to jest dla nas zdrada. Jak mogłaś wystąpić w Kassel na rzecz rządu Isajasa Afwerki. Przecież sama byłaś w ELF, więc wiesz, co oni robią z dziećmi...

Początkowo nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale potem zasięgnęłam dokładnych informacji i doszłam do przerażającego wniosku: w Erytrei do dziś nic się nie zmieniło. Ciągłe jeszcze zabiera się dzieci z ich domów, od rodzin, i tresuje na żołnierzy. Widziałam zdjęcia z Dogali, miejscowości między Asmarą a Massauą. Na fotografiach widać było zburzone, opuszczone w czasie ostatniej wojny miasto cieni, które teraz służy wojsku jako poligon, na którym przygotowuje się dzieci do kolejnej wojny z Etiopią.

Afwerki, obecny prezydent Erytrei, w czasie wojny domowej i walk z Etiopią sam był członkiem EPLF i należał do takiej dziecięcej jednostki. To wtedy najwyżsi przywódcy zwrócili uwagę na jego wyjątkową odwagę i przedsiębiorczość, a w końcu dochrapał się funkcji szefa państwa.

W innych krajach Afryki sytuacja jest jeszcze gorsza, na przykład w Ugandzie, gdzie o wiele więcej i o wiele mniejszych dzieci jest wcielanych do wojska. Poza tym dzisiejsze karabiny automatyczne są o wiele lżejsze i mniejsze, więc dzieciom łatwiej się nimi posługiwać niż ogromnymi kałasznikowami, jakie dawano nam za moich czasów. Handlarze bronią robią coraz lepsze interesy z nieprzewidywalnymi dyktatorami w całej Afryce i przywódcami niezliczonych, często mikroskopijnych partyzanckich armii, z całą bezwzględnością wybi-

jających siebie nawzajem, a przy okazji także ludność cywilną, jak to się dzieje na przykład w Liberii albo w Sierra Leone. Do podobnych rzezi dochodziło wcześniej również u nas. Za panowania w Etiopii cesarza Hajle Selassie w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku jego żołnierze starli z powierzchni ziemi wiele erytrejskich wiosek, nie oszczędzając nawet dzieci, szczególnie chłopców, którzy mogliby być w przyszłości żołnierzami powstańczych armii.

Dzisiaj wprawdzie w Erytrei i w Etiopii nikt już się nie wyżyna, ale z tego jeszcze bynajmniej nie wynika, że w obu tych krajach zaplanowała demokracja. Nie ma tam mowy o wspólnym decydowaniu, nawet jeżeli państwa oficjalnie zachowują w nazwach przymiotnik „demokratyczne”. Mamy do czynienia z dyktaturami, bo jak inaczej nazwać sytuację, kiedy w kraju zezwala się na istnienie tylko jednej partii i nie wolno tworzyć opozycji? Tak jest w Erytrei i tak samo w Etiopii. Nie dzieje się inaczej niż kiedyś: oddziały wojskowe porywają dzieci z ulicy albo zabierają rodzicom z domów i musztrują na żołnierzy, nawet jeżeli teraz są to dzieci, które „już” skończyły czternaście, piętnaście lat, a nie takie małe jak za moich czasów.

Kraj zmienił się mniej niż prezydent Erytrei, Isajas Afwerki. Jako przywódca EPLF był młody i zbuntowany, podawał się za walczącego o wyzwolenie kraju socjalistę. Kiedy w 1991 roku zakończył zwycięsko walki z Etiopczykami, a po referendum w 1993 doprowadził do uniezależnienia Erytrei od Etiopii i fetowano go na całym świecie, wyszedł ze swoimi ludźmi na ulicę, a towarzyszyły mu tłumy dzieci wznoszących radosne okrzyki. Dzisiaj Afwerki jest takim samym prezydentem jak wielu innych, ma wielką władzę i jest nieprzystępny. W kolumnie opancerzonych mercedesów pędzi przez kraj, który często jeszcze przymiera głodem, a w każdym razie jest zależny od międzynarodowej pomocy humanitarnej. Zawsze chodzi w mundurze i gra silnego mężczyznę. Zbyt wielka władza zmienia jednak ludzi, co rzadko wychodzi im na dobre.

Wielu moich erytrejskich krewnych i przyjaciół tutaj, w Niemczech, ma serdecznie dosyć tych spraw. Na przykład moje kuzynki, Suzy i Ruta, urodziły się jeszcze wprawdzie w Afryce, ale wychowywały się w Hamburgu, i ludzi z naszego kraju uważają po prostu za okropnych. Stawiają na Amerykę, na hip-hop i rap. O Afryce nie mają

pojęcia. Kiedy mówię w naszym języku tigrinia, który one wprawdzie rozumieją, bo nauczyła je matka, ale z trudem się nim posługują, są zawsze trochę urażone.

- Senait, to zdumiewające - powiedziała kiedyś do mnie Suzy - ty mówisz w języku tigrinia tak jak starzy. Wyrażasz się jak babcia. Gdzie się tego nauczyłaś?

To nie miał być komplement, lecz przygana.

- Cóż, starałam się go nie zapomnieć i poprawnie mówić - odparłam.

Kiedy jesteśmy we własnym gronie, a ja mówię coś w naszym języku, zaśmiewają się do rozpuku. Pewnego razu jednak gdzieś razem jechałyśmy i Suzy prosiła mnie niemal bez przerwy:

- Proszę, nie mów ze mną w U-Bahnie albo w S-Bahnie w języku tigrinia.

Uważała, że to straszne.

Zapytałam:

- Co straszego jest w tych słowach? - i zaczęłam wykrzykiwać na cały głos *Anti anchuwal*, co znaczy „jesteś myszą”, bo to mi po prostu przyszło do głowy. Kuzynki wpadły w popłoch, inni pasażerowie w ogóle nie rozumieli, o co chodzi, a ja cieszyłam się, że udało mi się wyprowadzić z równowagi te dwie „geśi”, jak je czasami nazywałam.

Złość albo zazdrość

Często myślałam o moich kuzynkach ze złością, ale także z zazdrością! Są tylko trochę młodsze ode mnie, ale dla mnie są zupełnie jak dzieci: całkowicie beztroskie, nie interesują się swoim pochodzeniem, przeszłością, rodziną. Nie ma dla nich znaczenia to, że ich matka jako dziecko była żołnierzem i codziennie miała do czynienia z mordami i śmiercią. Suzy i Ruta nic o tym nie wiedzą, bo były jeszcze niemowlętami, kiedy ich matka opuściła Afrykę.

Wobec takiego braku świadomości wahałam się między złością a zazdrością. Chciałabym móc żyć tak z dnia na dzień, interesować się tylko nowymi ciuchami, zdobywaniem nowych przyjaciół, nowymi telefonami komórkowymi i filmami, jakie idą w kinach. Okay, przesa-

dzam. Moje obydwie „gaški” nie przez cały czas zajmują się tym, co jest właśnie w modzie, to byłoby złośliwe pomówienie. Ale bardzo wyczerpująco i z wielką przyjemnością zajmują się takimi sprawami.

Często myślę, że one mogą oddawać się swoim miłym, błahym codziennym sprawom, a ja nie potrafię uwolnić się od analizowania, mędrkowania i wspomnień, czy tego chcę, czy nie. U mnie jedno łączy się z drugim, nie potrafię oddzielić mojego dziś od mojej przeszłości. Moje piosenki są Afryką. Moja muzyka i teksty nigdy by nie powstały, gdyby nie było Dżebhy. Nie doznawałabym regularnie ataków strachu, gdyby nie straszne przeżycia. To, że jestem jednak szczęśliwa, wynika z dobrych doświadczeń, które przecież też były moim udziałem.

Z moim życiem jest tak, jak z rachunkowością w średniej szkole ekonomicznej, w której zrobiłam maturę. Tam też nigdy nie zaczyna się całkowicie nowego tematu, lecz jeden jest nabudowany na drugim: najpierw sporządza się inwentarz, potem przygotowuje kosztorys, potem składa zamówienie. Jeżeli ktoś opuści jakiś temat, będzie miał lukę w wykształceniu, która zawsze będzie mu doskwierać. Tak jak z domem, w którym zabrakłoby jednej cegły. Podobnie ma się rzecz z moimi uczuciami i z moimi katastrofami: do piętnastego roku życia, dopóki ostatecznie nie wyniosłam się z domu, katastrofa następowała po katastrofie. Jedna narastała na drugiej, i byłam w coraz gorszym stanie, zarówno psychicznym, jak i fizycznym. Za dużo było tego wszystkiego. Za dużo wojny, przemocy, nienawiści i lekceważenia.

Dopiero dzisiaj wiele z tego, co przeżyłam, mogę traktować jako już zakończoną walkę, o której jeszcze niedawno nie byłam w stanie rozmawiać, a w każdym razie z bardzo nielicznymi ludźmi. Dzisiaj wiele z tych spraw już przetrawiłam, nie udało mi się to tylko z wykorzystywaniem seksualnym. Z tym się jeszcze nie uporałam, do tych przeżyć nie potrafię jeszcze podchodzić z dystansem czy obojętnie o nich opowiadać. Dlatego wolę je przemilczać. Nawet jednak nad tymi najokrutniejszymi momentami mojego życia byłabym w stanie przejść jakoś do porządku, gdyby nie doszła do tego wojna, Dżebha, ELF. Wszystko to razem mnie przerastało. Po tym wszystkim, co przeżyłam, często jeszcze trudniejszą sprawą wydaje mi się zadośćuczynienie za szkody, jakie mi poczyniono, niż same przeżycia.

Bez przerwy szukam przyczyn moich strachów. Skąd się biorą

moje nocne koszmary? Dlaczego robi mi się dziwnie, kiedy widzę broń? Wpadam w panikę już na widok jakiegoś z tych śmiesznych małych pistoletów-zapalniczek. Wbrew własnej woli tracę niemal przytomność. Staram się wydobyć to na powierzchnię mojej świadomości, ale to niewiele pomaga. Kiedy znów znajduję się w takiej sytuacji, automatycznie reaguję paniką.

W moich snach, w moich sennych koszmarach ciągle powracają obrazy z przeszłości. Wtedy znów widzę nabrzmiałe ciała koło obozu w prowincji Gesz Berka. Ciągle jeszcze nie jestem w stanie zasnąć w ciemności. Muszę mieć światło przy łóżku, bo wpadam w panikę, kiedy budzę się przerażona z jednego z takich koszmarów, a wokół mnie jest tylko ciemność, która chce mnie pożreć. Zawsze pozostawiam włączony telewizor - w domu, w hotelach. Głosy, ruch, kolory dają mi przynajmniej trochę poczucia bezpieczeństwa i mogę myśleć, że świat się jeszcze kręci. W innym czasie i w innym miejscu nie pozwoliłabym, żeby w nocy zgasło moje obozowe ognisko. W pokoju w Berlinie nie mam ogniska, więc nie wyłączam telewizora.

Zdarzają się także inne sny. Jeden ciągle powraca: widzę siebie, ubraną modnie i po europejsku, taką jaką jestem dzisiaj, jak idę ulicą, a obok mnie biegnie mała, obdarta, zabiedzona dziewczynka. To też jestem ja jako dziecko. Idziemy obok siebie. To smutne, ale i wzruszające, kiedy widzę siebie taką. Są to dwie strony mego życia, które ze sobą sąsiadują, zawsze i jednocześnie.

Wtedy w Hamburgu myślałam, że kiedy wyrwę się z domu, wreszcie głęboko odetchnę i za jednym zamachem wszystko z siebie wyrzucę, na zawsze. Uważałam, że jestem niepokonana, ale to była największa pomyłka mojego okresu dojrzewania: nie mogłam strząsnąć z siebie swojego dzieciństwa, wczesnej młodości i tego wszystkiego, co zaszło w ciągu tych lat, nie mogłam zrzucić tego z siebie jak skóry, z której wyrosłam. Wspomnienia trzymały mnie mocno w swojej władzy, przylgnęły do mnie. Czepiały się mnie, wysysały, często doprowadzały do upadku. Musiałam wiele przemyśleć i dużo rzeczy sobie uświadomić, żeby pozbyć się tej za ciasnej skóry mojej przeszłości.

Przegran i zwycięzcy

Błędem było to, że za wszystko, co było moim udziałem, zawsze winałam tylko siebie, a nie innych, nawet nie mojego ojca. Nigdy nie obwinałam go o to, że jako dziecko-żołnierz musiałam brać udział w wojnie, zawsze szukałam winy w sobie. Tak myślałam, tak żyłam, tak czułam... i tak się wykończyłam. Często sprawiałam sobie ból, bo uważałam się za straconą, głupią, idiotkę, niezdolną do życia. Odnosiłam do siebie wszystko co najgorsze i nie potrafiłam dostrzec swoich pozytywnych stron.

Mimo to nigdy nie byłam typem człowieka przegranego. Tak jest do dziś, a jestem na tyle przekorna, żeby trwać na tej pozycji. Ta przekora, przynajmniej do tej pory, jest moim jedynym ratunkiem, sprawia, że żyję i że prowadzę takie życie, jakiego pragnęłam. Niesamowita przekora, która cechowała mnie zawsze, od samego początku. Ta przekora zadziałała, kiedy ojciec oświadczył mi w Hamburgu, że na pewno skończę na ulicy. W szkole wkuwałam potem jak wariatka, dwa razy więcej niż przedtem, i zdałam maturę z trzecią lokatą w mojej klasie - z przekory. Ale na dłuższą metę ta przekora już mi nie wystarcza. Muszę ją czymś uzupełnić. Czymś pozytywnym, jeszcze bardziej własnym. Może po prostu muszę tylko wydoroeleć.

Kiedy się nad tym zastanawiam, zawsze powracam myślą do ludzi w Erytrei, którzy nie mają takich problemów z tożsamością. Myślę także o ludziach mi bliskich, o artystach, piosenkarzach. Na przykład o Helen Meles, najbardziej znanej piosenkarce Erytrei. Piosenki Helen są całkowitą odwrotnością tego, co ja uczyniłam tematem swoich. Helen śpiewa: „Jesteśmy niepodlegli, jesteśmy wolni...”. To są pieśni triumfalne, niezłomne, czyste, które wyrosły z głębokiego przekonania. Ja natomiast śpiewam na przykład tak: „Nie wiem, czemu to służy, co będzie dalej...”. Moje teksty są pełne zadumy, ostrożne, wątpliwe.

Ja jestem wątpliwym przeciwieństwem promieniejącej triumfatorki. W Helen tkwią jeszcze wszystkie hasła, jakie jej wpojono i na które nigdy nie spojrziała z dystansu. Z nami, Erytrejczykami, którzy zdołali uciec do Europy lub Ameryki, jest inaczej. Nagle znaleźliśmy się w swoich własnych czterech ścianach, w których wszystko jest pokojowe, bezpieczne, czyste, uporządkowane i spokojne, i pytaliśmy

z niedowierzaniem: „Co? Byłaś żołnierką?! Już jako dziecko?”. Dopiero tutaj uzyskaliśmy możliwość zastanowienia się nad swoim życiem. W Afryce nie było na to szans. Tam jedyną polityką i jedyną religią była walka o wolność i niezależność kraju. Inne kategorie nie istniały. Wobec tego nie było miejsca na wolność jednostki.

To te wątpliwości sprawiały, że większość z nas, emigrantów, ma takie kłopoty ze sobą - w przeciwieństwie do ludzi, którzy nigdy nie wyjechali z Erytrei. Helen wychodzi na scenę i śpiewa: „Walczę o wolność... mamy niepodległość... nikt nas nie dosięgnie... udało nam się...!” i jest w zgodzie z sobą. Ja śpiewam: „O Boże, jak wytrzymam z moją duszą, ona jest w rozsypce...”. Na tym polega różnica.

Bardzo się uśmiełam, kiedy Lula, jedna z moich erytrejskich przyjaciółek, która jako dziecko także była żołnierką, powiedziała mi:

- Senait, jestem dumna z tego, że walczyłam.

Od dziecka była tak wychowana przez rodziców, w przedszkolu, w szkole. Z jaką dumą i pewnością siebie to mówiła! Dodawała do swojej opowieści nie tylko curry, ale także pieprz i sól, z takim smakiem o tym opowiadała. Nie udawała, ona tak to odczuwała i tak samo odczuwa to większość żołnerek, które mieszkają w Erytrei. Tak je wychowano, że walkę o kraj uważają za swój obowiązek. Są dumne z tego, że były żołnierkami.

Kiedy przyjeżdżają tutaj, kiedy zaczynają mieszkać w Europie, duma mija. Żadna „europejska Erytrejka” nie jest z tego dumna. Dopiero tutaj wszyscy, którzy będąc dziećmi walczyli w Afryce, uświadamiają sobie, jakie to wszystko było straszne. Dla takich ludzi jak ja jest dom dla obłąkanych w Asmarze, tam trafiają ci, którzy myślą w ten sposób i mają tyle wątpliwości co ja, bo są uważani za nieuleczalnych, kompletnych wariatów. Zamyka się ich za drzwiami bez klamek - i na tym polega leczenie. O pomocy psychiatrycznej nie ma tam mowy.

Gdybym wyrastała w Erytrei albo ciągle jeszcze tam mieszkała, na pewno myślałabym dokładnie tak samo jak Helen. Jestem o tym święcie przekonana, bo wiem, jak silny wpływ wywiera na człowieka otoczenie. Przede wszystkim na takich ludzi, którzy nigdy nie mieli okazji poznać innego świata niż ten, w którym wyrastali.

To samo dotyczy Niemiec. Tutaj ludzie walczą o wykształcenie. Walczą o to, żeby należeć do tej czy innej grupy ludnościowej albo warstwy społecznej. Tutaj głównymi sprawami są kariera, sukces, władza,

pieniądze i wewnętrzna satysfakcja. Dla Niemców zadowolenie wiąże się przede wszystkim z tym, żeby mieć wszystkie dostępne przedmioty materialne i osiągnąć nienależność finansową. W Afryce niezależność dotyczy kraju - Erytrea ma być niezależna. Poza tym chodzi tylko o to, żeby mieć dzieci i rodzinę. Każdy tam mówił do mnie:

- Musisz zostać matką!

Niezależność finansowa jest dla większości ludzi w Erytrei jedynie odległym marzeniem, dlatego nie zwracają sobie nią głowy. Nikt prawie nie stawia tam na swoją karierę, bo nie istnieje kariera, którą można zrobić - chyba że wyjeżdżając.

W Niemczech nauczyłam się, co to znaczy być wolnym. Spróbowałam więc się do tych wolnych ludzi dopasować. Chciałam być taka jak oni. Mimo to zawsze dręczyły mnie jeszcze jakieś inne problemy, i dopóki nie zdołałam się z nimi uporać, nie pasowałam do tego życia, bo nieustannie miotałam się między moją starą a nową tożsamością.

Przetworzyć, wyprzeć, wyrugować, zapomnieć - mogę wybierać, co chciałabym zrobić z moją przeszłością. Dla Erytrejczyków, którzy pozostali w swojej ojczyźnie, żadna z tych trzech możliwości nie wchodzi w grę. Wcale nie chcą wypierać swoich przeżyć lub zapominać o nich. Są dumni z tego, co przeżyli. Opowiadają o tym z pewnością siebie i dumą, podczas gdy mnie dręczą pytania: „Kim jestem?”. Albo: „Czym jestem?”.

Mimo tych problemów zdumiewająco dobrze nauczyłam się kochać siebie. Lubię Senait Ghebrehiwet Mehari. Niezależnie od tego, kim i czym jest. Lubię tę osobę, podoba mi się. Nikt nie zna jej tak dobrze, jak ja.

Czy to nie dziwne, że piszę o sobie w trzeciej osobie? Nie, proszę się nie obawiać, nie mam rozwojenia jaźni. Ale kto zawsze myśli o sobie „ja”, myśli tylko tak, jak chcą właśnie jego myśli. Kto natomiast opuszcza własne ciało i umie spojrzeć na nie i ocenić jako ktoś z boku, ten dowiadyuje się o wiele więcej. Kto wsłuchuje się we własny tekst, rozumie go o wiele lepiej.

Słuchając swoich songów, żeby je poprawić, i czytając swoje teksty, żeby coś jeszcze w nich zmienić, myślę często:

- O Boże, skąd przyszedł ci do głowy ten wers? Właśnie o to chodzi!

Czasami mnie samą zadziwiają teksty, które piszę. Piszę je natu-

ralnie tak, jak w tym momencie czuję, ale kiedy potem świadomie tego słucham, zadaję sobie pytanie:

- Jezu, skąd mi się wzięły te wiersze!?

Wzięły się stąd, że czasami potrafię wyjść poza siebie.

Pomocą w tym wszystkim jest moja wiara. To, że moi dziadkowie zawieźli mnie na chrzest do Jerozolimy, jeszcze dzisiaj jest dla mnie czymś ważnym. W Niemczech prawie nigdy nie chodzę do kościoła, nie płacę nawet podatku kościelnego. Nie jestem przy tym wcale skąpa, ale kultura, jaką nasiąkałam od dzieciństwa sprawia, że po prostu nie mogę pojąć, dlaczego trzeba płacić podatek, żeby móc modlić się do Boga i wysłuchiwać wskazówek, jak postępować następnego dnia. Nie mogę zrozumieć, że pastor to jest normalny zawód z prawem do urlopu, trzynastej pensji i uprawnieniami emerytalnymi. Dla mnie kapłan to stan serca, powołanie, któremu ktoś się oddaje pełen zachwyty, a nie dlatego, że szuka pracy.

W Afryce księża żyją z datków od wiernych. Jeżeli są złymi księżmi, nie dostają datków i muszą poszukać sobie innego zajęcia. Ten system wydaje mi się o wiele bardziej uczciwy niż europejski. W Afryce ludzie chodzą do kościoła, żeby wspólnie się pomodlić i pośpiewać. Żeby coś poczuć. Żeby poczuć, że są razem, a nie po to, żeby co niedzielę wysłuchiwać przez godzinę dobrych rad, jak to często obserwowałam w Niemczech. To mnie nie interesuje, uważam, że to strata czasu. W moim przekonaniu uczciwiej jest modlić się samotnie w domu.

Często modlę się o to, żeby udało mi się przezwyciężyć swoją przeszłość. Nie chcę być dłużej ofiarą własnych przeżyć. Już mi nie wystarcza bycie ofiarą i wierzę, że uda mi się wyjść z tej roli.

Jedynym, co mogłoby mnie pokonać, jest choroba. Na razie nie udało się to nawet malarii. Tak często miałam z nią do czynienia, że zostałyśmy tymczasem dobrymi przyjaciółkami także tutaj, w Niemczech. Co cztery lata puka do moich drzwi. Toteż muszę być pod stałą kontrolą lekarską. *Malaria tropica* to najwierniejsza towarzyszka, jaką można sobie wyobrazić. Jej wirus nie ginie, ale dotychczas nie udało mu się ze mną wygrać. Czasami myślę, że to wszystko nie może być przypadkiem. W takim razie czym? Losem? Przeznaczeniem? Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jednej rzeczy nie życzę sobie na pewno - współczucia. Współczucie jest wstrętne. Na współczucie zawsze mogę liczyć.

W takim razie wolę już zasłużyć na zazdrość. Zazdrość jest w porządku. Chcę być naprawdę dumna z tego, co robię.

Czuję, że powoli wchodzę w nową fazę życia. Wprawdzie z wielu rzeczy nie jestem dumna, ale jestem trochę dumna z siebie. Mogę to powiedzieć, bo tak czuję i wiem, że muszę tak myśleć, jeżeli nie chcę utonąć. Mam za sobą sześć lat terapii i wiele w tym czasie zrozumiałam. Lubię Senait - i to jest coś nowego - lubię ją nie tylko w chwilach radości. Lubię Senait także wtedy, kiedy płacze.

Jutro

W przyszłości życzyłabym sobie przede wszystkim uznania. Nie chcę prezentów, wygranej na loterii, lecz chcę uznania dla tego, co osiągnęłam - w muzyce, w życiu, w pracy. W mojej dziedzinie, w śpiewaniu i pisaniu songów, chcę zdobyć wszystko, co można zdobyć i czuję, że coś mi się uda. Potrzeba mi jeszcze trochę czasu. Muszę dożyć do sześćdziesięciu lat, przynajmniej. Wiem, że dla Europejczyków to nie jest dużo, ale u nas w Afryce za bardzo starego, doświadczonego i mądrego uchodzi każdy, kto może powiedzieć o sobie: mam sześćdziesiąt lat, słuchajcie mnie!

Wiem, że odniesienie sukcesu w pracy zawodowej - w moim przypadku jest to muzyka - to nie wszystko. Jeżeli odniosę sukces tu u nas, będę wprawdzie miała pieniądze - a wtedy zaakceptują mnie przynajmniej ludzie powierzchowni, bo tacy zawsze chcą mieć jakiś kontakt z człowiekiem sukcesu - ale to jeszcze nie znaczy, że będę szczęśliwa. Chciałabym jednak zadowolić Senait, a nie tylko mój pozór zewnętrzny. Dla mnie jest ważne, żeby Senait była szczęśliwa. Chcę widzieć, jak się śmieje jej dusza. Chciałabym mieć rodzinę, chciałabym mieć dzieci. Chcę móc chlubić się swoimi doświadczeniami. Czasami myślę, że dużo chcę i może za wiele wymagam. Sądzę, że powinnam być skromniejsza.

No więc życzę sobie przede wszystkim długiego życia, bo inaczej nie starczy mi czasu na to wszystko, co zamierzam - na przykład na dzieci. Będę najfajniejszą mamą na świecie, z całą pewnością, ja to wiem. Tak świetnie umiem radzić sobie z dziećmi! Mam sąsiada,

który codziennie usprawiedliwiał się przede mną z powodu dzieci. Powiedziałam mu:

- Uwe, daj spokój!

Dzieci nie mieszkają z nim, ale kiedy przychodzą do niego, wszystkie przesiadują w moim pokoju. Są to dwie dziewczynki, trzyletnie bliźniaczki, i jedna starsza, która skończyła właśnie dwanaście. Te trzy dziewczynki nie wychodzą pobawić się na dwór i nie chcą wracać do domu, kiedy są u mnie. Leżymy wszystkie trzy na tapczanie i rozmawiamy, wygłupiamy się, czytamy, oglądamy filmy rysunkowe. Są to najpiękniejsze momenty w moim życiu. Uwe powiedział już kilka razy:

- Nigdy jeszcze nie widziałem kogoś, kto ma tyle cierpliwości do dzieci.

Ma do mnie pełne zaufanie. O tym zawsze marzyłam, o dzieciach.

Chciałabym, żeby moje dzieci i ich dzieci pewnego dnia powiedziały:

- Wiesz, kim była moja matka, moja babcia? Do czego doszła?

Najważniejsze, żeby to nie było nic złego, a coś pięknego, boskiego. Chcę umrzeć jako dobry człowiek, żeby to wreszcie wyrazić bez owijania w bawełnę.

Dlatego nie mogę dalej zajmować się tym, co złe. Dlatego muszę odsunąć od siebie negatywne energie. Dlatego nikomu nie życzę źle - także mojemu ojcu, nawet jeżeli po przeczytaniu tego, co napisałam, mogłoby się czasem tak wydawać. Pierwszą rzeczą, jaką chcę zrobić, kiedy zarobię muzyką trochę pieniędzy, jest zbudowanie domu dla mojego ojca. Marzę o tym, od kiedy jestem w Niemczech: żeby za pierwszy zarobiony milion postawić dom dla ojca, w Afryce. To pragnienie jest niezmiennie, ale tymczasem wiem, że potrzebuję na to o wiele mniej pieniędzy niż milion. Ojciec mieszka obecnie w małym mieszkaniu socjalnym w Kassel, ale ja chciałabym zbudować mu dom w Erytrei, nad samym morzem. Żeby tam mógł się spokojnie zestarzeć i umrzeć.

Wiem, że ojciec chce wrócić do Afryki. Chce tego, tak jak wszyscy mieszkający w Europie starzejący się Afrykanie. Na razie nie może jednak wrócić, bo nie ma pieniędzy, a także dlatego, że narobił tam sobie zbyt wielu wrogów. Nie wiem, dlaczego tak się stało. Żeby go

zrozumieć, musiałabym wiedzieć bardzo dużo o jego życiu. Tymczasem nie wiem o nim nic. Nie wiem, kim jest. Widzę tylko to, co robi. Słucham, co powinien zrobić, ale właściwie go nie znam, bo nie wiem, co myśli. A ja nie oceniam człowieka tylko na podstawie tego, co robi, lecz chcę wiedzieć, dlaczego coś zrobił i o czym wtedy myślał.

Chcę wiedzieć, dokąd prowadzi mnie ta droga, która już tyle razy ocierała się o śmierć. Tak często udawało mi się jej uniknąć, że nie mogę wierzyć już w przypadki. Czuję, że coś trzyma mnie na ziemi, jakaś siła, która mnie chroni, prowadzi i odsuwa ode mnie śmierć.

Szacuje się, że przeżyła najwyżej jedna trzecia bojowników Dżebhy, przede wszystkim starsi i bardziej doświadczeni. Przeżyli ci, którzy najszybciej biegali, najdłużej mogli maszerować i najlepiej celowali. Dzieci zawsze były bardziej narażone w boju niż starsi, bardziej doświadczeni żołnierze. Czy nie graniczy to z cudem, że właśnie moje siostry i ja wyszłyśmy z życiem z tego piekła?

Zawsze wzbraniałam się przed zabijaniem. I miałam cholerne szczęście, bo Bóg stoi po mojej stronie. Od kiedy o tym wiem, uważam swój los za znośny. Nie chcę niczego zmieniać w mojej przeszłości. Wiem, że każdy może sam wziąć w ręce swoje życie.

Nie boję się śmierci, bo mam swoją wiarę. Wierzę w życie pozagrobowe, obojętne gdzie. Mimo to nigdy jeszcze nie chciałam umrzeć i nie chcę umierać także dzisiaj. Chciałabym jeszcze żyć, czerpać przed śmiercią radość ze swojego życia. Chcę, żeby Senait była szczęśliwa. Kiedy Senait jest zadowolona, myślę, że potrafię swoją muzyką dać radość także innym ludziom.

Dzieci-żołnierze

ziedi walczące w wojnach to pomysł najnowszych czasów - przed wynalezieniem prochu dzieci nie miałyby najmniejszych szans w walce na miecze albo na łuki i strzały z dorosłymi. Również żadne dziecko nie zdołałoby wytrzymać odrzutu dawnych karabinów. Dopiero karabin o zmniejszonej sile odrzutu - amerykański M-16 albo rosyjski AK-47, lepiej znany jako „kałasznikow”, mógł być śmiercionośną bronią nawet w rękach niewyszkolonej, źle odżywionej dziewczynki.

Ponieważ konflikty zbrojne wybuchają dzisiaj często w nierozwiniętych, biednych regionach świata, prowadzący wojny zmuszeni są do oszczędności. Pomagają im w tym dzieci: są tanimi bojownikami, bo jedzą mniej niż dorośli i nie wymagają żołądu - tylko kilku tanich pigułek szczęścia, dzięki którym można utrzymać je w dobrej formie. Dzieci szybko się uczą i nie są towarem deficytowym, wprost przeciwnie: co drugi mieszkaniec Afryki i Azji Południowo-Wschodniej nie ma jeszcze osiemnastu lat. Wysoki przyrost naturalny sprawia, że szybko można zastąpić zabitych. O ile niewolnicy byli dla swoich panów cennym towarem, dzieci-żołnierze są dzisiaj niewiele wartym odrzutem produkcyjnym.

Liczby

Obecnie w Afryce, Ameryce Łacińskiej, Azji i Europie Wschodniej ok. 22 miliony dzieci i niepełnoletnich nieustannie ucieka. Uciekają także dlatego, żeby nie musieć iść na wojnę, uciekają przed tym, żeby nie

zabijać lub żeby ich nie zabito. Według badań Organizacji Narodów Zjednoczonych na całym świecie w armiach rządowych, milicjach albo oddziałach lokalnych watażków walczy przeszło 300 000 dzieci i młodocianych poniżej osiemnastu lat. W samej Europie tysiące młodocianych brało udział w wojnach domowych, takich chociażby jak ta w Kosowie. Tylko w Afryce jest 120 000 dzieci-żołnierzy, przede wszystkim w Ruandzie, Angoli, Kongu, Sierra Leone - a także w Etiopii i Erytrei. Już pięcioletnie dzieci są zatrudniane jako tragarze lub zwiadowcy. W latach 1986-1997 w wyniku działań wojennych zginęło dwa miliony dzieci, sześć milionów zostało rannych, z tego część została inwalidami na całe życie.

Walczą także dziewczynki

Dopiero wojna doprowadza do tak rzadkiej w Afryce równości płci - dziewczynki walczą obok chłopców jako „równouprawnione”. To, na przykład w Erytrei, jest ugruntowane w systemie: tam służba z bronią w rękę obowiązuje obywateli obu płci, 35 procent żołnierzy to kobiety, które stanowią mile widziane uzupełnienie przetrzebionej przez wojnę i głód armii. Oficjalnie jednak nigdy oczywiście nie było dzieci-żołnierzy - ich rekrutację władze zawsze zwały na pomyłki, do których dochodziło z powodu braku odpowiednich dokumentów.

Erytrea - dzieje kraju ogarniętego wojną

Jeszcze 2900 lat przed narodzeniem Chrystusa ten narożnik Afryki uchodził za „Krainę Bogów”. Handlowano tutaj złotem, kadzidłem, drzewem hebanowym, kością słonową i niewolnikami. Na terenie dzisiejszej Erytrei leżało potężne królestwo Aksum, które i dziś jeszcze jest źródłem dumy współczesnych Erytrejczyków. Ta duma jest niezłomna, chociaż Erytrejczycy stoją prawie nad przepaścią po trwającej trzydzieści lat wojnie z Etiopią o niepodległość (1961-1991) i krwawej wojnie granicznej z nielubianymi sąsiadami o skrawek pustynnej ziemi (1998-2000).

Najdłuższa wojna w dziejach Afryki w XX wieku kosztowała blisko 65 000 ofiar śmiertelnych (przy liczbie ludności wynoszącej zaledwie 3,7 miliona, w tym prawie 1,9 miliona poniżej osiemnastu lat), jeszcze bardziej krwawa wojna graniczna (100 000 ofiar w ciągu niecałych trzech lat) uzasadniła nowy rodzaj przymusu także wobec dzieci: generałowie obydwóch stron puszczali do ataku tysiące dzieci-żołnierzy jako „ludzkie fale”, które miały utorować drogę regularnym oddziałom. Ponad milion mieszkańców, blisko trzecia część ludności, ruszyła do ucieczki.

Siły erytrejskie, które w 1991 wywalczyły niepodległość swojego kraju, pokonały nie tylko o wiele liczniejszą, lecz także cieszącą się poważnym poparciem Amerykanów i Rosjan armię etiopską. Zwycięstwo było tym bardziej zaskakujące, że erytrejskie oddziały wyzwolenicze walczyły jednocześnie między sobą. Jedną z powstańczych armii był założony w 1969 roku w Kairze zorientowany na islam

ELF (Eritrean Liberation Front, Front Wyzwolenia Erytrei), inaczej „Dżebha” (po arabsku „front”). Pod jego sztandarami ruszyła na wojnę Senait. Na początku lat osiemdziesiątych uległa ona w walce z nastawionym bardziej na rewolucję społeczną EPLF (Eritrean People's Liberation Front, Ludowy Front Wyzwolenia Erytrei), inaczej „Szabia” (po arabsku „lud”), z którego szeregów rekrutują się ludzie rządzący dzisiaj Erytreą a także jej prezydent, Isajas Afwerki.

Erytrea nazywa się krajem „demokratycznym”, ale dopuszczając jedną tylko partię, bez wolnych wyborów, ze sterowaną przez państwo prasą i wobec braku rozdziału władz, z europejskiego punktu widzenia nie wydaje się to trafne określenie.

Erytrea dzisiaj

Także obecnie, po zakończeniu działań wojennych, Erytrea przeżywa okres trudny gospodarczo. Wielu wygnańców wraca dopiero na swoje (często jeszcze zaminowane) tradycyjne tereny osiedlenia. Organizacje humanitarne szacują, że ok. 60 procent jej ludności potrzebuje pomocy i zdoła przeżyć tylko dzięki pomocy żywnościowej z zagranicy. Sytuację zaostrzył trwający jeszcze wieloletni okres suszy, który spowodował poważne zmniejszenie plonów. Duma plemienna i uparte obstawanie przy uświęconych tradycją zachowaniach składają się na bogactwo tradycyjnej kultury, ale nie pozwalają także na rozsądny rozwój kraju. Jeszcze dzisiaj 95 procent kobiet w Erytrei jest poddawanych obrzezaniu - „małemu obrzezaniu”, przy którym dziewczętom wycina się „tylko” *clitoris*, albo w niektórych przypadkach ciągle jeszcze „dużemu obrzezaniu”, w czasie którego usuwa się *clitoris* i wargi sromowe. Następujące potem zaszywanie narządów płciowych (infibulacja) uważane jest za najcięższą formę okaleczenia kobiecych narządów płciowych.

...zbudować pokojową przyszłość!

Nie możemy pozostawać obojętni, kiedy dzieci muszą być żołnierzami. Senait Mehari stała się symbolem dla wielu młodocianych. 12 lutego

2004 razem z nią pokazywali czerwone dłonie w proteście przeciwko zmuszaniu dzieci do uczestniczenia w wojnach. Zrobią to znowu w Red Hand Day (w Dniu Czerwonej Dłoni).

Akcję „Czerwona Dłoń” organizujemy przy wsparciu UNICEF, Terre des Homes, Kindernothilfe, MISEREOR i Evangelisches Entwicklungsdienst. Dzięki pomocy tych organizacji dzieci-żołnierze mogą odnaleźć drogę do normalnego życia.

Akcję Weisses Friedensband zorganizowały dziennikarki i dziennikarze, chcąc trafić do szkół z programem edukacyjnym.

Pomóż i ty przedstawić dzieciom i młodzieży sytuację dzieci na całym świecie. Na naszej stronie www znajdziesz wiele informacji na temat dzieci-żołnierzy, a także na inne tematy.